

MICHAŁ E. STAŚKIEWICZ



## BEZ KOLORÓW I EGZALTACJI

Wspomnienia animatora kultury  
w Piotrkowie Trybunalskim,  
na Śląsku i w Toruniu





2527AM

II egz

MICHAŁ E. STAŚKIEWICZ

# BEZ KOLORÓW I EGZALTACJI

Wspomnienia animatora kultury  
w Piotrkowie Trybunalskim,  
na Śląsku i w Toruniu

Budki .....	12
Paś .....	13
Oldes C .....	15
Zaczarowa .....	17
Powrót .....	19
Hrabina .....	31
Kronka chleba .....	23
Park .....	24
Król Mry – Idol z dzieciństwa .....	28
Rynek Trybunalski .....	29
Pichrzem .....	33
Moja ulica .....	38
Lata sześćdziesiąte .....	42
Moja kława .....	44
Piotrkowska terra .....	46
Tręgowisko .....	47
Alkohol, ty nad podany wolać .....	49
Jak powstał zespół BIG BELT .....	50
Pianis Agrikola .....	53
Moje uderzenie .....	56
Czy mnie jeszcze pamiętacie .....	59
„racja „FURGA” .....	61
Prowinjonalni .....	63
Integracja sportu .....	66



Toruń 2016



Recenzent  
Krzysztof Mikulski

Redakcja  
Zefiryn Jędrzyński



Dofinansowano ze środków  
Gminy Miasta Toruń

Skład i łamanie  
Rafał Mikulski

© Copyright: Towarzystwo Miłośników Torunia

ISBN 978-83-927097-6-3

Druk  
TOTEM.COM.PL sp. z o.o. sp. k.  
ul. Jacewska 89, 88-100 Inowrocław  
Polska / Poland



BR 6079

K. 284/2017

## SPIS TREŚCI

### I. Wieża Ciśnień (1941–1968)

Wstęp.....	9
Budki .....	12
Pas .....	13
Ojciec Chmura .....	15
Zaczarowany dorożkarz.....	17
Powrót .....	19
Hrabina.....	21
Kromka chleba .....	23
Park .....	24
Karol May – idol z dzieciństwa .....	28
Rynek Trybunalski .....	29
Pielgrzym .....	33
Moja ulica.....	38
Lata sześćdziesiąte .....	42
Moja klasa .....	44
Piotrkowska terma .....	46
Targowisko .....	47
Młodości, ty nad poziomy wylatuj.....	49
Jak powstał zespół BIG BEAT COMBO .....	50
Płonie Agrikola.....	53
Mocne uderzenie jako metoda .....	56
Czy mnie jeszcze pamiętasz – uparty jak osioł .....	59
...racja „EUROPA” .....	61
Prowincjonalki .....	63
Fascynacja sportem .....	66

Quo scripsi, scripsi .....	71
Kraków – lata sześćdziesiąte. Czarny Anioł .....	73
Mój wieloletni przyjacielu Mieczysławie Niedzwiecki!.....	77
Mój pierwszy teatr .....	79
Król Roger – 1965.....	84
Cerkiewny koncert dzwonów .....	87
Moskwa 68.....	88
Śladami Prometeusza .....	91
Dwaj przyjaciele .....	95
Pozdrów Adama – 1965 r.....	98
Forum teatrów publicystycznych .....	101
„Kaczy Dolek” .....	102
Moja podstawówka.....	105
High life w „Wandzie” .....	110

## II. Pierońskie życie (1968–1985)

Ostrogi śląskie.....	117
Teatr „Forum” .....	120
„HAMLET” .....	123
Moje ślady .....	131
Solidny Ślązak .....	132
Monodram 70. ....	136
Teatry Rozmów .....	139
Widowiska plenerowe .....	142
Laureatem też byłem.....	143
Święto „Trybuny” w Chorzowie .....	145
Muzyka dla aktorów .....	147
Clownada .....	149
Romeo i Julia .....	150
Międzynarodowe Barbórkowe Spotkania Teatralne .....	155
A gwiazdy świecą i płoną, płoną i płoną, i świecą .....	159
Najlepszy gospodarz z laską.....	164
Moskiewska wizyta.....	165
Margines kultury .....	168
Literacki Hyde Park.....	171
Utracony talent? .....	174
Głos .....	175

Barbórka .....	177
Za czym kolejka ta stoi? .....	178
Sindbada cała paka .....	182
Człowiek na Księżycu .....	186

### III. Pod Krzywą Wieżą (1985–2015)

Wstęp .....	191
Gród cud .....	192
Wymyślanie .....	195
Pierwsze miejsce pracy – MDK „Centrum” .....	200
„Głos pokoju znad Wisły” .....	208
Nocna przygoda. Człowiek z klasą .....	209
Telewizyjna dywersja .....	212
Michałki z władzy półki .....	217
Magiczna panorama .....	218
Drugi Toruński Festiwal Książki – 1996 r. ....	219
Spotkanie po latach z Hanną Krall .....	221
Przedwczesna śmierć .....	222
Cz. Miłosz w Toruniu .....	227
Poeta – gigant .....	233
Wizyta u Mistrza Władysława Hasióra w Zakopanem .....	236
Mój przyjaciel Niemiec? .....	238
Nagrody literackie Torunia i Getyngi .....	241
Mistrz monologu W. Myśliwski .....	246
Polak – Słowak... ..	248
Vlado – patriota Słowacji i Torunia .....	251
Holenderska przygoda .....	254
Wspomnienie Marka Wakarecego .....	255
Profesor Krzysztof Mikulski .....	256
Pan od Inflanct .....	258
Zjawisko – Książd? .....	263
Refleksja o toruńskiej kulturze ostatniej dekady XX w. ....	265
Legenda skrzypiec .....	270
Wyścig z czasem .....	272
Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy – Toruń 2007 .....	277
2. Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy – Toruń 2010 .....	281
I. Międzynarodowy Festiwal Skrzypiec – Toruń 2013 .....	283

Konkurs na recenzję.....	285
Johanes Brahms .....	287
Szkló kontaktowe .....	289
Teatr Myśli i Słowa (odc. 16) .....	291
Moje serce .....	292
Platforma .....	294
Kucharze i kelnerzy .....	297
Słowo do nienarodzonej wnuczki.....	299
Bieg życia i nagle... ..	302





Konkurs na recenzję.....	285
Johanna Brokma.....	287
Selbstkritik.....	289
Testy Mych i Słowa (ok. 16).....	291
Moje życie.....	292
Platforma.....	294
Kochanie i kłótnie.....	297
Słowo do międzynarodowej wrażliwości.....	299
Biografia i waga.....	302

I „WIEŻA CIŚNIENIA”  
(1941-1968)

## Wstęp

„Przeszłość to tylko historia,  
którą sami sobie opowiadamy”.

Już za około 10 lat możemy się wyzbyć większości własnych wspomnień. I wówczas przeszłość będzie nie tylko historią, którą sami sobie opowiadamy, lecz historią którą opowiadają nam komputery. I dlatego dla zachowania mojej przeszłości, przynajmniej w jej cząstkowej formie, powstała ta książka.

Jak to wspaniale, że w podeszłym wieku można włączyć „jałowy bieg” i tworzą się w mózgu nowe połączenia neuronowe, porządkowana jest pamięć, układane są nowo zdobyte informacje. Wbrew pozorom mózg pracuje wtedy bardziej intensywnie, tworzy nowe myśli i skojarzenia. Będąc w podeszłym wieku ma się czas, by myśleć o tym, co jest dla nas najważniejsze, pytać o to samych siebie. Każdy winien sobie uświadomić, że jego życie ma wartość samą w sobie, a nie zależną od zdobytych dóbr i sukcesów.

Przez całe życie wpajano mi, że najważniejsza jest praca, a nie bezczynność, lenistwo.

Moja bezczynność nie jest dla mnie tylko nie robieniem niczego. To bycie w kontakcie z samym sobą i robienie tego, co naprawdę chce się robić. Czasem może to być coś bardzo aktywnego. Takie właśnie bywało moje ponad 70-letnie życie.

Moje zapiski pamięci, to jakby taśma magnetofonowa, aby utrwalić to, co może nie ma żadnego znaczenia dla „ludzkości” lecz pomoże jakby w lustrze odnaleźć czasy w których żyłem. I co przeżyłem. Jeśli tylko dla swoich wnuków, to i tak dużo. Ja byłem, poza opowiadaniem ze strony mamy, pozbawiony tego cofania się w czasie. Jeśli dodać do tego zakłamania historyczne czasów „demokracji ludowej” i tendencyjność usłużnych naukowców, to obraz teoretyczny jest wyraźnie zaciemniony. Na szczęście moje życie zaistniało w momencie skoku politycznego (1989 r.) i technologicznego, mogłem dotykać historii na bieżąco, ba, czynnie w nim uczestniczyć. I dlatego stwierdzam, że życie miałem niezmiernie interesujące, tak społeczne, jak zawodowe i osobiste. A co będzie za rok, dwa, czy dziesięć lat? Czy dotknie mnie ten przeklęty przez wielu nieświadomych Alzheimer?

Co bym chciał zachować swoim córkom i wnukom? Czy ma to sens? I po co?

Aby mieć czyste sumienie(?), napisałem szereg wspominkowych opowieści opartych na faktach. Nie ubarwianych, nie tworzących tanich fabulek, nie goniących za popularnością czy pieniędzmi, do których zawsze miałem stosunek obojętny. I co niektórzy mieli mi za złe. Uważam jednak po wielu latach doświadczeń biedy i nadmiaru środków do życia, że nie jest to najważniejsze. I gdybym mógł (pomarzyć), że jeszcze raz powtórzyłbym swoje życie – chciałbym je przeżyć dokładnie tak samo. No, może bez przykrych scen rozstań, bólu czy choroby... Bo nad życie nie ma innych rozkoszy. I jeśli komuś mogę cokolwiek poradzić, to poleciłbym dbać o siebie, cieszyć się ze spotkania z kimś, ze zjedzenia czegoś fajnego, z przeczytania książki, posłuchania koncertu czy obejrzenia fajnego filmu.

Dopiero z perspektywy długiego życia można zdawać sobie sprawę, jakie jest ono piękne i ciekawe. Ale sprawy zawsze mnie interesowały, dla sprawy mogłem wiele tracić ale i zyskiwać. Sprawom poświęcałem swój czas, młodość, zapał i emocje. Lubilem i lubię SPRAWY. Ten tekst powstaje w wyniku refleksji, jaka mnie naszła w dniu Wszystkich Świętych w roku 2013. Jestem w swoim mieszkaniu sam, córki są już dorosłe (a szkoda), moja żona Zosia wyjechała na dwa dni, a ja zadumałem się nad losem wielu już nieżyjących, także nad swoim. Uważam, że nie mogąc być na grobach swoich najbliższych, mogę ich przywołać w pamięci, póki ona we mnie funkcjonuje. Są momenty, kiedy leżę w szpitalu co drugi dzień na dializie, że nachodzą mnie refleksje. Nie boję się śmierci. Przecież jak się człowiek rodzi, to po to aby umrzeć. Dobry Bóg pozwolił mi przeżyć życie według Jego scenariusza. A ja w swoim życiu napisałem ponad 1000 scenariuszy. I niektóre nawet wyreżyserowałem. Mam więc świadomość, że i moje życie zostało zapisane i ktoś nim kieruje. Ale wielką niewiadomą jest – co dalej? Mam nadzieję, że scenariusz mojego życia jeszcze się nie kończy. Oby! Bo mam plany do zrealizowania i twierdzę, że motywacją do życia jest załatwianie zaplanowanych SPRAW.

Mam dwie wspaniałe wnuczki, czekam na następne. I muszę być cierpliwym dziadkiem. I doczekam! Mam wspaniałą przeszłość. Mimo, że urodziłem się w strasznym 1941 roku, ale urodziłem się w czepku. I nie znam, poza literaturą i grobami, tamtych strasznych dni. Nie znam z autopsji ani wojny, ani dramatów, ani klęski wrześnieowej... Nawet udało mi się nie zaznać „łamania karków”. Nigdy nie byłem poniżej swojej

godności. Jej granice wyznaczałem sam. I nikt nie mógł mi ich wyznaczać. Znalazłem w życiu niszę zawodową, która pozwoliła mi spełniać swoje marzenia. Czy to nie dużo? Moja wyobraźnia pozwoliła przeżyć życie godnie, z ludźmi i dla ludzi. Dawałem z siebie dużo, aby móc zrealizować swoje osobiste cele. I mam namacalne ślady osiągniętych celów. Są one udokumentowane w zapisie mojej pamięci. I to jest ten owoc. Nie musiałem zabijać, walczyć. Czy to nie wspaniałe?

Czy w wieku 72 lat mogłem sobie wyobrazić prowadzenie Międzynarodowego Autobusu Festiwalowego w którym miejsca zajęli: J. S. Bach, W. A. Mozart, jubilei W. Lutosławski i K. Penderecki, Sinfonietta Cracovia, młodzi wirtuozi skrzypiec z całego świata. A wśród nich moja córka – Ania.

Moja profesja wystawiana była przez moje całe życie na publiczny osąd, często krytyczny. Jednak bardzo często pochlebstwom i aprobachie nie było końca. Jak nie od razu, to po pewnym czasie. Mój uniwersytet dojrzałości zawodowej rozpoczął się w Krakowie. Przez 4 lata „dojrzywałem” do ponoszenia ciężaru swojej dorosłości, nie znosiłem blichtru i tzw. chałtury. I, moim zdaniem, nigdy się takim czynnościom nie sprzeniewierzyłem. Wychowany w prowincjonalnym, choć historycznym Piotrkowie, nadrabiałem swoje braki w kontaktach z Krakowem, Katowicami czy Toruniem. Dzisiaj mogę powiedzieć, że nauki, jakie pobierałem, wydały spodziewane przeze mnie owoce. Były w moim dość długim życiu zawodowym sukcesy i porażki. Tych drugich było zdecydowanie mniej. Jednak uważam, że to właśnie porażki były mobilizujące, skłaniały mnie do większego wysiłku. Dla mnie społeczna akceptacja była pełną mobilizacją, wręcz jej szukałem, była moją słabością. I stąd realizacje wielu spektakli m.in. „Hamleta”, „Romeo i Julii”, wielkich widowisk plenerowych, spektakli kabaretowych. Okres 25 lat poświęciłem teatrowi. Niezliczona liczba form „wyprodukowanych” w mojej głowie – od pomysłu do realizacji tylko po to, aby reagować na otaczającą rzeczywistość, by ją zmieniać albo może tylko zwracać na nią uwagę. Dotyczy to także kontaktów bezpośrednich z osobami, które mogły imponować. Na dostęp do nich pozwolił mi mój jakże atrakcyjny zawód. W swoim życiu dostąpiłem zaszczytu spotkania osobistego wielkich tego świata. Czesław Miłosz, Tadeusz Różewicz, Ryszard Kapuściński, Wiesław Myśliwski czy Janusz Olejniczak, Andrzej Kulka, Wanda Wiłkomirska i Mirosław Jacek Błaszczyk, to tylko przykłady znakomitych literatów i artystów, o których mógłbym wiele powiedzieć, nie tylko to, co piszą w encyklopediach. Moi wspaniali nauczyciele:

Lidia Zamkow, Leszek Herdegen, Józef Gruda, Jarosław Abramow, Jerzy Nowak Jerzy Markuszewski, Ryszard Prac, Adam Kreczmar i wielu innych, którzy zapisali się na trwałe w mojej osobistej edukacji i pamięci. I jeszcze: O. Wacław Oszejca, Andrzej Jarecki, Witold Dąbrowski, Mieczysław Świącicki, Krzysztof Karasek, Kazimierz Wiśniak, Andrzej Zarycki, Marian Grześczak Józef Baran, Adam Ziemianin, Krzysztof Gąsiorowski, a także wielka grupa artystów śląskich z Dudą-Gracem na czele.

Chcąc opisać kolejne epizody dotyczące wyżej wymienionych można by stworzyć piękną księgę wspomnień z lat 1960–2012.

W tytułowym stwierdzeniu „z kulturą na ty”, nie może zabraknąć moich inicjatyw i pomysłów realizowanych tak w Piotrkowie, jak również w województwie śląskim (18 lat) i Toruniu (27 lat).

## Budki

Stoję na balkonie pierwszego piętra w mieszkaniu przy Hitlerstras-  
se w moim rodzinnym Piotrkowie Trybunalskim. Mam niespełna 4 lata.  
Mama mnie przyprowadziła, bo prawdopodobnie będę mógł zobaczyć  
swojego tatę. Dlaczego, mówiąc o tym sympatycznym fakcie, mama płaka-  
ła? Nie mogłem tego zrozumieć. Ale przecież będąc w takim wieku nie-  
wiele się rozumie. I to mnie usprawiedliwia. Ciotka też płakała. Stoimy na  
tym balkonie już bardzo długo. Ciotka mówi, że słyszała o tym, że będą  
„ich” wieźli. Wieźli? – pytam mamę. – Kogo? – Zobaczysz. Krótka odpo-  
wiedź mamy musi mi wystarczyć. Na pobliskich balkonach też gromadzą  
się widzowie. Czyżby miało się tutaj wydarzyć coś interesującego?

Wreszcie od strony synagogi słychać tupot końskich kopyt po kostce  
brukowej. Widzę nadjeżdżające platformy zaprzężone w dwa konie. Ta-  
kie, co to rozwożą po sklepach lemoniadę albo węgiel na zimę. Konie są  
grube i mocne. – A teraz, synku, patrz uważnie. Na jednym z tych wozów  
jedzie tata. Kiedy pierwszy wóz znalazł się pod naszym balkonem moje  
zniecierpliwienie przeszło w przerażenie. Na platformie leżeli ludzie po-  
wiązani z sobą grubymi sznurami.

– Ale jak mam poznać tatę? – pytam nieśmiało ze strachem w oczach.

– Pokażę ci ojca, bo możesz go widzieć ostatni raz. Zapamiętaj sobie  
ten obraz.

Na każdej platformie jechało czterech żandarmów niemieckich, je-  
den policjant i furman z lejcami i batem. Ciągłym krzykiem: wiooooo!

wiooooo! – wypełniona była cała ulica. Ten krzyk furmański mam w uszach do dzisiaj. I nagle mama krzyknęła – Jeeest! Mój Jasiu! Mój kochany! – i zaczęła szlochać. Ciotka pokazała mi – ten trzeci od lewej to Janek. Twój tata! Skąd mogłem wiedzieć, która to lewa strona. Przez ten mamy krzyk wszystko mi się pomyliło. – I Stacha też wiozą – powiedziała ciotka. Stach to mój wujek, a mamy jedyny brat. – Widzę – usłyszałem szept mamy. Po kilkunastu minutach, kiedy przejechały wszystkie platformy, wróciliśmy do pokoju. Mama zaczęła mnie szybko ubierać i wyszliśmy na ulicę. Ale już przy bramie wyjściowej zatrzymał nas niemiecki żandarm. – Halt!

Musieliśmy odczekać dość długo, żeby móc wrócić do swojego domu.

Na cmentarzu w moim rodzinnym mieście jest kwartał grobów polskich obywateli. Tych, którzy zostali zabici przez hitlerowców. Na jednym z nich napis: Stanisław, żołnierz AK, lat 29. To mój wujo, jedyny brat mojej mamy. Zginął tamtego dnia, kiedy stałem na balkonie ciotki. Ojciec się uratował dzięki dużej łapówce, którą moja mama dała Niemcom eskortującym tatę na miejsce egzekucji.

A może dzięki przypadkowi, bo nie pisana była mu śmierć. Bo miał mnie, syna.

Kiedy na Budkach rozwiązano ich, aby dokonać mordu, kilkudziesięciu z nich rozbiegło się, uciekając w pobliskie ogrody. I za tory kolei warszawsko-wiedeńskiej.

Tata zdążył uciec. Wujo pobiegł w przeciwną stronę i dosięgła go kula plutonu egzekucyjnego. Teraz na Budkach stoi pomnik. W hołdzie poległym.

„Przewrotna ludzkość, panowie, stwierdzam to z melancholią, nadużywa niegodziwie wzniosłych idei, żeby usprawiedliwiać własne świństwa, a imiona wielkich swoich żywicieli zaprzęga do nikczemnej roboty na służbie niskich namiętności”.

L. Kołakowski

## Pas

Był tam zawsze. Wisiał przy drzwiach na specjalnym gwoździu. Musiał być widoczny. Wystarczyło pokazać palcem w jego kierunku, a już miałem dreszcze. Moje dzieciństwo kojarzy mi się do dzisiaj z tym stałym rekwizytem. Był własnością ojca. Z wojska, z 25. Pułku Piechoty. Był kultowy.

Ktokolwiek przychodził do naszego domu zawsze zwracał na niego uwagę. – Jasia? – pytał, a mama z dumą odpowiadała: a czyj? Przez pierwsze lata nawet go lubiłem. Przymierzałem się do niego ale był za długi i za gruby. Nie mogłem w żaden sposób go zapiąć na sobie. Moja wyobraźnia budowała fizyczny wizerunek ojca na podstawie zdjęć i, właśnie, pasa. Nieodłącznym meblem mojej „pasowej” przygody był stół. Duży, okrągły, dębowy. Z czasów świetności moich dziadków, a potem rodziców. Przedwojenny stół. To on był moim schronieniem, kiedy mama brała do ręki pas.

To pod nim miałem bezpieczne miejsce, byłem nietykalny, trudno mnie było dosięgnąć. Ale mamy filozofia i ten problem stołowy rozwiązała. Ponieważ miała z tym stołem i ze mną dwa kłopoty, postanowiła zredukować kłopot o jeden i zostałem zdyscyplinowany do wychodzenia spod stołu na rozkaz. – Masz natychmiast wyjść! Słyszac stanowczy głos mamy reagowałem, jak szeregowiec przed kapralem: – Jestem. Prężyłem się na wyciągnięcie ręki. – Połóż się na tapczanie. Dostaniesz dwa pasy. Potem były trzy... cztery i więcej. Jak miałem 10 lat normą było dziesięć. Przy ósmym uderzeniu znowu uciekałem pod stół, ale wówczas już się pod nim nie mieściłem i dodatkowo oberwałem guza na głowie. I, oczywiście, brakujące dwa uderzenia pasem. Dostawałem najczęściej za brak opie-



To ja, Miniū – tak nazywano mnie w wieku 3 lat

ki nad młodszą siostrą, potem za brzydkie zachowanie, potem za dwójkę, a raz nawet za wagary. Było to w trzeciej klasie. Z Bogusiem poszliśmy sobie zamiast na lekcję śpiewu, do parku. Lekcję śpiewu odwołano, pani wychowawczyni wzięła klasę na wycieczkę do... parku. I nas na tych wagarach nakryła. Wpis do dzienniczka ucznia i... pasy.

Zdarzyło mi się pływać w tymże parku w stawie, gdzie przebywały latem łabędzie, w pełni zimy, a właściwie na przedwiośniu. Skacząc po krach wpadłem do wody po uszy. A że byłem ubrany w piękny zakopiański kozuch, to trudno było nie zauważyć.

Dostałem wówczas 10 pasów. Do dzisiaj pamiętam smak tych uderzeń. I, może



dlatego, w życiu nie uważałem za stosowne wobec swoich dzieci popełniać tak ciężkiej pomyłki wychowawczej. Ale przecież, gdyby nie ta metoda, to teraz nie miałbym o czym pisać, prawda? Co za ironia jest w tym, że nigdy nie dostałem lania od ojca. Ale kiedy miał mnie bić? Jak miałem 16 lat?

— Nie wiem, co stało się z tym moim katowskim narzędziem. Pewnie został wyrzucony na śmietnik, albo trafił do innego domu pełnić swoją funkcję wychowawcy i nauczyciela. Zostawił jednak we mnie pewien ślad. Gdy widzę u kogoś szeroki skórzany pas natychmiast kojarzy mi się z dzieciństwem. Na wszelki wypadek omijam taką osobę. Bo nigdy nic nie wiadomo.

## Ojciec Chmura

Kiedy w wieku 12–14 lat ktokolwiek mnie pytał, kim chciałbym zostać, natychmiast w moim imieniu odpowiadała moja Mama: „Michaś będzie księdzem”. I przez całe dzieciństwo, od 6 roku życia byłem podporządkowany byciu w Kościele. Rano, budzony o 6.30 pędziłem do kościoła OO Jezuitów przy ul. Pijarskiej (4 min. od miejsca zamieszkania) aby służyć do Mszy Św., która zaczynała się o 7. Potem powrót, śniadanie i do szkoły. A szkołę podstawową im. M. Reja nr 10 miałem od domu daleko, najdalej z całego podwórka moich rówieśników (nazywano tę grupę PT 4– skrót od Placu Trybunalskiego i nr domu). Droga do szkoły od ul. Rwańskiej, gdzie mieszkalem, biegła przez pl. Kościuszki, gdzie obowiązkowo wstępowałem do kościoła OO Bernardynów, aby pomodlić się za pomyślność w nauce. I na cały dzień. Trwało to do roku 1953, bo wówczas ukończyłem podstawówkę. Dalej byłem ministrantem (przez 10 lat, od 1947–1956). Imponowało mi, że byłem przy ołtarzu, blisko tabernakulum i mogłem podawać wodę i wino czy tackę przy komunii. Zwłaszcza dawało mi to satysfakcję, gdy Komunię przyjmowała moja mama, a potem także siostra Danusia i znajomi. Już od wczesnej młodości chciałem być KIMŚ. I to mi pozostało na zawsze. Ale Kościół Jezuitów, to nie tylko ministrantura. To także TEATR.

Legenda Zakonu – Ojciec Chmura był wybitnym człowiekiem, znał kilkanaście języków, w tym hebrajski, kochał ludzi i...teatr. Wysoki, około 2 metrów wzrostu, chodzący sztywno z uwagi na połamane w hitlerowskim obozie koncentracyjnym żebra, charakteryzował się tym, że nigdy przy ołtarzu nie klękał, bo fizycznie nie był w stanie. Od 6 roku życia

grałem zatem w bardzo popularnym w owych czasach Teatrze u Jezuitów. Był to jedyny teatr w Piotrkowie Trybunalskim – moim rodzinnym mieście. I właśnie głównym reżyserem tego przykościelnego teatru był Ojciec Chmura. Zaczynałem swoją „karierę” od pazia przy trzech Królach i pastuszka–statysty w bożonarodzeniowych Jasełkach. Potem była II cz. „Dziadów” Mickiewicza, robiłem za tłum: „ciemno wszędzie, głucho wszędzie...” i dostawałem dreszczy, tak byłem podniecony. Potem były kolejne Jasełka i Golgoty (przed Wielkanocą) sztuka „Wenancjusz” o prześladowaniach pierwszych chrześcijan, gdzie grałem jedną z głównych ról – Klaudiusza, przyjaciela Wenancjusza. Grywaliśmy zawsze w soboty jeden spektakl i w niedzielę – dwa spektakle. Na przedstawienia przychodziły tłumy, a my dawaliśmy swoim znajomym tzw .wejściówki. Biletów nie było, tylko „co łaska na tacę”. Gdy skończyłem 15 lat zdarzyła się nieprzyjemna, właściwie dramatyczna historia, z Ojcem Chmurą. Ten Jezuita, z połamanymi żebrami za udzielenie chrztu dziecku jakiegoś działacza komunistycznego na prośbę babci, został oskarżony i skazany na 3 lata więzienia. Po upływie 2 lat, ze względu na zły stan zdrowia, wrócił do klasztoru. Kiedy spotkałem go na Rynku i podszedłem (byłem jego „złotkiem”) potraktował mnie jak nieznanego. Zналиśmy się i obcowaliśmy na co dzień przez blisko 10 lat, był moim katechetą, byłem w jego teatrze, byłem ministrantem . A on zachował się wobec mnie jakby mnie pierwszy raz widział. Zrozumiałem, że był przez to więzienie bardzo ciężko chory. Teraz wiem, że spotkałem O. Chmurę z jego chorobą Althaimera.

Moje kontakty ze starszymi ode mnie kolegami i koleżankami z Teatru pozostały na długie lata mojego pobytu w Piotrkowie. To właśnie Jan Kordowiak i Henryk Zuzanski byli później filarami założonego przeze mnie w 1965 r. Teatru Publicystycznego.

Nie wyobrażałem sobie przed laty, że mogę nie mieszkać w moim kochanym mieście. A stało się zupełnie inaczej. W wieku 27 lat wyemigrowałem i nigdy już nie tęskniłem do „mojego” Piotrkowa. Może teraz, po ponad 50 latach...

## Zaczarowany dorożkarz

Zima. Jestem przejazdem w swoim rodzinnym mieście. Złożyłem już wizytę mamie, spotkałem się z ojcem, byliśmy na obiedzie w „Europie”. Mam trzydzieści lat. Jestem zadowolony z życia, jestem kimś, komu się powiodło. Tak przynajmniej odbieram stosunek do mnie moich kolegów z dzieciństwa i wczesnej młodości. Wyrwałem się z domu, z rodzinnego miasta, z różnych opinii... Jestem uśmiechnięty i zadowolony. Nagle na ulicy w godzinach wieczorowych spotykam swojego rówieśnika, Leszka K. Mówiono mi, że też wybył z miasta. Że mieszka w Krakowie. – Serwus! Co za spotkanie. Nie widzieliśmy się chyba z osiem lat. Osiem lat w tym wieku, to bardzo długo. I poszliśmy do „Europy” – tam, gdzie przed laty się żegnaliśmy. Siadamy przy podkowie, jak nazywaliśmy przed laty bar szybkiej obsługi alkoholowej. Na wysokich stołkach, z których się dobrze spadało. – Lechu! To były czasy! – A pamiętasz, jak płaciłeś rachunek samymi złotówkami, które zarobiłeś w szatni na koncercie Big Beat Combo? Wszyscy się denerwowali: kelner, który dał rachunek, barman, który nalewał nam, pięcioosobowej grupie PT 4 kolejne setki. A ty nic. Wysypałeś te złotówki i oni przez 20 minut liczyli, żeby pobrać należność w wysokości 146 złotych. Byłeś panisko! I kiedy my tak sobie z Leszkiem wspominali dawne czasy, wszedł do podkowy stary nasz znajomy, ostatni miejscowy dorożkarz. Wszedł okutany w długi kozuch, który pewnie pamiętał jeszcze hurtownię futer mojego dziadka, w rękę trzymał bat. Zdjął swoją karakułową czapę i barman podał mu setkę czystej. Dorożkarz był w moim mieście bardzo popularnym człowiekiem. Mówiono nawet, że to o nim pisał Gałczyński, kiedy spojony alkoholem późną nocą kazał się wieźć do hotelu, który znajdował się na wysokości postoju dorożki. Mógłby ten nasz dorożkarz powozić go po mieście i zarobić niezłe pieniądze. A on – nie. Poprosił przechodzącego księdza, aby pomógł bliźniemu i wprowadził go do hotelu. W niedzielę ksiądz–Jezuita, opowiedział wszystko na kazaniu, podbijając jeszcze popularność naszego dorożkarza. I, kiedy popijaliśmy z Leszkiem koniaczek, a w podkowie poza nami, barmanem i dorożkarzem nie było nikogo, nagle usłyszałem ochrypnięty głos: oj, masz ty, młody człowieku, wobec mnie dług do spłacenia. I nawet o tym nie wiesz. Te słowa skierowane były do mnie. Byłem zaskoczony. Czyżby pamiętał, jak w dzieciństwie, chcąc robić to, co koledzy z podwórka, czepiałem się dorożki i na tylnych resorach przejeżdżałem kilkadziesiąt metrów?

– Tak, tak, do ciebie mówię, młody człowieku.

- A o co chodzi? – pytam, podchodząc do jegomościa. A on na to:
- Kiedy miałeś ze sześć lat, to jeździłeś na takim rowerku, którego ci wszyscy rówieśnicy zazdrościli, prawda? – Święta prawda. Ale to przecież nie grzech.
- Masz rację. Ale nie wiem, czy ty pamiętasz, że jeździłeś tym rowerkiem i zrywałeś afisze, na których było nazwisko twojego ojca, pamiętasz?
- Oczywiście, że pamiętam. I nigdy tego nie zapomnę.
- To postaw mi kolejną kolejkę, a ja ci powiem za co.
- Wyobraź sobie, że kiedy ty tak jeździłeś po całym mieście to ja, za tobą jeździłem dorożką, żeby cię nikt nie skrzywdził. Bo mój bat nie od parady tylko.

Taki to był ten najstarszy dorożkarz mojego dzieciństwa. Jedyny. Miał urodę konia pociągowego, ręce jak taczki do wożenia ziemi, ubierał się, jak święty Mikołaj (zwłaszcza zimą). Miał jednak coś więcej niż tylko miłość do koni. On po prostu – kochał ludzi. I ludzie mu się odwzajemniali tym samym.



Miejsce mojego dzieciństwa – Rynek

## Powrót

Mam sześć lat. Jestem właścicielem dwukołowego roweru, który otrzymałem w prezencie od swojego ojca. W tamtych czasach mówiło się, że pochodził z tzw. szabru na Ziemiach odzyskanych. Nie bardzo rozumiałem, co to znaczy „Ziemie odzyskane”? Od kogo? Dlaczego? Są to trudne pytania dla sześciolatka.

Ja wiedziałem swoje. Tata wrócił z wojny dwa lata po jej zakończeniu, bo musiał być okupantem na terenie Niemiec w strefie tzw. sowieckiej. I właśnie stamtąd przywiózł mi ten rower. W Polsce przed wojną takich małych rowerów nie było. Byłem z niego dumny. Obnosiłem, a właściwie objeżdżałem się tym dwukołowym rowerkiem na Rynku, wzbudzając zazdrość rówieśników. Patrzcie i podziwiajcie. Po powrocie ojca z wojska do domu wyczuwałem jakąś dziwną atmosferę. Jakby coś wisiało w powietrzu, coś niebezpiecznego, nieoczekiwanego – na co w moim domu wyraźnie oczekiwano. Tata poświęcał mi dużo czasu, tulił mnie do siebie, wyraźnie odbierałem, jak jestem mu potrzebny. I jak mnie bardzo kocha. I jak się bardzo stęsknił tą nieobecnością ze mną przez tyle lat. A ja już prawie mężczyzna. Umiałem nawet czytać i liczyć do stu. Nauczyła mnie tego moja niania, pani Marysia. Tata podejmował próby opowiadania mi, jak to było w wojsku, na wojnie. Nie lubiłem tego słuchać. Mówił, że nie pójdę w jego ślady. Na co mama odpowiadała, że byłaby bardzo szczęśliwa, abym nie był żołnierzem, nawet generałem. Abym ja, w przeciwieństwie do moich rodziców, nigdy już nie przeżywał wojny. – Byłabym bardzo szczęśliwa. I tego mu życzę – powtarzała to wielokrotnie. Którejś nocy usłyszałem trzask otwieranego w moim pokoju okna. Naciągnąłem kołdrę na uszy i dalej spałem. Rano okazało się, że taty w domu nie było. – Tata wyjechał – powiedziała mama. Nie miałem odwagi pytać: gdzie i po co?

Takich pytań w moim domu nie zadawało się nigdy. Wyjechał to znaczy, że musiał. Koniec. Kropka.

– Idziemy na parter – powiedziała rano mama... Na parterze mieszkał pan Zbyszek, adiutant ojca z wojska. Wrócił z ojcem z Niemiec i rodzice dali mu do zamieszkania mały pokój na parterze, tzw. stróżówkę. Lubiałem go, zwłaszcza jak opowiadał o wyczynach mojego ojca w wojsku. Byłem dumny, gdyż ojciec w ustach pana Zbyszka urastał do postaci Ali Baby. Pan Zbyszek potrafił też pięknie śpiewać, zwłaszcza piosenki wojskowe i „Suliko”.

To, co zobaczyłem na parterze, w stróżówce, śniło mi się latami i wówczas budziłem się mokry od potu. Pan Zbyszek leżał, a właściwie wisiał poziomo na żelaznym łóżku. Już nie żył. Jak przez sen słyszałem szloch mamy i sąsiadek. To UB-owcy! Ci komuniści! Był przecież takim porządnym człowiekiem.

Po pogrzebie pana Zbyszka długo zastanawiałem się, jak mógł być zamordowany taki fajny facet, we własnym łóżku. Przeżył wojnę, a zamordowali go w naszym domu. Kto? Dlaczego? Komu przeszkadzał? Miał piękne plany założenia rodziny. Czekał na narzeczoną, która miała do niego przyjechać z Gubina. Wieczorem mama posadziła mnie na bujanym fotelu i powiedziała, że z tatą mogli zrobić to samo. Ale tata żyje? – zapytałem nieśmiało. – Tak. – Krótko odpowiedziała mama. – A gdzie teraz jest tata? – Nie wiem. – Może znowu jest w Tarasce partyzantem? – Nie. Po kilku tygodniach od zniknięcia taty jeżdżę po Rynku na tacynym rowerku, kibicuje mi grupa PT-4, a więc moi kumple z podwórka: Zenek, który miał w domu ołtarzyk, a nie był ministrantem; Jasiu, którego starsza siostra chodziła bez majtek; Jędrak, który uczył się grać na pianinie, które kupił jego ojciec – kapelusznik; Zdzychu, którego mama robiła w dużych słojach wino z wiśni, bardzo słodkie. I nagle sąsiadka, która mieszkała w dawnym sklepie z napisem RZEŹNIK krzyczy na cały Rynek moje imię. Oglądam się dookoła, ale nikogo z tym imieniem nie widzę. – No, do ciebie wołam. Chodź tu szybko. Zaprasza mnie do swojego ni to sklepu, ni mieszkania. Wchodzę do środka, a ona pokazuje palcem na kołchoźnika – to taki głośnik, co cały dzień chwali Stalina i nie można go wyłączyć, jak mówi moja mama. I słyszę jakiś głos Wandy Odojskiej, że „oczekuje w więzieniu na surowy wymiar kary”. – To o twoim ojcu mówili. Od tamtego czasu upłynęło 9 lat. Lata znaczone kartkami na których widniały trzy, czasem cztery stemple cenzury: CWKS to nie klub sportowy Legia, a Centralne Więzienie Karno Śledcze w Szczecinie, Piechcin, Mielęcín, Warszawa, Białółęka. Znałem je na pamięć. Paczki do ojca nie dochodziły. Listy od ojca rozplywały się nie wiadomo gdzie. Tylko wujko potrafił do ojca trafić. Jeżdżąc podarowanym rowerem po mieście przed laty zrywałem afisze z tekstem: „Żądamy surowego wyroku i pokazowego procesu w naszym mieście dla psa imperializmu amerykańskiego”... i tu padało nazwisko i imię mojego taty. Mam 15 lat. Jestem już bardzo dorosły. Chłopcy wychowujący się bez ojców szybciej dojrzewają. Mam twarde zarost. Od roku chodzę golić się do fryzjera. Właśnie siedzę w fotelu, znajomy fryzjer mydli mi twarz. Uwielbiam to mydlenie. Wchodzi kolejny

klient i mówi, że prowadzą mojego ojca. Biegnę w kierunku więzienia, ale nikogo nie spotykam. Wracam do domu. Mówię mamie, co słyszałem.

Ona na to: – Już mi ktoś mówił, że AK-owców wypuszczają.

Wcześniej rano, około szóstej, dzwonek do drzwi naszego mieszkania. Myślałem, że to mleczarka, bo mama nie wystawiła bańki. A to wrócił TATA!

## Hrabina

Około 1947 roku (dokładnej daty nikt nie był w stanie pamiętać) pojawiła się w naszym domu Warszawianka. Dostała do swojej dyspozycji pokój z oddzielnym wejściem na pierwszym piętrze. Może miała 80, a może 100 lat. Będąc dzieckiem, zwracałem uwagę na fakt jej bardzo wolnego wchodzenia i schodzenia po schodach. Często ją mijalem, biegnąc do swojego mieszkania słyszałem tylko jej głos. – Jak ja ci, synku, zazdroszczę tych nóg. Ja też kiedyś tak mogłam. Było to bardzo dawno temu. Tak dawno, że już zapomniałam. Powtarzała ten tekst tak często, że pamiętam nawet jej tembr głosu. A głos miała wyjątkowo charakterystyczny. Doniosły, choć było w nim słyhać starość. Takie jakby zatrzymania, jakby brak powietrza. Ale zawsze w jej głosie było coś władczego, coś, co ją wyróżniało. Zapraszała mnie dość często do swojego mieszkania – pokoju jakby bała się samotności. Jakby bała się niechybnej śmierci. Bałagan w jej pokoju, po kilku moich wizytach, nie robił na mnie wrażenia. Dziwiło mnie tylko, dlaczego jej spanie-łóże było bardzo wysokie. Jak ona, ta staruszka, wdrapywała się po stołku, kartonach wypełnionych nie wiadomo czym, na te swoje piernaty? Nie było u niej ani jednego krzesła. Brak było także stołu. Funkcję stołu pełnił dość szeroki, drewniany parapet jednego okna, wychodzącego na ulicę Rwańską. Po latach dowiedziałem się, że ulica Rwańska jest jedyną w Polsce o tej nazwie. I że jej nazwa powstała w XV wieku, bo mieszkali na niej dwaj stomatolodzy, jak to dzisiaj nazywają się specjaliści od rwania i naprawiania zębów. Byłem przez naszą sąsiadkę traktowany prawie jak dorosły. No, pewnie przesadzam, bo częstowała mnie landrynkami, których smak, bardzo kwaśny, pamiętam do dzisiaj. Miała te landrynki w pięknym blaszanym kolorowym pudełku. Zawsze to samo pudełko, przez całe 2–3 lata ono zawsze było pełne. Jak zacząłem chodzić do szkoły, nasza sąsiadka coraz rzadziej schodziła po schodach na zakupy. Któregoś dnia mama przeprowadziła ze mną

„konstruktywną” rozmowę. W wyniku tej rozmowy stałem się zaopatrzeniowcem naszej sąsiadki. Szczególnie rano. Mój rytuał rannego wstawania uległ pewnym poprawkom. Otóż, moja niania – pani Marysia – budziła mnie o godzinie 6.15. Po rannej toalecie biegłem do kościoła Jezuitów i służyłem do Mszy o godzinie 7.15. Msza trwała krótko, około 20 minut. Służyłem do Mszy zawsze u Ojca Chmury, który po latach stał się legendą całego Zakonu. O nim napiszę w innym miejscu. Po kościele, wracając do domu, dokonywałem na rogu ulicy Sieradzkiej zakupy dla sąsiadki. Kupowałem dwie bułki zwykłe i jedną maślaną. Obok, w sklepie mleczarskim, litr mleka i co trzeci dzień – dwadzieścia pięć deko masła z oselki. Wracałem do domu i, pukając delikatnie, dwa razy po trzy stuki, wręczałem sąsiadce zakupy. Resztę z danych mi poprzedniego dnia 100 zł dawała mi za „fatygę”. Nie bardzo rozumiałem słowo „fatyga” i wrzucałem resztę na tacę Ojcu Chmurze podczas nieszpórów. Bo Ojciec Chmura nie chodził, jak inni ojcowie, z tacą po kościele. Taca stała na balaskach i kto chciał, ten dawał. Po kilku moich wrzutach mama to zauważyła w kościele i zapytała mnie, skąd mam pieniądze. Powiedziałem prawdę, że od sąsiadki. Po dwóch dniach sąsiadka kontynuując „darowiznę” powiedziała: tylko nie dawaj na tacę. To są twoje pieniądze. Pan Bóg nie potrzebuje pieniędzy. Przecież nie miała racji. Wiedziałem, że te pieniądze Superior dawał Ojcu Chmurze. Bywałem w jego pokoju i widziałem na biurku te drobne. W Zakonie jest dyscyplina i żyją uczciwi ludzie. I nikt nie mówi, że trzeba dawać Panu Bogu. Widocznie, pomyślałem wówczas, moja sąsiadka nie zna zakonników. Moja posługa zaopatrzeniowca trwała około dwóch lat. Sąsiadka była coraz słabsza. Moja mama znalazła pielęgniarkę, która przejęła opiekę i odebrała mi całkiem pokaźne dochody. Przeznaczałem te pieniądze na lody, ciastka, krówki i lizaki. I jeszcze mogłem dawać prezenty moim kolegom z klasy, którzy nosili za mnie mój raniec, czyli tornister. I wszystko to się skończyło. Po upływie kilku miesięcy sąsiadka zmarła. Przeżyła 93 lata, dowiedziałem się z ręcznie wypisanego przez moją mamę nekrologu. Pogrzeb był skromny. Ja, moja siostra, mama i pani Marysia szliśmy za karawanem. Przy cmentarzu doszła pielęgniarka. Pewnie się wstydziła iść przez centrum miasta w takim skromnym orszaku. Przy grobie ksiądz z parafii powiedział tylko: Zmarła zacna osoba z hrabiowskiego rodu p. Wojna zniszczyła jej starość.



## Kromka chleba

Jak się ma naście lat, to każdy grosz jest warty bardzo dużo. A jak są wakacje, to chcesz zarobić cokolwiek, aby było ci lepiej. Moje miasto rodzinne słynęło z hut szkła. Wyroby huty "Hortensja" słynne były nie tylko w Polsce. Na Piotrkowskiej w Łodzi był nawet sklep firmowy, a w nim piękne wazony, ślicznie frezowane przez szlifierzy z „Hortensji”. Huta "Kara" produkowała szkło okienne. Ogromne tafle szkła, zapakowane w skrzynię z napisem Made in Poland, ładowano na wagony codziennie podstawiane na bocznicę w hucie. Huta „Feniks” produkowała szkło farmaceutyczne. Tak więc moje rodzinne miasto szkłem stało. Ktoś doradził mojej mamie, abym w wakacje dorobił parę groszy w hucie „Kara”. Szast prast i już jechałem rowerem o godzinie piątej rano do huty. Musiałem być pierwszy w brygadzie ładowaczy, żeby zdążyć z namalowaniem oznaczeń skrzyń nocnej zmiany. Huta bowiem pracowała na trzy zmiany, a ładowacze ładowali szkło do wagonów tylko na jednej zmianie. Byłem w magazynie wysyłkowym malarzem skrzyń. Czarną mazią i sztywną szczotką przy pomocy wzornika smarowałem napisy: made in poland, góra, dół, zdiełano w Polsce, itp. Miesięczna moja gaża za 8 godzin malowania wynosiła 480 zł. podczas, gdy każdy z ładowaczy zarabiał po 1400 zł. Poza funkcją malarza byłem także gońcem po zakupy w zakładowym sklepie. Szczególnie byłem niezastąpiony przy zakupach śniadaniowych. Otóż ładowacze, to byli mężczyźni w wieku między 30 a 40 lat, po 180–190 cm wzrostu i każdy z nich nie ważył mniej niż 120 kilogramów. Byli silni. Przez osiem godzin, z 15. minutową przerwą, ładowali dziennie 30–35 wagonów produktami huty "Kara". Każda skrzynia z dużymi taflami szkła o różnej grubości ważyła ok. 120 kilogramów. Taką skrzynię ładowało z magazynu, którym była wielka hala, dwóch ładowaczy na wózek, którym następnie dowozili towar do wagonu. Przed godziną dziewiątą dostawałem kartkę i pieniądze, aby zrobić zakupy na śniadanie dla całej brygady. Najczęściej było to 5 kilogramów kielbasy i 4 bochenki chleba. Kiedy wracałem z zakupami ogłaszano przerwę śniadaniową. Nie uczestniczyłem w tej zbiorowej biesiadzie hutniczych siłaczy. Mama przygotowywała mi moje śniadanie. Było zapakowane w biały papier i wyglądało bardzo apetycznie. Zwykle siedziałem z boku tego kłębowiska tłuszczu, siły i mlaskania przy jedzeniu. Od tych herosów dolatywał do moich nozdrzy zapach potu. Mimo lekkiego odzienia, każdy z nich oblany był potem pokrytym kurzem, który unosił się w całej hali. Bowiem szkło w skrzyniach

było pakowane w słomę. I to ta słoma oraz zbijanie skrzyń tworzyło główny pejzaż mojego malarskiego pleneru. Jadłem te swoje kromki chleba zapakowane w elegancki papier, który każdorazowo zabierałem do domu. I popijałem wodą sodową lub zimną miętą, bo temperatura w magazynie dochodziła do 30 stopni. Po upływie 4–6 dni, podczas kolejnej przerwy, zaintrygowany moim śniadaniem, jeden z ciężarowców zaproponował mi zamianę – on mi dawał kawał kielbasy, a ja miałem mu dać swoje śniadanie. Wzbraniałem się, wiedząc, co mam do zaoferowania. On był jednak bardzo nachalny. Chciał koniecznie spróbować tego, co jest w tym ładnym opakowaniu. Dokonaliśmy transakcji. Jadłem tę kielbasę tak szybko, żeby nie zdążył mi zabrać. On natomiast odpakował moje śniadanie, jadł i... nic nie mówił. Po skończonej przerwie podszedł do mnie i dyskretnie powiedział: dawno nie jadłem chleba z cukrem. Jutro też się zamienimy. I od tego czasu często miałem dwa śniadania – domowe z cukrem polany chleb mlekiem i 15 deko kielbasy od mojego „kolegi” ładowacza. Po latach spotkałem go będąc z wizytą u rodziców. Był już emerytem. Zaprosiłem go na piwo do „Europy”. Zaproszenia nie przyjął. Zdałem sobie sprawę, ale już po fakcie, że do „Europy”, to on nie chodził. Zrobiło mi się nieswojo. Nie pozwolił mi się zrewanżować za jego gest wobec mnie sprzed 30 lat.

## Park

Był rok 1947. Wojna już się formalnie skończyła, choć ojciec jeszcze z niej nie wrócił. Miałem 6 lat i mama postanowiła, że mogę iść do szkoły, gdyż już mnie nauczyła czytać i pisać. Żeby jednak nie chodził do jednej klasy z kolegami z podwórka („PT-4”), to zapisała mnie do szkoły podstawowej im. M. Reja w alejach 3 Maja (jeszcze nie Bieruta).

Szkoła znajdowała się w starej czynszowej kamienicy z początku XX wieku, bez boiska sportowego, z małym podwórkiem i bez sali gimnastycznej. Kierownikiem tej szkoły był znajomy mamy sprzed wojny, także żołnierz 25. Pułku Piechoty, pan Józef Sawicki.

Jedną z ważniejszych zalet położenia tej szkoły przy skrzyżowaniu alei z ul. Żeromskiego był **Park im. Księcia Józefa Poniatowskiego** powstały na przełomie XIX i XX wieku, a więc liczący teraz ponad sto lat. Przez kolejne sześć lat miałem najdłuższą drogę z domu do szkoły i to pod górkę. Już inauguracja nauki zapowiadała duże emocje, bo po pierwszym dniu nauki pani nauczycielka Janina Przepieściowa powiedziała: „Ty tu nie masz co robić. Nawet tabliczkę mnożenia umiesz na wrywki. Idź do drugiej klasy”.

Na drugi dzień znalazłem się w klasie drugiej, a tam już nie było miejsca w ławkach, tylko w ostatniej. Jak się później okazało, byłem nie tylko najmłodszym, lecz i najmniejszym uczniem. Obok mnie siedział mężczyzna 17-19 letni i zaraz po dzwonku położył na ławce p r a w d z i w y pistolet. Bez słowa zrozumiałem, kto tu będzie rządził. W przerwie usłyszałem od niego: „Tylko spróbuj, gówniarzu, coś mruknąć w domu, to...”. I pokazał gest, po którym robiło mi się słabo. I w takim towarzystwie spędziłem kolejne 2 lata. Musiałem biegać do kiosku po papierosy, oddawać połowę śniadania. Szczególnie lubił owoce. Jak zobaczył, że przynoszę do szkoły, to tylko zapytał – gdzie ta dzierzawa i po 2. dniach wszystkie drzewa były gołe. Ale był honorowy, bo mi przynosił po jednym jabłku mówiąc, jedz, są dobre, zresztą je znasz od lat. Potem, w IV klasie powstała już dla takich powojennych wielkoludów szkoła wieczorowa i ich przenieśli na popołudnie. Na początku było nas w klasie 44, po odejściu „weteranów” szkolnictwa podstawowego – 21. Takie były proporcje, nie licząc drugoroczniaków. Jednak nasza znajomość była wieczna. Jak któryś z moich kolegów jechał wozem z węglem lub np. octem, to widząc mnie przez kolejne 8-10 lat krzyczał, trzymając lejce konia: Michaaaaa!!!! Dzień dobry! A wszyscy na ulicy się rozglądali, kto to jest ten Michał – kumpel woźnicy.



Moja córka Edyta ze mną – 1976 r.

Ale przecież był PARK o pięknej patriotycznej nazwie. A w tym Parku atrakcji bez liku. Były drzewa, piękne alejki, żywopłoty, ogród botaniczny, Drzewostan ciekawy i zróżnicowany gatunkowo – lipy, kasztanowce, klony, dęby czy żywopłot grabowy. Były także gniazda różnego ptactwa, które przeżyło bombardowania wojenne. I był gospodarz parku, pan na włościach, ogrodnik i stróż porządku publicznego: pan Stępień. Zawsze z rowerem przy boku, bo te ponad 6 ha trudno było upilnować przed takimi szkodnikami, jak uczniowie z „Reja”. Szczególnie doglądał ogrodu botanicznego, bo to było jego oczko w głowie. Oczywiście były dwa korty tenisowe, na których przez cały dzień od 7 rano do zmierzchu bliźniacy Sikorscy z ul. Przedborskiej uczyli lekarzy, adwokatów i ludzi innych wolnych zawodów, którzy pobierając nauki dla przyjemności, dobrze im płacili, chcąc dorównać sławie Władysława Skoneckiego czy Jadwigi Jędrzejowskiej.

Radwańskiej ani jej ojca wtedy w Piotrkowie jeszcze nie było.

Po lekcjach albo między lekcjami w „Reju” biegaliśmy do parku na różne „zajęcia”. Jedni palili „Mocne”, inni uprawiali walki bokserskie – wzorem był Chychła i Antkiewicz – medaliści olimpijscy z Helsinek.

Drogosza i Kuleja, a także Pietrzykowskiego w Parku wtedy nie widziałem.

Jeszcze inni puszczała na stawie, który był także wielką atrakcją, z uwagi na łabędzie i ich jaja, łódki zrobione z kory na zajęciach praktycznych w szkole. Jeszcze inni biegli na korty, aby podawać piłki, bo tam ciągle ktoś poważny w sezonie „ćwiczył”. Im był poważniejszy, tym więcej płacił za podawanie piłek. Interes kwitł, bo i Sikorscy, i podawacze coś zarobili. A w przypadku Sikorskich nie były to małe pieniądze. Tenis zawsze jest w cenie.

Każda pora roku w parku miała swoje dobre strony. Zimowa ślizgawka przyciągała łyżwiarzy i łyżwiarki z całego miasta. Grano z głośników tzw. kukuryżników: M. Fogg – „Chryzantemy złociste”, a Koterbska „Karuzelę”. Było gwarno i wesoło. Od czasu do czasu pojawiała się milicja obywatelska (teraz Policja), bo komuś obrobiono pozostawione na ławce obok albo palto, albo plecak, albo raniec szkolny. Ale to było rzadko.

O lecie nie piszę, bo wiadomo, piłka na każdym trawniku i pan Stępień w akcji...

Jest marzec, jestem w IV klasie i chodzę do szkoły pod górkę (w Alejach 3 Maja – wiadomo) w pięknym zakopiańskim kozuchu, wyszywanym w górskie osty, który mi mama kupiła w lepszych czasach (ale które były lepsze?). Bogdan, Waldek i ja po pięciu godzinach lekcyjnych idziemy do

naszego parku. A w Parku na stawie kry. Jak co roku. Jak tu nie skoczyć, a właściwie przeskakiwać z kry na krę? Wspaniała zabawa dla 10 latków, prawda?

I podskoczyłem tak, że w tym wspaniałym kozuchu wpadłem po szyję do stawu. A woda, nie zmieniana, co nieco śmierdziała. A tu marzec – zimno. A ja mokry. Cały!

Bogdan mieszkał obok Parku, do jego mieszkania wniosłem dużo parkowego zapachu zgniłego jaja, prosto ze stawu. Nie było rodziców, bo pracowali. Zapach wypełnił trzy pokoje w budynku, gdzie w czasie okupacji było gestapo przy ul. Żeromskiego. Właściwy zapach we właściwym miejscu.

Gdy wróciłem od Bogdana do domu była już godzina 16, a lekcje skończyłem o 11.30. Po powrocie okazało się, że moja mama mnie od dawna szukała i była przerażona, gdzie jestem.

– Połóż się na tapczanie. Dostaniesz lanie. I ojcowski wojskowy pas 25. Pułku Piechoty poszedł w ruch. Ale o kąpieli ani słowa. Po „wielkim” biciu i kontakcie z historią piotrkowskiej wojskowości mama zamierzała wyjść do miasta, do PDT aby kupić mi pepegi na lekcje gimnastyki, bo takie było ustalenie kierownika Sawickiego. Ubieram kozuch, który od góry wysechł, a na dole przy wieszaku ... kałuża. I znowu pas, uciekałem przed nim pod duży przedwojenny dębowy stół Ale to nie pomagało, konsekwencja mamy, i swoje musiałem dostać.

Po latach, będąc ojcem, odbywałem kolejno z moimi córkami Ewą i Edytą piękne spacerunki po moim parku i przypominałem sobie swoje przygody. A dzisiaj nie ma już szkoły im. M.Reja (nr 10), braci Sikorskich, korty bez nich są smutne (jeśli są?), nie ma pana Stępnia... Ale jest dalej piękny Park im. Księcia Józefa Poniatowskiego, gdzie rosną piękne graby, lipy i klony. I gdzie jesienią zbierałem kasztany. Nie byłem tam już ponad 40 lat!

Na rycinie pokazującej Piotrków w XVIII wieku od strony południowej i rzeki Strawy na pierwszym planie monumentalny budynek przysłaniający całe miasto. W 1960 roku zdawałem w auli mojej budy, piotrkowskiej wszechnicy, dawnego kolegium Ojców Pijarów a dzisiaj liceum B. Chrobrego – maturę zwaną inaczej egzaminem dojrzałości. Z tej okazji przesyłam do Nieba światełko do moich wspaniałych nauczycieli.

– Znajdujemy się w murach, które pamiętają XVIII wiek. Z pozycji mocarstwa i oazy pokoju w krwawiącej Europie zjechała Polska do pozycji bezwładnego gruchota politycznego i gospodarczego. Jeśli chcemy zajmować się dziejami społeczeństwa polskiego, była to chwila, gdy prawo

przestało w Polsce znaczyć prawo, a rząd przestał być rządem. Państwowość polską można uważać za pozorną. Przypomnijmy innymi słowy, że Polska – dawna wielka i wspaniała – upadła na blisko 100 lat przed trzecim rozbiorem naszej Ojczyzny. Nowoczesne społeczeństwo polskie zaczęliśmy budować w drugiej połowie XVIII wieku od nowa.

## Karol May – idol z dzieciństwa

Gdy miałem 6–7 lat w naszym dużym mieszkaniu w schowanku (tak mama nazywała ostatni pokój – rupieciarnię) znalazłem starą zaczytaną książkę. Książka była wydana w 1936 roku. Zainterесowało mnie to, kto tę książkę czytał i dlaczego jest tak zniszczona. Tytuł „Winnetou wódz Apaczów”, autor Karol May. Jeszcze tego samego dnia przeczytałem chyba z 60 stron i wieczorem „na górce” – miejscu zabaw z kolegami z podwórka, podzieliłem się opowieścią o wspaniałym wodzu Indian. Moi rówieśnicy, przywykli do moich opowiadań (głównie Sienkiewicza) w następnym dniu nie mogli się doczekać dalszego ciągu przygód Indianina i jego białego przyjaciela – brata Old Shatterhanda. W ciągu następnych kilku miesięcy poszukiwałem kolejnych woluminów przygód wodza Apaczów. Jak wtedy mi się wydawało przeczytałem wszystkie jego powieści i... zazdrościłem Karolowi Mayowi jego przygód. Bo przecież nie mógł tego wymyślić? Opisy krajobrazów, charakterów Indian i ich obyczajów były tak realistyczne, że nie trudno było sobie tego, co się czytało nie wyobrazić. Winnetou pozostał moim bohaterem aż do chwili, kiedy po kilku latach przeczytałem „Małego Księcia”. Jakie było moje zdziwienie, kiedy w okresie liceum dowiedziałem się, że Karol May był Niemcem i wszystkie jego historie związane z Indianami i ubóstwianymi moimi bohaterami napisał siedząc w więzieniu. A urodził się w 1842 roku, czyli sto lat przede mną. Trudno się dziwić, że przy takiej biografii twórczość Maya kręciła się wokół fantazji o życiu na swobodzie i o zwycięstwie niebiańskiej sprawiedliwości.

Jestem teraz już starszym i nagle... okazało się, że Henryk Sienkiewicz skopiował z K. Maya jego powieść z 1912 roku „Przez pustynię” (chodzi oczywiście o „W pustyni i w puszczy”). Tak bowiem odpowiedzią na talenty ludzkiej wyobraźni jest jedna odpowiedź: Karol May i Henryk Sienkiewicz z Jego „Quo vadis” – nagroda Nobla i nie tylko, można stwierdzić jaki wspaniały jest świat wyobraźni ludzkiej. I pomyśleć, że się na tym wychowałem. I ty... i ty... i ty...



Moje starsze córki – Ewa i Edyta – 1977 r.

## Rynek Trybunalski

Trzymam w swojej bibliotece piękny album. „Piotrków Filmowy” Agnieszki Warchulińskiej, który poruszył tak mnie, jak również całą moją rodzinę. Utożsamianie się ze mną, nawet jeśli rzadko bywało się w moim mieście, jest cechą ludzi kochających i jest to piękne, wzruszające poczucie bliskości nazywanej często miłością. Ulica Pijarska, Sieradzka, Grodzka, Pereca, Łazienka, Mokra, Rycerska, Stronczyńskiego, Konarskiego,

Farna, Szewska, zdjęcia z tego albumu, z mojego miasta spowodowały wspomnienia. Jestem dzieckiem Rynku Trybunalskiego i ulicy Rwańskiej. Moje pierwsze dwadzieścia pięć lat spędzone w tym historycznym mieście i historycznym miejscu, odcisnęło piętno na dalszym moim życiu, wyborze drogi i osiągniętych satysfakcjach zawodowych i osobistych. Urodzony w miejscu Trybunału Koronnego, wychowany między Kościołem Farnym, Jezuickim i Bernardyńskim, a także w parafii Dominikanów, gdzie byłem chrzczony, najbliższ mi było z mojego domu do kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, który znajdował się przy ulicy Rwańskiej – 60 metrów od drzwi mojego mieszkania. Już w dzieciństwie Rynek był moim podwórkiem, miejscem zabaw i trasą do nauki jazdy na rowerze, gry w piłkę czy klasy. Kryptonim PT-4 (od skrótu Plac Trybunalski 4) funkcjonował przez długie lata w gronie moich rówieśników, „chłopców z placu broni” trawestując tytuł bardzo popularnej wówczas powieści. Tworzyliśmy niesforną grupę pętałów, biegających na Wierzeje, aby się wykąpać w rzece Wierzejce pod Meszczami.

Tam się nauczyłem pływać „pieskiem”, aby później poznać tajniki różnych stylów pływackich i popisywać się w Sulejowie w Pilicy czy w Ostrowie nad Czarną. A była to rzeka, mimo nazwy czysta, jak najpiękniejsze wazony z Huty „Hortensji”. Nie przypadkowo wspominam o hucie, gdyż większość rodzin mieszkających przy „moim” podwórku pracowała przy wydmuchiwaniu różnych cudownych szklanych naczyń i ozdób. Mam zapisane w pamięci ich codzienne powroty z pracy, na starych, przedwojennych rowerach, w dziwnych szmacianych własnoręcznie zrobionych trzewikach.

„W 2012 roku minęło sto lat od momentu, w którym Piotrków zaistniał po raz pierwszy na dużym ekranie. Był to zaledwie kilkuminutowy ruchomy zapis autorstwa Jana Skarbka – Malczewskiego z procesu Damazego Macocha...” (wg Agnieszki Warchulińskiej z w/w albumu). Upłynęło sto lat i w historii polskiego kina moje miasto zapisało się realizacją dużej ilości polskich filmów poczynając od „Ewa chce spać” w 1957 roku z Barbarą Kwiatkowską-Lass – jedną z pierwszych gwiazd polskiego kina, Stanisława Mikulskiego i Romana Kłosowskiego w reżyserii wybitnego Tadeusza Chmielewskiego. Ta pierwsza polska komedia po wojnie, ciesząca się dużym powodzeniem i zdobywająca znaczące nagrody międzynarodowe, powstawała na moich oczach. Byłem w tłumie widzów obserwujących plan filmowy i zrobiło to na mnie, mimo 16 lat, ogromne wrażenie. A akcja filmu działa się wokół Rynku, przy wszystkich bocznych



uliczkach. To na owe czasy była namiastka wielkiego świata, świata kina i filmu. Inspirowana akcja owej komedii tworzyła dla mnie pojęcie technologii powstawania filmu. Do dzisiaj pamiętam epizody wielokrotnie powtarzane przy kręceniu filmu, urodę pani Kwiatkowskiej i zachowanie zapisanego w historii polskiego kina, reżysera. Mimo doświadczeń z teatru przy Jezuitach robiła ta praca filmowców na mnie ogromne wrażenie.

Główną plenerową rolę odegrał w tym filmie mój Rynek. Byłem zachwycony. Panorama Rynku została zapisana na trwałe w pamięci, także mojej osobistej. Uważam album „Piotrków Filmowy” za jedno z ważniejszych wydarzeń kulturowych mojego miasta. Brawo dla pomysłodawców i autorki. Jest to bowiem ważny dokument dotyczący jakże bogatej historii mojego Piotrkowa.

Mam przed sobą reprodukcję widokówki ze zbiorów Muzeum w Piotrkowie Trybunalskim p.n. Rynek. Na niej mój DOM (jeszcze jednopiętrowy), narożnik ulicy Sieradzkiej, Rwańskiej i fragment Rynku na którym stoją dorożki i, oczywiście, PT-4 – sień i brama na podwórko. A nad nią na drugim piętrze balkon mieszkania, gdzie bywaliśmy z kolegami u Andrzeja Bednarskiego – piotrkowskiego Presleya. A na parterze restauracja „Rybka” i barwne opowieści o jej klientach. Doskonale widoczna kamienica dawnego Hotelu Litewskiego pod nr 2. Oczami wyobraźni widzę orszak rycerski wielkiego mistrza zakonu krzyżackiego Henryka VI Reuss von Plauena, który 1 grudnia 1469 roku na sejmie wielkim złożył hołd lenny Kazimierzowi IV Jagiellończykowi. Ów orszak zbliża się do Ratusza znajdującego się w centralnym miejscu Rynku. Ja, wychowany na sienkiewiczowskich „Krzyżakach”, dopiero po wielu latach, będąc dojrzałym intelektualnie, uświadomiłem sobie, a właściwie uświadomił mi to wybitny uczony historyk, najwybitniejszy specjalista od krzyżaków, prof. Marian Biskup, jak wielką rolę kulturową i nie tylko odegrał ten zakon na rzecz np. Torunia i całego Pomorza Nadwiślańskiego. Miałem zaszczyt osobiście witać się z aktualnym mistrzem Zakonu NMP podczas sesji naukowej w 1996 roku w Toruniu.

Z przeciwnej strony w kierunku Ratusza zbliża się królewska procesja, na czele której obraz Matki Boskiej Trybunalskiej. I ja miałem ten zaszczyt, że przez ponad 10 lat służyłem jako ministrant przed tym obrazem znajdującym się w ołtarzu głównym kościoła OO. Jezuitów. Nie przypadkowo w tymże Ratuszu na Rynku (już nieistniejącym) obradował w 1493 r. pierwszy sejm, który stał się początkiem parlamentaryzmu polskiego, a Piotrków na tę okoliczność Trybunalskim się zowie. To na Rynku

bawili się przybyli na sejm, czy inne królewskie uroczystości goście, rycerze i szlachta. Liczne piwiarnie i winiarnie pozwalały na gościnę, choć tu byliby nie byli takim obrotem sprawy zachwyceni. Kawiarnia „Pod Ormianinem” była po kilku stuleciach jakby nawiązaniem do tamtych tradycji. Niektórzy nocni rozrabiacy lądowali w piwnicach wieży ratuszowej, gdzie karano nie tylko obcych, ale i swoich. Tak więc Piotrków był przez ponad dwa wieki stolicą polskiego prawa. Po roku 1512, kiedy król Zygmunt Stary polecił wybudować Zamek Królewski na obrzeżach miasta, Rynek nie stracił z blasku swojej chwały

Ten kawał historii mojego miasta, historii Rynku Trybunalskiego przez całe moje dzieciństwo był motorem rozbudzania ambicji, sprzeciwu wobec określania miasta miejscem dla emerytów i rencistów, szczególnie kolejarzy kolei warszawsko-wiedeńskiej. Ta kolej odegrała przecież znaczącą rolę w podnoszeniu prestiżu Piotrkowa.

To przez Rynek do dawnego kolegium Pijarskiego (obecnie Liceum im. B. Chrobrego) musiał przechodzić ks. Stanisław Konarski, a także, po wielu latach, wielki polski aktor-odtwórca króla Jana III Sobieskiego czy Wokulskiego w ekranizacji „Lalki” wg B. Prusa – Mariusz Dmochowski. Liceum „Chrobrego” należy do najstarszych szkół w Polsce. Nieprzerwanie od ponad 330 lat wypuszcza swoich absolwentów, którzy przechodzą lub przechodzili przez „mój” Rynek. Stefan Rowecki – Komendant główny AK, Michał Rawita-Witanowski – historyk, abp Józef Życiński nieżyjący już metropolita lubelski, prof. Zdzisław Najder – wybitny Conrardzista, b. dyrektor Radia „Wolna Europa” i wielu innych. To absolwenci Chrobrego tworzyli i tworzą patrycjat mojego miasta. I nie tylko. Także okręgu i Polski.

Zapewne na wrzący politycznie Rynek, przy okazji pobytu Króla Jęgomości, bywał i miód popijał Andrzej Frycz-Modrzewski z pobliskiego Wolborza, który naprawiał Rzeczypospolitą.

W pobliżu nad Rynkiem króluje do dzisiaj XIII wieczna wieża kościoła farnego p.w. św. Jakuba. Dostojna sama w sobie, bo przecież... sam król Łokietek się w niej chował – jak głosiła legenda.

Sic transit gloria mundi – tak przemija chwała świata.

## Pielgrzym

*Sama pielgrzymka skupia w sobie istotę chrześcijaństwa – jest drogą nawrócenia i pokuty, ale też radości przeżywanej we wspólnocie. Aktywność pielgrzymkowa jest fenomenem naszej kultury.*

145 Pielgrzymka Piotrkowska w 2014 roku pozwoliła mi przypomnieć sobie własne doznania i przeżycia, ponieważ w latach 1949 – 1957 dziewięciokrotnie w nich uczestniczyłem jako młody człowiek.

*Pielgrzymowanie to jest kroczenie wobec otwartego nieba. Tam, gdzie jest pielgrzym, tam nad nim jest niebo.* Tę myśl wpoila we mnie mama, kiedy pierwszy raz udawałem się w drogę. Byłem już doświadczonym ministrantem i miałem w tej kompanii określona rolę.

Kiedy w Internecie wyczytałem, że w 145 Pielgrzymce Piotrkowskiej udział wzięło 600 pątników, zastanowiłem się. Jak to możliwe, że w jednej z moich pielgrzymek w 1956 roku uczestniczyło ponad 2000 pątników? Mimo, że władze nie dały zezwolenia. Jak to było? Był to okres głębokiego stalinizmu. Sam musiałem w szkole recytować podczas różnych akademii z okazji Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej wiersze Wł. Majakowskiego np” *Partia i Lenin, bliźnięta, bracia...*”. itd. albo” *...I słucha Waryński lecz nie wie, że cienie się w celi zbierają...*”. Takie czasy, takie obyczaje. W odpowiedzi władza „ludowa” nie dała więc pozwolenia na zorganizowanie Pielgrzymki. Ale od czego były ambony w kościołach. Pakowanie się w dużą walizę wypełnioną potrzebną bielizną, kosmetykami, ręcznikami, skarpetkami i zapasowymi tenisówkami odbywało się w dniu poprzedzającym pielgrzymkę. Zbiórka we wczesnych godzinach rannych, furmanki – wozy pątników zaprzęgnięte w dwa porządne konie pociągowe, oddawanie walizek i plecaków na wozy, podręczny bagaż w torbie na ramieniu, wygodne tenisówki i w drogę. Cel – odpust Matki Bożej Szkaplerznej na Jasnej Górze w Częstochowie 16 lipca. Przed nami ok. 120 km trasy. Wśród pielgrzymów reprezentanci wszelkich zawodów, w różnym wieku, a nawet dzieci w wózkach z rodzicami. Społeczny personel medyczny, fotograf i... kilkunastu funkcjonariuszy UB udających pielgrzymów, ale łatwych do rozpoznania, bo nie potrafili się żegnać i nie znali pieśni religijnych. To oni składali meldunki z przebiegu kolejnych dni swojemu przełożonemu, który przyjeżdżał motocyklem do każdej kolejnej miejscowości, w której pielgrzymka zatrzymywała się na nocleg. Już w drugim dniu ksiądz dowodzący kompanią zapodał

dyskretnie, że takowi funkcjonariusze są obecni. I wszyscy dorośli ich obserwowali. Stąd wiedza o braku ich religijnych umiejętności.

Wówczas jeszcze o takich sprawach nie wiedziałem, ale znam je z relacji mamy, która ze mną podążyła na Jasną Górę i po powrocie zdawała mojej cioci relacje.

W okolicach Milejowa (ok. 5 km od Piotrkowa) zrobiono w lesie krzyż z brzozy, 3 księży ubrało sutanny, ministranci ubrali komże i nasza nielegalna pielgrzymka nabrała religijnego charakteru. Śpiew pieśni religijnych rozlegał się po okolicznych wioskach („Po górach, dolinach rozlega się dzwon...”, „O Maryjo, przyjm w ofierze...”, „Zdrowaś Maryjo, Boga rodzico...”), gdyż trasa do Kotkowa prowadziła bocznym traktem, często piaszczystym. W tych piachach bardzo męczyły się konie, ciągnące wozy wyładowane „dobytkiem” pątników. Tradycje blisko 100-letniej trasy była już znana okolicznym mieszkańcom. Na brak kompotu, mleka czy owoców przez całą drogę (ok. 40 km) nikt nie mógł narzekać. Wszędzie byliśmy podejmowani, jak wysłannicy – żołnierze Rzeczypospolitej. Mimo młodego wieku (11 lat) bardzo mi to imponowało. Funkcjonariusze UB nie założyli mundurów i szli w różnych grupach, aby jak najwięcej widzieć i wiedzieć. Noclegownie były urządzone w stodołach, po lewej stronie sąsiedki panie, po prawej panowie. Byłem „panem” i rozdzieliłem się z mamą. Wśród pątników było dużo osób w wieku pamiętającym niedawną wojnę i główną intencją całej pielgrzymki było podziękowanie za jej zakończenie. Przez całą pielgrzymkę w trakcie marszu odmawiany był różaniec w intencji tych, co zginęli i tych, co przeżyli. Były także modlitwy „zakazane” za tych, co siedzą w więzieniu, a walczyli o niepodległość. Już wtedy Polacy zdawali sobie sprawę z uzależnienia od komunizmu, czego dowodem był brak pozwolenia na odbycie pielgrzymki. Najmodniejsze pieśni śpiewano głównie rano i wieczorem były: „Kiedy ranne wstają zorze”, „My chcemy Boga...” i „Matko Najświętsza! Do serca Twego...”. Słuchając tych pieśni czułem podniosły nastrój i to mi zostało na całe życie. Jestem dzisiaj pewny, że nie umknęło to uwadze obecnych funkcjonariuszy. Muszę jeszcze dodać, że przed noclegiem, po przybyciu do miejscowości zabieraliśmy z wozów swoje walizki czy plecaki, a rano z powrotem wracały one do wozów. Porządek był idealny, bo każdy bagaż był oznaczony, a my posiadaliśmy identyfikatory. Szczególną uwagę w całej pielgrzymce przyciągali kalecy, ludzie niepełnosprawni, często wiezieni przez rodzinę w wózkach. Jeśli zdarzyła się jakaś kontuzja, to poszkodowany miał miejsce zapewnione w wozie towarzyszącym. Także widoczne

były osoby w wieku pamiętającym pielgrzymki przedwojenne. W tej grupie można było zauważyć także fotografa i lekarza, którzy mieli na lewym ramieniu obowiązkową opaskę. Taką samą opaskę mieli niosący krzyż, było ich trzech. Krzyż brzozy dekorowany codziennie wieńcem kwiatów był na czele całego orszaku, następnie szły dzieci w jednolitej grupie, dalej kobiety, ministranci i księża, dalej mężczyźni, którzy byli najbardziej „wojskową” grupą. Była także służba porządkowa, która pilnowała bezpieczeństwa, także unikania kolizji z nielicznymi samochodami, najczęściej wojsk sowieckich. Mówiło się wtedy, że jest to „zabezpieczenie” nas przed funkcjonariuszami UB. Każdy dzień rozpoczynał się mszą świętą lub Litanią Loretańską do NMP po pierwszym noclegu w Kotkowie, bo tam nie było kościoła. Kolejny dzień (2), to docelowo Gidle. Zapamiętałem stamtąd taki obrazek: stoły z jedzeniem, powitanie na rynku, prawie królewska uczta i... stojące „suki” (samochody) z milicją „obywatelską”. Do tych milicjantów podszedł, rozdający komunię nasz Ojciec Bernardyn, i wręczył im obrazki św. Antoniego mówiąc, aby wszyscy słyszeli: Niech was strzeże św. Antoni, patron złodziei.

To wyjaśnia w jakim bojowym nastroju przebiegała ta pielgrzymka. Teraz, z perspektywy lat, wydaje mi się, że podczas tej mojej pielgrzymki był szczególnie bojowy duch, a może Duch Święty? Wszyscy bowiem zdawali sobie sprawę z trudnych warunków politycznych. Czy jeszcze kiedyś będą mogli iść na Jasną Górę? To była wielka niewiadoma. Kolejny dzień – 13 lipiec 1952 r. był słoneczny. W godzinach południowych dotarliśmy do Aleksandówki, a tam do klasztoru Sióstr Dominikanek Klauzury. Skąd Dominikanie w tym klasztorze? Otóż w 1869 roku przybyli tutaj, w wyniku przesiedlenia z Piotrkowa. I stąd tradycje odwiedzania tego miejsca w trakcie kompanii. Byłem zaskoczony, gdy usłyszałem, że w tym klasztorze przebywają siostry zakonne bez kontaktu ze światem zewnętrznym. Teraz wiem, że życie tych sióstr jest pragnieniem objawienia światu Chrystusa. Dla nich najważniejsze jest życie kontemplacyjne i modlitwa.

Szczególnie zapamiętałem sposób porozumiewania się sióstr poprzez tzw. rozmównicę – kręciołek, bez widzenia partnera. Stałem obok i byłem świadkiem, jak młoda, bardzo młoda siostra albo kandydatka na siostrę, przekazywała tym kręciołkiem zakupy. Jak się później dowiedziałem tzw. nowicjat trwa rok. Po jego upływie, po dokonaniu święceń, zakonnica zamyka się w klasztorze i jedynym kontaktem z przyrodą, poza murem klasztornym, jest klasztorny ogród w całości uprawiany przez siostry.

W dalszej pielgrzymce rozmyślałem nad tym, co zobaczyłem. Byłem poruszony i wstrząśnięty. Kolejny nocleg w Mstowie i odbiór swojego bagażu z wozu nr 4. Każdy bowiem wóz był ponumerowany i tylko wóz do zabierania zmęczonych, tych, co doznali kontuzji i ludzi starszych, był oznaczony na plandece dużym Czerwonym Krzyżem i nie posiadał numeru. Wozów numerowanych było 14. Zawsze jechały na końcu. Po rytualnym odmówieniu różańca kolejną noc spędziliśmy w stodołach posiłkując się darami od gospodarzy i własnymi zapasami. Zawsze słyszałem przed zaśnięciem głos kolejnego gospodarza: tu nie wolno palić!

14 lipca w słoneczny poranek z pieśnią „Kiedy ranne...” wyruszyliśmy z Mstowa. Celem dzisiejszego dnia była Częstochowa. Kiedy pojawiła się wieża klasztoru Jasnogórskiego na horyzoncie – zatrzymaliśmy się wszyscy i odbyła się głośna modlitwa Litania Loretańska do NMP, a po niej z pieśnią na ustach w wykonaniu blisko 2000. chóru „O Maryjo, przyjm w ofierze...” szliśmy przez kolejne 3 godziny do Trzech Krzyży znajdujących się na północnej roгатce Częstochowy. A tam – zaskoczenie. Oczekiwała nas ogromna rzesza piotrkowian, którzy przyjechali pociągami. To była prawdziwa, z dzisiejszego punktu widzenia, solidarność. Był to pokaz religijnej przewagi nad „demokratycznym” totalitaryzmem. I cała ta ogromna rzesza pątników i przybyszy, mimo braku zezwolenia ruszyła przez częstochowska Aleje NMP w kierunku Jasnej góry. A tam – oczekiwał nas już przeor klasztoru, który wygłosił płomienne kazanie. Większość przybyłych płakała, choć pewnie daleko nie było przeora słyhać, gdyż nie było mikrofonów.

Otoczenie klasztoru różniło się nieznacznie od dzisiejszego. Przed wejściem głównym mnóstwo kranów prymitywnych z różnymi pamiątkami, obwarzankami, odpustowymi loteriami z gipsowymi psami. Było też mnóstwo kalek. Jedna osoba zwróciła wówczas moja uwagę i ten obraz mam do dzisiaj przed oczami. Stałem chyba przed tym mężczyzną kilka minut, aż mama zaniepokojona moja nieobecnością w szeregu ministrantów, znalazła mnie i skarciła, że przyjechałem się modlić, a nie podziwiać. A był to obrazek jaki dla 15 latka mógł być jakby wyjęty z baśni Grimmów. Otóż w dziecięcym zdezelowanym wózku siedział mężczyzna bez nóg i rąk, tylko głowa i tułów i... grał na zamontowanych do wózka organkach. Melodie typu „Czerwone maki pod Monte Casino”, „Boże coś Polskę”, „Pod Twoja obronę” i podobne tworzyły prawie filmową sekwencję dramaturgii tamtych powojennych lat. Przez kolejne dwa dni pobytu

na Jasnej Górze, gdzie służyłem ponad 40 razy do mszy świętej, przychodziłem i stałem przed tym mężczyzną, jak słup soli.

Aby oddać charakter tego prawie świętego miejsca muszę dodać, że obok stała biedna kobieta z czajnikiem okręconym jakąś szmatą, aby utrzymać temperaturę i... sprzedawała gotowaną wodę na szklanki lub do manierek pątników po 1 zł.

Ogromnym przeżyciem było wejście do Kaplicy NMP i zobaczenie cudownego obrazu, przed którym już służyłem kilka razy przedtem. Ale wtedy, bez zezwolenia, moje przeżycie i emocje nabierały szczególnej wagi. Nieszpory, które odprawiali nasi księża i kolejne kazanie Przeora Jasnej Góry, a szczególnie na zakończenie granie fanfar przy zasłanianiu Cudownego Obrazu sprawiały dreszcze na całym ciele. To były niezapomniane chwile. Po zakończeniu nieszporów udałem się z mamą do naszej furmanki po walizkę. Wszystkie furmanki stały w szeregu wg numerów poniżej Jasnej Góry na wysokości szczytu. Szukaliśmy noclegu. Wtedy nie było Domu Pielgrzyma, sal noclegowych, a na każdym domu naprzeciwko klasztoru wisiały kartki „Noclegi” Należy pamiętać, że było nas dwa tysiące. A jednak wszyscy znaleźli miejsce. Pamiętam, że spałem z mamą na podłodze, a obok mnie kilkoro naszych pątników. Podłoga była wyścielana siennikami wypchanymi słomą.

Najgorsze było to, że w nocy okazało się, iż jeden z naszych potężnie chrapał. Nie mogłem, mimo zmęczenia, doczekać rana.

Muszę kilka zdań poświęcić Klasztorowi na Jasnej Górze, bo bez tego, to tak, jakby chleb był bez soli, a ciasto bez mąki. Przesłaniem moich wspomnień jest co prawda opisanie pielgrzymki, ale docelowo przecież był pobyt na Jasnej Górze. Muszę już bowiem wyprzedzić, że nasz krzyż pielgrzymkowy z brzozy przez długie lata wisiał na specjalnej ścianie, wśród innych wot, po lewej stronie przed samym cudownym obrazem. Wielokrotnie mogłem być dumny z faktu, że uczestniczyłem w tej, bez zezwolenia, pielgrzymce widząc ten krzyż. Jednym z ważniejszych przeżyć było dla mnie uczestnictwo w drodze krzyżowej na Wałach. Ogromny tłum wypełniał całe wały klasztorne, przesuwając się za naszymi księżmi.

Po dwudniowym pobycie na Jasnej Górze wracamy pieszo w drogę powrotną. Noclegi w Kruszycach a po drodze i kolejne w Radomsku. Już czuć Piotrków, dużo rowerzystów. Po królewskim śniadaniu w tej bogatej gminie. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, co nas czeka w samym mieście. Tradycyjnie już w Longinówce ok. 6 km od Piotrkowa jest końcowy przystanek. Wejście do miasta wyznaczono na go21. Musi być ciemno. Kiedy

ok. 21 zbliżaliśmy się do miasta zaskoczyła nas najpierw luna, a potem tysiące świec.

To już nie był tłum, około 20 tysięcy mieszkańców wyszło ze świecami na nasze przywitanie.

Był rok 1956. Już nie żył Stalin. Dzisiaj z perspektywy lat myślę, że była to jedna z największych demonstracji antykomunistycznych w całym bloku. Interwencji żadnych nie było. A nasz krzyż brzozy wisiał w Kaplicy NMP przez kolejne 20 lat.

## Moja ulica

„...Pozwól więc, pozwól bujać swojej wyobraźni...”  
Juliusz Słowacki (“Do...”.)

Nie ulega wątpliwości, że Rynek Trybunalski i ulica Rwańska były moim matecznikiem. Jednak salonem mojej młodości była w Piotrkowie ulica Juliusza Słowackiego (dawniej: Kaliska), jedna z najdłuższych Polsce, o 400 metrów dłuższa od słynnej łódzkiej Piotrkowskiej. Ta ulica, to deptak miasta. Prawdziwy Piotrkowianin swoją młodość w znacznym stopniu musiał tam spędzić. Były kolejne fazy i formy odwiedzania tej ulicy. Bo droga do dworca kolejowego i autobusowego, bo poczta, bo kino, bo „Krzywda” czyli park w centrum miasta, bo droga do szkoły, bo kina, bo liczne księgarnie, bo imponująca wieża ciśnień, licząca sobie już blisko 100 lat. Ta 30. metrowa wieża wzniesiona w Ogrodzie Kolejowym swoją neoklasyczną urodę zawdzięcza inż. Leszkowi Horodeckiemu. Została zbudowana na planie koła i wzmocniona z trzech stron podporami. Do dzisiaj zachwyca swoją urodą. We wnętrzu wieży mieścił się ogromny zbiornik wodny o pojemności 1860 m sześciennych.

Od 13-14 roku życia obowiązkowym zajęciem w godzinach popołudniowych był spacer po ulicy Słowackiego. Tuż za klasztorem Bernardynów, na murkach okalających park, siedziały od kwietnia do października kwiaciarki i zapach przeróżnych odmian kwiatów unosił się wokół, aż do przeciwległej strony, gdzie dominował budynek Sądu Okręgowego. I kiedy w latach 70. XX wieku odwiedzałem moje rodzinne miasto, to bardzo mi brakowało tego zapachu i kolorów.

Tak się też stało, że w latach 1959-1960 byłem pracownikiem w gmachu sądu. Była to moja pierwsza praca i zdobywałem doświadczenie jako praktykant, a potem referent do spraw podatkowych. Przez całe swoje



życie to doświadczenie procentowało. Z okna mojego biura widoczna była cała ul. Słowackiego, od figury św. Antoniego na pl. Kościuszki do skrzyżowania z ulicą Legionów. Na tej ulicy w 1961 r. była Wojskowa Komenda Rejonowa w tzw. willi „Wanda”, gdzie mi wręczono bilet w jedną stronę, abym odsłużył Ludowej Ojczyźnie swój obywatelski obowiązek. Idąc ul. Słowackiego spotkałem kolegę, który udzielił mi przyjacielskiej rady. W wyniku tego, po kilku dniach odniosłem ów bilet i zostałem przesunięty do rezerwy. Od tego czasu Słowackiego była dla mnie miejscem o szczególnym znaczeniu. Przez całe lata utwierdzało to mnie w przekonaniu, że jest ona dla mnie szczęśliwa. Kiedy wracałem z bliska lub z daleka i szedłem zawsze z dworca kolei warszawsko-wiedeńskiej tą ulicą, to czułem się bezpiecznie nawet o 4. nad ranem, czułem, że jestem już u siebie. W 1964 roku, wracając z Warszawy z elektryczną gitarą marki „Jolana” produkcji czechosłowackiej, byłem co kilka kroków zatrzymywany przez wielbicieli Big Beat Combo, aby im demonstrować skarb, jaki był schowany w okazałym futerale. To była pierwsza w historii autentyczna gitara elektryczna w Piotrkowie. Niby nic, ale w kontekście nadchodzącej ery Beatlesów ten fakt nabiera szczególnego znaczenia. Czy wyobrażacie sobie w 2012 roku muzykę rozrywkową bez elektrycznej gitary?

I to na tej ulicy, wracając z nagrywanej na gorąco audycji telewizyjnej w Studio TVP na pl. Powstańców w Warszawie p.n. „Klub po szóstej” w 1965 roku, gdzie prezentowany był mój spektakl z fragmentami „Raportu z Monachium” według A. Brychta, przez kilka dni byliśmy bohaterami. Budynek w którym mieściła się wówczas telewizja Polska powstał w latach 1912–1914 jako siedziba Banku Pierwszego Warszawskiego Towarzystwa Wzajemnego Kredytu. Kilka lat później dobudowano nową część od strony ulicy Moniuszki. W latach 1947–1949 budynek poddano kolejnej rozbudowie, przygotowując go do ulokowania w nim siedziby telewizji. Nie tylko młodzi, także starsi z redaktorem J. Kissoniem na czele, gratulowali nam prezentacji w krajowej i jedynej wówczas telewizji. Popularność telewizji biła wówczas rekordy, a posiadacze telewizorów (oczywiście: czarno-białych) musieli przyjmować „widzów” czyli sąsiadów prawie w każdy wieczór. Przychodzili z własnymi krzesłami. Popularność „Kobry”, „Tele Echa” czy Wiadomości były nie tylko towarzyskim wydarzeniem. Integracja małej społeczności, jaką była kamienica czy osiedle następowała w sposób naturalny. I każdy każdemu mówił „Dzień dobry”. Mimo, że wcale ten dzień do dobrych nie należał.

Skoro wspomniałem o Teatrze Publicystycznym, działającym z mojej inicjatywy w moim mieście w latach 1965–1968, to właśnie jego siedzibą był Klub Spożycwców znajdujący się także na ul. Słowackiego, tuż za przejazdem kolejowym w tzw. młynie. W dwóch małych salkach spotykała się grupa dorosłych 6–10 osób 2–3 razy w tygodniu i roztrząsała, kto zabił Kennedyego? dlaczego holocaust? Czy warto mówić o ulicy Rwańskiej?

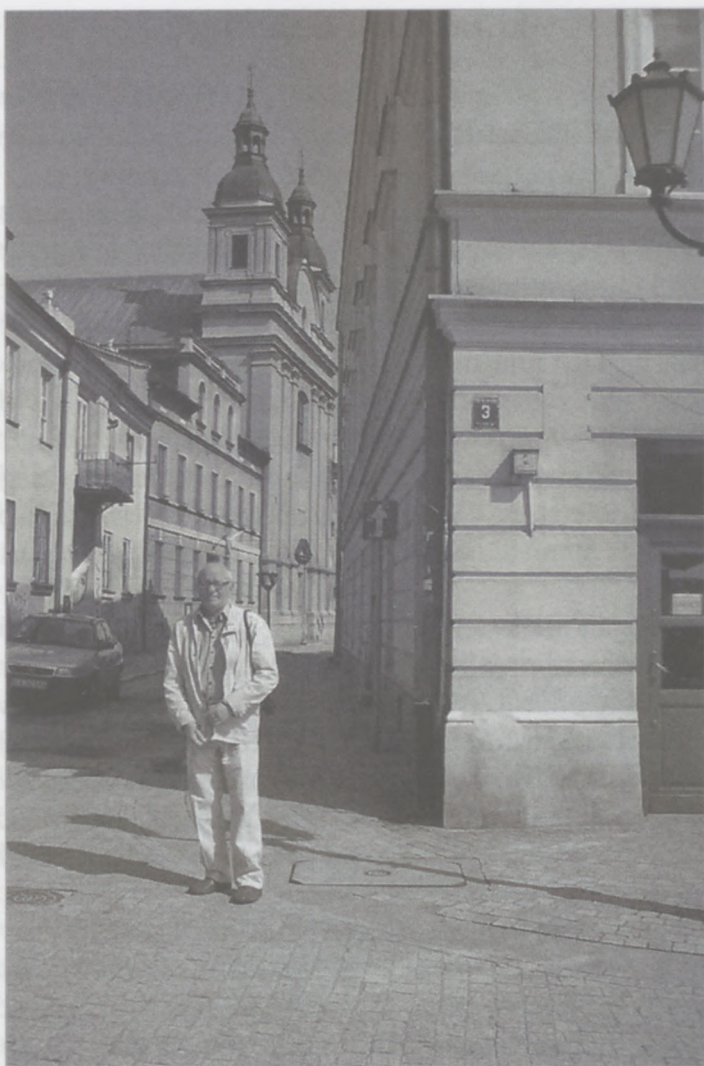
Ten Teatr był moim pierwszym doświadczeniem w roli scenarzysty i reżysera.

Dzisiaj, z perspektywy lat, godnym podkreślenia jest fakt prezentacji spektaklu w Tarnowie, gdzie jedną z jurerek Festiwalu Teatrów Małych Form, wyrażającą poruszenie spektaklem, była Wisława Szymborska. Wystarczy. Wpisy w Kronikę Teatru poświadczają autentyczność moich wspomnień.

Aby dopełnić mój życiorys związany z ulicą Słowackiego, muszę wspomnieć o mojej roli nauczyciela. Zasadnicza Szkoła Zawodowa dla Pracujących zajmowała kamienicę po dawnym liceum żeńskim tzw. Zrzeszeniu. Po ukończeniu przeze mnie Studium Nauczycielskiego, które mnie uchroniło przed służbą wojskową, zajmując się Klubem Kultury PZPB na Bugaju, jednocześnie przyjąłem propozycję dyrektora Kielbasińskiego i 2 września 1964 roku wszedłem do klasy „kelnerskiej” w charakterze wychowawcy. Wchodząc do klasy i będąc 23 letnim „doświadczonym” DOROSŁYM nie czułem żadnej tremy czy niepokoju. W wyluzowanym ubraniu i, pamiętam, drewnianych trepach (taka była moda) wszedłem i... stanąłem jak wryty. W klasie na moje wejście wstało 40 pięknych dziewczyn w moim wieku. Podszedłem do katedry, powiedziałem „proszę siadać” i odczytałem listę obecności. Każda wstająca oznajmiała „jestem, panie profesorze!”. I to wystarczyło, żebym przeżył traumę. Ale jaką? Straszłą. W większości uczennice były fankami Big-Beat Combo i znały mnie z estrady. Uczyłem dwa lata i już nigdy w życiu nie otrzymałem na imieniny tyle kwiatów, co od moich uczennic. Zawsze w takim dniu wracałem do domu taksówką pełną kwiatów. A taksiarze pytali: od kogo te kwiaty? Czy może ma pan kwiaciarnię?

Teraz, po wielu latach uważam tamte wydarzenia za rzeczywistość wirtualną.

Rzeczywistość?... I tylko ulica Słowackiego pozostała niezmienna, a jednak inna...



Ulica Rwańska stała się pierwszą bohaterką mojego debiutu w Teatrze Publicystycznym z programem „My z II połowy XX wieku”

\*\*\*

## Lata sześćdziesiąte

Kiedy w 1846 roku uruchomiono odcinek Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej z Warszawy do Piotrkowa było to wydarzenie sensacyjne, przybliżyło Piotrkowian do miasta stołecznego Warszawy.

Kiedy w 1902 roku uruchomiono Piotrkowską Kolej Dojazdową Piotrków – Sulejów stała się ona prawdziwą atrakcją i służyła całej społeczności miasta i okolic w korzystaniu z uroków i wypoczynku w dorzeczu Pilicy (Przyglów, Sulejów).

Pięćdziesiąt lat temu na 11. stacjach kolejki w dni wolne od pracy, a zwłaszcza w wakacje, gromadziły się tłumy pasażerów, aby poodychać świeżym leśnym powietrzem w Przyglowie, na Polance czy w samym Sulejowie. A i okolice Sulejowa (nie było wtedy Zalewu Sulejowskiego) zachęcały grzybiarzy, nieuregulowana rzeka Czarna z przejrzystą wodą i dużą ilością ryb – była rajem dla wędkarzy, czy Taraską – tradycyjna baza obozowa harcerzy.

Pamiętam, jak obok jadącej „pod parą” kolejki, wzdłuż torów szosą pędziło z zawrotną prędkością 15 km na godzinę dziesiątki młodzieńców na rowerach, adorujących swoim, jadącym w kolejkę dziewczynom. Popisom nie było końca. A właściwie był. Pod Korytnicą kolejka stawała, pasażerowie wysiadali, aby nasza staruszka mogła podjechać pod tę stosunkowo niewysoką górkę. A ile było radości, gdy na szczycie lokomotywa sapiąc pod parą stawała i zabierała pasażerów. Bo przed Przyglowem już było z górki.

I ja tam byłem i na swojej „damce” popisy uprawiałem.

Urodę tamtych okolic mam przed oczami do dzisiaj. Tam nauczyłem się pływać, zbierać jagody, grzyby, wyszukiwać buławy, rozpalać ogniska. Mój ojciec stamtąd pochodził i jak mi sam opowiadał, w trudnych czasach okupacji, ten las był dla niego domem. Były to okolice moje rodzinne i do wieku dorosłego (ok. 1960) czułem się tam jak u siebie. Zwłaszcza w Ostrowie n/Czarną, gmina Niewierszyn.

A w Piotrkowie działy się różne ciekawe rzeczy. Radio lokalne w którym pracowałem za symboliczną złotówkę jako spiker, donosiło kto, co, gdzie czyli co słyhać w naszym mieście. Młody Piotrków słuchoł najnowszej muzyki młodzieżowej Radia Luksemburg – wyroczni dla młodych, moich rówieśników.

Po 1956 r., zapatrzeni w warszawskie Hybrydy, Studencki Teatr Satyrków, czy łódzkiego Pstrąga, piotrkowscy studenci jedynej pomaturalnej

szkoły: Studium Nauczycielskiego oraz inicjatorzy w osobach Jerzego Sobczyka, Zdzisława Kaczmarka (tekściarzy), Lecha Kociniaka (muzyka) i innych, utworzyli pierwszy po wojnie piotrkowski kabaret literacki "Papuga". Myślę, że do dzisiaj nie znaleźli się ich naśladowcy. I to był ewenement, który wstrząsnął Rynkiem Trybunalskim, ulicą Rwańską, alejami Bieruta, a szczególnie znajdującym się w tychże alejach budynkiem w którym urzędował „pan i władca” I sekretarz wiodącej siły narodu „towarzysz A”.

Przez trzy lata (1957–60) inteligencja piotrkowska nie mogła się doczekać kolejnej premiery.

Pękały lody bigoteryjnego i prowincjonalnego Piotrkowa. Powiały nowe wiatry. Nastąpiła era, tak teraz modnych, LAT 60 tych.

Kto dzisiaj pamięta piotrkowskiego "Presleya", mojego kolegę z PT4 (Plac Trybunalski 4) Andrzeja Bednarskiego, bardzo popularnego w tamtym czasie piewcę "podkasanej muzy", jak nazywano muzykę jazzową i pierwsze sygnały rock end rolla?

Kto dzisiaj pamięta zespół dixielendowy Leszka Kociniaka, też mojego sąsiada z ul. Rwańskiej? Kto dzisiaj wie, a może pamięta BIG BEAT COMBO – zespół, który reprezentując województwo łódzkie, zajął V miejsce na I Festiwalu Młodych Talentów „Czerwono Czarnych” w Szczecinie (29.VI.–1.VII.1962 r.), gdzie debiutował zespół „Niebieski-Czarni”, Czesław Niemen (wówczas Cz. Wydrzycki) i Złota Dziesiątka z K. Stanek i H. Majdaniec na czele? A był to zespół reprezentujący Klub PZPB „Bawelnianki” wówczas bardzo popularny... Warto przypomnieć pierwszy skład BBC. Byli to: Zenon Gatzke (vocal), Bronek Krasoń (gitara prowadząca), Marek Świstak (gitara akompaniująca), Henryk Dużyński (sax alt i tenor) i Zdzisław Glapiński (perkusja). W powstaniu i działalności tego zespołu mam znaczący udział. Najwybitniejsi laureaci tamtego szczecińskiego FMT zdecydowali o dalszym rozwoju polskiej muzyki młodzieżowej. Nastąpił widoczny przełom, dokonał on prawdziwie rewolucyjnych zmian – nie tylko muzycznych. Po raz pierwszy pojawiła się w PRL-u kultura młodzieżowa, siła oddolna, nie sterowana. Tak właśnie w Piotrkowie był odbierany zespół Big Beat Combo oraz działalność Klubu PZPB na Bugaju. Miałem zaszczyt temu ruchowi przewodzić. W kawiarni "Pod Ormianinem" na Rynku prawie codziennie zbierało się grono wiecznych dyskutantów (szczególnie w godzinach między 14–17) bardzo interesujące: red. Zdzisław Kaczmarek z „Gazety Ziemi Piotrkowskiej”, Leszek Kociniak – dyrektor wydziału kultury Prezydium Powiatowej Rady

Narodowej, Teresa Śliwka, Jerzy Sobczyk – dyrektor Miejskiego Domu Kultury, Michał Staśkiewicz – kierownik Klubu PZPB, Jan Michalak, Witold Borzęcki, Wanda Kociniak, artyści, nauczyciele i szczególnie liczna grupa muzyków, którzy z L. Kociniakiem wieczorami grali, jakże wówczas uwielbiane, standardy muzyki jazzowej. Każdy z wymienionych powyżej miał swoje osiągnięcia artystyczne czy animatorskie. Każdemu na czymś zależało. To właśnie w „Ormianinie” pod stolikami leżał ten jakże konieczny impuls „działania na rzecz...”. Tak, to była idea, która stała się w 1968 r., wzorem warszawskiego Klubu, piotrkowskim klubem „Babel”. Właściwie teren „Ormianina”, jak na owe czasy stał się strefą wolności. Takim piotrkowskim Hyde Parkiem! Dzisiaj, z perspektywy 50 lat mogę stwierdzić, że na moim całym życiu tamten czas spędzany w „Ormianinie” wycisnął znaczące ślady. A poza tym byłem młody i miałem przed sobą jakże atrakcyjne życie. Tak, wtedy jeszcze nie wyobrażałem sobie, że los pokieruje mną i będę u schyłku swojego życia mógł powiedzieć, iż było ono szczęśliwe, atrakcyjne i bardzo pracowite. I właśnie dzięki moim inicjatywom zostałem w szczególności wyróżniony. Otóż z okazji Milenium Polski w 1966 r. zostałem wybrany na Sejmiku Kulturalnym miasta delegatem na KONGRES KULTURY POLSKIEJ do Warszawy. Było to pierwsze znaczące wyróżnienie w moim dorosłym życiu. Uczestniczyłem w tym Kongresie z wielkim przejęciem i satysfakcją obok najwybitniejszych luminarzy polskiej kultury.

Mam odwagę dzisiaj stwierdzić, że właśnie w tym czasie „sprawdziłem siebie” poprzez pracę w Klubie „Bawelnianki” (Big Beat Combo, duża grupa wokalnie-teatralno-estradowa), jak również w latach 1965–68 w pierwszym w Polsce Teatrze Publicystycznym. Bo później już mi było za ciasno z uwagi na „słabości” do mojej osoby władcy Piotrkowa „Augustyna wielkiego”.

## Moja klasa

Miałem wtedy piętnaście lat. Byłem weteranem ubiegania się o status ucznia Liceum Ogólnokształcącego im. Bolesława Chrobrego (dawniej: Kolegium OO Pijarów). Dwukrotny start zakończył się falstartem. W pierwszym przypadku po tygodniu „bycia” uczniem klasy VIII 1 – „łacińskiej”, do klasy wszedł dyrektor szkoły i poprosił mnie (miałem wtedy 13 lat) do swojego gabinetu. Tam, cały skonfundowany, powiedział mi,

że dostał z kuratorium wiadomość, aby skreślić mnie z listy uczniów. Nie mogę zatem uczęszczać do mojej łacińskiej klasy. Poza tym, prosi, aby przyszła do szkoły mama. Wróciłem do domu. Nie musiałem nic mówić. Mama już wszystko wiedziała. Po kilku dniach zaprowadziła mnie do Zasadniczej Szkoły Zawodowej, której dyrektor Kastorski przyjął mnie życzliwie. Powiedział, że jest, a właściwie był kolegą mojego ojca. I bardzo go ceni, lubi. I żał mu, że los tak okrutnie się z Jasiem obszedł. Jasiu – to mój ojciec. Zostałem uczniem I klasy o kierunku – tokarz. Przez cały rok poznawałem tajniki materiałoznawstwa, technologii metalu, budowy maszyn, itp. itd. Trzy dni w tygodniu miałem zajęcia teoretyczne w pięknym pałacyku, w którym przed wojną urzędował prezydent naszego miasta. Natomiast kolejne trzy dni to były tzw. warsztaty. O ósmej rano, ubrany w roboczy kombinezon, jechałem rowerem na drugi koniec miasta. Tam przez pierwsze trzy miesiące, stojąc 6 godzin przy imadle, piłowałem metalowy sześcian. Musiał być idealnie równoległy i prostopadły. Ja, kandydat wg mamy na księdza, według siebie na nowego Szekspira, no, może Cybulskiego, brudny, w kombinezonie czarnym od pyłu, piłowałem tę kostkę metalu przez tydzień, dwa, i ciągle nie mogłem uzyskać tej czystej bryły sześcianu. Dopiero znajomy mamy, będący w szkole narzędziowcem, zrobił za mnie ten sześcian. I dostałem piątkę. Po tym ćwiczeniu kolejne trzy miesiące zajęły mi nauki cięcia piłką do metalu blachy o grubości 6 mm. Najpierw musiałem trasować, tzn. narysować określoną figurę geometryczną, a potem ręczną piłką wycinać. Po upływie trzech miesięcy znów pan Stanisław – narzędziowiec zapracował na moją piątkę. Dzięki stopniom z teorii, także z przedmiotów humanistycznych oraz panu Stanisławowi dostałem po półroczu stypendium. Było to 135 złotych. Ogromne wsparcie dla mamy. Czuję się bardzo pożyteczny, bo jednocześnie, dzięki wrodzonym zdolnościom zostałem wybrany w szkole przewodniczącym samorządu. Byłem kimś. To była wówczas moja dewiza – nie dać sobie w kaszę dmuchać. Po roku po raz kolejny wystartowałem do liceum Chrobrego. Nawet mi papierów nie przyjęli. I wtedy wpadłem na genialny pomysł. Otóż w tymże Chrobrym funkcjonowało Liceum dla Pracujących. Zajęcia odbywały się cztery razy w tygodniu od godziny 16. do 21. Warunkiem była praca. Ale przecież był pan Stanisław, który wystawił mi zaświadczenie, że pracuję w warsztatach szkolnych ZSZ. I to była prawda. Ale co to była za praca. Na pewno nie zawodowa. Dopełniwszy formalności zostałem przyjęty do klasy IX. Kiedy zjawiłem się w pierwszy poniedziałek września o godzinie 16. w „swojej” klasie zostałem zaskoczony. Ja,

15- latek, w ławkach szkolnych (dosłownie) zastałem kobiety i mężczyźn w wieku od 30. do 50. lat. Czuję się, jakby bardzo dorosły i bardzo do- wartościowany. Ale dopiero po kilku dniach uczęszczania po południu do mojej nowej szkoły (do południa byłem dalej uczniem drugiej klasy tokar- skiej) dowiedziałem się, że siedzę w jednej ławce z komendantem Milicji Obywatelskiej, za mną siedzi komendant miejskiej Straży Pożarnej, obok wiceprzewodniczący Powiatowej Rady Narodowej. Przede mną zaś sie- działa szefowa miejskiego urzędu kontroli prasy, publikacji i widowisk. W mojej klasie byli także radni miejscy, oficerowie wojska i różni funk- cjonariusze z kierownikiem wydziału mieszkaniowego Prezydium Miejskiej Rady Narodowej na czele. I, mimo mojego wieku traktowali mnie poważnie, bo to ja mogłem napisać kilka wypracowań w nocy dla każde- go z nich. To ja musiałem im tłumaczyć, gdzie leży Portugalia i dlacze- go miała swoje kolonie. To, czego nie dowiedzieli się od nauczyciela, bo krępowali się pytać, to wszystko im musiałem podczas przerw wyjaśniać. Bardzo mi to imponowało do czasu, kiedy zażyczyli sobie, abym za nich rozwiązywał zadania z matematyki. Matematyka była moją piętą achil- lesową. Poczuję się bezradnym kolegą z klasy. Po skończeniu IX klasy na samych piątkach postanowiłem zostać robotnikiem, tzn. tokarzem, bo równolegle skończyłem swoją zawodówkę, także jako przodownik nauki i dostałem przydział do pracy w swoim zawodzie.

## Piotrkowska terma

Przy głównej ulicy Wojska Polskiego, między synagogą a więzieniem, od XVIII w. stoi budynek piotrkowskiej łaźni.

Miejska łaźnia dostępna była w dni parzyste dla panów, w nieparzy- ste dla pań.

Miasto - stolica Guberni, musiało dbać o swoich obywateli, zwłasz- cza, że liczni uczestnicy Trybunału Królewskiego opowiadali o modzie na łaźnie w Europie. Pamiętam taki czas, że z konieczności w wieku 12 lat musiałem korzystać z piotrkowskiej łaźni. Mama dawała mi 5 zł. W tym wieku łaźnia była dla mnie swoista atrakcją. Po raz pierwszy zobaczyłem w jednym miejscu ok. 10 nagich mężczyzn. Między nimi plątali się moi rów- wieśnicy i chłopcy, synowie tych mężczyzn. Gdy wchodziło się do łaźni już przy kasie w korytarzu pachniało egzotyką, wilgotnym powietrzem i po- tem wydzielanym przez kąpiących się. Łaźnia, poza kasą i szatnią składała



się z dwóch pomieszczeń z prysznicami i tzw. parowni w której były ławy do siedzenia i biczowania. Gorąca para wydobywała się spod tych ław, na których siedzieli nagusy. Uczęszczałem do tej łaźni przez dwa lata

Nie wiem, jakie były losy tej łaźni po 1954 r. Czy przetrwała podtrzymując swój „demokratyczny” charakter, gdzie obok niewidomego pianisty-organisty, zażywał kąpeli najpopularniejszy wówczas mecenas, piłkarz i prezes spółdzielni niewidomych. Rządy w tej piotrkowskiej łaźni sprawował tzw. kąpielowy, który także był głównym sprawcą biczowania tzw. miotłą.

Gdy w XVIII wieku normy higieniczne stały się bardziej wyśrubowane, łaźnie wróciły do łask. Urządzano w nich nawet przyjęcia arystokratyczne z „panienkami”.

Ale w gubernialnym Piotrkowie po II wojnie światowej królowała prysznic z zimną i ciepłą wodą, na które to strumienie nikt nie miał wpływu.

## Targowisko

W każdy wtorek i piątek w Piotrkowie odbywał się jarmark, czyli zjazd rolników, ogrodników i rupieciarzy, a także wszystkich, którzy mieli ochotę na pozbycie się czegoś lub nabycie byle czego, byle jakiego. Miało to miejsce u zbiegu ulicy Sienkiewicza i Pasażu obok hali targowej, późniejszego Powszechnego Domu Towarowego. I to był prawdziwy raj różności, poczynając od staroci, gromadzonych przez tzw. handlarzy, a na płodach rolnych i owocach kończąc. Po wojnie do 1949 roku targowisko miało miejsce na placu Czarneckiego. Furmanki zaprzężone w jednego lub parę koni, wypełniały cały plac. Można było tam nabyć prosiaka prosto z wozu, kwintal pszenicy lub żyta, owies dla koni, koniecznie ziemniaki, buraki, a przede wszystkim owoce. Do dzisiaj pamiętam smak kaszteli, szarych i złotych renet, koksy czy papierówek. Jakież smaczne były gruszki klapsy czy tzw. pierdziołki. Szczególnym powodzeniem cieszyły się wśród mieszczańskiej klienteli wyroby mleczne, jak śmietana, różne sery czy mleko prosto od krowy. Poczesne miejsce zajmował drób i stopy dużych żółtych jajek. Drób już obrany z pierza, które oddzielnie można było nabyć na poduszki czy pierzyny, kuśił bardzo przystępną ceną. Powodzenie tego targowiska sprawiło, że było tam już za ciasno i przeniesiono je na plac przy PDT.

To już nie był jarmark, a targowisko z prawdziwego zdarzenia. Wtedy jeszcze w hali targowej na stoiskach z rybami pływały w basenach karpie

i szczupaki, i to nie tylko przed świętami Bożego Narodzenia ale przez cały rok. Stoiska, prawie jak w warszawskiej hali Mirowskiej, rolnicy usadowili się na zewnątrz, a wewnątrz hali – przekupki i kupcy z pietruszką, mięsem, drobiem czy też galanterią skórzaną i płócienną. Nie mogło tam zabraknąć stoiska z pieczywem, bo „naród” bywał głodny, także z napojami. A na zewnątrz można było prosto z furmanki nabyć np. żywego cielaka czy warchlaka. Można było kupić w dużych ilościach ziemniaki prosto z pola lub kopca a także 5 świeżych jajek prosto od kury. Słoiki ze śmietaną, gęstą jak masło, ustawione w rzędach stanowiły jakby armię z jakiejś gry stolikowej.

Oczywiście stare rowery, pamiętające sukcesy Pietraszewskiego, a potem Króla, wyścigowe marki „Favorit” i wysłużone turystyczne z ramą i bez ramy. No i części, tak zawsze poszukiwane przez cyklistów. W latach 50-tych rower przeżywał swój najlepszy okres. Tak, jak teraz w Holandii. Najciekawsze stoiska, a więc rozłożone płachty, koce i deski, znajdowały się wśród handlarzy staroci. Czego tak nie było?

Poczynając od starych mundurów, pamiętających Legiony, poprzez duży wybór czapek wojskowych, marynarskich i cywilnych, różnego rodzaju obuwie damskie i męskie z walonkami prosto z Syberii na czele. Romowie sprzedawali tradycyjnie patelnie, byli handlarze garnków, nakryć stołowych i innych. Dużym zainteresowaniem cieszyły się 2-3 stoiska numizmatyczne, a także papierosy nie tylko polskiej produkcji. Bywały także gilzy i tytoń z maszynką do własnoręcznego nabijania. Rupiecie, rupiecie i gdzieniedzie – krowa na postronku lub źrebaki z kobyłą. Handel kwitł zwłaszcza w godzinach między 6 a 13.

O godzinie 14 stały już tylko stoiska z owocami, warzywami, i, oczywiście, czynna była hala targowa. Przeciętnie w każdy wtorek i piątek targowisko było odwiedzane przez 5–6 tys. klientów.

Z tamtego czasu mam pamiątkę – miniaturę z katarynką i kotem, z brązu, kupioną za 8 zł.

\* \* \*

Kiedy powołałem do życia Teatr Publicystyczny, zacząłem niefortunnie, gdyż Urząd Kontroli Prasy Publikacji i Widowisk zabronił mi wystawić naszą pierwszą premierę „Kto zabił Kennedy’ego?”

\* \* \*

## Młodości, ty nad poziomy wylatuj...

Pod nazwą The Beatles występowali zaledwie jedną dekadę, a ich prawdziwa kariera – od kontraktu płytowego do końca działalności – trwała tylko 8 lat. W tym czasie wydali 12 albumów, które na zawsze zrewolucjonizowały światową popkulturę. Nagrali kilkadziesiąt hitów, które weszły do kanonu muzyki rozrywkowej. Wywrócili do góry nogami myślenie o tym, czym jest i czym może być gitarowy rock. Udowodnili, że zwykła kilkunutowa piosenka zasługuje na miano dzieła sztuki. Jestem synem epoki rocka, dojrzywałem w cieniu Bitlesów, Presleya, Abby, Niemena i Ewy Demarczyk. A właściwie jestem ich rówieśnikiem i jakby prowincjonalnym kopistą. Przecież na początku lat 60-tych XX wieku stworzyłem Big Beat Combo, na którego koncertach nie tylko w Piotrkowie „działo się” to samo, co na koncertach Presleya czy Bitlesów: fruwały marynary, łamano kilkadziesiąt krzeseł na widowni, a muzycy byli lokalnymi idolami. Jakież to były czasy – elektrycznych gitar, wzmacniaczy, mikrofonów „Schur” i Karin Stanek, czy Heleny Majdaniec. Polska młodzież śpiewa polskie piosenki, to był komunistyczny chwyt. I stąd powstało określenie rock end rolla jako BIG BEAT. Ale chwycił, bo kto by się bawił w jakieś podteksty. Wszyscy młodzi słuchali Radia Luksemburg. Paul Anka był idolem, Presley – bogiem, a laureaci konkursu: szukamy młodych talentów zespołu „Czerwono-Czarni” – zakonnikami rocka. The Beatles 4 września 1962 roku weszli do wytwórni EMI londyńskiego studia aby zarejestrować debiutancki singel. Grali dwie piosenki: „Love Me Do” i „How Do You Do It?” Ale właśnie wtedy rodził się prawdziwy zespół The Beatles z Lenonem, Harrisonem, McCartneyem i Ringo Starrem. Przygotowany na piosenkach Presleya, nagle usłyszałem coś innego, jakże pięknego, śpiewanego przez chłopców z Liverpoolu. Wszystko to miało miejsce w latach 1964–1965, kiedy doświadczyłem siły rocka już grubo wcześniej poprzez Big Beat Combo i Presleya. Piosenki Beatlesów konkurowały w moim młodym życiu (23–25 lat) z blaskiem Ewy Demarczyk, Gershwinna („Człowiek, którego kocham”), Ordonówny i oczywiście – Niemena. Koncerty Ewy Demarczyk zaliczałem gdzie i kiedy się dało: poczynając od „Piwnicy...” w Krakowie, a na Teatrze Żydowskim w Warszawie kończąc (teatr ten znajdował się obok dzisiejszego Hotelu Victoria). Tłumy były takie, że Polska Kronika Filmowa kręciła, tłum i ja weszliśmy na gapę, a Ewa nie pozwoliła nikogo usunąć. Ponad 1200 osób stało w sali obliczonej na 300. A koncert trwał dwie godziny. Poza tym słyszałem Ewę kilkakrotnie

w Teatrze Kameralnym na Bohaterów Stalingradu (!?) w Krakowie, w Filharmonii Łódzkiej na ul. Narutowicza. Jej piosenki znam do dzisiaj i posiadam kilka jej płyt gramofonowych. Ależ to była Artystka! Wielka kultura sceniczna, wspaniała głos, rewelacyjna interpretacja, mądry repertuar i... o s o b o w o ś ć!!! Szkoda, że jej kariera trwała tak krótko – ale to był taaaaki właśnie ustrój. A ona miała charakter! Podobnie stało się także z Czesławem Niemenem, czy Piwnicą pod Baranami. Oni także występowali z ....przerwami. Tacy Artyści! Jakiś biurokrata z Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk coś tam znalazł i wystarczyło. Sam osobiście poznałem tego typu ingerencje, tak w Teatrze Forum, jak również w kabarecie. Teraz, po 50 latach trudno sobie wyobrazić, że można nie znać i nie lubić np. „From Me To You” czy „Michael”. A przecież bitlomania, to nie tylko muzyka i piosenki – to fryzury, elegancja, omdlenia, piski podczas koncertów i konieczny uśmiech na twarzy. I te dreszcze na ciele podczas słuchania, i to wycie, ta ekspresja widzów, nie tylko na koncertach, ale wszędzie, na placach, ulicach, lotniskach. Gdzie się pokazali, tam dziewczyny mdlały. A do nas, do Polski, wówczas docierały fragmenty ich sławy i nieliczne płyty przywożone najczęściej przez marynarzy. Ale to wystarczyło!!!! Na każdym kroku spotykało się młodych melomanów z długimi włosami, z gitarami i najczęściej śpiewających piosenki tej angielskiej grupy w dziwnym polskim slangu, ni to po angielsku, ni to po polsku. Byli laureatami orderu królowej mieli szlacheckie tytuły „Sir”. Ich płyty na całym świecie rozchodziły się w wielomilionowym nakładzie zajmując przez całe lata, z dzisiejszymi włącznie, pierwsze miejsca na listach przebojów w Anglii, Francji, w Niemczech i w całej wówczas zachodniej Europie, a także w USA, Australii – na całym świecie, oczywiście poza krajami opanowanymi przez komunistów. W tamtym ustroju tępiono nie tylko ich muzykę, lecz także fryzury i sposób bycia. To trudno dzisiaj sobie wyobrazić, co mogli zdziałać czterej moi rówieśnicy z Liverpoolu. Jestem dumny z tego, że to moje pokolenie. Utożsamiam się z epoką rocka i The Beatles. Towarzyszyli mi przez całe moje życie. Dzięki!

## Jak powstał zespół BIG BEAT COMBO

Byłem już dorosły. Miałem 20 lat, maturę i nieudany start na prawo Uniwersytetu Łódzkiego. Nawet założyłem rodzinę. Kilka miesięcy pracowałem w Polskich Zakładach Zbożowych (PZZ) w charakterze technologa

zbożowego. W pierwszych dniach pracy musiałem poznawać charakterystykę poszczególnych zbóż. Bojąc się kompromitacji, chodziłem do magazynów, a było ich sześć, i poznawałem ziarna żyta, pszenicy, jęczmienia czy prosa. Miałem pod swoją opieką laboratorium zbożowe, w którym pracowało 6 osób. Od nich otrzymywałem codzienne raporty, w których podawano, jaka jest wilgotność składowanego zboża, jego charakterystyka, zanieczyszczenia, itp. Stanowisko to było w PZZ-ach bardzo ważne i dobrze opłacane. Przepracowałem tam trzy miesiące i odszedłem na własną prośbę, czując swoje niekompetencje. A przecież musiałem pracować, bo miałem rodzinę. I wtedy ojciec mojego przyjaciela zapytał, czy nie chciałbym zostać kierownikiem zakładowego domu kultury. Właśnie zwalnia się miejsce i może mi pomóc. Już po trzech dniach zostałem kierownikiem klubu kultury położonego na peryferiach mojego rodzinnego miasta. Miałem, mimo młodego wieku, doświadczenia pracy na scenie. Przecież od 6. roku życia występowałem w znakomitym teatrze Ojców Jezuitów. Moja kariera aktorska kontynuowana była w miejskim domu kultury. Tam błyszczałem w roli Kaja w cieszącej się dużym powodzeniem bajce Andersena „Królowa śniegu”. Miałem także wieloletnie doświadczenia konferansjera, prowadząc od szkoły podstawowej różne imprezy. Dlaczego nie mogę być kierownikiem klubu kultury? Przez pierwsze kilka dni poznawałem się z personelem. Byli to pracownicy starsi o jedno pokolenie ode mnie. Pracowało bowiem w klubie kultury 7 osób. W pierwszej chwili nie wyobrażałem sobie, jakim będę szefem. Widziałem, że oni także podchodzili do mnie z rezerwą. A jeszcze gorzej czułem się w roli kierownika, gdy składałem wizyty poszczególnym notablom w zakładzie. Miałem świadomość, że to oni będą mnie oceniać, chwalić lub ganić, premiować. A zakład był nie byle jaki – Piotrkowskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. M. Nowotki – chluba planu 6-letniego. W potocznej mowie zwany był kombinatem, zatrudniający ok. 4000 pracowników. Poza budynkami wybudowanymi w ramach wspomnianego planu socjalistycznego najważniejsze urządzenia i maszyny zamontowano w dawnej fabryce – Manufakturze, należącej przed wojną do przemysłowca Poznańskiego z Łodzi. Moja zależność od kierownika działu gospodarczego była tylko formalna. Głównym partnerem w sprawach działalności była rada zakładowa związku zawodowego, a bezpośrednio jej przewodniczący. Był to człowiek prosty, z awansu społecznego, chyba brygadzysta pracujący na przędzalni. I dogadałem się bardzo szybko. Powiedział mi, że on się na kulturze nie zna i ma do mnie pełne zaufanie. Ma być o naszym klubie

kultury głośno. Chciał, aby się działo więcej niż dotychczas. A dotychczas działał tam zespół pieśni i tańca, po którym pozostał pełny magazyn strojów łowickich, kaszubskich i góralskich dla stu par. Przez ponad 4 lata mojej pracy musiałem corocznie spisywać z natury te zakurzone i zniszczone szmaty. Były to relikwie minionego, na szczęście, czasu. Zacząłem od teatru, na którym się znałem. Pierwszą moją samodzielną reżyserią była sztuka K. Salaburskiej pt. „KRZYSZTOF”. Propozycja była odważna, wykonawców też znalazłem bez problemu. W jednej z głównych ról wystąpiła kierowniczka podległej mi biblioteki, poza tym kilka prządek w wieku około 18–20 lat. Główną rolę zagrał niedoszły student szkoły teatralnej. Mógł grać tylko amantów.

Na premierze zabrakło miejsc na sali. Spektakl był grany 16 razy przy kompletach widzów. Odniosłem pierwszy sukces. Dostałem, poza wynagrodzeniem, umowę o pracę na tzw. godziny do prowadzenia teatru (w umowie napisano – kółka teatralnego). Stanowiło to drugą moją pensję. Dostałem wiatru w plecy. Moja motywacja w kierowaniu poszła w kierunku działalności artystycznej. Czuję się w niej, jak ryba w wodzie. Kiedy już w ciągu najbliższych miesięcy powstała prawdziwa stajnia polskiej piosenki, kiedy 12 piosenek wybranych w konkursie „Uwaga...Start! regularnie ćwiczyło pod okiem niewidomego pianisty pana Stanisława, kiedy na wojewódzkim konkursie piosenki radzieckiej w pierwszej piątce znalazły się trzy dziewczyny z grupy pana Stanisława – prasa wojewódzka i lokalna licytowała się w komplementach. I wtedy do mojego miasta przyjechał zespół „Czerwono-Czarni”. Ich koncert odbył się w największej sali kina Polonia, położonego w samym centrum miasta. Mihai Burano – autentyczny Cygan, Bogusław Wyrobek – polski Presley, stali się na długo moimi idolami. Już wiedziałem, co mam dalej robić. Muszę na ich wzór stworzyć zespół mocnego uderzenia. I tak rozpocząłem z 5. kolegami pracę nad repertuarem zespołu Zespół „Czerwono-Czarni” powstał po rozpadnięciu się zespołu „Rythm and Blues”, którego założycielem był pomysłodawca nazwania muzyki rockowej – BIG BEAT Franciszek Waliński. Bowiem w tych czasach (rok 1960) nie do pomyślenia było tworzenie zespołu muzyki rockowej, która dla ówczesnej władzy stanowiła zginiłą imperialistyczną wizytówkę kapitalizmu. Muszę na ich wzór stworzyć zespół mocnego uderzenia. I tak rozpocząłem z 5. kolegami pracę nad repertuarem zespołu „BIG BEAT COMBO”.

## Płonie Agrikola

W pierwszych latach lat 60. w USA i Europie motorem najbardziej spektakularnych zmian w kulturze stawała się młodzież. To dla nich powstała nowa muzyka popularna, dla nich wymyślano nowe tańce, nowe filmy i mody odzieżowe. Oni również stawali się źródłem kłopotów, kiedy wtapiali się w wymykające się odgórnej kontroli subkultury i próbowali, często poza prawem albo wbrew prawu, żyć po swojemu. Zaistniała wtedy przepaść międzypokoleniowa. Szczególnie tępiona była ta subkultura w krajach socjalistycznych, także w Polsce. Po „odwilży” czyli w momencie odwrotu od stalinizmu, pozwolono w Polsce na oficjalne granie i słuchanie jazzu. I gdyby dzisiaj ktoś zechciał poszukać w dziennikach i całej prasie jakichkolwiek informacji dotyczące tej subkultury, to zetknąłby się w krytykę założonego przez Franciszka Halickiego w Gdańsku zespołu Rythm and Blues, pierwszego polskiego zespołu rock’end’ rollowego. Po niespełna roku, mimo szczególnego powodzenia, nie pozwolono na kontynuację. Pamiętam ich koncert w kinie „Polonia”. Entuzjazm widzów, szlagiery Paula Anki, Billa Haleya czy Elvisa Presleya, odbywającego służbę wojskową w RFN w szeregach armii amerykańskiej. Ale „Ojciec polskiego Big-Beatu” – Franciszek Walicki stworzył w Gdańsku zespół „Niebiesko-Czarni” i rzucił hasło „polska młodzież śpiewa polskie piosenki”. I stało się to, co w całej Europie. W Polsce szalał opanował rock’end’roll. I już w roku 1961 w skromnym baraku kultury na Bugaju powstał „BIG-BEAT COMBO”. Dzisiaj trudno znaleźć nawet informację o sukcesie zespołu. Był pełny zakaz publikacji w prasie, radiu i telewizji informacji dotyczących rock’end’rolla. Jedynym źródłem i zarazem przekaznikiem bieżących trendów w muzyce młodzieżowej było bardzo popularne Radio Luxemburg. Słuchało się tej rozgłośni z prawdziwym nabożeństwem po nocach. Nagrywało się audycje na magnetofony marki Szmaragd (szpulowe). Prawdziwi melomani muzyki rockowej uczyli się języka angielskiego. W Polsce szalał zespół z Gdańska „Czerwono- Czarni”. Na ich koncertach z solistami Bogusławem Wyrobkiem, Mihailem Burano publiczność szalała do tego stopnia, że po koncercie w sali na 600 widzów, trzysta krzesel było połamanych. Najwięcej koncertów organizowano na stadionach i w muszlach plenerowych. A i tam musiało być mnóstwo milicji, aby poskramiać co bardziej rozentuzjasmowanych słuchaczy. W ten sposób polska młodzież buntowała się przeciwko ideologii „realnego socjalizmu”. Big beat, to po polsku mocne uderzenie w plecy komunie – jak niektórzy

mówili. I wtedy, także po raz pierwszy, na ciuchach pojawiły się spodnie, które wcześniej zawojowały cały cywilizowany świat. Przypominały polski drelich z którego szyto ubrania robocze. A to był džins. Mimo wysokich cen, coraz więcej młodych ludzi chodziło w džinsach.

Zebrałem pięciu swoich kolegów, z którymi postanowiliśmy stworzyć w naszym mieście lokalnych Beatlesów. I udało się. Z perspektywy lat mogę śmiało powiedzieć, że moja rola sprowadzała się do zabezpieczenia lokalu i sprzętu. Byłem przecież kierownikiem klubu czyli, żeby brzmiało bardziej cywilizacyjnie, zakładowego domu kultury. Mózgiem był Broniek Krasoń, który grał na gitarze i znał język angielski. Razem z nim siłą motoryczną grupy był Zenek Gatzke. Dobrali sobie Marka Świstaka i Zdziśka Glapę na perkusji oraz Heńka Durzyńskiego na saksi. Słuchali Radia Luxemburg, znali najnowsze trendy. I ćwiczyli. Udostępniłem im konieczny sprzęt. Nie było wówczas wzmacniaczy, a w komisach kosztowały krocie. Wykorzystaliśmy odbiorniki radiowe, przestawki do zwykłych gitar i głośniki wymontowane z odbiorników „Tesla” pokombinowane z różnych rupieci. Ciągłe były problemy techniczne, ale po pół roku codziennych(!) ćwiczeń były gotowe 3–4 utwory z repertuaru Pola Anki i Elvisa Presleya. I wówczas dotarła do nas wiadomość, że zespół Czerno Czarni organizuje I Festiwal Młodych Talentów w Szczecinie, bo tam się znalazł organizator – Estrada Szczecińska.



Zespół „Big Beat Combo” – 1964 rok. Solista Sylwester Kwiek



W Łodzi odbywały się eliminacje. Wystartowaliśmy i, ku mojemu zaskoczeniu, zostaliśmy zaproszeni do Szczecina, na tamtejsze korty tenisowe. Opisywanie tej imprezy pozostawiam fachowcom. To tam debiutował Czesław Niemen, wówczas jeszcze Wydrzycki, obok Niego H. Majdaniec, K. Stanek i tzw. Złota Dziesiątka. W kategorii zespołów zwyciężył zespół Niebiesko-Czarni. Mieliśmy szansę, jak twierdził ówczesny główny organizator, dyrektor Estrady – pan Nieżydowski. Szanse nasze pogrzebał sprzęt, a właściwie, jego brak. Bez próby na udostępnionym przez zespół Czerwono-Czarnych sprzęcie, w trakcie wykonywanego utworu P. Anki nagle z głośników odezwał się... hejnał z wieży Mariackiej. Było to w samo południe. Na jedenaście zespołów zajęliśmy piąte miejsce, pokonując renomowany np. Big Beat Sextet Stodoła Warszawska. To był prawdziwy sukces. Opromienieni tym sukcesem, staliśmy się wtedy w naszym rodzinnym mieście prawie idolami. Na koncerty Big Beat Combo MES wchodziły do sali na Bugaju tłumy. Kiedy graliśmy w centrum miasta na placu Agrikoli, cały plac wypełniony był publicznością, która podpałała gazety, tworząc niepowtarzalną scenografię i nastrój, który po blisko pięćdziesięciu latach pamiętam w szczegółach. Prowadziłem wszystkie koncerty BBC jako konferansjer. W tej roli czułem się najlepiej. Pisać o dalszych losach BBC jest mi dzisiaj trudno. W pewnym momencie, nasza stajnia piosenkarska liczyła około 15 piosenkarek i piosenkarzy. Byli to laureaci organizowanych w mojej placówce konkursów z cyklu „szukamy młodych talentów” pod nazwą „Uwaga... Start!” Wśród stałych solistów tamtego zespołu byli m.in. H. Andrzejewska, Sylwestet Kwiek, H. Ociepa, E. Szczepańczyk, W. Elas, L. Karczewska i wielu innych. Ale jak wszystko, co mija, po trzech latach wspólnej ogromnej pracy, odszedłem w połowie lat sześćdziesiątych z „Bawełny”. Moje zainteresowania przeniosły się na t e a t r. A to już całkiem inna opowieść.



## Mocne uderzenie jako metoda

W 1993 roku Piotrkowskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk wydało „Prowincjonalki – Alfabet piotrkowski” których autorem jest Jerzy Kisson–Jaszczynski.

Wśród ponad stu tekstów poświęconych znaczącym osobom lat 1960–1980 działających w Piotrkowie, znalazła się także dykteryjka z wydarzenia związanego z moją osobą. Mimo szeregu nieścisłości i braku kontaktu autora ze mną, z uwagi na moją nieobecność, pochlebiali mi określenie: (...) „Potem słuch o panu Michale zaginął, ale nie wygasła w pamięci piotrkowskich „kulturalniaków” jego sława mołojecka”. Jakże to imponujące, kiedy czyta się po upływie 50 lat o sobie takie zdanie. Jak tak było, a redaktor Kisson napisał to w oparciu o pamięć i notatki reporterskie, które powstawały w wyniku bezpośredniego udziału jego osoby, to przecież nie mogło być inaczej. Stwierdzenie w tekście, że... „przyjeżdżając bodaj z Torunia” wymaga uściślenia: to „bodaj” trwało już 30 lat, a więc przebiło jakby moją obecność w rodzinnym mieście. A przez te lata zazna-  
czyłem swoją obecność w mieście Kopernika i piernika w sposób, moim zdaniem, znaczący.

Określenie Jerzego Kissonia mojej osoby jako „powiatowy wielki niepokorny” pozostało w takim charakterze przez całe moje życie. Z pokorą to się rozminęliśmy już chyba w łonie mojej mamy, że o ojcu nie wspomnę. Tak to jest w życiu, że człowiek, któremu na czymś zależy, popełnia także błędy, realizując konsekwentnie swoją ideę fix. Nie zawsze ma rację, nie zawsze wychodzi to na dobre, nie zawsze zyskuje poklask otoczenia. Życie wymaga doświadczeń, prób i nie zawsze trafionych wyborów.

Po wyjeździe z mojego rodzinnego miasta pierwszą inicjatywą było stworzenie w Bytomiu Teatru „Forum”, który stał się moją wieloletnią i sztandarową wizytówką teatralną. Teatr ten po 5. latach istnienia (czyli realizacji „Hamleta” wg Szekspira) w wyniku „przetargu” Polskiego Radia Katowice przeniósł się do wspaniałych warunków lokalowych – Pałacu Kultury Zagłębia w Dąbrowie Górniczej, gdzie funkcjonował do 1981 roku. Z uwagi na tragiczną utratę przeze mnie głosu musiałem rozwiązać Teatr „Forum”. W 1983 r. jednak wróciłem do teatru ale w innej formule. Stworzyłem teatr dla dzieci, który przez 3 lata, zrealizował ok. 2000 spektakli w napisanej przeze mnie baśni „O Sindbadzie Żeglarzu” (w 6 odcinkach 60 minutowych – teatr żywego planu), które obejrzało ok. 250 tys. widzów.

Już w 1973 roku z mojej inicjatywy narodziły się Międzynarodowe Spotkania Teatralne, tzw. Barbórkowe (w okolicach górniczego święta), które przetrwały do dzisiaj w Pałacu Kultury Zagłębia. Na Spotkania, poza czołowymi teatrami z Polski („Biuro podróży”, Plastyczny Teatr Mądzi-ka, „Kalambur” czy „Akademia Ruchu” Krakowskiego) przyjeżdżały teatry awangardowe z Czechosłowacji, Węgier, Jugosławii, ZSRR, Szwecji, Norwegii i Niemiec. Impreza ściągała liczne rzesze wielbicieli nowości teatralnych i trwała 3–5 dni. Ważnym elementem tej inicjatywy była współorganizacja Spotkań przez Towarzystwo Kultury Teatralnej i osobiście Prezesa Zarządu Głównego, prof. Lecha Śliwonika.

Inne inicjatywy, takie jak Literacki Hyde Park, 9 wielkich imprez plenerych w Dąbrowie Górniczej, Gliwicach, Rybniku, Jastrzębiu-Zdroju czy Siemianowicach Śl. z udziałem w każdej ponad 2000 wykonawców, utrwaliły moją pozycję realizatora w środowisku śląskim.

W tym samym okresie jednocześnie prezentowałem swój monodram według A. Twardeckiego „Szkola janczarów”. W latach 1972–1980 odbyło się ponad 1 000 spektakli z udziałem ok. 200 tys. widzów nie tylko w województwie śląskim, lecz także w Polsce.

Skuteczność mojej metody ożywiania kultury w zakładowych ośrodkach tak podsumowała prasa:

### Z kulturą na ty: „mocne uderzenie” jako metoda

Michał Staśkiewicz, kierownik Klubu Kultury PZPB im. M. Nowotki należy do niezmiernie pożytecznego, a niestety, dosyć rzadkiego u nas gatunku pracowników kultury, którzy naprawdę i serdecznie pracę tę lubią i którzy – również, naprawdę wierzą, że w tej dziedzinie można zrobić wiele i dobrze, jeżeli tylko się chce. Dowodzi tego od ponad dwóch lat – od chwili, gdy objął zaniedbany, dysponujący kiepskimi warunkami lokalowymi klub fabryczny PZPB.

Niektórzy mieli za złe i do tej pory mają M. Staśkiewiczowi, że zaczął od big-beatu. Rzeczywiście, na fali ogólnych zachwyty nad „mocnym uderzeniem” powstał w klubie zespół muzyczny bardzo big-beatowy i – jak się później okazało – bardzo dobry, zespół, który wywalczył sobie pierwsze miejsce w eliminacjach wojewódzkich, zdobył V miejsce na ogólnopolskim konkursie „Czerwono-Czarnych” w Szczecinie i dotychczas cieszy się powodzeniem koncertując w Piotrkowie i w całym województwie łódzkim. Ów właśnie zespół, o dźwięcznej nazwie „Big-Beat Combo” na długo przysłonił opinii publicznej wszelką inną działalność Klubu PZPB i jego kierownika. Do M. Staśkiewicza przyłgnęła etykieta „big-beatowca” (tak, jakby musiało to być obelgą), a gdy zaczął z dużym rozmachem i nie mniejszym powodzeniem organizować konkursy piosenkarskie „Szukamy młodych talentów” na długo został mianowany pierwszym ambasadorem „podkasanej” rozrywkowej muzy. Tak, jakby promowanie dobrej rozrywki – a M. Staśkiewicz taką właśnie dobrą rozrywką przyciąga do swojego klubu młodych ludzi – było w pracy kulturalnej metodą nie do przyjęcia.

Co na ten temat mówi sam M. Staśkiewicz?

Uważam, że od tego trzeba zacząć, aby przyciągnąć do klubu młodzież – nie tylko z zakładu, ale i cieszącej się nie najlepszą opinią dzielnicy Bugaj. I udało się. Mamy zespół „Combo”, mamy dobrych wokalistów, wybranych właśnie spośród laureatów naszych konkursów „Szukamy młodych talentów”, mamy teatr i inne zespoły. I co najważniejsze – mamy widownię, która nie zawodzi. Pragniemy przecież karmić tę widownię nie tylko „mocnym uderzeniem”. Ale przy okazji „mocnego uderzenia” pokazujemy jej rzeczy inne, wartościowe.

Gdy po odczycie (a odczyty są również i to na przeróżniejsze tematy) wystąpi jakiś zespół rozrywkowy – niekoniecznie nasz, zapraszamy również instrumentalistów i piosenkarzy z innych pokrewnych placówek – frekwencja jest zapewniona. Na sam odczyt przyszło by niewiele osób. Jest to na pewno metoda trochę podstępna, ale i takie trzeba stosować, aby coś osiągnąć.

A więc – big-beat jako metoda, jako środek do celu. (...) „Gazeta Ziemi Piotrkowskiej” z 16 XI 1962 r. autor – Z.W.

## Czy mnie jeszcze pamiętasz – uparty jak osioł

Chciałbym dać ukojenie  
Skarżącej się pamięci  
I cierpliwe zdarzenie  
Chciałbym jej opowiedzieć.

J. Superville

Nie ma już wśród nas Franciszka Walickiego. Dziennikarza, autora tekstów popularnych piosenek, a nade wszystko twórcę polskiego big – beatu, organizatora i mecenasa muzyki. Dzięki koncertom, które promował, nasze wówczas pierwsze sceniczne kroki stały się dla wielu drogą przez całe życie. Rythm and Blues, Czerwono-Czarni, Niebiesko-Czarni to tylko trzy spośród zespołów, którym nadał własny kształt.

Było też tak, że zadzwonił do rodziców młodego ucznia z liceum z prośbą, aby zgodzili się na jego publiczny występ w sopockim Non Stopie. Jakże dawne to lata.

Roman Waschko nazwał go „Ojcem chrzestnym polskiego rocka”. Był człowiekiem sukcesu, miał radykalne pomysły. Choć nigdy nie zagrał ani jednego akordu, to organizował koncerty, odkrywał talenty, pisał teksty śpiewanych do dzisiaj przebojów. W 1956 roku zorganizował w Sopocie wspólnie z Leopoldem Tyrmandem i Jerzym Kosińskim Ogólnopolski Festiwal Muzyki Jazzowej. Sopot był łykiem świeżego powietrza dla tysięcy młodych muzyków z całej Polski po ciemnym okresie stalinizmu.

W marcu 1959 roku powstaje z jego inicjatywy zespół Rythm and Blues. To początek polskiego rock end rolla. Koncerty są dosyć głośne; tłumy walą, marynary fruwają, młodzież łamie dziesiątki krzeseł i demoluje sale.

Po roku zakłada zespół Czerwono-Czarni. Czarny to wg Halickiego kolor niewoli(?) Czerwony – rewolucji. W Sopocie powstaje Klub Non Stop, pierwsze miejsce w Polsce, gdzie gra się tylko rock end roll.

A dalej „Niebiesko-Czarni” na złość Czerwono-Czarnym”. I kolejny sukces w paryskiej Olimpii (w 1963 roku). Rock end roll stał się w Polsce symbolem niezależności, odrębności i swobody. Nie dał się wtłoczyć w koryto konformizmu, był przekorny i prowokujący. Otwierał drogę do innego świata. I ja znalazłem się na tej drodze zafascynowany Elvisem Presleyem, Paul Anką i rytmem, który zagłuszał tamte siermiężne lata. W 1962 roku Festiwal Młodych Talentów w Szczecinie. Po długich eliminacjach i ja znalazłem się na tym Fredstiwalu z założonym przez siebie w Piotrkowie Trybunalskim Zespołem „Big-Beat Combo”.

Kiedy ma się 74 lata to trudno sobie wyobrazić swoją młodość i tamten czas. To, co dzisiaj jest już „staroświeckie”, wówczas było awangardą, która przysłała do naszego kraju „demokracji ludowej” ze „zgnięłego zachodu”, jak mawiał ówczesny dyktator Władysław Gomułka, a za nim powtarzali i niszczyli tę muzykę różni sekretarze, od komitetów centralnych po komitety gminne i komitety jednego członka. Smaczku mojej wówczas sytuacji dodawał fakt, że Big-Beat Combo powstał w kombinacie bawełnianym (PZPB) – symbolu inwestycji polsko-radzieckiej (bawełna była importowana właśnie z ZSRR). Stoję więc obok estrady na kortach tenisowych w Szczecinie i myślę sobie – co ja tu robię z „B-B C”. Tu zjechali same tuzy muzyki rockendrolowej, w konkursie debiutują: Cz. Niemen (wówczas Wydrzycki), Karin Stanek czy Helena Majdaniec, robiąca także furorę za trzy lata w paryskiej Olimpii. W kategorii zespołów, poza moim „Big Beat Combo” startują takie tuzy jak „Niebiesko Czarni czy „Big Beat Sextet” Stodoły warszawskiej. I tam, na kortach poznaliśmy się z Franciszkiem Walickim i Jackiem Niezychowskim – ówczesnym dyrektorem Estrady Szczecińskiej. Ja z prowincjonalnego powiatowego Piotrkowa i oni – już wówczas legendy nowej muzyki, tej „zgnięj”.

ReR stał się w Polsce symbolem niezależności, odrębności i swobody. Nie dał się wtłoczyć w koryto konformizmu, był przekorny i prowokujący, Otwierał drogę do innego świata, wzywał do obalenia murów, za którym miał być raj.

Nie palił, nie pil, nie znosił krawatów i marynarek. Uparty jak osioł, umiał zawsze coś zrobić, mógł imponować takim jak ja. Sam sobie ułożył nekrolog:

„Z żalem zawiadamiam, że w dniu (wpisać dzień, miesiąc, rok) opuściłem ten świat. Rodzinie oraz wszystkim, którzy mnie lubili dziękuję za życzliwość, sympatię i pamięć, a tych którym czymkolwiek uraziłem, proszę o wybaczenie...”

To On, Franciszek Walicki odkrył Czesława Niemena (Wydrzyckiego), Helenę Majdaniec, Karin Stanek, Michała Burano, Adę Rusowicz, Wojciecha Gąssowskiego i wielu innych.

Pod koniec życia obwieścił śmierć rock end rolla. Przeżył 95 lat!

## ...racja „EUROPA”

(fragment neonu na dachu)

Panie! Co mi pan pieprzy, że jej nie ma. To niemożliwe. Była od zawsze, miała renomę, znaczy markę. Goście z Łodzi i Warszawy specjalnie przyjeżdżali. Artyści po drodze wpadali, aby się napić i coś dobrego przekąsić. Nawet dziwki z Tomaszowa, bo miały po drodze.

Panie, to był najsłynniejszy lokal, znaczy knajpa, w Piotrkowie. Miała ze sto lat, a może i więcej. Szarszyński czy Szerzyński, a właściwie jego żona – Helga wyprowadzili ją na szerokie wody. Przed wojną, panie, to mój ojciec w mundurze kadeta 25. Pułku Piechoty, na koniu przez okno do niej wjeżdżał. Matka, panie, miała za co płacić, i rachunek za szyby, i robociznę. Opowiadał mi o tym facet, który przed wojną był pikolakiem, a już za moich czasów – kierownikiem sali. I dzięki temu, panie, jak miałem 19 lat, to mnie wpuszczał na konto ojca, nawet jak nie było wolnych miejsc na sali dancinowej. To legendarna już przed wojną restauracja znajdująca się na parterze okazałego budynku przy placu Kościuszki 4.

Jej początki sięgały lat 90. XIX wieku.

Panie, kto chciał się zabawić i miał kasę, to tylko w piotrkowskiej „Europie”. To trwało latami. Mówią teraz, że jesteśmy już w Europie. Panie, ja w „Europie” to chyba byłem już w latach 60-tych i się nie chwale. Za komuny!

Najpierw był tylko parter – po lewej wysokie stołki czyli „podkowa”, bo często wozaki tam na setę wpadali. Po prawej, panie, wielki świat. Do wieczora obiadki, a potem... Pod oknem, za barierką na podium, panie, orkiestra taneczna Romana Krochmalskiego grała tanga nie Piazzolli,

a Warskiego „Czy pamiętasz tę noc w Zakopanem?” i inne szlagiery ówczesnej polskiej piosenki sentymentalno-lirycznej. Sam Krochmalski – ojciec na harmonii, niewidomy organista od Bernardynów pan Stanisław Pisarek na pianinie, Krochmalski – syn na kontrabasie i Tadek Glapiński na perkusji. A od czasu do czasu zagrali ruskie czastuszki, zwłaszcza jak byli klienci ze Wschodu. Bo, panie, ruscy też wpadali. I nie tylko. Sam widziałem kilku Piotrkowian, którzy z wojny nie wrócili i polecili do Chicago. Jak przyjeżdżali z za wielkiej wody do rodziny, panie, to chcieli nam imponować. Potrafili cały dzień siedzieć w „Europie” od 10 rano do 3 w nocy. A na dancingu rzucali Krochmalskiemu, który trzymał kasę, po 2 dolary, a on grał, co chcieli, albo co umiał. Śmiali się tylko, że za jeden dzień rachunku w „Europie” wydawali w sumie 5 dolarów czyli zarobek jednej godziny u siebie w Stanach. I to, panie, z napiwkami dla kelnerów. Tacy to byli PANOWIE!

A później, gdzieś w 1970 roku otworzyli piętro. To, panie, była już Ameryka. Eksklusiv pełny! Na dole obiady i przekąski, a na piętrze – dancingi i przyjęcia, także weselne. Miejsca było więcej, dywany na schodach, toalety na parterze płatne po złotówce. Oczywiście, panie, babka klozetowa, co to miała nawet ostrzałkę do golenia za dwa złote i, panie, portier, co to pilnował drzwi i ciągle były zamknięte, ale za piątaka wpuszczał. Był to emerytowany dyrektor banku, to znał wartość pieniędzy. Lepiej wpuszczać 10 klientów po 5 zł niż jednego za 10 zł. Prawda?

Wiesz pan, co się jeszcze zmieniło? Otóż już nie Krochmalski czy Pisarek grali, tylko big-beat Łągwy z Bugaja, co to się przy Big Beat Combo szkolili na początku lat 60.

I grali tam szlagiery Majdaniec, Stanek, Burana, a nawet „Dziwny jest ten świat” tego, co to w Radomsku dupę publiczności pokazał.

I ja w „Europie” bywałem stałym gościem, kiedy tylko do mojego miasta wracałem na chwilę z Katowic. A to Andrzej Bednarski zaśpiewał z Łągwi jakiś szlagier, a to Jędrzej Chmielewski usiadł do pianina i zagrał jakiś standard. A raz byłem świadkiem, panie, jak chcieli zlinczować parę obcokrajowców. Otóż, panie, była moda na koncerty życzeń. Było to chyba 11 listopada, wtedy nie było święta, bo święto było 22 lipca. Ktoś zapłacił, aby orkiestra Łągów zagrała „Czerwone maki”. A tego, jak pan wie, się nie tańczy. Wiadomo, nie? A ta para zaczęła tańczyć... Co to się porobiło. Na szczęście mundurowych nie było, ale dyżurny esbek wymusił od orkiestry kilka kolejek „żołądkowej”, tylko taką mógł pić, bo miał wrzody na żołądku. Ja zawsze brałem zrazy nelsonskie po węgiersku. Były



ostre w smaku i wódeczka, najlepiej „żytnia”, dobrze wchodziła. I stąd ta choroba nerek?

W latach 60. dość często mi się zdarzało, że tylko po murku na placu Kościuszki do domu wracałem. Bo murek ogradzał grób Nieznanego Żołnierza, ale był tak pomyślany, aby klientów „Europy” o 4. nad ranem wyprowadzić na prostą. Nawet modna była taka anegdota, że delikwent wyszedł z „Mozaiki”, jakoś dotoczył się na postój taksówek (też na placu Kościuszki) i wsiadając do taksówki zawołał „Do „Europy”! Gdyby wracał z „Europy” to by nie miał takich problemów, bo był murek. Pewnego razu to nawet przy murku zegarek znalazłem, marki „Pabieda”! Wart był może ze 100 zł. Raz w życiu coś znalazłem.

Panie! Zostawiłem przez te 10 lat trochę grosza. Po latach, ostatni raz byłem w tej piotrkowskiej „Europie” 1979 roku i było to w Święto Zmarłych, 1 listopada. Pamiętam tę datę, bo i pan by pamiętał, jak matkę na cmentarzu odwiedzałem pierwszy raz.

Z ojcem poszliśmy na setę i befszytk z tatara. Gdzie? Oczywiście do „Europy”, bo gdzieżby indziej? Do „Kaczego Dołka” czy „Rybki”? Nie wypadło. Nie ten standard. Podchodzi kelnerka i mówi: – co podać, panie profesorze? Ojciec patrzy na mnie, a ja po 10. latach, jak wyjechałem z Piotrkowi śmieję się, bo to rzeczywiście moja uczennica z Zasadniczej Szkoły Zawodowej dla Pracujących. Byłem przez dwa lata wychowawcą klasy kelnerskiej (samiych dziewczyn w moim wieku).

I w ten sposób okazało się, że „Europa” jest też w jakiś sposób moja i nie tylko przez płacenie tam rachunków, oczywiście, za konsumpcję.

A pan mówi, że jej już nie ma?

To niemożliwe! Przecież jej czas dopiero nadszedł po ponad stu latach!

PS. A Gletkiera pan pamięta?

## Prowincjonalki

Są w moim rodzinnym mieście dwie aleje: Aleja Trzeciego Maja oraz Cmentarna. Obie aleje odcisnęły się w sposób znaczący w moim dzieciństwie i wczesnej młodości. Powiem więcej – były nieodłącznym elementem mojego procesu dorastania. Już mając 5–6 lat w każdą niedzielę po obiedzie mama zabierała mnie i moją siostrę Danutę na cmentarz, na grób jej brata a mojego wujka Stanisława, rozstrzelanego przez hitlerowców, bo był żołnierzem AK. Opisałem to w mojej refleksji pt. Budki.

I idąc z Rynku Trybunalskiego, gdzie mieszkałem na rogu ulicy Rwańskiej, przechodziłem przez ulicę Sieradzką, plac Kościuszki, ulicę Toruńską, przy której mieszkała nasza kuzynka – Śliwkowa, dalej już Aleja Cmentarna. Pięknie wysadzana kasztanami, prowadząca do starego XIX-wiecznego, żydowskiego i nowego cmentarza. W połowie ulicy mierzącej około 600 metrów długości płynęła struga, a właściwie kanał odprowadzający nieczystości o bardzo pięknej nazwie – Strawa. Przed wiekami ta rzeka była żeglowna i jak mówiły legendy, pływała po niej Królowa Bona, co przywiozła do Polski włoszczyznę i inne przyprawy bez których dzisiaj nie wyobrażamy sobie polskiej kuchni. I właśnie z tej rzeki pobierano wodę na strawę, czyli zupy. Jaka więc bogata jest ta nazwa, choć dzisiaj nie zauważamy jej ówczesnej roli. Wiedziałem jedno. Kiedy już przechodziłem z rodziną obok Strawy, to starałem się nie oddychać, taki był smród. Mama, zanim nas zaprowadziła do grobu wujka, miała zwyczaj pokazywać nam na starym cmentarzu groby piotrkowskich patrycjuszów. Były to prawdziwe kaplice, jak na warszawskich Powązkach. Lubilem czytać nagrobki, często były to rymowanki – taka cmentarna poezja. Myślę po latach, że był to mój pierwszy kontakt z poezją. Sentyment do starych cmentarzy i do prawdziwej poezji pozostał we mnie na długie lata. Odwiedzaliśmy także cmentarz żydowski. Napisy w języku hebrajskim nic mi nie mówiły, ale swoją odmiennością kaligraficzną wzbudzały ciekawość. I mama wtedy opowiadała nam o żydowskim getto w trudnych czasach okupacji. Opowiadała o żydowskich sklepach przed wybuchem wojny, które głównie były przy placu Czarneckiego. Opowiadała, jak Żydzi lubili się targować i potrafili nie wypuścić ze sklepu klienta, póki coś nie kupił. – Do handlu to oni mieli łeb – powiadała. I wreszcie po tych marnych „lekcjach” dochodziliśmy do kwatery ofiar hitlerowskich, gdzie pochowany był wujko. Po krótkiej modlitwie na głos, kiedy czekałem, aby powiedzieć Amen, mama opowiadała o wujku, o wojnie, o okrucieństwie Niemców i potem Rosjan. Zwykle takie lekcje kończyły się w „Złotym Ulu” – cukierni na ulicy Sieradzkiej, kiedy wracaliśmy do domu. I trwało to, bez względu na porę roku, zawsze długo. Potem, po powrocie już była kolacja. A nie np. pójście do ogrodów, aby zanieść jedzenie psom. Tak więc do dzisiaj aleja Cmentarna jest przeze mnie odwiedzana najczęściej. Tylko grobów mi przybyło. Mama, tata, babcia, wujek i inni – to docelowe miejsca prowadzące przez aleję Cmentarną. Druga aleja mojego dojrzewania, to Aleje Trzeciego Maja. Przez sześć lat moja droga do szkoły wiodła przez całą tę aleję. Liczy ona około 2 kilometrów i tyle liczyła moja

droga do szkoły. Pokonywałem ją przeciętnie przez 25–35 minut. Nawet liczyłem kroki. Dzisiaj już nie pamiętam ile, ale też zmieniała się długość moich kroków. Znałem na pamięć tę aleję. Połowa mojej drogi do szkoły przypadła obok Miejskiego Domu Kultury, który i mnie zainteresował. Będąc uczniem średniej szkoły grałem w teatrze tej instytucji kultury Kaja w bajce „Królowa śniegu”, która cieszyła się dużym powodzeniem nie tylko u dzieci. Kolejną kreacją aktorską była rola cwaniaka w „Nowych szatach króla”. A potem, po latach, to tam znajdowało się radiostudio „Tu mówi Piotrków”, w którym przez okres półtora roku czytałem wiadomości lokalne. Zawsze o 17,45. Byłem wówczas bardzo z tego dumny.

Ale to nie koniec mojego „flirtu” z Alejami Trzeciego Maja (a wtedy Al. Bieruta). Stając się dorosłym zamieszkałem na tej alei pod nr. 21 (róg ulicy Piastowskiej). Budynek należący do Steinberga przed wojną odznaczał się piękną bryłą architektoniczną, wspaniałym i okazałym wejściem i wysokimi (ponad 3,5 m) mieszkaniami. I tu także trwał mój flirt z żydowską rodziną państwa Pacanowskich. Po 68 roku wyjechali oni do Izraela. W mieszkaniu na drugim piętrze zajmowałem jeden pokój o powierzchni 24. m kwadratowych. Łazienkę i kuchnię mieliśmy wspólną z Pacanowskimi. Do dzisiaj mam w nozdrzach zapachy czosnku i cebuli, które były podstawowym składnikiem ich jadłospisu. Z tego mieszkania miałem blisko do miejskiego parku, znajdującego się w pobliżu mojej szkoły podstawowej. I to w tym parku w wieku 20. lat paradowałem, żeby dodać sobie powagi, w kapeluszu, popychając przed sobą wózek z najstarszą moją córką – Ewą. Jej wczesne dzieciństwo upłynęło właśnie w parku, który był oazą zieleni, pięknych kwiatów, łabędzi pływających po stawie w centralnym punkcie parku. Za parkiem było boisko sportowe Concordii – miejsce, na którym biłem rekordy życiowe w skoku wzwyż (178 cm). Tam też miał miejsce mój dramat – upadek z konia stadniny w Bogusławicach, na którym trenowałem blisko rok. Mój popis zakończył się na murawie stadionu w obecności ok. 2000. widzów. To było straszne. Już nigdy nie podjąłem kolejnej próby ujarzmiania konia. Za stadionem było lotnisko. Na nim była wieża spadochronowa. Ćwiczyłem skoki i po blisko roku mogłem skakać z dwupłatowego samolotu tzw. Antka. Wykonałem w sumie 99 skoków potwierdzonych w książeczce spadochroniarza. Ale i to zajęcie mnie nie podniecało długo. Miałem już inne plany, o których piszę w innych odcinkach moich wspomnień. Tak więc dwie aleje w moim rodzinnym mieście odcisnęły się wyraźnie w moim życiu.

## Fascynacja sportem

Co prawda słowo sport pochodzi dopiero z XVIII wieku, ale duch rywalizacji jest zjawiskiem znacznie starszym. Niektórzy mówią, że pojawił się już u starożytnych Kreteńczyków w II tys. p.n.e. podczas zawodów organizowanych przy okazji świąt; inni kolebki sportu doszukują się na Bliskim Wschodzie. Czy w Piotrkowie w 2012 roku ktoś pamięta takie nazwiska wybitnych herosów sztuki pięściarskiej klubu Unia (a teraz Concordia) jak: Brzóska w wadze muszej, Masiarek w lekkiej, Wojtasiński w półśredniej czy Stec w wadze ciężkiej? A przecież to oni w latach 50. XX wieku należeli do najwybitniejszych w swoich wagach pięściarzy w Polsce. Wtedy, gdy byliśmy w tej dyscyplinie sportu potęgą. Na Mistrzostwach Europy w 1953 r., które odbywały się w Warszawie zdobyliśmy 9 medali, w tym 7 złotych! Na 2. olimpiadach w 1960 i 1964 r. 14 medali. Drogosz, Kukier, Stefaniuk, Chychła, Antkiewicz, Węgrzyniak, Kasprzyk, Paździor czy Pietrzykowski na długo przed sukcesami Kuleja zdobywali tytuły mistrzów Europy czy medalistów olimpijskich. A już do białości rozgrzewały kibiców polskich walki między reprezentantami Polski i ZSRR. Hasło „Bij Ruska!” rozbrzmiewało w halach sportowych w każdym polskim mieście z Warszawą na czele. Do historii przeszły walki Chychły ze Szczerbakowem czy Drogosza z Jengibarjanem. Chodziłem na mecze bokserskie we wczesnej młodości. W sali im. J. Kilińskiego w Domu Kultury gromadził się komplet publiczności. To była II liga państwowa. Nasi zawodnicy, których znaliśmy, bo albo mieszkali na Rynku, albo chodzili tam do „Rybki” na piwo, wszystkim imponowali.

Na długie lata w pamięci utkwiał mi pojedynek Wojtasińskiego z ówczesnym mistrzem Europy Leszkiem Drogoszem, który zjechał do Piotrkowa z drużyną „Błękitnych” Kielce. Tuż przed meczem wśród kibiców rozeszła się wiadomość, że nasz mistrz Europy Leszek Drogosz jest kontuzjowany i nie wiadomo, czy podejmie walkę z naszym „mistrzem” Wojtasińskim, zresztą mieszkańcem Rynku. Kiedy na ring weszli zawodnicy Wojtasiński – ulubieniec publiczności został przywitany owacjami, a Leszka Drogosza potraktowano nie jak gościa i Mistrza, a jak konkurenta dla naszego pięściarza. I rzeczywiście, prawa ręka Drogosza podczas trzech rund walki była praktycznie unieruchomiona. Walczył tylko lewą, punktując naszego boksera. A dla Wojtasińskiego była to prawdziwa udręka, jakby walka z własnym cieniem. Tajemnicą techniki Drogosza było, że nasz bokser podczas 9. minut nie trafił Drogosza ani razu,

przegrywając wysoko na punkty. Była ta walka prawdziwym majstersztykiem polskiej szkoły boks trenera i ojca sukcesów polskiego boks – Feliksa Sztama. Do plejady najwybitniejszych jego uczniów należeli przez następne lata: Jerzy Kulej – jedyny podwójny złoty medalista olimpijski, Zbigniew Pietrzykowski i jego pamiętne walki z węgierskim bokserem László Pappem, Tadeusz Walasek – któremu kibice w Polsce po powrocie z olimpiady ufundowali złoty medal, bo został skrzywdzony w finale olimpijskim przez sędziów. A przegrał z późniejszym mistrzem świata zawodowców Cleyem!

Bardzo popularne w tamtych czasach w Piotrkowie były zapasy, a w naszej pierwszoligowej Piotrcovii bywało kilku członków kadry narodowej z mistrzem Kubackim na czele. Także Piotrcovia (Bo Concordia – Unia, to był klub hutników) posiadała sekcję koszykówki męskiej opartą na pracy nauczyciela wychowania fizycznego Liceum Chrobrego prof. Wołoszańskiego – ojca Bogusława dzisiejszego popularyzatora wiedzy o II wojnie światowej. Pamiętam, jak przed sklepem na ul. Legionów, który należał do jego matki, siedział w wózku, a klienci zachwycali się jego urodą. Podobne opowieści słyszałem z ust mamy i znajomych na swój temat z okresu dzieciństwa. Koszykówkę sam w jakiś sposób polubiłem i uprawiałem, chodząc na treningi. Nawet zagrałem w kilku meczach razem z Jankiem Michalakiem, późniejszym kierownikiem sekcji. Troską otaczana była żeńska piłka ręczna (I liga) a jej tradycje istnieją do dzisiaj.

Szczególną popularnością w latach 50-tych cieszyło się w Polsce kolarstwo. W dużym stopniu to zasługa organizowanego rokrocznie Wyścigu Pokoju Warszawa–Berlin–Praga i sukcesów naszych kolarzy. Do największych należał Stanisław Królak – zwycięzca wyścigu w 1956 r., a dalej bracia Klabińscy, Elek Grabowski, Mieczysław Wilczewski, a już w latach 60. m.in. Szurkowski czy Szozda. Ale to już zupełnie inna bajka, to przecież mistrzowie olimpijscy i świata. No i oczywiście – trener Łasak, który wzorem bokserów Sztama, stworzył polską szkołę kolarstwa i wygrywali jego zawodnicy wszystko, co było możliwe. Ich pojedynki na szosie (także ręczne) z zawodnikami ZSRR podniecały cały naród. W Piotrkowie wiodącą sekcją kolarską był KS „Start”.

Przypomnę tylko, że Gerard Cieślik, strzelając dwie bramki na stadionie śląskim reprezentacji sowieckiej, na długie lata stał się bohaterem narodowym. Cieślik był zawodnikiem Ruchu (wtedy – Unii) Chorzów. Ponieważ Concordia to też Unia, kiedy Ruch wracał z meczów ekstraklasy w Warszawie czy Łodzi, to na Budkach, na stadionie Concordii odbywały

się mecze, które kończyły się wynikami 0-8, 0-6 na korzyść, wiadomo, Ruchu. Bywałem na tych meczach i przez długie lata chowałem chustę harcerską z autografami Cieślaka, Alszera, Suszczyka, Bartyli, Wyrobka i innych wielkich polskiej piłki nożnej.

Lekkoatletyka! To jest to! Jedyne trener w tej dyscyplinie pan Niedzielski nb. skoczek o tyczce, prowadził tę sekcję na stadionie za parkiem. I ja tam byłem, przez prawie dwa lata trenowałem skok wzwyż i mój rekord, wówczas 8. na liście najlepszych w Polsce, wynosił 178 cm. Wtedy to coś znaczyło, a dzisiaj wywołuje uśmiezek politowania. Ale właśnie wtedy Czernik pobił rekord Polski na „niebotyczną” wysokość 2. m. Właściwie z lekkoatletami miałem przyjemność spotkać się już we wczesnym dzieciństwie. Przez bodajże trzy lata jeździłem do Teofilowa k/Spały na wakacje. A już wtedy istniał ośrodek przygotowań olimpijskich w Spale, na granicy z Teofilowem. Miałem zatem okazję codziennie oglądać treningi (i zawody) z udziałem „wunderteamu” (1956-66): oszczepników z Januszem Sidłą na czele, dyskoboli z Edmundem Piątkowskim, młociarza Ruta, biegaczy Krzyszkowiaka i Chromika, sprintera Kiszkę – rekord Polski 10,5 był przez lata nie pobity. Dopiero Woronin pobił go z fenomenalnym wynikiem 10.0 (rekord Europy)! Znakomici średniodystansowcy i początki grupy „lisowczyków” na 400 m z Badeńskim, Szordykowskim, Wernerem i innymi. Czyli legendarny Polski wunderteam, pod wodzą trenera Jana Mulaka, który potrafił nie tylko wygrywać złote medale olimpijskie, ale także z reprezentacją USA czy ZSRR – ówczesnymi potęgami światowymi. Byłem dumny z sukcesów sportowych i to mi do dzisiaj zostało. Trudno to może zrozumieć z perspektywy 70-latką, ale taka jest prawda. Przez całe życie byłem wiernym kibicem i takim pozostałem. Podobnie, jak czytelnikiem „Przeglądu Sportowego”. Do dzisiaj pozostałem wiernym kibicem piłkarskim ŁKS, Ruchu, Górnika Zabrze czy Widzewa. Do dzisiaj interesuje mnie miejsce Piotrcovii w lidze piłki ręcznej pań, koszykarzy, czy zapaśników reprezentujących Piotrków Trybunalski.

## Mit człowieka w drodze

Jeżdżenie” na łebka” lub, jak inni mówią – „ okazją” stało się znane już w XIX wieku. Szczególnie w USA i Ameryce Północnej. Kiedy w kioskach „Ruchu” w całej Polsce pojawił się tygodnik „Dookoła świata” natychmiast stał się besselerm. Trzeba było stać w kolejce po kolejny numer, bo

zwykle ilość egzemplarzy przywożonych do kiosku nie pokrywała się z ilością chętnych. Podobnie było w 1957 roku w kiosku na rogu ul. Rwańskiej i Rynku Trybunalskiego, gdzie rządził pan Żywioł. Ten wielce zasłużony mój sąsiad był współautorem, a może współtwórcą mojego dojrzewania, gdyż mając luki w zajmowaniu się swoim dorosłym synem (wiecznie opalonym, przystojnym brunetem) przeniósł swoje opiekuńcze ramię na moją skromną osobę. Wiedział pan Żywioł, że lubię czytać i dlatego zostawił mi egzemplarz „Dookoła świata”. A w nim wspaniałe reportaże debiutującego Ryszarda Kapuścińskiego. Początkowe z Nowej Huty, a potem z Ameryki Południowej, czytało się te teksty z zapartym tchem. Nie przypuszczałem wówczas, że po 40. latach będę miał okazję zaprzyjaźnić się z wybitnym autorem i jego małżonką. Nie zbadane są wyroki boskie. I dobrze. Gdybyśmy tak wszystko wiedzieli... I właśnie od pana Żywioła w 1958 roku otrzymałem kolejny egzemplarz, a w nim wielka „Akcja Autostop”.

Już nazwa „autostop” wskazuje, że mamy do czynienia z zachowaniem, które polega na „stopowaniu” (czyli zatrzymywaniu) przygodnie napotkanych aut. Będąc marzycielem zakochanym w literaturze, natychmiast podzieliłem się posiadanyimi informacja z moją paczką PT-4. Opinia kolegów: Zenka, Janka, Jędrka, Zdzisława, Andrzeja i moja była jednoznaczna – jedziemy autostopem po Polsce. Droga, czyli podróż autostopem po całym kraju, była synonimem poszukiwania szczęścia, a jednocześnie symbolem buntu. Buntu przeciwko dyscyplinie szkolnej, rodzicom, porządkowi świata istniejącego wokół nas, w naszym Piotrkowie, województwie a nawet w Polsce.

Zapewne byliśmy jednymi z pierwszych autostopowiczów w naszym mieście. Nastolatków, czujących klimat wolności i poszukiwania szczęścia. Podzieliliśmy się na dwójki – mnie przydzielono w wyniku losowania najmłodszego – Jędrka, którego ojciec był producentem kapeluszy i miał zakład na Sieradzkiej. Nam przypadła rogatka na Wolborskiej, inni rozstawili się na innych rogatkach. Celem naszej pierwszej podróży był Szczecin, a konkretnie – Wały Chrobrego. Zaopatrzeni w niewielką ilość gotówki i książeczki „Autostopu” z odcinkami km dla kierowców, staliśmy z Jędrkiem przez dwie godziny i zaczęliśmy się martwić, czy nas ktoś zabierze. Zabrał!

Ciężarówka wioząca węgiel do Tomaszowa. – Wskakujcie na skrzynię! – powiedział kierowca.

Nasze stare, pamiętające wojnę plecaki, kiedy wysiedliśmy w Spale, za Tomaszowem, nie przypominały koloru zielonego. Wyglądaliśmy, jak po

szychcie w kopalni „Czerwone Zagłębie” w Klimontowie. Obok, na szczęście, płynęła Pilica, moja rzeka, ta sama, co i w Sulejowie. Sierpień, upał 30 stopni. To my buch, do wody. I tak zostaliśmy do następnego ranka w Spale, obok miejsca, gdzie po latach pod Teofilowem stworzono kuźnię polskiego sportu i dzisiaj jest piękny Ośrodek Przygotowań Olimpijskich. Spaliliśmy przykryci tzw. wojskowymi pałatkami (gruby brezent). Na śniadanie – jabłko i kąpiel. I staliśmy na drodze pod Inowłodzem; a może ktoś się zlituje i nas zabierze. Trzeba mieć szczęście – w miarę czysta skrzynia w ciężarówce, na niej z 20. takich jak my – tylko studentów z Krakowa. Ale towarzystwo!!!

Jeszcze nie było wtedy Karin Stanek z piosenką o autostopie. Ona zjawiła się dopiero w 1962 roku na Festiwalu Młodych Talentów w Szczecinie. Śpiewaliśmy na ludową melodię tekst „Ten kierowca fajny chłop, bo popiera autostop”. I tak znaleźliśmy się w Wałczu. Dalej już ten samochód nie jechał. To już nas 22, stoimy na szosie i czujemy, że Szczecin blisko. A po kilku godzinach kolejna noc.

W snopku siana było ciepło, zapach, jak w raj, a o 5. rano mgła, wilgoć i zmarznięte nogi. Po długim oczekiwaniu na szosie, o godzinie 12. w południe jedziemy już do Szczecina. Kiedy o 7. wieczorem meldujemy się na Wałach Chrobrego, PT-4 był już w komplecie. Wypijamy z saturatora wodę z sokiem malinowym i opowiadamy sobie, jak przebiegała podróż. To jest na tamte czasy fenomen. Zwłaszcza w Polsce. W następnym roku tysiące młodych i starszych ruszyło w akcji „Dookoła świata” i audycji radiowej „Muzyka i aktualności”.

Po wrażenia, przygodę a także wyrabianie w sobie cierpliwości. Mój pierwszy autostop zakończył się po 21 dniach. Zwiedziłem, poza Szczecinem, Gdańsk, Gdynię, Sopot, Krynicy Morską, Olsztyn, Warszawę, Lublin, Kielce, Rzeszów, Oświęcim, Kraków i Zakopane. Wróciłem do Piotrkowa z narysowanymi na stopach chemicznym ołówkiem trampkach, gdyż gdzieś mi się oryginał zapodział. Byłem szczęśliwy, opalony, zapracowany – ponieważ, aby wyżyć pomagaliśmy rolnikom w polu czy w sadzie przy rwaniu owoców. Najwięcej wypilem w to lato mleka prosto od krowy i najadłem się wiejskiego chleba z masłem prosto z pieca. A nogi w domu moczyłem przez kilkanaście godzin, bo rysunek nie chciał puścić.

Dzisiaj, mając 71 lat i problemy z wchodzeniem na II piętro, wydaje mi się, że przygody w tamtym czasie i w tamtych okolicznościach, które mnie spotkały, to jakby wirtualny sen. Ale wtedy nikt nie znał pojęcia „wirtualny”.



## Quo scripsi, scripsi

„Com napisał, napisałem”

Piłat

Na stronie 2. malutkiej, zniszczonej książeczki napisano: M o ż n a drukować

Kraków, dnia 1 lipca 1938 roku. Ks. Władysław Lohn T. J. Prowincjał Małopolski. A dalej – L.4939/38 Pozwalamy drukować z KSIĄŻĘCO-ME-TROPOLITALNEJ KURII, Kraków, dnia 15 lipca 1938. Stanisław Bp. wik. gen. \*Ks. Stefan Mazanek – kanclerz. Poniżej: Drukarnia Związkowa – Kraków, Mikołajka 13.

Na stronie tytułowej: MINISTRANTURA czyli sposób służenia do Mszy świętej.

WYDANIE XV. Wydaw. Apostolstwa Modlitwy, Księża Jezuiti, Kraków, Kopernika 26.

Miałem wtedy 6 lat. Umiałem czytać i pisać ale nie po łacinie. I nagle otrzymałem małą książeczkę, która w tej chwili, przy pisaniu, leży przede mną. A więc przetrwała 66 lat. I jest. Ta sama, lekko zniszczona czasem, pożółkła. We wstępie m.in. czytam: „Słusznie powiedziano, że zajęcie ministranta jest świętą posługą, jest służbą anielską. Asystować bowiem Bogu, stać przy Nim blisko i służyć Mu – to jest święty urząd Aniołów...”.

Przez pełne 10 lat „ceniłem sobie służenie do Mszy św. jako wielki zaszczyt i radowałem się sercem całym, ile razy nadarzyła mi się sposobność do tego...”.

Przez ten fakt znałem łaciński tekst ministrantury i nie tylko – także podstawowe modlitwy z kościelnego mszału. Introibo ad altare Dei. Ad deum, qui laetificat juventutem meam... Kiedy odprawiano w Watykanie Mszę św. mogłem śpiewać z papieżem „Oremus, precepti salutari” lub „Dominus vobiscum...” czy ”Deo gratias”.

Okres dziesięciu lat w wieku od 6. do 16. lat zaciążył na całym moim ponad 70-letnim życiu. Bliskość Kościoła, łaciny, dogmatów i wiary ukształtowały mój charakter. Codzienna służba (dzięki mamie) rano i wieczorem, teatr kościelny Ojca Chmury, pielgrzymki piesze do Częstochowy (9 razy) z legendarną pielgrzymką w latach 50-tych, bez zezwolenia ówczesnych władz, służenie do Mszy św. na Jasnej Górze (w ciągu trzech dni około 80-100 Mszy), przyjaźnie i kontakty z duchownymi – odcisnęły niezatarty ślad. Bez żadnej taryfy ulgowej mogę dzisiaj stwierdzić,

że wyniosłem z tamtego okresu i znalazłem swoją drogę na całe życie. W pewnych sytuacjach to łacina może jednoczyć katolików bez względu na ich język rodzimy. Jest zarazem niczyja i należy do wszystkich. Ma to tę dobrą stronę, że żadna rasa czy naród nie stara się jej zawłaszczyć.

Res, rei, rei, rem, res, re – ileż kucia wymagało opanowanie trudnych reguł języka łacińskiego. Mimo doświadczeń z dzieciństwa i klepania ministrantury, zawsze miałem z tym problemy. A przecież, dzisiaj to wiem, jest to jeden z najpiękniejszych języków ludzkości.

Moja dorosłość wystrzeliła w momencie, kiedy, podniecony treścią Adama Mickiewicza w Wielkiej Improwizacji, napisałem wierszem polemikę. Nauczyciel chodził po klasach w liceum i odczytywał na głos moje wypracowanie. I zeszyt już nigdy do mnie nie wrócił. A szkoda.

Kiedy oglądam się wstecz – na te jakże szybko upływające 70 lat, szukam wydarzeń, które miały wpływ na moje postępowanie. Miałem to szczęście, że w moim pokoleniu przez 25 lat w Watykanie zasiadał Ojciec Święty Jan Paweł II – Karol Wojtyła – Polak. Poznałem Go jeszcze w Krakowie, gdy był kardynałem. Później miałem okazję widzieć Papieża-Polaka, nie wyjeżdżając do Rzymu. W Katowicach i Toruniu to On mnie odwiedził. Tak, jak miliony Polaków w swojej ojczyźnie. Wielki to zaszczyt i duma. Ale o papieżu – Polaku napisano już tyle, że pozostanę przy pierwotnym stwierdzeniu. Tak, w moim życiu to chyba było wydarzenie najważniejsze. I nie tylko w moim.

Będąc ministrantem, byłem przyzwyczajony do tego, że ksiądz odprawiając mszę tyłem do wiernych, mamrotał tajemnicze łacińskie formułki, a wierni odmawiali w tym czasie różaniec. I w 1962 roku rozpoczął się Sobór Watykański II. Epokowe wydarzenie. Na Sobór do Watykanu zjechało ponad dwa tysiące biskupów z całego świata. Wielki reformator papież Jan XXIII, a później papież Paweł VI, podczas Soboru wprowadzają nową wersję dokumentów. Zmienia się stosunek do niewiernych, innych religii, do Żydów. Następują zmiany na miarę XX wieku, przystępne dla wiernych, wprowadzające ład i pokój na świecie. Przykładem jest cały pontyfikat Jana Pawła II i jego nauki. Był on bowiem nie tylko jednym z Ojców Soboru, lecz także uchodził za jego skrzydło liberalne.

Dla wiernych z całego świata stało się oczywiste, że Kościół, to wspólnota. Nie prawo, ale reguły miłości i łaski rządzą w tej wspólnotcie. Sfera przekonań religijnych, to przestrzeń, jaką człowiek ma prawo chronić dla siebie. Żyjemy obok siebie i szanujemy się.

Po zapoznaniu się (fragmentarycznie) z postanowieniami Soboru wiele rzeczy zrozumiałem. Poczułem się doceniony. Wcześniej wydawało mi się, że Kościół jest okropnie zmurszały.

Deklaracje soborowe, nowy porządek liturgiczny, języki narodowe – to przybliżyło wiernych i duchowieństwo do siebie. Stanowiło jedność. Ojcowie soborowi napisali, że każdy „ma prawo do wolności religijnej”. Nie tylko duchowni stanowią Kościół. Stanowi go „lud Boży”, więc wszyscy wierni. Sobór przypisał świeckim godność prorocką, kapłańską i królewską.

Dla mnie wówczas był to szok. Stanowił jakby paliwo, na drodze mojej kariery zawodowej.

Konstytucję i deklaracje soborowe były przyjmowane przez różne środowiska bardzo kontrowersyjnie. Kościół zaskoczył teologów, a szczególnie proboszczów.

Miałem osobistą okazję spotkania ks. Józefa Tischnera, ks. Tadeusza Pieronka, Jezuitę Ojca Waława Oszejcę, czytałem „Tygodnik Powszechny” – Jerzego Turowicza i Jacka Woźniakowskiego. Ich poglądy stawały się częścią moich, a jednak...

Mieszkam w mieście naznaczonym zupełnie niezrozumiałymi dla mnie tendencjami tzw. kościoła toruńskiego. Jakiego? Właśnie. Jak daleko odbiega on od Papieża Anioła – Jana XXIII, od Papieża Polaka – Jana Pawła II, od soborowych ustaleń Vaticanum Secundum.

Co się stało z naukami naszego Papieża w polskim narodzie? Skąd tyle zaprzeczeń, że w XXI wieku, w którym wolność jest świętością największą, jest tyle nienawiści, a nawet grozy, pobudzającej agresję? W Polsce? Te wątpliwości we mnie samym poddają w wątpliwość sens i cel życia. I wiem, że nie jestem w tym swoim myśleniu odosobniony.

## Kraków – lata sześćdziesiąte. Czarny Anioł

Jakie to szczęście, że dzięki Studium Teatralnemu Centralnej Poradni Amatorskiego Ruchu Artystycznego (CPARA) mogłem przez cztery lata (1964–1967) uczestniczyć w krakowskim życiu artystycznym. Co tam w „życiu”? Mogłem po prostu spotykać na ulicy Floriańskiej Tadeusza Kantora, Konrada Swinarskiego, Wisławę Szymborską, ludzi wielkich, małych oraz psa Fafika. Czy po latach możecie sobie wyobrazić, że w Sukiennicach siedzi Wiesław Dymny z bardzo ładną i młodzietką Anią?

I za chwilę wpada Zygmunt Konieczny z wiadomością, że poznał utalentowaną studentkę, która może będzie śpiewać i ma na imię Ewa i gło-ooooo... Idąc Grodzką spotykacie Piotra Skrzyneckiego, a za nim wolnym krokiem – wręcz spacerkiem, podąża ks. biskup Karol Wojtyła. Wystarczy? Nie zbadane są wyroki boskie. Czy można sobie uświadomić, jakie to były wspaniałe czasy II. połowy XX wieku? Zwłaszcza dla dwudziestokilkuletniego mężczyzny.

Mimo panującej politycznej atmosfery ( to przed rokiem 1968) w mieście, w którym przesiadywało się w kawiarniach lub barach mlecznych, w mieście, w którym rano ok. godziny 7 ciecie zmywali chodniki uliczne wodą, hejnał co godzinę grał z wieży zaspany strażnik, panie z wózkami pełnymi precelków – krakowskich rogalików, które na czczo bardzo smakowały, a pozwalały jeść idąc na zajęcia – tu właśnie pojawiał się ok. godziny 11. Piotr Skrzynecki – dusza popularnego Kabaretu Piwnica pod Baranami znajdującego się na Rynku w popularnym Pałacu. Odziany był w czarną pelerynę i wzbudzał ogromne zainteresowanie, szczególnie wśród licznych turystów. Był bowiem bardzo popularnym krakowskim artystą. A Kabaret ten gromadził elitę artystyczną Krakowa; aby się tam dostać należało „upolować” znajomego wykonawcę i mieć kilka złotych na winko. Cała plejada otwartych na życie artystów, których nazwiska przeszły do annałów polskiej kultury a jednocześnie jakby opozycji wobec systemu. Jednym z głównych bohaterów odwiedzających systematycznie Piwnicę był premier Józef Cyrankiewicz. Dopuszczał on bowiem żarty na siebie, gdyż miał duże poczucie humoru i żonę, wybitną warszawską aktorkę, Ninę Andrycz.

Po wejściu na dziedziniec trzeba było skręcić w prawo i odszukać wąskie schodki. Potem duże żelazne drzwi, zawsze lekko uchylone. Kolejne schody, szersze i bardziej kręte, prowadziły do popiersia Lenina z gipsu. Stojąc przy nim, widziało się kwadratową piwniczkę. Tak, tak. To słynna Piwnica „pod Baranami”. I dalej, przechodząc przez piwnicę, trafiało się do większej sali z gotyckimi sklepieniami. Kiedy przyszedłem pierwszy raz, przeraził mnie dym papierosowy, zaduch i dym, mnóstwo dymu. I nagle ok. godz. 20. zobaczyłem te dziewczynę w moim wieku. Skąd ją znam? Acha, to ją widziałem na schodach, mijaliśmy się w gmachu uczelni na Bohaterów Stalingradu (!). Kiedy wszedłem na II piętro, zaraz powiedziałem do Wiktora: przed chwilą widziałem fajną dupę. Tylko jej makijaż mi się nie podobał. Co ona tu robi, w tej duchocie. I nagle Skrzyńnia wyszedł z dzwonkiem i mówiąc niechlujnym językiem (przydałaby mu się

prof. Mazur od dykcji), zapowiedział „Kochani! To niebywale, nieprawdziwe. Przed wami studentka szkoły teatralnej o rewelacyjnym głosie, Ewa Demarczyk! Przy fortepianie kompozytor tej pieśni, piosenki – Zygmunt Konieczny. Słowa Wiesław Dymny!” CZARNE ANIOŁY”.

Ciemno, tylko świece palą się i...Ona. Wyszła w świetle jednego reflektora i zaśpiewała.

Ale jak? To nie był śpiew...to było całe nabożeństwo. I ten głos, przejmujący do szpiku kości, i ta interpretacja, to był spektakl jednego aktora a właściwie jednej pieśniarki. A potem jeszcze:

„Wsiadajcie madonny, madonny  
Do bryk sześciokonnych...ściokonnych!  
Konie wiszą kopytami nad ziemią.  
One w brykach na postojach już drzemią.  
Każda bryka malowana w trzy ogniste farbki  
I trzy końskie maści, i trzy końskie maści:  
Od sufitu, od dębów, od marchwi...”

M. Białoszewski

To był szok. Już po powrocie do DS. na Chopina (przy Kopcu) nie mogłem dojść do siebie, mimo spaceru ok. 30 minut. Już wtedy stałem się fanem Ewy. To tylko po to, aby usłyszeć jej głos starałem się chodzić do Piwnicy. Nie było mi po drodze, bo musiałem zaliczać spektakle w krakowskich teatrach. Ale nie zawsze śpiewała. I wtedy uważałem swój pobyt w Piwnicy za stracony. No, może nie do końca, bo poznałem i zaprzyjaźniliśmy się z Mieczysławem Świącickim – tym od „Chryzantem złoci-tych...” Jego ówczesna żona prowadziła gabinet stomatologiczny w Bytomiu, gdzie wieczorami spędzałem czas, wracając z Katowic.

Byłem zdania, że poezji nie należy śpiewać. Ale przekonała mnie o tego Ewa Demarczyk. Kiedy posłuchałem, jak ona to robi, stwierdziłem, że dość tych głupich tekstów, i zacząłem penetrować teksty poetyckie. W 1964 roku wyjechała do Paryża, do słynnej Olimpii.

Jak wspomina Konieczny „Tamtego wieczora (w Olimpi) Ewa, znów w sukni szytej przez mamę, zaśpiewała siedem piosenek: Karuzelę z madonnami, Rebę, Jaki śmieszny jesteś pod oknem, Pocałunki, Pokochaj mnie, Taki pejzaż i Czarne anioły. Po koncercie właściciel Olimpi Coquatrix klęknął przed nią i powiedział: „Wydobędzie pani piosenkę francuską z gówna, w którym utonęła po śmierci Piaf”.

Warszawa, 18 listopada 1974 roku. Mimo, że plakatów informujących o koncertach w mieście nie rozwieszono do kas ustawiają się już o piątej rano. Przechodziłem właśnie wtedy z Miodowej, gdzie prowadziłem zajęcia, ul. Królewską, gdzie znajdował się Teatr Żydowski. Ogromny tłum przed wejściem zainteresował mnie. – Co się dzieje? – Demarczyk ma za godzinę koncert, a biletów od wczoraj nie ma. – To po co pan stoi? – Bo tłum musi wejść. To przecież dla Warszawy święto. Stałem i... po godzinie tłum ruszył szturmem na drzwi wejściowe. Ani milicja, ani stróże nic nie pomogli. W ten sposób znalazłem się w środku sali. Tam, gdzie miejsc było ok. 300 na sali pomieściło się ok. 3000 widzów. Po długo trwających pertraktacjach ze strony organizatorów wreszcie oznajmiono, że ona będzie śpiewać dla wszystkich. Rozległy się brawa i nagle... nastąpiła absolutna cisza. Ciemno. Pierwsze dźwięki, reflektor i ona. Do dzisiaj pamiętam ten nastrój, ten koncert i ten widok, który utrwaliła Polska Kronika Filmowa.

Następne przeżycie z Ewą miałem wspólnie z Zosią w 1977 r w Sali Teatru Kameralnego Teatru Starego w Krakowie. Weszliśmy na koncert w ostatniej chwili w sposób wypróbowany, tj. łapówka dla bileterki. Siedzieliśmy na schodach. Zosia wzruszyła się, co sprawiło mi radość. Okazało się, że na żywo pierwszy raz słyszy tą wspaniałą pieśniarkę.

Widziałem w Ewie czarne, drapieżne zwierzę, trochę niesamowite półdiabły, z pasja atakujące każdy takt i każde słowo śpiewanego utworu. Chwała Z. Koniecznemu.

Stojąc przed obrazem Leonarda da Vinci „Dama z gronostajem” w Muzeum Czartoryskich mogłem do woli zakochiwać się w tej pani Cecylii Gallerani – młodej damie medycejskiego dworu księcia Ludowica Sforzy, zwanego il Maro. Bohaterka z naszego obrazu w późniejszym okresie zasłynęła jako ”światło włoskiej mowy”, bo popełniła kilka pięknych wierszy. Właśnie w Krakowie spotkałem się twarzą w twarz z „Krajobrazem z miłosiernym Samarytaninem” samego Rembrandta. Profesor Mikołaitis mawiał: „Panowie, na kolana przed prawdziwym dziełem sztuki!” Łącząc w obrazie elementy biblijne z motywami holenderskiej codzienności XVII wieku, artysta wzmocnił wymowę przypowieści biblijnej, nadając jej wymiar uniwersalny. Miałem to szczęście, że przez całe swoje życie oglądałem oryginały Rembrandta w Paryżu, Sankt Petersburgu i Kassel. I mam nawet zdjęcia na tle oryginału. W zbliżonej palecie barw znajdował się obraz Piotra Michałowskiego „Somosierra”. O Janie Matejce mówili mi już w szkole podstawowej, ale dopiero teraz mogłem

zobaczyć jego prace. Zrobiły na mnie duże wrażenie, ale nie były mi obce. Prawdziwym odkryciem w tamtym czasie krakowskim był dla mnie Artur Grottger i jego cykle rysunków. „Duch”, „Widzenie”, „Bój” czy „Przysięga” śniły mi się po nocach. W podobnym nastroju odbierałem obrazy Jacka Malczewskiego, a jego personifikacja Polski w postaci kobiety przemawiała do mnie szczególnie w zderzeniu z przerażeniem innych postaci. Myślę, że za dużo już napisałem o sztukach pięknych. To wynik zajęć z prof. Mikołaitisem.

A co w teatrze? W Polsce dominował Teatr Stary, a w nim – Konrad Swinarski z „Nie-Boską Komedią” i popisową rolą mojego profesora Jerzego Nowaka. A dalej tegoż reżysera „Woyzeck” G. Buchnera i „Pokojówki” J. Geneta; Andrzej Wajda pokazał „Wesele”, a Tadeusz Kantor pierwszy w Polsce happening „Cricotoge”. Dzisiaj, z perspektywy lat mogę stwierdzić, że przed nami wówczas były „Dziady” Swinarskiego, „Zbrodnia i kara” A. Wajdy i cały zestaw w reżyserii Jerzego Jareckiego. Jednak na całym świecie najgłośniej było po kilku latach o spektaklach T. Kantora „Cricot 2”: „Umarła klasa” i cały cykl spektakli o śmierci. Śmierć jednak zabrała K. Swinarskiego, a po kilku latach T. Kantora. Przeszli oni jednak do historii teatru polskiego, europejskiego i światowego. Wśród ówczesnych wykładowców, poza wspomnianym prof. Mikołaitisem i J. Nowakiem, przez 4 lata miałem okazję słuchać i oglądać moich nauczycieli: Lidzię Zamkow, Józefa Grudę, Barbarę Bossak, Leszka Herdegena, Jarosława Abramowa, Jerzego Markuszewskiego, Ryszarda Pracza, Adama Kreczmara, Adama Hanuszkiewicza, Zenobiusza Strzeleckiego i innych wybitnych artystów krakowskich i warszawskich.

## Mój wieloletni przyjacielu Mieczysławie Niedzwiecki!

Rzadko zdarza się, aby ponad pół wieku trwała nieustanna przyjaźń między dwoma obcymi sobie mężczyznami. Zwłaszcza, że dzieliła i dzieli nas wystarczająca odległość, aby nie móc się pokłócić. Jak myśmy to wszystko znosili przez tyle lat? Tajemnica tkwi w naszych jakże odmiennych charakterach. Dzisiaj już nie możemy umawiać się u ciebie w Jaszczurowej. Zostałem skutecznie ubezwłasnowolniony, ale i ty nie jeździsz już w kochane Alpy.

A pamiętasz, jak siadaliśmy na korytarzu PWST przy ul. Bohaterów Stalingradu (!) na podłodze i śpiewaliśmy z niezującym już Wikto-rem „O, mój rozmarynie?” I nikt się temu nie dziwił. Pedagodzy uważali takie zachowanie za normę. Oni też tacy byli kiedyś... A mieliśmy grono wielkich i wybitnych nauczycieli: brzydka jak noc Lidia Zamkow, poważny Zenobiusz Strzelecki stary AK-owiec Józef Gruda, nasz ulubieniec Jerzy Nowak, rektor Tęcza, człowiek o głosie bijącym jak dzwon Zygmunta – Leszek Herdegen, prawdziwa Pallas Atena, najpiękniejsza Ewa Lassek. Pamiętasz, jak ten dystyngowany scenograf podczas zajęć praktycznych, gdy wszyscy byli pochyleni nad swoimi kurtynami, scenami i dekoracjami w zupełnej ciszy zwrócił uwagę naszej pięknej koleżance z Olecka „Proszę szerzej rozstawić nogi” i wskazał na jej rysunek. Cisza. A przy Wiktorze „A pan ma za krótki pędzel”.

I tak już zostało w naszej pamięci – wybuch śmiechu nie pozwolił profesorowi nawet na mrugnięcie powieką. Pamiętasz – w mieszkaniu Jerzego Nowaka – „Żyda z Wesela”, jak się zachwycaliśmy śpiewanymi przez niego piosenkami? Przekonywujące argumenty L. Herdegena, że każdy temat jest dla teatru dobry, stał się moim wejściem w teatr publiczny. W poezje, poza J. Nowakiem, wprowadzała nas E. Lassek, wszyscy wpatrzeni byliśmy w jej wspaniałe nogi, kiedy siedziała za katedrą. Co ja tu wypisuję? Jak ci nie wstyd? Orientuj się! Jesteś starcem, a takie rzeczy jeszcze pamiętasz?

Właśnie w moim wieku takie wspomnienia pozwalają mi na optymistyczne patrzeć na świat. Pamiętasz, mój przyjacielu, jak musiałem pojechać do Piotrkowa, aby przywitać moją nowo narodzoną córkę Edytę? A ćwiczyliśmy wówczas „Sen nocy letniej” z prof. J. Grudą, który po latach na dziedzińcu Ratusza w Toruniu wystawiał plenerowego „Hamleta”.

Miałem w tym spektaklu rolę Puka. Kiedy po dwóch dniach wróciłem, to ty powiedziałeś, że jutro jest premiera. Całą noc ćwiczyłem, żeby rano dowiedzieć się, że premiera już była.

Wybacz, że nie będę wspominał kolejnych wspaniałych premier w teatrach, w których bywaliśmy codziennie, Piwnicy „Pod Baranami”, kiedy debiutowała Ewa Demarczyk, która skończyła 75 lat i jest moją rówieśnicą. A Jama Michalikowa? A Rynek na którym można było spotkać ks. Karola Wojtyłę? A wspaniałe juwenalia? Atmosfera jakże inna.

Zamykając jakby naszą krakowską edukację, pozwolisz, że wspomnę o pewnym fakcie z dnia dzisiejszego – Twój wychowanek, wielki aktor KRZYSZTOF GLOBISZ WRACA DO ZDROWIA.



Pamiętam, że przed wielu laty K. Globisz zdobył Główną Nagrodę w organizowanym przeze mnie I Literackim Hyde Parku w 1974 roku (Pałac Kultury Zagłębia).

Te retrospekcje sprzed pół wieku zmuszą cię do uzupełnienia tamtej naszej edukacji.

A kolacje w Wierzyńku i wysokość rachunku, który nas wprowadził w osłupienie, pamiętasz?

Dużo zdrowia i radości z życia życzę.

## Mój pierwszy teatr

Czy sposób, w jaki się przedstawia wydarzenia sprzed lat, powinien być uzależniony od danej chwili i koniunktury, w której się o niej pisze? W moich wspomnieniach mam zaufanie do swojej pamięci i dokumentów, które w tej chwili posiadam pod ręką. Rozpaczynam nowy cykl. Starych wspomnień czar.

Jak już pisałem, Piotrkowskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk wydało w 1993 roku książkę Jerzego Kissonia-Jaszczyńskiego pod znamienym tytułem: „Prowincjonałki. Alfabet piotrkowski”. Autor, znany mi osobiście, redaktor naczelny „Gazety Ziemi Piotrkowskiej” w latach 1960–1978, przedstawia w tej książce swoisty almanach osób, które zaznaczyły swoją obecność w Grodzie Trybunalskim od wojny do początku lat 90. Jak napisał we wstępie sam autor: „...Książka, to postrzeżenie oczami reportera i felietonisty, także socjologa kultury, t a m t y c h ludzi”. O dziwo, i ja znalazłem się na łamach tej książki (str. 227). I nie dlatego, że w latach 60. XX wieku stworzyłem, ciesząc się ogromnym powodzeniem i sukcesami, z V miejscem na Festiwalu Młodych Talentów w Szczecinie (1962 r.), gdzie debiutował Cz. Niemen jeszcze jako Wydrzycki, H. Majdaniec, Karin Stanek czy Niebiesko Czarni. Nie dlatego, że w latach 1961–65 piosenkarki ze” stajni na Bawelnie” wygrywały wszystkie konkursy piosenki polskiej, radzieckiej, itp.: H. Andrzejewska, H. Ociepa, L. Karczewska, E. Szczepańczyk czy W. Elas. Nie dlatego, że w 1966 roku byłem jedynym mieszkańcem mojego rodzinnego miasta, który w wyniku demokratycznych wyborów w Domu Nauczyciela, został delegatem i uczestniczył w historycznym Kongresie Kultury Polskiej, będąc jego najmłodszym uczestnikiem.

Znalazłem się w tej książce z powodu mojego debiutu w kategorii „Piotrków też będzie miał swój teatr”. A teatr nazwałem Publicystycznym, bo miałem przemyślaną jego koncepcję programową. Już w pierwszym zdaniu autor pisze o mnie „Powiatowy wielki niepokorny”. Wystarczy cytatów. Ad rem.

Kiedy rozpocząłem studia w Krakowie, chciałem zrobić cokolwiek dla swojego miasta, dla znajomych, przyjaciół. Chciałem spłacić dług mojego dzieciństwa, moich rozterek, przygód nie zawsze dla mnie szczęśliwych. Pamiętałem Ojca Chmurę i teatr przy kościele OO Jezuitów. To tam przecież pokochałem teatr, tam się go uczyłem od 6 roku życia. I... udało się. W małej salce Klubu Spożycwców przy ulicy Słowackiego spotkała się grupa studentów Studium Nauczycielskiego, którego byłem absolwentem i miałem sentyment. Wyłożyłem tym 8 młodym, prawie moim rówieśnikom, swoje credo.

Rok 1965 był w polityce rokiem jałowym. Ale nie dla nas. Pasjonowała mnie sprawa śmierci J. Kennedyego i w ciągu miesiąca powstał scenariusz na podstawie różnych informacji, tak prasy polskiej, jak również amerykańskiej (przedruki z Forum).

Pracowaliśmy nad realizacją tego spektaklu ponad 3 miesiące. Do dzisiaj pamiętam B. Ochmańską, H. Górecką, G. Nagajewą, S. Urbaniaka, S. Szczesią, Zofię Siepską, Halinę Andrzejewską i Jadwigę Kauc. Zostały w pamięci tylko twarze z tamtych lat. A jak wyglądają i co robią dzisiaj? Zadałem swoim aktorom zadanie szukania tekstów do motta – wiersza, wówczas bardzo modnego, M. Hillar „My, z drugiej połowy XX wieku”.

To miał być nasz manifest artystyczny „...dopiero późną nocą / przy szczelnie zasłoniętych oknach / gryziemy z bólu ręce / umieramy z miłości”. Aby móc przedstawić przygotowane przez Teatr Publicystyczny dwa programy, musieliśmy otrzymać zgodę Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk w Łodzi, czyli instancji wojewódzkiej. Trudno dzisiaj sobie wyobrazić, że mogła funkcjonować w owych latach cenzura. Ale nie zominajmy, że wszystko było pod kontrolą (sowiecką?). I wówczas, kiedy wysoka komisja w liczbie trzech osób zjawiła się w Spożycwczaku, kiedy zaprezentowaliśmy naszym zdaniem hit, zaczęło się... I o tym pisze autor książki, który był tam obecny. W rezultacie dopuszczono do publicznych prezentacji spektakl „My, z drugiej połowy XX wieku”. Już po kilku prezentacjach, m.in. w Klubie Dziennikarza przy Piotrkowskiej 96 w Łodzi na zaproszenie T. Grabowskiej, późniejszej głośniejszej dziennikarki Rada Wolna Europa, do Piotrkowa, do naszego teatru przyjechał wybitny

poeta i eseista Zbigniew Bieńkowski z żoną – Małgorzatą Hillar... Ona, w wielkim słomkowym kapeluszu, wzbudzała w moim mieście prawdziwą sensację.

Byłem dumny jak paw, idąc z moimi gośćmi deptakiem, tj. ulicą Słowackiego. Poetka, autorka motta naszego pierwszego programu, napisała potem w kronice teatru: „Cóż może być większym przeżyciem dla poety, jak sprawdzenie użyteczności jego wierszy”. Po latach dowiedziałem się, że pobyt w Piotrkowie tej pary zaowocował synem – Dawidem. 9 maja 1966 r. w tygodniku „Kultura” nr 22 w stałym felietonie „poezja i niepoezja” Z. Bieńkowski napisał: Stary Piotrków wciąż nie jest docywilizowany. Zapoznałem się z działalnością i programem miejscowego Teatru Publicystycznego. W spektaklu „My, z drugiej połowy XX wieku” – scenarzysta i reżyser M. Staśkiewicz umiejscowił dramat pokolenia niezrozumiałego, wyobcowanego, dręczącego poczuciem niepotrzebności, w konkretnych warunkach piotrkowskiej bigoterii. Ulica Rwańska, symbolizująca tutaj plotkę, oszczerstwo i donos, staje się magistralą tego starego grodu. Problem Piotrkowa: jak obejść ulicę Rwańską?”

Po tym felietonie w Piotrkowie wrzało, a akcje TP wyraźnie poszły w górę. O Teatrze Publicystycznym pisano w prasie ogólnopolskiej: Kulturze, Poezji, Kulturze i Życiu, Życiu Literackim, Teatrze, a nawet w... Przyjaciółce. Pisano w Głosie Robotniczym i Dzienniku Łódzkim. Prezentowano nas w TVP w Klubie „Po szóstej”. Prezentowaliśmy nasz spektakl w Warszawie, Krakowie, Tarnowie oraz na terenie całego województwa łódzkiego.

Pierwszy „kryzys” nastąpił w momencie ukończenia przez moich aktorów SN. Wyjechali. I wówczas namówiłem do teatru Henryka Zuzańskiego – mojego starszego kolegę z teatru O. Chmury. Jego udział w jaśłkach w roli Heroda wspominałem przez lata. Przyszedł w momencie, kiedy miałem gotowy scenariusz według „Trismusa” St. Grochowiaka. Zagrał wspaniale komendanta obozu, Nelli Doder zagrała bardzo urodziwa blondynka – studentka SN, która miała na imię Bożena. Spektakl nosił tytuł „Memento” i przyniósł teatrowi wiele nagród i pierwszych miejsc w kraju. Mogę tylko nadmienić, gdyż mógłbym napisać książkę, że 12 XII 1967 r., zdobywając główną nagrodę w Centralnych Eliminacjach w Krakowie, TP oceniany był przez jury w składzie: W. Szymborska, M. Grześczak, Wojciech Natanson. Ten wybitny krytyk teatralny napisał w kronice: „Kochani, z całego serca życzę wam, abyście dla wszystkich waszych spektakli zdobyli tytuł entuzjastycznych widzów i tyle uznania, co tutaj,

w Krakowie". Piotrkowski teatr zrobił w Krakowie(!) prawdziwą furorę. Jeszcze na drugi dzień po spektaklu byliśmy obiektem zainteresowania widowni. Kolejna premiera – „Nie zapomnimy i nie przebaczymy” nawiązywała do czasów wojny. Ten temat „prześladował” mnie przez lata. Przecież urodziłem się podczas niemieckiej okupacji. Do kolejnej premiery w 1967 r. „No more Hiroshima” włączył się do zespołu Jasiu Kor-dowiak z trupy Ojca Chmury.

Spektakl miał tylko 3-osobową obsadę. Ale teatr liczył już 12 osób. Jak odnosisz sukcesy, są chętni do pracy: Włodek Kowalewski, Bogdan Więc-kowski, Halina Andrzejewska, Zosia Siepska i inni pracowali już nad kolejnym spektaklem, „Koncert trwa” na temat stosunków młodzież –do-rośli. I kolejny sukces, to „Ich bin Polen” według A. Brychta. Mógłbym tak pisać i pisać, ale... Brycht – agent, Bieńkowski – nie żyje, W. Szymbor-ska – laureatka Nagrody Nobla, a co słyhać u Heńka, Jasia, Włodka, Ha-liny? Od wielu lat nie mam z nimi kontaktu. Gazeta Ziemi Piotrkowskiej z okazji 50 przedstawienia TP, kończąc dość długie omówienie działalno-ści mojego teatru, napisała piórem red. Zdzisława Kaczmarka w zakoń-czeniu: „A może by tak pomyśleć o przydzieleniu Teatrowi Publicystycz-nemu jakiegoś przyzwoitego lokalu. Przecież teatr ten robi bardzo dobrą reklamę miastu poza jego granicami. Zresztą zespół jest bardzo związa-ny z miastem”. Tego problemu nie rozwiązano, a ja znalazłem inne miej-sce na ziemi. Po upływie kilku lat Jerzy Kisoń – Jaszczyński na łamach „Gazety” w felietonie pn. „Jaka aura?” napisał: Pamiętamy Teatr Publi-cystyczny Staśkiewicza i samego Michała Staśkiewicza – młodego czło-wieka, może i o nie najłatwiejszym charakterze ale o dużym talencie re-żyserskim, inscenizatorskim. Zamiast adoptować ten talent w interesie środowiska – skrzętnie wykorzystano chropowaty charakter młodego człowieka. I Staśkiewicz odszedł... Andrzej Makowiecki po latach odwie-dził Piotrków i w „Zwierciadle” napisał: „Był tu niedawno jeden taki z ini-cjatywą. Nazywał się Michał Staśkiewicz i założył znany w całym kraju te-atr publicystyczny. Jednakże nie interesowano się jego eksperymentem, czynniki nie chciały mu pomóc, więc wyjechał”.

Pozostały tylko wspomnienia, oklaski, recenzje, pamięć i... pamięć i... Piotrków Trybunalski – Teatr Publicystyczny 1965–1968.



Teatr Publicystyczny w Piotrkowie Tryb. W programie „No more Hiroshima”

*Biegnie sukienka obrzucona błotem.*

*Ktoś biegnie z krzykiem:*

*Matko! Twoje dziecko bawi się dynamitem.*

**W. Jankowerny w „Scenie” wysoko ocenił dorobek mojego  
Teatru Publicystycznego:**

„Teatr Publicystyczny z Piotrkowa na pewno jest zjawiskiem ze wszech miar godnym uwagi, i to zarówno w życiu kulturalnym miasta, jak też w amatorskim ruchu teatralnym. Program „Memento” spełnił jednocześnie kilka istotnych funkcji. Trafny dobór sztuki i jej nienaganne wykonanie pozwalają na prezentowanie sztuki publiczności. W tym wypadku teatr amatorski w stosunku do widza spełnia identyczną rolę jak scena zawodowa. Dostarcza przeżyć artystycznych, zaspakaja potrzeby kulturalne, popularyzuje sztukę z prawdziwego zdarzenia. I za osiągnięcie takich efektów należy mu się duże uznanie. [...] Młodzież na piotrkowskim „Memento” poddaje się przeżyciom narzucanym przez aktorów, ale

w taki sposób, jakby oglądała „Hamleta”. [...] W Piotrkowie znalazła się grupa młodych ludzi, która postanowiła robić teatr. Przyznać trzeba, robi to znakomicie. [...]

## Król Roger – 1965

Ja, prowincjonalny działacz kultury teatralnej nagle w 1965 roku otrzymałem niespodziewaną przesyłkę na swój prywatny adres w Piotrkowie Trybunalskim. Już koperta mnie zaskoczyła „Ministerstwo Kultury i Sztuki – Gabinet Ministra”.

To wówczas był dla mnie szok. Z gabinetu Ministra? Gdy otworzyłem kopertę okazało się, że minister „z okazji otwarcia Teatru Wielkiego” zaprasza mnie na uroczystą premierę opery Karola Szymanowskiego „KRÓL ROGER” – 23 listopada 1965 roku, godz. 19. W załączeniu do zaproszenia bilet: Balkon II Łoża E miejsce 1. I wkładka, że Gabinet Ministra uprzejmie zawiadamia, iż w celu zakwaterowania należy zgłosić się w Hotelu Oficerskim przy ul. Mazowieckiej 10 w Warszawie. Był to dla mnie zaszczyt, że w trzecim dniu od otwarcia mam zaszczyt uczestniczyć w tak wielkim święcie polskiej kultury. Odbudowany na podstawie historycznej dokumentacji Teatr Wielki stał się bowiem symbolem kultywowania tradycji. A gmach, prezentowany w różnych mediach, był dostojny i okazały. W całej ówczesnej prasie rozpisywano się o zasługach w odbudowie gmachu Arnolda Szyfmana, bo i okazja – 200 lat powstania Teatru Narodowego – była znakomita.

Wiedziałem z Polskiej Kroniki Filmowej, że Teatr Wielki jest najlepiej zaopatrzoną technicznie – jak na tamte czasy – teatrem operowym na świecie. Duma i chwała odnowicielom i ówczesnej władzy. Hymny pochwalne piał, jak koguty na grzędzie o piątej rano. Ja, prowincjusz, który nigdy jeszcze nie widział opery, a skojarzenia kojarzyły się głównie z rock-operą w wykonaniu zespołu big – beatowego z Podkowy Leśnej. Pewnie będzie muzyka i śpiewy? A kto to Król Roger? I skąd się wziął. Ktoś mi powiedział, że ten Szymanowski zakochał się w Jarosławie Iwaszkiewicz i ten, zresztą jego kuzyn, napisał libretto. Musiało to być grubo przed wojną, bo o takich rzeczach i miłościach nikt teraz by nie mówił.

Już samo wejście do przybytku kultury i sztuki miałem „uderzeniowe”. W stroju wieczorowym, w miarę moich skromnych możliwości, po zostawieniu prochowca w szatni – wchodząc po dywanowych schodach

na pierwsze piętro, oglądałem się co chwilę za damami w długich sukniach, bo tyle długich sukien jeszcze w jednym miejscu nie widziałem. Patrzyłem na te dekolty aktorek Korsakówny („Przygoda na Mariensztacie”), Wysockiej („Irena do domu” i Szaflarskiej („Zakazane piosenki”). Jak śmiesznie wyglądał w marynarce w dużą kratę aktor komediowy Adolf Dymśza i dystyngowany, we fraku Adam Hanuszkiewicz. Ależ on jest przystojny! I w tym momencie na wysokości pierwszego piętra skręcając w prawo, po trzech krokach zrobiło mi się ciemno w oczach. Walnąłem bowiem w kryształową szybę, zamykającą klatkę schodową. Ledwo dowlokłem się z bolącą głową na drugi balkon, znalazłem Łożę E, miejsce 1 i usiadłszy wygodnie, oparłem głowę na kolanach. Łeb mi chciało urwać. Zatem pierwsze wrażenie na mnie w tym pięknym gmachu zrobiła głupia szyba, ograniczająca moją perspektywę do 2 metrów. A wówczas wzrok miałem dobry. Ale ta perfekcja wykonania i gatunek szyby zrobiły swoje. Na szczęście jeszcze chwilę, a może i dwie, schodzili się widzowie. Patrzyłem z góry na salę i doznałem wstrząsu. Dotychczas moim wzorem estetycznym była piotrkowska sala im. J. Kilińskiego i sala, jednak obskurna, Filharmonii Łódzkiej na ul. Narutowicza. Bywałem tam na koncertach dżezowych zespołu „Melomani”. Taka sala, w jakiej się znalazłem, przeszła moje wyobrażenie o pałacach z bajki, ba, pomyślałem, że jak są takie sale operowe wszędzie, to jest to inny świat. Świat dla mnie oddzielony kryształową szybą, odległy od rzeczywistości. I ten żyrandol? Nagle obok mnie przysiadł niskiego wzrostu pan we fraku i pod muchą. Pomyślałem, że on też pewnie na zaproszenie ministra, tak jak cała publiczność (jak się okazało ok. 1800 osób) gromadząca się tutaj i zajmująca miejsca w wygodnych fotelach. A łeb mi dalej dokuczał. Po wyciemnieniu sali zobaczyłem pod sceną orkiestrę i usłyszałem pierwsze dźwięki uwertury. Po kilku minutach kurtyna poszła w górę, a ja przyjmując pozycje wygodną, oparłem się na swoim ramieniu i podjąłem próbę zrozumienia, co się na scenie dzieje. Ale nic nie rozumiałem – jakiś pasterz, jakaś bliżej nieokreślona przestrzeń, i ten śpiew, którego nie rozumiałem mimo, że śpiewacy śpiewali po polsku. No tak, jestem pierwszy raz w operze. Widocznie na tym to polega, żeby nic nie rozumieć?

Po kilku minutach nie mogłem doczekać się końca. Czy będzie przerwa? Czy będzie ta opera trwała długo? Co ja tu robię? Ale przecież musi to być wielka sprawa, jeśli sam minister mnie zaprosił... Nareszcie opadła kurtyna i mój sąsiad – Łoża E, miejsce 2 – zapytał mnie, czy znam libretto. Odpowiedziałem, że podobno napisał je Iwaszkiewicz. – A ma pan

program? Nie miałem. To proszę sobie w przerwie poczytać i wręczył mi program z librettem opery. – Jak wrócę to mi pan zwróci – rzucił i poszedł do foyer. Chciałem go uprzedzić, aby uważał na szyby, ale nie zdążyłem. Czytając ów program dowiedziałem się, że akcja przebiega na Sycylii. Król Roger to Apollo – pierwiastek dobra i stałości, zaś Pasterz to Dionizos – pierwiastek szału i burzenia namiętności. I że w II akcie będziemy świadkami ogromnego żalu, a w III akcie dialogi z Bogiem i wielki totalny szal grecki z udziałem ludu, kapłanów, straży, eunuchów(?) i uczniów Pasterza. A w obsadzie takie nazwiska tuzów polskiej opery jak baryton – M. Mierzejewski, tenor – A. Hiolski, Pustelak, Dąbrowski i H. Rumowska. Z tego grona znałem tylko nazwisko A. Hiolskiego. Chyba słyszałem go, jak śpiewał w Polskim Radiu. – Dziękuję, że mi pan podpowiedział – zwróciłem się do mojego sąsiada, który wrócił z przerwy na swoje miejsce. – A pan skąd tu się wziął? – Z Piotrkowa. – I jest pan zapewne pierwszy raz w operze.? Nie mogłem kłamać, przecież już to wiedział. Tak.

– Pozwoli pan, że się przedstawię – Paulos Raptis. – Michał Staśkiewicz. I w tym momencie orkiestra rozpoczęła akt II mojej prapremiery operowej. Już co nieco wiedziałem, śledziłem akcje dziejące się na scenie. Rozmach, ekspresja i dużo muzyki, która do mnie przemawiała swoim potężnym brzmieniem. Odróżniałem już Króla Rogera, Roksanę czy Pasterza. Ale mimo tego, treści przekazywane ariami i dopełniane scenami śpiewów i krzyków, nie były dla mnie czytelne. Pomyślałem wówczas – nigdy więcej nie dać się nabrać na żadne opery. No tak, ale minister... Podczas kolejnej przerwy mój sąsiad powiedział mi, że pewnie go nie znam. Jest śpiewakiem opery łódzkiej i ma zaszczyt też pierwszy raz widzieć „Króla Rogera”, bo to bardzo trudna opera. Ale zaprasza mnie do Łodzi na „Straszny Dwór” z jego udziałem. Dalej ciągnął swój monolog, że jest Grekiem z pochodzenia i ma swoja publiczność. Jest lubiany, etc. Udaje Greka – ja też jestem w Piotrkowie lubiany z zupełnie innych powodów. I nie musi mi wciskać, że można lubić operę. Nudy na pudy. Jakos wytrzymam ten III akt.

Co się działo w tym ostatnim akcie przeszło moje wyobrażenie, że tak można. Chyba wszyscy bogowie greccy nawiedzili tego Karola Szymanowskiego i jego zmysłowość. Ten grecki szal udzielił się mojemu sąsiadowi, bo po zakończeniu klaskał, a z nim cała sala bardzo długo. Ja też. Choć dziwiłem się, że co chwila wykonawcy, nie schodząc ze sceny, kłaniali się i kłaniali. A scena była imponująca. Nareszcie koniec. Wycho-  
dząc, pożegnałem się z moim sąsiadem, uważnie schodziłem z II balkonu,



aby przypadkiem nie trafić na kolejną szybę z kryształu. Na czole miałem, co stwierdziłem na drugi dzień rano, ogromnego guza. Znaczący symbol mojego pierwszego kontaktu z operą i Karolem Szymanowskim. Po powrocie do hotelu usiadłem przy barze, aby wypić na konto tego nietypowego spotkania jedną wódeczkę. I wtedy przywitałem się już drugi raz z... Paulosem Raptisem. On także korzystał z gościnności ministra. Nie skończyło się na jednej wódeczce, przepiliśmy bruderszaft i wysłuchałem historii życia jednego z ciekawszych tenorów polskich XX wieku.

Dzisiaj, z perspektywy blisko 50 lat, mogę tylko stwierdzić, że wielokrotnie gościłem na wspaniałych spektaklach operowych w Teatrze Wielkim, także w Łodzi, Bytomiu, Moskwie, Leningradzie i Berlinie. Ale tamta przygoda pozostała w pamięci na stałe.

A moja córka Anna Maria jest Laureatka I Nagrody Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. K. Szymanowskiego i bardzo często grywa w różnych salach filharmonicznych na całym świecie jego Koncerty Skrzypcowe. Gdybym wtedy wiedział...

PS.

Rok później, będąc wybranym demokratycznie (!) w Domu Nauczyciela na miejskim sejmiku kultury delegatem na Kongres Kultury Polskiej z okazji Millenium (byłem jednym z najmłodszych delegatów). Z perspektywy lat mogę jedynie zanotować ciągle odmienianie i skandowanie jednego nazwiska: IWASZKIEWICZ!... Iwaszkiewicz...

## Cerkiewny koncert dzwonów

Zbudowana w stylu neobizantyjskim przez architekta Iwana Sztrema według projektu A. Golońskiego i poświęcona 28 listopada 1848 roku, początkowo była świątynią unicką.

W roku 1867 PIOTRKÓW STAŁ SIĘ STOLICĄ GUBERNI. Z rozkazu carskiego namiestnika Iwana Kochankowa cerkiew rozbudowano. Jednak dla mieszkańców była ona symbolem czasów zniewolenia przez rosyjskiego zaborcę. Po zakończeniu działań wojennych przeciwnicy cerkwi protestowali przeciw jej dalszemu istnieniu w centrum miasta przy ul. Kaliskiej 15. Ostatecznie spór rozstrzygnęły władze miejskie i cerkiew pozostała na swoim miejscu. Cerkiew pw. Wszystkich Świętych przez cały okres międzywojenny przetrwała w stanie nienaruszonym. W styczniu

1939 roku cerkiew została ograbiona. Wśród skradzionych łupów znalazły się srebrne korony wysadzone drogocennymi klejnotami, monstrancje i krzyże, a także pozłacane kielichy. Złodziejski skok okrzyknięto w mieście grabieżą stulecia. Niestety, nie złapano sprawców tego haniebnego czynu.

Po II wojnie zachowała swoją bryłę architektoniczną wraz ze skromnym wyposażeniem, mimo, że ilość wiernych wyznania prawosławnego uległa znacznemu zmniejszeniu. W swojej młodości z dużym zainteresowaniem wielokrotnie wchodziłem do środka cerkwi. Była otwarta w niedzielę, w południe. Mimo zaniedbania, imponowała swoim wnętrzem. Nigdy wtedy jednak nie słyszałem dzwonów cerkwi. Podobno zostały zabrane przez okupanta i przetopione, bo brąz był na wagę złota.

Jest niedziela, 5 maja 2013 roku. Prawosławna Wielkanoc. Jestem na ulicy Słowackiego, siedzimy z żoną na „Krzywdzie” vis a vis cerkwi. I nagle o godz. 12 rozpoczyna się zjawiskowy koncert. Koncert na cerkiewnych dzwonach. To było prawdziwe artystyczne wydarzenie. Jak twierdzą zorientowani – tylko jeden raz w roku. Kilku mężczyzn wykonuje na kilkunastu dzwonach prawdziwą symfonię. Widząc odrestaurowaną fasadę, będąc we wnętrzu piotrkowskiej cerkwi nagle odkrywamy, że kuranty kremlowskie w Moskwie są nijakie przy tym, przypadkowo usłyszonym, trwającym około 30 minut koncercie na cerkiewne dzwony. W melodii tych dzwonów, poza wyrażaną radością z okazji świąt, słychać melancholię, typowo rosyjską, jakby atmosferę przeniesioną z Sankt Petersburga. Z XIX wieku. I pomyślałem sobie, że gdybym miał taką możliwość, to na taką okazję zapraszałbym do Piotrkowa rzesze turystów. Dla tych 30 minut prawosławnej Wielkanocy warto było słuchać tego koncertu, podobnie jak warto słuchać koncertu skrzypcowego P. Czajkowskiego czy symfonii D. Szostakowicza. Piotrków w swojej bogatej historii był miastem wielokulturowym. I o tym te dzwony także świadczą.

## Moskwa 68

Stolica supermocarstwa, wielkiego państwa sowieckiego, to przede wszystkim jeden wielki bałagan, który obserwowałem podczas dwukrotnego pobytu. Pierwsza moja wizyta, trwająca 7 dni, miała miejsce w 1968 roku. Uczestniczyłem wówczas w delegacji przedstawicieli kultury polskiej na Wszechzwiązkowy Festiwal Kulturalny Republiki Radzieckich. Poza Moskwa odwiedziłem także Erewań, Tbilisi, Soczi i Kijów. Po raz

drugi odwiedziłem Moskwę w 1976 roku. Byłem wówczas stypendystą ministra kultury i spędziłem w stolicy ZSRR miesiąc. Drugi miesiąc przebywałem w Leningradzie, dzisiaj Sankt Petersburg. Moje pobyty w Moskwie są niezmiernie interesujące. Podejmę próbę opisanie wydarzeń, spraw i ludzi, których tam spotkałem. Rok 1968. Jadąc pociągiem relacji Berlin–Moskwa już po przekroczeniu granicy w Brześciu zauważam różnicę między zagospodarowanymi polami w Polsce, a ugorami i dziko zarosniętymi tam lasami. Brak gospodarza widać na pierwszy rzut oka. Kiedy po kilkunastogodzinnej podróży zbliżaliśmy się do stolicy Kraju Rad, pejzaż za oknem wyglądał, jak krajobraz po wojnie. Szopy, złomowiska, biedne chałupy – to mnie porażało. Wsiadając na Białoruskim Dworcu, z całą 6. osobową grupą wpadliśmy natychmiast w ogromny ruch uliczny. Wszyscy się bardzo spieszyli, a na jezdni jeździły samochody marki Ził, Pobieda, Wołgi i stare, bardzo zniszczone pojazdy, pamiętające II wojnę światową. Zastałem inny świat, świat ludzi biednych, zaganianych i wystraszonych. Nawet w nowo otwartym hotelu Monopol przed recepcją siedzieli tacy sami ludzie, jakich widziałem na ulicy. Na pytanie, co oni tu robią, odpowiedział cieć, ubrany w sowiecki charakterystyczny mundur: Jak to, co? Czekają na nocleg. A dlaczego czekają? Bo nie ma już wolnych pokoi. Kiedy rano zjechałem z 8 piętra, tłum siedział tak, jak wieczorem. Nie pytałem już o nic. Na długo pozostanie mi w pamięci Prospekt Mira (Aleja Pokoju). Na wysokości Wszechzwiązkowej Wystawy Osiągnięć Republik stał nowy pomnik kosmonautów. A za tym pomnikiem kończyła się ta szerokopasmowa Aleja Pokoju. Za pomnikiem – wiocha. Drewniane chałupy ustawione szeregowo. Dzieci żebrzące o cukierka lub gumę do żucia. Mam w uszach ich piskliwe glosy: Pażałsta! Dajcie mienia! Ja praszu.

A kilka kilometrów bliżej, w centrum miasta Plac Czerwony z dominującą bryłą mauzoleum Lenina i murem Kremla. Imponujące a zarazem odstrasające zderzenie. Krajobraz tego placu ratowała zachowana cerkiew nad rzeką Moskwą. Monumentalizm budynków, przepych np. Gosudarstwiennowo Uniwermaga czyli powszechnego domu towarowego. Chodziłem tam, aby odwiedzić stoisko ze złotem, tak jak robili to wszyscy Polacy, którzy do Moskwy przyjeżdżali. Złoto było wówczas dla Polaków bardzo tanie. Dla przeciętnego Rosjanina, wręcz odwrotnie. 40 rubli miesięcznie zarabiała kobieta, która pracowała na ulicy przy nakładaniu warstwy asfaltu. Pracowała w roboczym drelichu, ale miała pozawieszane na bluzie mnóstwo orderów. To był dla mnie szok. Na każdym kroku

spotykałem weteranów. A to wojny ojczyźnianej (II wojny światowej), a to przodowników socjalistycznego współzawodnictwa pracy, albo przodujących kołchoźników. Wszyscy oni byli dumni z tego, że mają na swoich marynarkach po kilka, kilkanaście orderów. Najciekawsze ordery spotkałem w Balszom Tieatrze. Od parteru, po najwyżej położone balkony, całą widownię zajmowali ci odznaczeni kołchoźnicy, lud pracujący miast i dużo wojska. Zapamiętałem na zawsze.

Co roku sezon artystyczny Teatru Wielkiego w Moskwie inaugurowała opera Glinki „Iwan Suzanin”. Muzyka, balet, głosy – rewelacja. Ale nie dla Polaków. Jest to bowiem opera, która w sposób wręcz okrutny parodiuje Polaków i polskość. Dotyczy historii walki za czasów króla Stefana Batoryego. Były nawet żywe konie, polskie sztandary, które rzucane były pod końskie kopyta. I był polonez. Takiego artystycznego tańca, przecież polskiego, już nigdy nie widziałem. Primabaleriną, nadającą kolor baletowi, była wielka Plisieckaja. Wyszedłem z Teatru Wielkiego, po wypiciu w super luksusowej restauracji na najwyższym piętrze szampana (oczywiście rosyjskiego) załamany. To tak wygląda ta przyjaźń polsko-radziecka? No, tak. Tak samo, jak ja ich, tak oni mnie. I jeszcze jedna dygresja. Wyobraźcie sobie legendarny Teatr Balszój, cały w marmurach, piękne fotele, bogata scenografia, wspaniałe kostiumy (np. kontusze polskiej szlachty dorównywały kostiumom władców w teatrze polskim), kryształowe kielichy i szklanki we wspomnianej teatralnej restauracji, a w toalecie... jak w epoce kamienia łupanego. To się nie mieściło w żadnej estetyce. Nawet Kraju Rad. Mój pierwszy pobyt w Moskwie, mimo wspomnianych wydarzeń, był bardzo udany. Poznałem prawdziwych Rosjan. Okazali się odwrotnością do komunistycznego systemu. Zawsze, jak jest dwóch Rosjan, to śpiewają. Są towarzyscy, boją się władzy, ale po kilku kielichach Stolicznej, mówią wprost, co myślą. Jestem pod dużym urokiem Rosjan i Rosjanek. Ta wizyta, to bardzo ważne doświadczenie dla mnie, jeśli chodzi o polityczny system istniejący tak w ZSRR, jak i w Polsce.



Balszoi Teatr – Moskwa IX 1967 r.

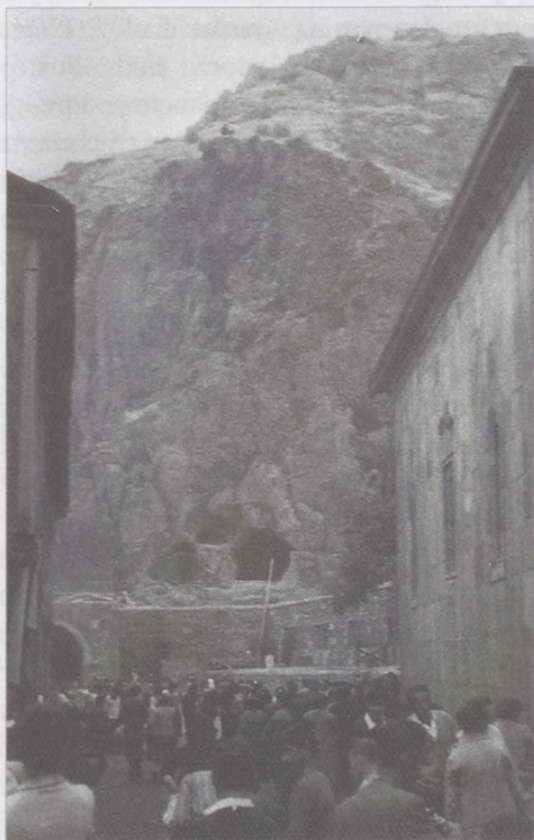
## Śladami Prometeusza

Radio milczy jeden dzień, milczy drugi, trzeci dzień. W czwartym dniu spiker Radia Erewań informuje: „Nadaliśmy audycję dla głuchoniemych”.

Tak, jak popularny w Polsce jest dowcip o Wąchocku, w II. połowie XX wieku w Polsce, i nie tylko, opowiadano dowcipy na temat „Radia Erewań”. Stolica Armenii, to jedno z najstarszych miast świata, a Armenia

najstarszym chrześcijańskim państwem świata. Stanowiąc od 1920 roku jedną z republik dawnego ZSRR, należała do najbogatszych. ZSRR, rządząc połową Azji i zagarniając połowę Europy, w trakcie tego półstulecia obrócił w niwecz swój układ społeczny, spowodował zagładę rolnictwa swojskiego, epidemię głodu, zagnał ludzi do pracy przymusowej, wręczył łopaty do budowy przemysłu, zatrzaskał własne granice, wdarł się w cudze, uzbroił niesytą armię i stworzył powszechny, wszechobecny aparat bezpieczeństwa. Oto jego środki: użycie skazańców do najcięższych prac i powszechność donosicielstwa. W wyniku wcześniejszych zaborów Turcji i Persji (w XIX wieku), a także włączenia Armenii w granice nowego komunistycznego mocarstwa, większość Ormian znalazła się na emigracji, tworząc wielką ormiańską diasporę na całym świecie (i stąd w Piotrkowie kawiarnia „Pod Ormianinem”). Kultura tego kaukaskiego państwa należy bowiem do najstarszych kultur w tej części świata. Jak mówi legenda – Ormianie pochodzą od prawnuka Noego, którego Arka osiadła na górze Ararat. Górę tę można podziwiać z Erywania, mimo, że leży po stronie tureckiej. Kiedy jesienią 1968 roku wysiadałem z samolotu „Il-18” po blisko 5 godzinnej podróży z Moskwy, przy wyjściu buchnęła we mnie fala gorącego powietrza. Po pobycie w Moskwie, gdzie temperatura wahała się w granicach 10 stopni, nagle 35. Klimat podzwrotnikowy dał o sobie znać natychmiast; dużą ilość owoców cytrusowych, winogron i wspaniałych koniaków poznałem przez 7 dni pobytu w tym bardzo gościnnym kraju. Już w hotelu zorientowałem się, że jestem w bogatej republice, zdecydowanie różniącej się od poznanych wcześniej innych regionów ZSRR. Świadczyły o tym m.in. cokół górujący nad miastem już bez pomnika J. Stalina, zdjętego kilka lat wcześniej, magazyny wypełnione towarami pochodzenia zagranicznego, z obuwiem prosto z Paryża, czy wspaniała i bogata ormiańska kuchnia. Już po dniu pobytu poznałem rewelacyjną ormiańską gościnność. Nowo poznany dyrektor Narodowego Teatru Armenii Borys Saakjan postanowił nas – Polaków (5 osób) nie tylko gościć w swoim domu, lecz także zaproponował pokazanie Armenii. I to bardzo historycznej i egzotycznej. O dziwo, znał historię Polski i doszukał się analogii naszego kraju do losów jego ojczyzny. Zabory, rzeź Ormian i tradycje chrześcijańskie (Apostolski Kościół Ormiański), a przede wszystkim powstania i walki o niepodległość, stały się wspólnym mianownikiem codziennych rozmów i dyskusji. Czuję się jakbym był w wolnym kraju, gdyż jego wypowiedzi były odważne i pozbawione tego okrutnego strachu, który dominował w Moskwie.

Położenie Erywania na wysokości ok. 1000 m n.p.m. nad rzeką Razdan, widoczna z każdego miejsca ośnieżona biblijna góra Ararat i ten monumentalny Kaukaz! W trzecim dniu naszego pobytu, uzbrojeni w ciekawość i aparaty fotograficzne, ruszyliśmy na wycieczkę z naszym przyjacielem Borysem. Samochód marki Ził wypełniony aprowizacją (po co tyle?) i przyczepka z beczkowitzem (co tam może być?) ruszył z nami w nieznane. Ach, cóż to była za podróż.



Odpust Kościoła Ormiańskiego na Kaukazie

Nie mogę porównywać tej wycieczki z doznaniem Ryszarda Kapuścińskiego, ale dla mnie wówczas, bez możliwości widzenia egzotyki, czy to Afryki, Azji, czy nawet części zachodniej Europy, stała się ona najciekawszą w całym moim życiu. Mimo, że dzisiaj mogę zrelacjonować pobyt w blisko 30 państwach. Ale wtedy... Jadąc z prędkością około 50 km po wyboistej górskiej drodze, wspinaliśmy się ciągle w górę. Kaukaz w całej

okazałości ukazywał nam inny świat, świat Noego i jego potomków. Mi-jaliśmy na naszej drodze kierdle pasących się owiec i stada krów, pozdro-wieniom i machaniem rękami ze strony pasterzy nie było końca.

Od czasu do czasu ostre hamowanie samochodu wynikało z natu-ralnych przeszkód na drodze. A to trzeba było, po zatrzymaniu, usuwać głązy, które spadła z góry, a to kozice w dużym stadzie, które nie ucie-kały przed ludźmi, i dopiero mocne i długie klaksony wymuszały ich zej-ście z tej wyboistej drogi. Po trzech godzinach takiej jazdy, nagle zoba-czyliśmy w rowie tektonicznym na wysokości ok. 2000 m wielki zbiornik wodny o przepięknym niebieskim kolorze wody. Postój trwał dwie go-dziny. Byliśmy nad największym na Kaukazie jeziorze Sewan – jednym z najwyższych położonych jezior na świecie. Powierzchnia tego jeziora to ok. 940 km kw., o głębokości ok. 75 m, a jego długość wynosi, według Borysa – 78 km. Obowiązkowa kąpiel i moment na opalanie. Po jednej godzinie nasza skóra już była brązowa i potem dokuczała nam przez całą wyciecz-kę. A woda była przejrzysta jak lustro. Odwiedzając starą chatę–szalas z wyglądu, byliśmy mocno zdziwieni wyposażeniem tej chałupy. Był tam telewizor odbierający programy tureckie, lodówka (!), a w niej wspaniałe owcze sery i... dużo, dużo wina. Gościnność gospodarza już nas tak nie za-skoczyła. Ale nie był on uprzedzony o naszej wizycie, bo telefonu tam nie było. Jak się okazało 80% wody pitnej Armenii pochodzi z tego właśnie jeziora. Degustacja pstrągów na pożegnanie i ruszyliśmy w dalszą drogę. Przed nami góry Kaukazu, wypatrywaliśmy wśród skał mitycznego przy-kutego Prometeusza. Widzieliśmy tylko krążące orły, które mitologicznie ostrzyły sobie zęby na nasze wątroby. Wspinając się coraz wyżej i wyżej, po wąskiej górskiej drodze, nie znaleźliśmy celu naszej wycieczki. I nagle... zobaczyliśmy na zboczach okalających dolinę tysiące ludzi, którzy obsie-dli kilka zboczy. Może było ich 100 a może 200 tysięcy. Znaleźliśmy się na wielkim odpuszcie (po polsku) Apostolskiego Kościoła Ormian. Kiedy zje-chaliśmy w dolinę, okazało się, że jest tam wykuta w skale kaplica. Każ-da z rodzin miała obowiązek przywiezienia z sobą barana, uśmiercenia go w tejże kaplicy, jego krwią namaszczenia swojego czoła znakiem krzy-ża. I po tym rytualnym geście zasiadali wszyscy przy ognisku i zaczynała się wielka sjesta. A wokół kwitnie handel odpustowy. Szczególną uwagę zwracają przekupki handlujące obrazami świętych, a między nimi portre-ty J. Stalina. To robi duże wrażenie, ale jego kult jest tutaj widoczny. Mimo, że z cokołu jego postać zniknęła. Jadła, picia i radości nie mogło zabrak-nąć. Trwało to przez 24 godziny. Obraz nocny Kaukazu, z rozpalonymi



na zboczach gór ogniskami, śpiewami i zapachem baraniny trudno byłoby mi zapomnieć. I okazało się, że ten beczkowóz, jadący cały czas z naszą wycieczką, był napełniony szlachetnym trunkiem, który miał służyć nie tylko nam, lecz także licznej rodzinie Borysa, która już na nas czekała.

Zabawa trwała do rana, pierwszy raz smakowałem baraninę pieczoną na ognisku. Więcej grzechów nie pamiętam, bo wspaniała ormiańska napój dał w pewnym momencie o sobie wyraźnie znać, aby go nie lekceważyć. Po powrocie do Erewania dochodziliśmy do siebie przez jedną dobę, a potem, wsiadając do kolei kaukaskiej biegnącej przez terytorium Turcji, pojechaliśmy do Tbilisi. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że razem z nami jedzie tym pociągiem nowo poślubiona para; ona – Ormianka, on – Gruzin, i cały weselny orszak Oj, działo się, działo...

## Dwaj przyjaciele

Jest cholernie trudni pisać o przyjaciółach, których już nie ma. Od lat już nie żyją. A moje Piotrkowiana bez nich to tak, jak głowa bez uszu. Dlaczego bez uszu? Bo konwersacje prowadzone z Kaczmakiem, czy dialogi muzyczne z Kociniakiem, były nie tylko trudne, ale i gorące. I często kończyły się małą albo dużą wódeczką. Takie były czasy i takie były obyczaje. Spowinowaceniem ze Zdlichem poprzez jego małżeństwo z Teresą, moją kuzynką, spowodowało nieprzerwany z Nim kontakt, mimo mojego wyniesienia się z Piotrkowa. Ilekroć bywałem w moim rodzinnym mieście, wieczór rezerwowałem na spotkanie z Karczmakami. Mieliśmy sobie dużo do powiedzenia, ponieważ się lubiliśmy. Nie zapomnę mojego ostatniego wieczoru przed tragicznym dniem Jego śmierci, wypróżnialiśmy, jak zwykle małą buteleczkę i umówiliśmy się za tydzień na ciąg dalszy. Niestety, w następnym tygodniu tylko odprowadzałem jego zwłoki na cmentarz. Przeżywałem tę śmierć przez długi czas, podobnie jak wielu jego kolegów. Kiedyś wymarzył sobie, że musi mieszkać naprzeciwko stadionu na ul. Żwirki. Kiedy już nabył działkę, cieszył się jak dziecko. I marzył o domu. Przez kolejne blisko 5-6 lat trwała wielka budowa. Dla tej budowy pracował, jak Ursus. Pisał dużo do swojej Gazety, łódzkiego Głosu Robotniczego i chyba nawet do Dziennika Łódzkiego. Chciał zrealizować swoje marzenie, usiąść na balkonie i nie wychodząc z domu, napisać relację z meczu Concordii. Widziałem postępy, kiedy kładziono fundamenty, potem budynek rósł wolno, ale konsekwentnie. Urodziny Małgosi

przeżywał podwójnie, bo miał w swoich marzeniach dodatkowy bodziec – to także dla córki – mawiał mi. Pamiętam jak dzisiaj, mimo upływu blisko 30 lat, z jaką dumą oprowadzał mnie po zakończonym budynku. A potem wykończenie tego domu także trwało. Kiedy już „odebrałem” to dzieło jego życia, to sprezentowałem mu szpadę górniczą, jakby, wzorem górników, gratulowałem mu osiągniętego celu. Ta szpada stała potem na kominku, przy którym widzieliśmy się ostatni raz. Wówczas bywałem często u Kaczmarków, ponieważ doglądałem chorego ojca. Przeżył Zdzychu o 2 miesiące. Paradoksalnie, bo chorował 2 lata.

Przez lata nasze rozmowy w dużym stopniu dotyczyły tego, co u mnie na Śląsku, a co słyhać w Piotrkowie. Jednak w ostatnim okresie, jakże trudnych lat 1981–1983, często wpadaliśmy na minę pod tytułem polityka. I dość często mina nawet wybuchała, ale bez ofiar w ludziach. I jakby nic się nie stało, ściskaliśmy się na pożegnanie. Zawsze, w nowym domu, obecna była Tapcia, jak nazywałem Teresę jeszcze z dzieciństwa. Pełniła nie tylko rolę gospodyni, lecz także często włączała się do naszych dyskusji. Muszę tu wspomnieć także, że nadrzędnym tematem naszych dialogów był sport, a zwłaszcza sukces drużyny Piechniczka na mistrzostwach świata. Tak, sport był jego pasją numer jeden, drugą była historia Piotrkowa i wyszukiwanie różnych historycznych dokumentów i wydażeń. To jemu zawdzięczam w latach 70-tych XX wieku (jak to brzmi dla młodych) odnalezienie anonimów przesyłanych do Gubernatora w Piotrkowie – inaczej mówiąc donosów – które napływały z Dąbrowy Górniczej, a więc z terenu piotrkowskiej guberni. Wykorzystałem te donosy w dużym widowisku prezentującym strajk na tzw. Sztygarce w Dąbrowie, szkole górniczej założonej przez Staszica. Śląscy historycy obecni na tym plenerowym widowisku (10 tys. widzów) byli poruszeni i potem zadawali mi pytanie, skąd miałem takie donosy. A były one z piotrkowskiego Archiwum do którego mnie zaprowadził Zdzychu.

Miał więc bezpośredni wpływ także na scenariusz mojego widowiska. I stąd ta górnicza szpada. Był trudnym partnerem, ale lojalnym. Mówił rzeczowo i tak mówił, jak myślał. Nie lubił łać wody. I dlatego mieliśmy sobie wiele do mówienia. Jeszcze teraz widzę go jak idzie przez Rynek do pracy do redakcji na Słowackiego. Bo przed tym mieszkał na Przedborskiej, na Krakówce (jak się w Piotrkowie przyjęło mówić), a więc na Krakowskim Przedmieściu.

Natomiast Leszka Kociniaka miałem „pod ręką” czyli na mojej ulicy Rwańskiej, która teraz jest smutnym wspomnieniem dzieciństwa.

Boję się, co stanie się z tą ulicą za kilka lat? Szkoda, bo to jedyna Rwańska w Polsce. Leszek mieszkał przy Kościele Ewangelickim z rodzicami i Wandą, siostrą, która potem została żoną mojego przyjaciela Jasia Michalaka.



Kraków 1966 r. Autor z Wiktorem

Kiedy Lechu, jak go nazywałem, szedł w kierunku Rynku, to nad nim unosiła się aureola j e d y n e g o, co tak jazz wodzi. Miał do przodu, bo od dzieciństwa fortepian był Jego instrumentem (to po ojcu), późniejszy pobyt na studiach w Łodzi, i powrót, i już był postacią na owe czasy wielką. Były to bowiem czasy zespołu Melomani, a na ich pierwszym w Polsce

koncercie w Filharmonii(!) nawet byłem. Czasy 1956 roku – „Po prostu” i G. Lassoty są dzisiaj już tylko legendą. I taką legendą dla Piotrkowa jest teraz Lech Kocianiak. On – jazzman, ja – bigbeatowiec, dwa bieguny, ale przyciągaliśmy się wyraźnie. Nasza przyjaźń to lata 1963–68 i nawet bardzo osobiste kontakty. Właściwie zapalał się do mówienia dopiero po trzecim kieliszku. Wcześniej poważny, wyważony, jakby przeproszał, że jest. A potem już wulkan, kipiący, szermujący argumentami, nie lubił blichtru, co na owe czasy było dość częstym zjawiskiem. Mimo pewnego onieśmienia miał powodzenie u kobiet i grał... gdziekolwiek...grał w „Ormianinie”, w „Europie”, na różnych imprezach. – zawsze standardy jazzowe, które wyciszały wszelkie rozmowy. Taki był wtedy szpan, moda i uznanie. Zamykam oczy i widzę Leszka, w małej Sali „Ormianina” po schodkach, siedzącego przy pianinie. A w powietrzu unoszą się opary kawiarnianych dyskusji i tylko lampka przy pianinie pokazuje lekko przygarbioną postać pianisty.

## Pozdrów Adama – 1965 r.

*Pamięci Leszka K.*

Ostatni raz byłem w moim Krakowie przed laty. Może sześć, a może osiem lat temu.

Mimo swojej pięknej i bogatej historii, swojej utraconej stołeczności, swojego turystycznego powodzenia, swojego Wawelu i Barbakanu, swoich Sukiennic i Kopca, mimo urody z „Nawojki” i Starego Teatru, mimo Pałacu” Pod Baranami” i Piwnicy tamże, mimo „Wisły” Pany i „Cracovii” Dziady, mimo „Garbarni” i „Hutnika”, mimo „Floriańskiej” i „Damy z łasiczką”, mimo sarkofagu na Wawelu i Sali ”Hołdu Pruskiego”, mimo Ratusza i Smoka, mimo Krzysztofa Pendereckiego i Ewy Demarczyk, mimo ”Groteski” i Kazia Wiśniaka, mimo Anny Dymnej i tej małej niewidomej, mimo „Płynie Wisła, płynie” i „Wierzynka” – napiszę tekst o jednej pięknej krakowskiej nocy. Byłem wtedy tam, słuchałem z całym tłumem, nie tylko krakusów, tych, którzy odeszli wołam do apelu. Przychodźcie w czerwcowy wieczór 1978 roku. Nazywało się to „Kraków, Poezja i Noc – spotkanie pierwsze” w miejscu pod pomnikiem Adama Mickiewicza na Rynku.

Jak wygląda noc na krakowskim rynku, w świetle wściekłych jupiterów rzucających snopy światła na pomnik Adama, pewnie każdy wie. Jest bajecznie, (choć jeszcze wtedy iluminacji Sukiennic nie było). I tłumy, bo Krakusy lubią w ciepłe noce nie tylko obwarzanki i kremówki, ale pobyc na rynku i „poturłać się” po Plantach.

Pod tym pomnikowym, spiżowym Adamem rozbrzmiewały teksty mówione przez autorów:

- „Ikarze patronie kaskaderów  
święty ludzi chorych na ryzyko  
Błogosław naszym szaleństwom...”  
Tadeusz Śliwiak
- „Spadanie może być  
alegorią lotu”  
Teresa Truszkowska
- „Żyjemy w ciekawych czasach”  
Jerzy Piątkowski
- „...Jest rozumny  
Coraz bardziej  
Wierz w samotniczość...”  
Wojciech Kawiński
- „...Krzyć gębo,  
niemożliwe aby naprawdę działa się to,  
co się dzieje”.  
Anna Świrszczyńska
- „...Jak to możliwe...”  
Krzysztof Gąsiorowski
- „Ależ to nie ptak.  
Ten ciężki buhaj...”  
Jan Bolesław Ożóg
- „Kiedy pierwszy raz zobaczyłem morze  
stwierdziłem że ono nigdy nie wylewa...”  
Krzysztof Lisowski
- „...Podzwonne dla młodości  
jak rana świtu”.  
Stanisław Stabro
- „...jeszcze trwa  
to życie pełne pytań...”  
Andrzej Warzecha
- „...Więc ulica jest twoja...”  
Bogusław Rostworowski
- „...a najwięcej  
takich

którzy nie potrafią  
go ani oddać  
ani sobie odebrać...”

Józef Baran

„...i choćbyś tęsknił  
nie wróci”.

Elżbieta Zechenter-Splawińska

„...O wczesnym rozstaniu”.

Marek Wawrzekiewicz

„...Wspominasz Demostenesa i możesz się  
pocieszyć...”

Wit Jaworski

„...Jeszcze przenosisz czas...”

Bogusław Żurkowski

„nie karz nas kołem...”

Andrzej Kaliszewski

„...Tego świata którym sam byłeś?  
Żal?” ..

Leszek Długosz

„...rzeczowość naszą zwykłą mową...”

Leszek A. Moczulski

„...wychodzisz wtedy  
naprzeciwko  
dzień w dzień  
powtarza się ta gra  
do upadłego  
aż do upadłego...”

Adam Ziemianin

I k o n i e c! Cisza, wszyscy odchodzą, a pod Pomnikiem

Leszek Kociniak organizator z „Estrady Krakowskiej”

P i o t r k o w i a n i n z ulicy Rwańskiej.

(Na podstawie obecności i Programu tej Poetyckiej NOCY!)

## Forum teatrów publicystycznych

Od 26.IX. – 27.IX.1975 roku zorganizowano w Piotrkowie Trybunalskim I FORUM TEATRÓW PUBLICYSTYCZNYCH pod patronatem Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Centralnej Rady Związków Zawodowych. Będąc założycielem piotrkowskiego Teatru Publicystycznego, w 1965 roku postrzegałem organizację tej imprezy, jako pewien symbol, kontynuacji mojej idei. Skorzystałem z zaproszenia i przyjechałem do mojego rodzinnego miasta ze spektaklem Teatru „Forum” z Dąbrowy Górniczej – „Bona fides”. O tyle ten spektakl mieścił się w konwencji publicystycznej, że dotyczył problemów egzystencjonalnych poprzez gest i ruch. Tym samym różnił się od dotychczasowego pojęcia tego typu teatru, w którym dominował przede wszystkim tekst i problem. Pozostałe teatry tj. „Studio Zet” ze Szczecina, „Heliotrop” z Bielska Białej, „Krağ” z Piły, Teatr Ziemi Krakowskiej z Tarnowa oraz Teatr Publicystyczny z Piotrkowa ze spektaklem „Tamten człowiek”.

Dla mnie możliwość zaprezentowania po 7. latach moich dokonań artystycznych w moim mieście, była sporym przeżyciem. To przeżycie udzielało się także moim aktorom. Na naszą prezentację zjawiała się bardzo liczna widownia. Wśród nich przyjaciele, koledzy i znajomi. „Bona fides” był spektaklem odważnym, obrazującym rozterki wewnętrzne. Inscenizacja prowokowała do bardzo kontrowersyjnych odczuć. Jak na Piotrków – była to propozycja odważna. Przyjęcie mojego spektaklu przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Wszyscy, znający mój warsztat reżyserski, byli zaskoczeni formą i przekazywanymi treściami. Dyskusji nie było końca, podobnie jak gratulacji. Dociekano co robię, jak i czy jest prawdą, że treści publicystyczne mogą być wyrażane w formie przeze mnie przedstawionej. Powoływałem się na przykłady teatrów awangardowych, m.in. Festiwal Teatru Otwartego we Wrocławiu czy dokonań Jerzego Grotowskiego. Późną nocą, po obejrzeniu pozostałych spektakli doszedłem do wniosku, że wniosłem do ten cennej inicjatywy jakby powiew czegoś nowego, co może rozwinąć się w piękną ogólnopolską imprezę.

W 1977 roku odbyło się II FORUM. Impreza ze wszech miar pożyteczna, na której spotkały się najciekawsze zespoły uprawiające publicystykę. Spotkały się, aby poprzez sztukę podjąć próbę ukazania spraw ważkich współcześnie i z perspektywy historii, postaw moralnych, filozoficznych, światopoglądowych. Ujęte w kształt spektaklu scenicznego przemawiały do widza z intensywnością większą, niż inne formy wypowiedzi

artystycznej. Stąd też prezentowane spektakle, te najlepsze, bywały głosem pokolenia, reprezentatywnym i godnym uwagi. W Piotrkowie w ciągu trzech dni wystąpiło jedenaście zespołów z całego kraju. Prezentacjom towarzyszyły dyskusje warsztatowe, w trakcie których spierano się o kształt artystyczny spektakli oraz o ich wymowę ideową.

## „Kaczy Dołek”

Siedzę z ojcem w „Kaczym Dołku”, w centrum miasta liczącego sobie ponad 750 lat z ogromnymi historycznymi wydarzeniami z Trybunałem Koronnym na czele. Knajpa jest w piwnicy przy głównym deptaku miasta. Vis a vis kościoła bernardyńskiego. Od wczesnego dzieciństwa moja droga przebiegała obok tej knajpy. Wychodzili z niej o każdej porze nieogoleni, brudni pijani faceci. Co ja tu robię? Siedzę przy śledziku po „japońsku” – okropnym. I słucham ojca.

– Michał. Co ty wiesz. Przecież masz wspaniałe życie. Zazdrościsz ci. Jesteś zdolny, masz powodzenie u kobiet – to po mnie. Robisz karierę. A ja? – I tu następuje bełkot, pijacki BEŁKOT NIE SPEŁNIENIA. Wojny wypaczają ludzi, charaktery i później ci rewanzują się ucieczką w... alkohol. Te lata 60-te, 70-te wypełniane były weteranami wojny, frontu wschodniego, zachodniego i partyzanckiego. Ich bazą był „Kaczy Dołek”. Jak kiedyś napisał Jerzy Pilch „Ojciec mój niebieski i ojciec mój pijany, i pijany ojciec mego pijanego ojca, i wszyscy moi pijani pradziadkowie, i wszyscy moi pijani przodkowie, a także wszyscy nie spokrewnieni ze mną fataliści, coście wiedzieli i co wiecie, gdzie leży gwiazdozbiór Mocnego Anioła, wszyscy, coście się w jego granatowo-złotym blasku urodzili i pomarli – bądźcie pozdrowieni. „Co ja robię w tym „Kaczym Dołku?” Kiedy byłem dzieckiem, nie mogłem dowiedzieć się od ojca, jak to było. Bo go nie było. Później nie było mnie, bo poszedłem sobie w świat. I ten świat nas oddalił. Tylko były momenty. I idealizowanie jego czynów, i usprawiedliwianie jego doli i tę jego słabość do alkoholu. Musiałem i chciałem się zbliżyć, nadrobić tamten czas, odszukać z troski i synowskiej miłości powody. Jak to zrobić? Tylko pozostał mi kompromis – „Kaczy Dołek”. Skąd w tobie tato taki pęd do alkoholu?

– To było dawno – relacjonował ojciec. Miałem 26 lat. W lesie, w Tarasce, Niewierszynie czy w Ostrowie wszyscy pędzili bimber. On nas utrzymywał w potrzebnych w tamtym czasie napięciu do walki z okupantem.



Czuliśmy się bohaterami, walczącymi żołnierzami skasowanej ojczyzny. I wszyscy w pobliżu w ten sposób wyrażali swoją wdzięczność – bimbrem. Też mnie odrzucało. Ale tylko przy pierwszym łyku. Potem już nie było problemów. I wtedy urodziłeś się ty. Byłem dumny i siedząc w tej Tarasce, przed każdą akcją wypijałem odpowiednią ilość tego wstrętnego płynu, aby dodać sobie odwagi i solidaryzować się ze swoimi towarzyszami. Wszyscy partyzanci pili. I to w dużych ilościach, samogon był produkowany, jak woda w Pilicy. Płynął siarczaną gorejącą strugą przez usta, gardło, cały rozdygotany organizm, dodawał odwagi i tłumiał strach. Struga tego samogonu płynęła przez wnętrzości, ta lawa przemierzała wówczas młody organizm i szukała tajnego miejsca, szukała uspokojenia. A gdy akcja się udawała, to było prawdziwe lekarstwo na rozładowanie napięcia i uciechę dawało w spełnianiu sukcesu. I przez kolejne dwa–trzy dni z tej „uciechy” leżałem w zagajniku, w którym ciebie spłodziłem. Pokazywałem tobie tę skarpcę nad Pilicą? I tę polanę? I miałem zdrowie. Rana postrzałowa w udo lewej nogi, odniesiona w 39 roku pod Częstochową, zniknęła bez śladu. Byłem zdrowy, jak ryba, która była najczęstszym naszym posiłkiem. Bowiem ryb w Pilicy nie brakowało. Nikt nie łapał na wędkę, nie było czasu. Mieliśmy swoje sposoby – jeden granat i wyzerka dla całej kompanii. I już kolejna beczka samogonu przywieziona przez Kowalskiego z Ostrowa czy Dybowskiego z Niewierszyna. Dostarczano nam na bieżąco, bo byliśmy dla nich bohaterami broniącymi ich ziemie, ich ugorów, ich piachu przy ujściu Czarnej do Pilicy. Ich lasu, który nie tylko dawał nam bezpieczeństwo, ale i im grzyby, jagody, ściółkę czy opał. No i zwierzynę. Do tych wsi nad Pilicą nie zapuszczali się Niemcy, bo wiedzieli, że MY tam jesteśmy. Byliśmy bezpiecznikami dla tych rolników mało i średniorolnych. I dlatego w ramach wdzięczności, zdarzało się to raz w tygodniu, przywozili połówkę wieprzka albo cielaka. I kolejną beczkę samogonu. I jak tu nie pić?

Tu, w „Kaczym Dołku” nie uświadczysz takiej kaszanki, kiełbasy czy salcesonu, jak tam, w lesie. I kolejne toasty samogonowe. „Za Polskę”! „za zwycięstwo!”, „za syna!”, który rodził się w mojej obecności w okrutną okupacyjną noc.

– Ty masz szczęście. Ile razy byłeś w wieku 26 lat pijany?

– Nie liczyłem. Może 4, może 6 razy. Ale nigdy nie byłem pijany kompletnie. Nie lubię wódki. To dzięki tobie i twojej miłości dozgonnej do niej.

– Synu, co ty wiesz? Żyjesz sobie w cywilizowanym świecie. Jesteś zdrowy, masz żonę i sypiasz z nią, kiedy chcesz. Masz DOM, w którym

słuchasz piosenek Ewy Demarczyk. Masz spokój, pracujesz, jesteś szanowany przez otoczenie i nikt nie musi tobie stawiać beczki z samogonem. Idziesz do „Europy” z przyjaciółmi, wypijasz kilka kieliszków i spokojnie wracasz do domu. Śpisz w swoim łóżku, słyszysz w nocy oddech swoich córek. A ja wtedy?...

– To jest Twoje tłumaczenie. Przecież od wojny upłynęło tyle lat.

– Ale na tym lesie się nie skończyło. Kiedy wkroczyli do naszego życia Sowieci cała moja leśna kompania odliczyła się w szeregach tzw. Ludowego Wojska Polskiego i poszliśmy bić szkopów aż do Goerlitz. Koniec wojny, radość. Ale my zostajemy w formie wojska okupacyjnego. Czy wyobrazasz sobie, co to znaczy wojsko polskie w systemie wojska okupacyjnego w Niemczech? W to było nam trudno uwierzyć. Słałem zatem listy do Marysi – twojej matki. – Kochana potrzebuję kilka litrów spirytusu, którego tutaj nie uświadczysz. I Marysia, kochająca żona, jechała trzy dni z Piotrkowi do Goerlitz, do kochanego małżonka z 3. litrami spirytusu. A w naszym pułku takich żon było około stu. To jak można tam, na obczyźnie, nie pić? Przez kolejne dwa lata radowaliśmy się ze zwycięstwa przy pomocy polskiego spirytusu z polskich ziemniaków. Po powrocie do domu przez kilka dni drzwi się w naszym domu nie zamykały. Przyjaciele, znajomi bliżsi i dalsi witali bohaterów walki, a każdy przychodził z przynajmniej jedną butelką. „Rozszumiały się wierzby płaczące” i inne szlagiery rozbrzmiewały w mieszkaniach i knajpach. Także tu, w „Kaczym Dołku”, ale także na Rynku w „Rybce”, w „Europie” i trwało wielkie święto. I wówczas, w 1947 roku, musiałem wyskakiwać przez okno z pierwszego piętra na Rynek.

– Na granicy pod Szczecinem – kontynuował ojciec – podłożyłem książeczkę wojskową pod kamieniem, tak z fantazji, „ku pamięci”. Kiedy wsiadałem w Berlinie do metra podeszło dwóch tajniaków i poprosiło grzecznie o dokumenty. Nie miałem i znalazłem się w samochodzie kierującym się w kierunku Szczecina. I tak wylądowałem po kilku miesiącach w CWKS. To nie klub sportowy, lecz Centralne Więzienie Karno-Śledcze. Abstynencja dopadła mnie na długie ponad 8 lat. Ale nie będę kłamał. I tam, zwłaszcza w kamieniołomach Piechcina, od czasu do czasu szmuglowano alkohol. Ale w małych ilościach, bo strażnicy kazali nam dużo płacić. A skąd brać, jak „wypiska” wynosiła miesięcznie wartość jednego pół litra z czerwoną kartką.

– Jak to, przecież byłeś więźniem?

– A nie znasz później modnego powiedzenia „Polak potrafi”? O tym wie pół Europy, to jak mogli nie wiedzieć więźniowie, zwłaszcza polityczni? W 56 roku Ochab nas wypuścił. To dla mnie było jak kolejne zwycięstwo. Już byłem przekonany, że jestem u siebie. Ale to była nieprawda. Byłem już niewolnikiem nałogu. Bo jak zwycięstwo, to należy opić. A kolegów, często fałszywie współczujących, nie brakowało. Nawet z twoim wychowawcą Cyrylem popiliśmy zdrowo w „Europie”. No wiesz, ten z podstawówki, który uczył ciebie śpiewu, wf-u i języka rosyjskiego, którego, po latach odkryłeś, że nie znał. Nie przyjąłem żadnej satysfakcji ani gratyfikacji z powodu odsiadki. Odrzuciłem stanowisko i wylądowałem w zakładach mięsnych, których dyrektorem był mój przedwojenny kumpel. To był dla mnie wymarzony świat. Dobre żarcie przez cały dzień, bo byłem brygadzystą, a po robocie spotkanie w mojej altanie w ogrodzie przy Narutowicza. Żarcia nie brakowało, rzodkiewka, szczypiorek i cebula smakowała po południowym posiłku. Codziennie przez mój gościnniec przewijało się od 6.–10. mężczyzn, a w ślad za nimi pod wieczór, ich żony. Musiał bowiem ktoś ich odprowadzać. I jak tu nie pić? Teraz nie ma już ogrodu, jestem emerytem, ale ten cholerny nałóg uczeplił się mnie i nie chce odpuścić. I dlatego pozwoliłem sobie zaprosić ciebie do mojego starego „Kaczego Dołka”. Może jeszcze po secie?

Od tamtego czasu upłynęło 35 lat. Jestem już emerytem. Miałem w życiu kilka alkoholowych incydentów. Ale ten „Kaczy Dołek” nigdy nie zatarł się w mojej pamięci. I udało mi się nie poznać tego cholernego nałogu, którego ciężar dźwigał mój ojciec. Na szczęście?

## Moja podstawówka

Nie pamiętam, kiedy nauczyłem się czytać. Elementarz Falskiego znalazłem na pamięć jeszcze przed pójściem do szkoły w wieku 6 lat. A potem już byłem tym, co czyta: K. Maya, „Chłopcy z placu broni”, „Opowieść o prawdziwym człowieku”, „Przygody Guliwera”, „Pamiętka z celulozy”, „Stare i nowe”, „Trzej muszkietierowie”, „Hrabia Monte Christo”, „Jak hartowała się stal”, „Kamienie na szaniec”, i tym podobne lektury lat 1947–1952

– Musisz zmienić zainteresowania – powiedziała pani bibliotekarka – z tych półek dla młodzieży już wszystko przeczytałeś. Przejdziemy teraz na wyższe półki do literatury dla dorosłych.

Miałem wtedy 11 lat. W głowie jeszcze bohaterów Karola Maya, i wtedy znalazłem dla siebie powieści B. Prusa. Najpierw był „Faraon” i moja

wyobraźnia skierowała się w kierunku historii. A potem wybuch entuzjazmu dla Wokulskiego i bardzo poruszająca moją smarkacką wyobraźnię „Lalka”. Polykałem szybko i tak, aby mama nie widziała, bo czułem, że by mi nie pozwoliła. Dbała bowiem o moje wychowanie. A pasa 25. Pułku Piechoty unikałem jak ognia.

To było moje pierwsze spotkanie z książką. Bez rozumienia.

\* \* \*

W wieku 13 lat zostałem uczniem VIII klasy Gimnazjum im. Bolesława Chrobrego, ale wtedy zmieniono nazwę na I liceum ogólnokształcące. Męskie. I kiedy w trzecim dniu, po wysłuchaniu przemówienia radiowego ministra oświaty Skrzyszewskiego w auli naszej szkoły, wróciliśmy do naszej klasy, pierwszą lekcję mieliśmy z dyrektorem szkoły Stolarskim, który zaczął, po sprawdzeniu listy obecności, czytać nam „Historię WKP(b). A co to było, to WKP(b)”? W domu od mamy o tym nic nie słyszałem, a zdaniem dyr. Stolarskiego to „ważne” i każdy uczeń musi wiedzieć jak najwięcej o powstaniu tej partii w ZSRR.

Po powrocie do domu na żądanie mamy złożyłem jej sprawozdanie z tej lekcji „historii”.

Mama wpadła w szal. – Takie wspaniałe tradycje! Kolegium Pijarskie, ST. Konarski, wybitni absolwenci od wieku, którzy mi zawsze imponowali, a co teraz? Kto jest dyrektorem tego zasłużonego gimnazjum? Jakiś komunista, nie wiadomo czy ma chociaż maturę? Całe szczęście, że profesorowie od nauk ścisłych i historii, to sprawdzone przedwojenne autorytety. – Mamo! A co to było to WKP(b)?

– Michałku! To bandyci, którzy chcą nam narzucić swój ustrój, ale Marszałek ich pogonił.

To było moje drugie spotkanie z książką. Bez rozumienia.

\* \* \*

Kiedy po kilku dniach zauważyłem, że moja młodsza siostra Danusia czyta „Chłopca z salskich stepów” wyrwałem jej tę książkę mówiąc, że „tego się nie czyta, bo to WKP(b).

To było moje trzecie spotkanie z książką. Bez rozumienia.

\* \* \*

Miałem może z 14 lat, gdy znalazłem na półce w naszym domu, już po lekturze kilku powieści Balzaka i Verne'a, „Małżeństwo doskonałe” Van de Velde.. Była to dla mnie fascynująca lektura. Czytałem ją z wypiekami na policzkach. Oczywiście tak, aby mama nie widziała i nie musiała użyć zasłużonego przed wojną pasa. Poczulem w sobie wówczas przypływ męskości i pewną dorosłość.

To było moje czwarte spotkanie z książką. Bez rozumienia, ale z wypiekami.

\* \* \*

Powieści sir A.C. Doyle'a na czele z fikcyjnym detektywem S. Holmesem – i kolejne powieści z tego cyklu, rozpały moją wyobraźnię. Doktor Watson, fajka i Londyn śniły mi się po nocach. Bardzo chciałem zostać słynnym detektywem i podglądać to WKP(b). Kontrastem do tej lektury były powieści H. Sienkiewicza, które wyzwały we mnie ogromny patriotyzm. A Krzyżaków wręcz nienawidziłem. Wówczas nie znałem prawdziwej historii, tylko bajki Sienkiewicza na ten temat. Szczególne emocje wywołało „QUO VADIS”, bo byłem wieloletnim ministrantem.

To było moje piąte spotkanie z książkami. Małe rozumienie, duża sympatia.

\* \* \*

„Przygody dobrego wojaka Szwejka” wprowadziły mnie w zupełnie inny świat wojny od tego, co słyszałem od mamy. I ten świat groteski z tak czynnej służby bardzo mi odpowiadał.

A „Podróże Guliwera” dostarczyły mi nowych pojęć, w znaczeniu; co może być małe, a co duże

To było moje szóste spotkanie z książkami. Chciałem być tam, gdzie Guliwer.

\* \* \*

Kiedy wyrosłem z zabawy na podwórku „w wojnę”, pani w bibliotece podsunęła mi ówczesną współczesną literaturę polską. – Wiem, że ruskiej nie będziesz mógł czytać, bo znam twoją mamę. – powiedziała. I tak nazywałem się Kazimierza i Mariana Brandysów, Jerzego Andrzejewskiego

z „Popiołem i diamentem” oraz „Idzie skacząc po górach”, Tadeusza Konwickiego z „Rojstami”, „Sennikiem współczesnym” i wieloma jego utworami, które towarzyszyły mi przez całe życie, podobnie jak reżyserowane przez Niego filmy: „Salto” i „Ostatni dzień lata”. A ponieważ tamte czasy opanowała moda na „Popiół i diament”, to wzorem filmowego Zb. Cybulskiego nosiłem ciemne okulary i kurtkę z demobilu.

Polubiłem polskie kino i...włoskie. „Kanał” A. Wajdy, „Piątka z ulicy Barskiej”, „Przygoda na Mariensztacie” czy „Rzym miasto wolne” i „Pożegnanie z bronią” z udziałem mojego ulubionego aktora Vittorio De Sica, także „Złodzieje rowerów”.

To było moje siódme spotkanie z książkami. Ale w pamięci został mi fragment filmu z palącymi się kieliszkami – poznałem smak symbolu.

\* \* \*

Nagle stałem się dorosłym, który musiał chodzić do golenia u fryzjera. W wieku 18 lat pochłonęła mnie poezja. Juliusz Słowacki już był od dawna moim poetą; uczyłem się jego tekstów na pamięć. Wyssałem go z piersi matki. Kiedy poznałem Wielką Improwizację Mickiewicza – natychmiast polemicznie odpowiedziałem mu... wierszem. Byłem przecież ministran-tem i moja wiara była bez żadnych wątpliwości szczerą. Tak poruszyłem mojego polonistę, że chodził po klasach i czytał moje wypociny. Byłem dumny i prawie czułem się poetą. Pamiętałem jednak „Treny” Kochanowskiego i przeżycie jakie mi dostarczyły na temat śmierci ukochanej córki. I nagle odkryłem Wyspiańskiego i Kasprowicza. Tego pierwszego nie bardzo rozumiałem z powodu „Wesela”, ten drugi mi imponował. Nie lubiłem Konopnickiej, poza „W piwnicznej izbie”, nie lubiłem J. Przybosa, bo nie rozumiałem. Z tego powodu nie lubiłem też T. Peipera.

To było moje ósme spotkanie z książkami. Jak mi się wydawało, stałem się mądrzejszy i „oczytany”.

\* \* \*

Ponieważ brakuje w powyższym tekście informacji dotyczących poezji pozwalam sobie na małą dygresję. Otóż już od klasy V byłem nadwornym recytatorem w szkole. Nie było akademii czy uroczystego apelu z byle jakiej okazji, abym nie recytował wspólnie z moja koleżanką z klasy jakiegoś tekstu po linii i na bazie. Sztandarowym tekstem był „Bagnet na broń”

Broniewskiego, „Oda do młodości” Mickiewicza, „Zaczarowana dorożka” Gałczyńskiego, i „Lud wejdzie do śródmieścia” Dobrowolskiego. Modne były także teksty o Stalinie, ale po jego śmierci wszystko odwołano. W domu natomiast poznawałem poezję prawdziwą:

Lechonia, Iwazkiewicza, Leśmiana, Herberta, Miłosza, T. Różewicza, T. Nowaka i „Nie było lata” St. Grochowiaka. Zdałem sobie wówczas sprawę z tego, że Broniewski to nie tylko „Bagnet na broń” czy „Komuna paryska” ale piękne teksty o córce Ani i Mazowszu.

I to było moje dziewiąte spotkanie z książką, starą i nową. Uświadomiłem sobie, że poezją należy się zainteresować ale nie próbować jej pisać. Od tego czasu byłem jej wiernym odbiorcą.

\* \* \*

W wieku 20. lat odkryłem reportaż. A może wcześniej, bo przecież byłem czytelnikiem „Dookoła świata” od pierwszego numeru. W nim poznałem wspaniałego Ryszarda Kapuścińskiego i jego relacje z podróży. „Cesarz” stał się moją lekturą na długie lata, ale to już później. Bo później, to znaczy w 1998 roku poznałem się z tym wybitnym reportażystą osobiście i nawet się polubiliśmy. Bardzo interesująca była dla mnie od samej młodości „Polityka” a potem „Kultura”. W tych tygodnikach mogłem czytać Jerzego Waldorffa o muzyce, Jerzego Andrzejewskiego dziennik codzienny czy K. T. Toeplitza felietony filmowe i kulturalne.

W periodyku „Kultura” znalazłem we wczesnych latach 60. drukowany w odcinkach „Raport z Monachium” A. Brychta. Tekst ten zaadaptowałem na scenę i był prezentowany przez Teatr Publicystyczny w ok. 60. spektaklach w całej Polsce.

I to było moje kolejne spotkanie z literaturą. Miało ono ogromny wpływ na moją świadomość i przyszłe życie.

Tytuł mojej refleksji jest cyniczny, z założenia. Do dzisiaj, mimo starości, uwielbiam czytanie. Jest to wspaniałe lekarstwo na optymistyczne życie. Nie tylko swoje.

A czy ty już przeczytałeś wspomniane przeze mnie pozycje?

\* \* \*

## High life w „Wandzie”

Rok 1935. Piotrkowski high-life okresu międzywojennego bawił się na wyścigach konnych. Piotrkowskie Towarzystwo Zachęty do Hodowli Koni organizowało wyścigi konne, które każdorazowo były wydarzeniem w mieście. Głośno było o nich także w całym kraju. W soboty i niedziele odbywały się wyścigi na dystansach 90 km, 8 km, także Derby, Cross-Country czy Wielki Steeple-Chase Armii. Nagrody były znakomite – 10 000 zł czy 2500 zł. Przy akompaniamencie orkiestry wojskowej 25. pp. zjeżdżali na te zawody arystokraci, wyżsi oficerowie, a także wybitni jeźdźcy, jak np. Henryk Dobrzyński, późniejszy major Hubal. Szczególnym gościem był gen. Juliusz Rómmel, który w Piotrkowie pokazywał swój kunszt jeździecki i imponował wszystkim pięknym Piotrkowiankom, a także kibicom na wszystkich torach w całej Europie.

A wieczorami w willi „Wanda” przy ulicy Legionów 12 odbywały się rauty. Do godziny 22 odbywała się wielka wyżerka i, delikatnie mówiąc, picie. Napoje dostarczane były z firmy Zygmunta Banaszewskiego, który prowadził restaurację „U Banaszewskiego”, czy trunki z restauracji „Biały Bar”. Wykwintne zaś jadło pochodziło z restauracji „Świtezianka”, której właścicielem był J. Wolski oraz z „Europy” Szerszyńskiego. A po godz. 22 rozpoczynały się tańce do białego rana. „Czy pamiętasz tę noc w Zakopanem”, „Chryzantemy złociste” pobrzmiwały w wykonaniu orkiestry Romana Krochmalskiego.

Kasyno „Wanda” często gościło nie tylko kibiców wyścigów konnych. Bywali tam także przyjezdni z Łodzi, fabrykanci, kupcy i ludzie literatury. Jednym z odwiedzających dość często „Wandę” był młody wówczas mężczyzna, niedużego wzrostu z charakterystyczną myszką na policzku. Mówiono, że jest dobrze zapowiadającym się poetą, podobnie jak i jego siostra Irena. Przyjeżdżał w szabat, nie pił alkoholu, ale szalenie był zainteresowany pięknymi piotrkowiankami. Spacer do „Wandy” z dworca kolei warszawsko-wiedeńskiej najczęściej odbywał w towarzystwie którejś z cór Koryntu, których ulica Ogrodowa przygarnęła tradycyjnie od lat w godzinach późno wieczorowych. Niektóre z owych pań zapraszał w kąt, przy okrągłym stole, właśnie do kasyna. Siadywał tam zwykle i, jak mówi legenda, właśnie przy tym stole powstała słynna do dzisiaj „Lokomotywa” w wyniku inspiracji przymusowego przystanku kolejowego we wsi Baby na trasie Koruszki-Piotrków. Siedząc ponad 30 minut na bocznym torze w Babach przyglądał się pociągowi towarowemu, który był powodem



odstawienia na boczny tor osobowego z pasażerami. ”Stoi na stacji lokomotywa...” A stała w Babach blisko Moszczenicy. A kiedy już siedział przy bawarskim piwie od „Braulińskiego” zwykle nie zabawiał siedzącej przy nim damy, wręcz ignorował jej obecność. To ona miała trudne zadanie zmuszenia go do dialogu. Sprawiał wrażenie wiecznie nieobecnego. Mówiły owe towarzyszki nocnych eskapad do kasyna, że „ bujał w obłokach”. A orkiestra Krochmalskiego grała kolejne taneczne przeboje tamtych lat i cieszącą się wielką popularnością melodię „Miłość ci wszystko wybaczy”, którą w filmie ”Szpieg w masce” lansowała Hanka Ordonówka, a tekst napisał ów zdolny poeta – Julian Tuwim. Którejś listopadowej nocy zjawił się Tuwim w kasynie ze swoją młodszą siostrą Ireną, która już zasłynęła z tłumaczenia „Kubusia Puchatka” według AA Milne’a, a także baśni braci Grimm. Zaprosił do swojego stolika obecnego w lokalu prezydenta Piotrkowa Stefana Fiszera i zaproponował zorganizowanie biesiady literackiej z udziałem J. Brzechwy, A. Słonimskiego i L. Staffa. Znając środowisko, uznał za stosowne, aby miejscem biesiady stała się sala im. J. Kilińskiego będąca wówczas w gestii Cechu Rzemiosł Różnych. Prezydent przyjął propozycję z zachwytem, ale ówczesni zarządcy Sali odmówili nie podając przyczyny odmowy. W ten sposób nie doszło do jakże znaczącego spotkania wybitnych później pisarzy i poetów. Legenda podaje, że podczas tego wieczoru prezydent Fiszer ugościł Tuwima i jego siostrę, nb. piękną kobietę, ciastkami przyniesionymi prosto z najlepszej cukierni Piotra Borczyka. Słyszała ona przede wszystkim z wybornych wypieków lwowskich z racji pochodzenia właściciela. A Tuwim przepadał za słodyczami i ”zafundował” po powrocie do Warszawy prezydentowi tekst „Tomaszów”, który po latach, już na emigracji, znalazł się w „Kwiatach polskich”. Może, gdyby doszło do wspomnianej biesiady poetyckiej, ten wiersz w tytule miałby „Piotrków”? Nigdy nie wiemy, co tracimy...

Ale kasyno oficerskie w tamtym czasie gościło także wybitnych polityków. Prezydent R.P. prof. Ignacy Mościcki, często wracając do Warszawy z pobytu w Spale, zbaczał „na chwilę” w porze późnonocnej do piotrkowskiego kasyna. Był on bowiem zapalonym myśliwym (założycielem Polskiego Związku Łowieckiego) i jego trofea myśliwskie były w owym czasie – trudnym dla niego, jako zwolennika J. Piłsudskiego – powodem wielu dowcipów.

W Spale prezydent odpoczywał, polował, a także urzeczony tamtejszymi widokami Pilicy i czystością jej wód, lubił się kąpać w otoczeniu dostojników państwowych i kościelnych. Ten wybitny naukowiec-chemik

cieszył się ogromnym autorytetem na całym świecie. Stąd liczne odznaczenia państwowe od Japonii poczynając, a na doktorze honoris causa polskich uniwersytetów kończąc.

Automobil prezydencki, podjeżdżając na Legionów pod „Wandę”, zabierał do Warszawy „najpiękniejsze nogi stolicy” czyli wielce popularną aktorkę „dynamit i fajerwerk” sceny warszawskiej – Lodę Halamę. I, oczywiście, ciastka z cukierni „Roma” Mariana Stępińskiego, które do prezydenckiego samochodu wnosił ekspedient z cukierni, oczekujący w późnych godzinach wieczorowych na przyjazd prezydenta. Wcześniej bowiem Loda Halama wraz ze swoimi siostrami Eną i Alicją dały artystyczny popis swoich umiejętności w kasynie.

Na owym koncercie doskonale bawił się nie tylko piotrkowski high life. Także fabrykanci z Haeblerem (właścicielem huty „Kara i „Hortensja”) czy Poznańskimi (właścicielami włókienniczej manufaktury), których automobile stojące na Legionów, a przy nich ubrani elegancko szoferzy, wzbudzały zainteresowanie przechodniów, a nie tylko cór Koryntu z ul. Ogrodowej. Warto w tym miejscu podkreślić, że ceny w kasynie były niezbyt wygórowane i dlatego wpadali tam także miejscowi działacze sportowi „Concordii” i „Skry”, a także sportowcy z piłkarzami – Marianem Gniewaszewskim i Józefem Gromadzkim na czele. Bowiem chłodnik po litewsku kosztował tylko 1,65 zł, sznycel wiedeński – 2,50, a szczipak smażony – 3,80. Dużą kawę można było wypić za 0,60 zł, a herbatę za 0,40 zł. Najdroższym daniem był kurczak po polsku – 4,30 zł, lody – 1 zł, a ciastko – 0,25 zł. Szczególnie uprzywilejowanymi bywalcami byli wojskowi 25. pp. oraz członkowie Związku Strzeleckiego, gdyż mieli specjalnie upusty w cenach. Można długo wymieniać, kto bywał w „Wandzie”. Łatwiej byłoby wymienić tych, którzy tam nie bywali. Ale to już całkiem inna opowieść.

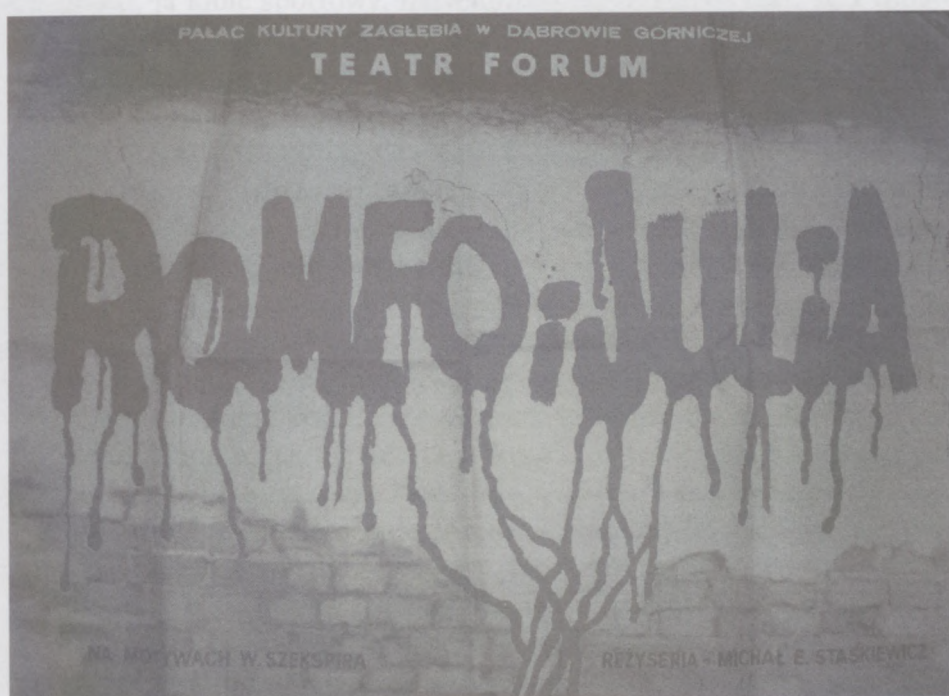


Willa „Wanda” w Piotrkowie Trybunalskim



Ostrogi Śląskie

II. „PIEROŃSKIE ŻYCIE”  
(1968-1985)



Plakat - Andrzej Wojtala

II. "PIERONSKIE CYCLE"  
(1968-1985)



Wojciech - Andrzej Pionowski

„Przeszłość to tylko historia,  
Którą sami sobie opowiadamy”.

## Ostrogi śląskie

Rok 1968 stał się dla mnie i mojej rodziny znaczącym z bardzo ważnego powodu. Nie były to względy natury politycznej, bo to przecież znaczący rok w Europie. Po prostu w wyniku zupełnego przypadku zostałem w miesiącu kwietniu zameldowany na stałe w mieszkaniu mojego kolegi Bolka R. w Zabrzcu. Okres świetności „Górnika” w piłce nożnej właśnie się zaczął, ja kibic sportowy, natychmiast dostrzegłem fakt, że z mojego mieszkania na stadion był dokładnie kilometr. Jak się później okazało, doping kibiców na stadionie dobiegał do moich okien i doskonale orientowałem się, jaki jest wynik meczu, bez chodzenia na stadion. Kiedy wysiadłem w czerwcu z pociągu na stacji Zabrze Gł. była już noc.

Po Krakowie było to miasto, w którym nikogo nie znałem i nikt mnie nie znał. O Zabrzcu wiedziałem tylko, że rok wcześniej w 1967 roku generał Charles de Gaulle odwiedzając Polskę wypowiedział słynne zdanie: ”Niech żyje Zabrze, najbardziej śląskie miasto ze śląskich miast, czyli najbardziej polskie ze wszystkich polskich miast!”

To demonstracyjne zdanie generała odbiło się szerokim echem w całej Polsce, niektórzy poczuli się urażeni, zwłaszcza w Krakowie. Byłem tego świadkiem. A i ja, nie mam co ukrywać, uważałem je za krzywdzące wobec mojego historycznego Piotrkowa, zresztą Trybunalskiego!

Kiedy znalazłem się w pustym mieszkaniu, a właściwie wprowadziłem się do niego z jednym neseserem, nie mogłem przez całą noc zasnąć. Co ja tu robię? Jaka mnie czeka przyszłość? Co mam zrobić w najbliższym czasie? Miałem dopiero 27 lat i życie przed sobą.

Wcześniej rano, wychodząc w centrum miasta z budynku w którym zamieszkałem nagle usłyszałem, jak mleczarka rozwożąca mleko krzyczy do swojej koleżanki-mleczarki w języku niemieckim. Stałem, jak wryty. Gdzie jestem? Czy to nie jest może moja pomyłka z tą przeprowadzką? Przecież nie znam niemieckiego, mój stosunek do niego był wyraźnie określony, po realizacji „Raportu z Monachium” A. Brychta w piotrkowskim Teatrze Publicystycznym.

Wsiadając do pociągu, w celu poszukania pracy w Katowicach, wiedziałem jeszcze, że Zabrze, w wyniku podziału Górnego Śląska w 1922

roku było Hindenburgiem – największą wsią w Europie. Wieś, która miała własny tramwaj, elektrociepłownię i...kasyno.

Dzisiaj, z perspektywy wielu lat mogę z całą stanowczością powiedzieć, że decyzja o zamieszkaniu na Śląsku była decyzją słuszną, bardzo słuszną! Ale wtedy...

„Mamo, kochana, tu na Śląsku jest mi nawet dobrze, ale oni nazywają wszystko na „G”.

Ja wkładam spodnie – oni galoty

Ja schodząc po schodach trzymam się poręczy oni gelyndra

Ja idę do pracy na kopalnię – oni na gruba

Ja odbieram wypłatę – oni gełtag

Najgorsze jest to że mi jest Michał, a wołają na mnie gorol”.

Już w pociągu do Katowic (30 minut jazdy) zdałem sobie sprawę, że stało się coś bardzo dla mnie ważnego. Ja, Piotrkowianin, delegat swojego miasta na Kongres Kultury Polskiej w Roku Tysiąclecia Polski (Millennium), dokonuję zdrady swoich uczuć i emocji na rzecz wielkiej niespodzianki, niewiadomego – Śląska. Zostawiłem gdzieś za sobą całą swoją młodość, dzieciństwo i miałem stać się samodzielnym, dojrzałym mężczyzną. Było mi to, mimo wielu doświadczeń, dość obce. W charakterze miałem ów prowincjonalny sentymentalizm. Owe przywiązanie męczyło mnie przez dość długi okres adaptacji do nowych warunków, nowego otoczenia, nowych krajobrazów i nowych wyzwań.

Wyzwanie pierwsze – znaleźć pracę, aby móc utrzymać rodzinę. Po kilkudniowej penetracji w Katowicach nagle wszystko okazało się... proste. Z przypadku! Znalazłem się w Wydziale Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej czyli dawnym budynku Sejmu Śląskiego.

I na drugi dzień po tej wizycie już jechałem do pracy w tymże wydziale. Jak się po latach okazało, przypadki ciągle mi pomagały i wtedy właśnie okazało się, jak dobrze być osobą publiczną o określonej profesji. Tam już mnie ktoś znał!!! I zatrudnił! Natychmiast!

„Czyś ty Polok? Jo, Polskim.

Ale zech tyż je Ślązokiyem!

Kaj ty miyszkosz? Tu na Śląsku,

Na tym pięknym Polski Konsku!

Kim je Polska? Mą Ojczyzną!

A kim Śląsk? Je Ojcowizną!

Przejesz Polsce? Toć, że przaja!



A Śląskowi? On mo raja  
Pyr szo, on je dycki pyrszy,  
Najważniejszy, najpiękniejszy!  
Skąd się Śląsk wziął? Wziął się z tchnienia  
Ponboczkowego stworzenia!  
Jaką godką godosz? Godom  
Naszą piykną polską mową,  
No, ale tyż fest się storom  
Godać śląską godką, gwara!  
Dbosz o gwara? Chca by była,  
Żeby nigdy ny zginęła,  
Bo Ślązoki to niy gynsi!  
Niyh się nom Ślązakom szczynsi!”

I nagle to śląskie szczęście dotknęło mnie! Mam pracę. Ważną! Jestem potrzebny, a moje doświadczenie (jakże wtedy krótkie?) wystarczyło, abym został zauważony i, o dziwo, potrzebny. Ale przecież moje twórcze myślenie nie widziało we mnie urzędnika, a takim się z przypadku stałem. I, kolejny przypadek, nagle znalazłem się w Stacji Maszyn Analityczno-Matematycznych Zakładów Mięsnych(!!!!) w Bytomiu. Grupa młodych (w moim wieku) komputerowców (w 1968 roku!!!!) zapala się – będą ze mną robić t e a t r.

Jest ich trzynastka, ale jaka? Pierwsze spotkanie odbyło się 28 września 1968 roku, a więc już po trzech miesiącach od mojego przyjazdu do Zabrza. Inteligentni, odcytani, o nieznanym możliwościach i warunkach koniecznych do teatru. Ale chcą się pokazać, gdyż siedzą po 8 godzin przy jakże wówczas skomplikowanych maszynach. Barbara R, Janusz Sz. i inni okazali się nie tylko chętni, ale i zdolni. Po półrocznej pracy jest premiera „Dni gniewu” i sukces. Wygrywają przegląd wojewódzki. Mam satysfakcję, bowiem drugie miejsce zajmuje teatr Poeton, prowadzony przez mojego przyjaciela. Sukces! W ten sposób narodził się Teatr „FORUM” – moja wizytówka na 13 lat.

...ósmego dnia Pan Bóg rozdawał wszystkim  
narodom na ziemi języki i dialekty.  
Wszystkim...tylko dla Ślązaków zabrakło.  
Wysłali oni delegację z prośbą, aby naprawił swój błąd.  
Pan Bóg się zawstydził, pomyślał i odrzekł...  
-Jerrrronie....wyboczcicie chopy!  
Wszystko przez tyn pieroński bajzel.  
To w takim razie bydziecie godać tak, jak jo...”

## Teatr „Forum”

„Człowiek tyle jest wart, ile warte są sprawy, którymi się zajmuje”.

Marek Aureliusz

Było mi w moim rodzinnym mieście za ciasno. Po studiach w Krakowie byłem naładowany pozytywną energią. Wiedziałem, że w Piotrkowie Trybunalskim nie będę mógł się realizować. A pomysły rozpięły mnie energią i rozpałały wyobraźnię. Zabrze – miasto górnicze, miało swój Teatr Nowy. Czulem, że się sprawdzę. Ale nie jest rzeczą prostą, mając 27 lat, wejść natychmiast w środowisko. A środowisko teatralne jest dość szczelnie zamknięte dla ludzi z pomysłami. Znalazłem się w roli... urzędnika. I od razu na newralgicznym stanowisku w Wojewódzkiej Radzie Narodowej za czasów gen. Jerzego Ziętka – Ślązaka z krwi i kości. Katowice mnie pochłonęły. To jest to! Pracując jako urzędnik, postanowiłem coś znaleźć dla duszy. Ponieważ po przyjeździe na Śląsk nie byłem już anonimowy – szybko, bo już we wrześniu 1968 roku założyłem teatr w... Bytomiu. To też przypadek. Wszedłem wówczas z rekomendacji „spożywców” (patrz: klub spożywców w Piotrkowie Tryb.) w środowisko informatyków. Firma nazywała się (?) Zakłady Mięsne – Stacja Maszyn Analitycznych (komputery!). Grupa skonsolidowała się bardzo szybko pod nazwą Teatr Publicystyczny „FORUM”. Publicystyczny, to pozostałość po Piotrkowie. Z tego członu po pierwszej premierze zrezygnowałem. Interesowała mnie s z t u k a teatru, teatru wyobraźni, teatru artystycznego, ale jednocześnie teatru żywego, teatru nieobojętnego na rzeczywistość. No i, oczywiście, kreowanie swoich poglądów, estetyki i, nie ukrywam, pewnej megalomanii. Bez niej nie może istnieć sztuka.

Już po pierwszym sukcesie – zdobyciu z pierwszym programem I miejsca w eliminacjach województwa katowickiego, w następnym spektaklu pt. „Moratorium” przydarzył się incydent, który dzisiaj, z perspektywy upływu 54. lat zainteresować może czytelnika. Otóż spektakl oparty na „Przykazaniach ery atomowej” według G. Andersa i tekstów poetyckich R. Chara, C. Sandburga i Wł. Broniewskiego i wyraźnie pokazywał zagrożenia wynikające z posiadania broni atomowej nie tylko przez USA lecz także przez ZSRR. Zgłosiłem spektakl do udziału w Festiwalu Teatralnym z okazji kolejnej rocznicy rewolucji październikowej. Podczas prezentacji w Małej Sali Teatru Wyspiańskiego przy ul. Wieczorka doszło

do wydarzenia, z którego później wyciągnąłem odpowiednie wnioski. Otóż gdy aktorzy w liczbie 10 osób pojawili się na scenie i spektakl przy dźwiękach „No more Hiroshima” K. Pendereckiego nabierał tempa, nagle... rozległ się głos jednego z jurorów siedzących na sali: „Przerwać to przedstawienie!!!!” Taki teatr z ambicjami nie mógł zadawać Zakładów Mięsnych. Po roku pracy, już nagłośniony w województwie przez pierwsze dwie premiery, znalazł się w domu kultury kopalni Miechowice, także w Bytomiu. Zdecydowała sala widowiskowa. Czy jakkolwiek teatr w Polsce miał do dyspozycji okrągłą salę z pełnym zapleczem i kieszeniami? Nie słyszałem o takim. Teatr „Forum” przez kolejne 4 lata prezentował swoje spektakle i pracował właśnie w takich warunkach. Gdybym miał opisać wszystkie premiery, a także formy, jakie wówczas zaistniały, powstałaby książka. Na V lecie Forum przygotowało „Hamleta” według Szekspira. To słowo „według” jest uzasadnione. Sukcesy wcześniejsze, wyjazdy ze spektaklami za granicę nie satysfakcjonowały władz kopalni. Obchody V-lecia były rewelacyjne. Odznaczenia, gratulacje od władz miasta Bytomia, władz wojewódzkich, ale... Teatr „Forum”, mimo poparcia kierownika wydziału kultury MRN w Bytomiu Leonarda Kędziora, musiał odejść z tego pięknego domu kultury. Radio Katowice codziennie w różnych porach dnia za sprawą red. Andrzeja Babuchowskiego podawało komunikat – Jest do kupienia Teatr „Forum” – Laureat Złotego Wahadła za spektakl „Hamleta”.

I znalazł się kolejny mecenas – Pałac Kultury Zagłębia w Dąbrowie Górniczej. Wówczas „Forum” było już firmą. Naukowcy – jak już wspomniałem – przyjeżdżali jeszcze do Miechowic oglądać to, jak określano, zjawisko socjologiczne; pisano prace magisterskie na temat teatru, prezentowano nas wielokrotnie w TVP, pisano i mówiono o moim Teatrze przy każdej okazji. A propos – film na taśmie 35 mm mam w domu, także reportaż B. Pietkiewicz. W popularnym periodyku „Poglądy” E. Zyman i J. Jaśniak opisali historię z Miechowic pt. „Eksmisja Hamleta”. Duży reportaż o teatrze, wykonawcach, sukcesach i pytania. Dlaczego, po co, kim są? Czy to fascynacja? Szukanie pogłębionego sensu powszedniej egzystencji? Dążność do jej zwielokrotnienia? Przemienne pragnienie intensywnego przeżycia estetycznego, którego dostarcza akt scenicznej kreacji? I autorzy piszą: „Otóż sądzimy, iż w tym przypadku ową siłą był i jest... reżyser. Człowiek, dla którego teatr od najwcześniejszych lat był sprawą najważniejszą. Jedyną. Dla której warto poświęcić nie tylko osobisty czas, ale także znieść wiele rezygnacji z przyjemności przysługujących

normalnym ludziom. To właśnie jego pasja twórcza, wypełniający go niepokój, ustawiczne szukanie nowego było podstawową przesłanką całego szeregu inicjatyw kulturalnych...” itd. itp. Pozostawiam tą wypowiedź bez komentarza.

Okres działalności „Forum” w PKZ można określić jako wielki maraton pracy, sukcesów w kraju i zagranicą. Form, występujących w tym teatrze trudno byłoby zliczyć. Od monodramów, poprzez teatr poetycki, teatr ruchu, publicystyczny, dużych widowisk plenerowych, aż do „Romea i Julii” według Szekspira, którą „Forum” przygotowało na X-lecie Teatru. Była to wówczas 50. premiera (!). Ważną rolę odgrywał także kabaret „Forum”, który mógł się poszczycić dużymi sukcesami. W ciągu 10 lat teatr zaprezentował publiczności ponad 2000 spektakli dla ok. 150 000 widzów. W recenzji ze spektaklu „Romeo i Julia” J. Grzędziel pisał: „Sukcesy teatru „Forum” i Michała Staśkiewicza przyczyniły się niewątpliwie do kulturalnej nobilitacji Dąbrowy Górniczej i jej środowiska artystycznego, które uległo w ostatnich latach widocznemu ożywieniu”. Po hucznym dziesięcioleciu „Forum” kontynuowało swoją działalność kolejnymi premierami.

Przyszedł rok 1980 – wybuch Solidarności zbiegł się (znowu przypadek?) z utratą mojego głosu. I natychmiast znalazła się grupa, która doprowadziła do mojej rezygnacji. Kończyłem swoją twórczą pracę (już niemy) spektaklem „Dzieliła nas od jego twórczości bariera milczenia” według nagrodzonego wówczas Nagrodą Nobla – Czesława Miłosza. Po 15 latach miałem okazję poznać wielkiego poetę osobiście i spędzić z nim 3 dni w Toruniu. Ale to już inna opowieść. Przez 13 lat wyróżniałem z grona swoich aktorów najciekawszych, najlepszych. Otrzymywali tytuł „Filar Forum”(FF). Podam jeszcze raz nazwiska tych Filarów: Jan Szwej, Maria Jaśko-Popławska, Jerzy Szott, Barbara Rataj, Jerzy Szeja, Andrzej Pukszta, Urszula Kocaba, Zofia Ślęczek i Marek Sornat. To najlepsi spośród ponad 200 czynnych wówczas aktorów TEATRU „FORUM”. Kim byli? Studentami uniwersytetu, politechniki, nauczycielami, plastykami, muzykami, pracownikami zakładów przemysłowych, mieszkańcami Bytomia, Dąbrowy Górniczej, Gliwic, Zawiercia, Zabrze, Rudy Śląskiej, Tych, Katowic, Sosnowca, Będzina. Kim jesteśmy? Częstką „Forum”. Jesteśmy tu, bo czujemy się tu potrzebni, bo to jest nasza sprawa. Nic nowego? Być może ..., „Teatr jest dla mnie synonimem więzi” – pisał Maurice Bejard.

## „HAMLET”

Wróć jeszcze do tego ważnego dla mnie przedstawienia. Czym byłoby życie bez marzeń. Zwłaszcza, kiedy się jest młodym mężczyzną, rozkochanym w życiu, w sztuce, w teatrze. Kiedy staje się na głowie, aby być kimś znaczącym, ważnym. Kiedy chce się szpanować w swoim środowisku. A może nie tylko w swoim? Może chce się być popularnym? Może chce się być wielkim, takim Napoleonem? A może chce się być także bogatym? A może ma się jakąś wytyczoną przez literaturę, własną filozofię, ukryty cel? A może, po prostu, jest się zdolnym do wszystkiego, co podnosi adrenalinę?



Plakat spektaklu „Hamlet” Teatru „Forum” 1973 r.  
(autor – Jan Śliwka)

Trudne pytania dla „już” trzydziestoletniego mężczyzny o sporych ambicjach artystycznych, lecz świadomie podejmującego jakby społeczne cele, ukształtowane w dzieciństwie i wczesnej młodości. Rozwijając swoje „skrzydła” artystyczne, w mózgu niespodziewanie pojawiła się myśl, od której można było dostać zawału. A może zabrać się do opracowania „po swojemu” Szekspira? A jak już uporałem się z tą myślą i stała się ona oczywistością, następne myśli krążyły wokół tego, którą ze sztuk wielkiego dramaturga zainteresować się. Dalej – czy moi aktorzy udźwigną taki ciężar? Choć są bardzo sprawni, to jednak amatorzy. O tym, że wybór mój padł na „Hamleta” zadecydowały okoliczności. Także polityczne. Początek lat 70. XX wieku w Polsce – mieszkańcy Śląska wręcz z entuzjazmem przyjęli przejęcie władzy przez ich ziomka, górnika – Edwarda Gierka. Ten entuzjazm mnie porażał. Mimo prozachodnich inklinacji tego „ojca narodu”, zdawałem sobie sprawę z wielkiej niemożności politycznej. Tkwienie w obozie sowieckim nie wróżyło ciekawej przyszłości. Wcześniej, czy później wrócimy do siermiężnej rzeczywistości. Przecież Gierek, to komunista. A jaki komunista nie podporządkuje się naciskom Moskwy? Tak. „Hamlet” może być tą trampoliną, która z jednej strony pokaże rzeczywistość za żelazną kurtyną, a z drugiej strony odbije się szerokim echem, nie tylko w najbliższym środowisku. Akcja „Szukamy Hamleta”, czyli odtwórcy głównej roli, przeszła moje oczekiwania. W Bytomiu, Zabrze, Katowicach, gdzie odbywały się przesłuchania, zgłosiło się ponad 30 kandydatów do zagrania wielkiej roli. Wyselekcjonowana grupa 4. mężczyzn została zaproszona do Zakładowego Domu Kultury kopalni „Miechowice” w Bytomiu. Ktoś zapytał: jak to, w prowincjonalnej dzielnicy Bytomia chcesz wystawiać „Hamleta”? Tak. Ponieważ warunki lokalowe tego domu kultury były fantastyczne do zrealizowania mojego projektu. Okrągła sala na 300 miejsc, duża scena, która w mojej propozycji była miejscem dla widzów, wspaniała klatka schodowa wykorzystana w prologu przedstawienia. Takich warunków nigdzie więcej nie mogłem do realizacji tego przedsięwzięcia znaleźć.

Ale ważne było też to, że pracując z teatrem Forum w tym domu kultury, miałem do dyspozycji ponad 80 osób. Tak, to nie pomyłka. Poza stałymi aktorami w liczbie około 30, doszli ci, którzy przyglądając się naszym kolejnym premierom, sami zapragnęli posmakować sceny. Byli to ludzie w wieku 19.–24. lat, pracujący lub uczący się. Oni przychodzili do domu kultury pograć w ping ponga. A jednak... Kiedy im przedstawiłem scenariusz, podobnie, jak moi wytrawni aktorzy, z aplauzem przyjęli role

statystów. W moim spektaklu bowiem tłum, wzorem greckiego chóru, miał ogromną rolę do spełnienia. I ją wspaniale spełnił. Ale o tym – potem.

Przez ponad 9 miesięcy pracowałem 3–4 razy w tygodniu po 5–6 godzin. Obsada czołowych postaci była wspaniała. Pracowałem bowiem z grupą stanowiącą teatr „Forum” już cztery lata. Znałem ich możliwości, stopień świadomości, a także ich sprawność fizyczną. Bowiem mój „Hamlet”, to spektakl pełen ruchu, ognia, dużych kompozycji ludzkiego ciała i krzyku, milczenia – ciszy. Wspaniale wpisywała się w klimat spektaklu odważna scenografia zaproponowana i wykonana przez Jana Śliwkę. Po latach zakupiono od niego i zrealizowano projekt pomnika przed siedzibą NATO w Brukseli. Jego rzeźby są znane na całym świecie. Mój spektakl, mogę to powiedzieć po latach, stał się punktem zwrotnym dla tego artysty. Kiedy doszło do premiery, zgodnie z moimi oczekiwaniami, była to na Śląsku prawdziwa sensacja. Kolejne spektakle zainteresowały widzów nie tylko z Bytomia, ale i Katowic, Zabrze, Gliwic czy Bielska Białej. Stworzyła się naturalna więź między wykonawcami a widownią, oglądającą spektakl na stojąco. Akcja spektaklu przebiegała na kilku planach, a publiczność prowadzona przez przewodnika z dużym bębniem, zmieniała miejsca wraz ze zmianą akcji. Inscenizacja przeze mnie zaproponowana odbiegała od kanonu teatru tradycyjnego, dotyczy to także zastosowanych w scenariuszu skrótów. Cały spektakl trwał 100 minut i dotyczył przede wszystkim intryg związanych z władzą i samotnością głównego bohatera. Jego postawa w moim spektaklu w sposób jednoznaczny wskazywała, że choroba ubiegania się o władzę musi ponosić ofiary. Drugim ważnym wątkiem była postać Ofelii. Jej los, na tle Poloniusza, jej ojca – wyjątkowej kanalii, z góry stał na przegranej pozycji. Nie chciała ulec namowom ojca i uczestniczyć w intrydze. Masowe sceny z udziałem ponad 50 statystów, robiły na widzach duże wrażenie. Kiedy do Bytomia–Miechowic zjechała ekipa TVP na czele z popularną reporterką panią Barbarą Pietkiewicz i przez tydzień filmowano spektakl o którym powstał film „Chcę być razem, są w teatrze” prezentowany wówczas w bardzo modnym „STUDIO -2”. Kiedy po 5. dniowym pobycie Hanna Krall napisała duży reportaż zamieszczony na pierwszej stronie tygodnika „Polityka” – władze kopalni „Miechowice” pod wpływem czynników zewnętrznych (KM PZPR) po trzech miesiącach publicznej prezentacji „Hamleta”, wyrzuciły teatr i mnie z ich domu kultury. Przez następne 3 tygodnie Polskie Radio Katowice, w swoim codziennym serwisie informowało, że jest

do sprzedania... teatr „Forum”. I znalazł się „nabywca”: Pałac Kultury w Dąbrowie Górniczej. Jego dyrektor, aby teatr mógł dalej prezentować „Hamleta”, który cieszył się niebywałym powodzeniem, zaadoptował piwnice pałacowe dla potrzeb „Forum”. Nareszcie mój teatr zyskał własne pomieszczenia. To była wspaniała zmiana. Los okazał się łaskawszy od bytomskich mecenasów kultury. Wrażenia widzów w nowym, zaadoptowanym pomieszczeniu PKZ stworzyły wokół teatru wspaniały klimat. Władze miasta, jak i dyrekcje (kolejne) Pałacu starały się wspierać teatr. Dojeżdżających z Zabrze, Bytomia, Zawiercia, Tych, Mysłowic aktorów wspierano, pokrywaniem kosztów podróży, nagrodami. W wyniku prowadzonych ze mną rozmów, zamieszkałem w Dąbrowie Górniczej, otrzymując od miasta piękne, czteropokojowe mieszkanie w nowym budownictwie. Zrezygnowałem z pracy w W.O.K. w Katowicach, pozostając na dobrych warunkach finansowych tylko w teatrze, w Pałacu. Już w pierwszym roku „Forum” zaprezentował „Hamleta” w Teatrze Studio Józefa Szajny w Warszawie w ramach Śląskiej Panoramy Kultury. Recenzja ze spektaklu ukazała się nawet w „Trybunie Ludu” (sic). Radio, prasa, telewizja ogólnopolska mówiły o fenomenie z Dąbrowy Górniczej. Cel został osiągnięty, tak jak przewidywałem przy pracy nad scenariuszem i próbami. Muszę tu wspomnieć także o tym, że przez wypadek losowy (aktor, grający Hamleta zachorował) w premierowym przedstawieniu miałem zaszczyt zagrać Hamleta. Tego nie przewidywałem w najśmielszych marzeniach, a jednak... W sumie spektakl został przedstawiony 31 razy, co świadczy o dużym zainteresowaniu nim. Wspomnę, że za rolę Hamleta otrzymałem od Polskiego Radia Katowice „Złote wahadło”, które wisi w moim mieszkaniu do dzisiaj. Pisząc o moim „Hamlecie” nie sposób pominąć obsadę tego spektaklu: Hamlet – M.E. Staśkiewicz, J. Szwej, H. Stanek (przemienne), Klaudiusz – R. Zgierski, Gertruda – M. Jaśko-Popławska, B. Rataj Ofelia – G. Jusewicz, U. Kocaba, Poloniusz – J. Szēja, Laertes – H. Stanek, Horacy – Zb. Zachariasz, Przewodnik – J. Szwej, A. Puszta oraz 31 osób – do inscenizacji zbiorowych scen. Była to wspaniała przygoda dla mnie, moich aktorów i licznych naszych sympatyków. Została doceniona przez uczonych i recenzentów. Oto kilka przykładów:

Był to jeden z cudów, które miałem szczęście przeżyć w swoim życiu. „Hamlet” w wyk. Teatru Forum w latach 1973–74 mnie właśnie ten teatr z przedmieścia Bytomia bardzo by interesował. Czego on jest sygnałem? O czym to świadczy, że taki teatr może tam powstać? Jaka analiza



socjologiczna potrafi nam wyjaśnić, że na przedmieściach Bytomia może istnieć taki teatr? Tylko, że on się jeszcze nie ujawnił, chociaż tam jest. Myślę, że jeśli jest jakaś szansa przywrócenia sztuce znaczenia, taką szansą na dzisiaj jest Teatr „Forum”.

(Prof. Bogdan Suchodolski – 1973 r.)

„Hamlet” w inscenizacji i reżyserii Michała Staśkiewicza wystawiony przez „Forum” na schodach, w kuluarach, w pracowni malarskiej na poddaszu warszawskiego teatru „Studio”, STANOWIŁ PRÓBĘ ODCZY-TANIA UTWORU PRZEZ WSPÓŁCZESNEGO MŁODEGO CZŁOWIEKA. Hamlet i Ofelia w tym ujęciu, to młodzi ludzie, których świat stawia przed coraz trudniejszymi problemami poznawczymi i moralnymi. Dorastają, raz po raz muszą dokonywać wyboru. Próby rozstrzygnięcia konfliktowych sytuacji, jak to się nieraz w życiu zdarza, nie kończą się dla nich dobrze...

(„Życie Warszawy”, C.)

„Szekspirowski teatr posłużył młodym aktorom do całkiem współczesnego potraktowania miłości Hamleta do Ofelii. W przedstawieniu są role pierwszoplanowe, ale gra przede wszystkim zespół...”

(Express Wieczorny”, ww)

Pisali też widzowie. Oto jeden z listów:

4.12.1977 r.

– Teatr „Forum” – Dąbrowa Górnicza

Z prawdziwą satysfakcją obejrzałem w dniu święta Barbórki blok programowy STUDIO-2, w którym znalazł się film dokumentalny „Być razem – być w teatrze”. Filmowy reportaż teatralny Pani Pietkiewicz bardzo mnie zafascynował. Ciekawa była jego koncepcja, jednak najwspanialszym była prezentacja „Hamleta” w wykonaniu aktorów „Forum”. Zwyciężyła młodość, niczym nieujarzmiona, wspaniała poetyka widowiska dramatycznego, unikanie sztampy, świeżość pomysłów, przemyśleń, żywe tempo, rytm przedstawienia, niewidoczny puls dramatyczny, który inspirował wspaniałe misterium „hamletyzmu” – oto główne walory popisowego przedstawienia. Dodać należy spontaniczność zespołu Aktorskiego, bezbłędne prowadzenie zespołu w sensie

całości ujęcia, doskonale pantomimiczne sceny, plastyka postaci, ruch, wspaniały podkład muzyczny i scenografia.

Jakże zazdroszczę tym, którzy mieli możliwość obejrzenia „Hamleta” na żywo w Teatrze „Forum”. Jest to unikalne widowisko w dziejach polskiej dramaturgii. Widowisko można śmiało zaliczyć, dzięki swojej niebanalnej poetyce, aktorstwu, reżyserii do wielkich osiągnięć Teatru Otwartego [...].

Łączę wyrazy poważania i szacunku oraz życzę wysokich lotów do bogini – Muzy Melpomeny.

Wam szczerze oddany –  
mgr Cyprian Antosik

Był to pierwszy po wojnie „Hamlet” wystawiony na Śląsku. Miałem satysfakcję. Filmowy reportaż, nagroda indywidualna dla mnie za rolę Hamleta „ZŁOTE WAHADŁO” przyznana przez Redakcję Kulturalną Polskiego Radia Katowice w 1973 roku.



Hanna Krall napisała reportaż w „Polityce” – 1973 r.

Te dokonania sprawiły, że od 1 stycznia 1974 roku Teatr „Forum” nareszcie doczekał się własnego lokalu w Pałacu Kultury Zagłębia w Dąbrowie Górniczej. Zostałem tam zatrudniony na warunkach umowy o dzieło jako dyrektor Teatru. Graliśmy dalej spektakl cieszący się ogromnym powodzeniem. Muszę przyznać, że warunki lokalowe bytomskiej premiery musieliśmy zamienić na socrealistyczne foyer Pałacu. Jednak scenografia i bogata inscenizacja (szczególnie ruch sceniczny) sprawiły zupełnie nowe wrażenia, nawet dla mnie zaskakujące. Hamlet – król w marmurach pałacowych, to się mieściło w konwencji, ale odbiegało od idei pewnej sierniężności tego spektaklu.

Przez długi okres czasu zadawałem sobie pytanie komu przeszkadzał Teatr „Forum” w Bytomiu? A może tylko w kopalni „Miechowice”? Przecież nie chodziło zapewne o symboliczne pieniądze, mieszczące się porównywalnie w granicach zarobku dyżurujących w tym domu kultury portierów. Czy autorytety naukowców (prof. B. Suchodolski, prof. I. Wojnar), liczne grono ekspertów, krytyków teatralnych i inteligencji Bytomia – Miasta Kultury nie mogły obronić istnienia tego Teatru? Po latach jestem przekonany, że prawdopodobnie ideologia ówczesnego ustroju nie dopuszczała zbyt daleko idącego rozwoju świadomości kulturalnej. Zwłaszcza, co podkreślano wielokrotnie, w środowisku robotniczym!

Potem, w innych miejscach, miałem okazje potwierdzić te tezę. Ale, póki co, z perspektywy lat mogę stwierdzić, że „Hamlet” w całym moim życiu był największym, stworzonym przeze mnie faktem artystycznym. To była fantastyczna grupa ludzi, fantastyczne miejsce do uprawiania prawdziwej sztuki. I właśnie w tym miejscu potwierdzała się misja prawdziwego tworzenia. Zdecydowana większość widzów i mediów ten fakt postrzegała wyraźnie. Komu zatem to przeszkadzało?

— Hamlecie! Hamlecie! Hamlecie! — wijące się w rytm uderzeń bębna postacie w dzinsach, wydają nieregularne okrzyki. Balustrady schodów oblepione bezładnie ciałami milczących świadków pełzającej procesji. Gdzieś po drodze pochodnia. Na półpiętrze płonąca rzeźba: ogień buchający z szyi.

— Hamlecie!

Prowadzący, z olbrzymim bębniem, zaprasza dalej. Przechodzimy do Sali prób Teatru Studio. Wypełnia ją kilkudziesięcioosobowy zespół dziewcząt i chłopców. Bęben dudni nadal. Zespół wykonuje rytmiczne ruchy konwulsji. Zastyga w bezruchu, gdy padają słowa z ust Króla. Oto

ciemieżona, bezwolna masa. Dlatego tak tragicznym głosem przyzywali Hamleta.

Po egzystencjalnym pytaniu Hamleta, owym niezniszczalnym: „Być albo nie być”, opuszczamy salę prób poprzedzani pochodniami i monotonnym pomrukiem bębna.

Stajemy wokół balustrad, okalających niższy poziom hollu. Teraz z lotu ptaka śledzimy dojrzewanie Hamleta do czynu.

Krótkie urywane, gwałtowne oklaski sygnalizują obecność aktorów na dworze duńskim. Scena pantomimiczna podania trucizny i ostre rozporządzenie króla: – Przerwać przedstawienie!

Na nowo rozpętuje się konwulsyjny taniec. Atmosfera grozy gęstnieje. I znowu bezruch dziesiątek ciał. Krąży między nimi nieszczęsna królowa. Teraz wszyscy są Hamletami.

Długo wije się w skurczach Hamlet. Ale nie zdąży powiedzieć wszystkiego. Reszta jest milczeniem. Ktoś nieśmiało wznieca oklaski. Ale milknie spłoszony. Samotne ciało Hamleta pozostaje na lśniącej posadzce.

Specjalnie zabiegałem o to, aby nasz spektakl mógł odbyć się w teatrze Szajny. W tym teatrze bowiem panuje atmosfera przychylności dla poszukiwań plastyczno-teatralnych. Mimo, że jesteśmy teatrem ubogim, to interesuje nas kondycja psychiczna szeroko rozumiana, także widzów. I o tym jest nasza propozycja „Hamleta”. Przygotowania do wystawienia tego dzieła Szekspira trwały ponad 2 lata. Sama idea rodziła się w bólu skreśleń, przełożenia szekspirowskich myśli na obraz i ruch. Stąd tak dużą wagę przykładam do ekspresji. Ona ma zastąpić słowo i znaczyć...

W moim teatrze nie było słów bez myśli. W teatrze „Forum” traktowaliśmy słowa W. Meyerholda: „Teatr nie znosi zastoju i bezruchu. Teatr jako sztuka zawsze się spieszy. Zna tylko współczesność i przeszłość., stara się, aby ze wszystkich sytuacji przebijał dzień dzisiejszy”.

p.s. Kiedy napisałem ten tekst i przesłałem go Mariuszowi Rejdakowi, mieszkającemu w Bytomiu, dostałem informację, że nie ma już budynku i pięknej sali, w której odbyła się premiera mojego „Hamleta”. Spędziłem tam z grupą „Forum” 5 lat. A teraz, w jego miejscu w Miechowicach, jest trawnik i rośnie trawa. A więc rzadki to wypadek, że człowiek przeżyje dłużej niż budynek (nawet piękny). Czy można się z tego cieszyć?

## Moje ślady

Stoję o godzinie 7 rano na peronie w Zabrze. W którą stronę mam jechać? Do Gliwic czy do Katowic? Wybieram Katowice – czysty przypadek. Jestem w tym mieście pierwszy raz – chodzę od drzwi do drzwi po różnych instytucjach – szukam pracy.

Przed budynkiem Sejmu Śląskiego trema. Okazały gmach, kawał historii tego regionu. Ale przecież i tutaj jest wydział kultury. Już wiem, że w tym gmachu urządza bardzo popularny Ślązak Jerzy Ziętek – członek rady państwa, wojewoda śląski. Wchodzę do środka, jadę windą na 3 piętro – dyrektor Zbyszko Mikołajki. – Proszę w tej sprawie zejść do pokoju 392 – powiedziała sekretarka dyrektora. Już w następnym dniu pracuje w pokoju 392. Jestem inspektorem. Ale miałem szczęście, chociaż pomógł mi przypadek. Jak już pisałem, ktoś mnie już znał.

W tym gmachu owianym legendą, w tym gmachu który odgrywał tak ważną rolę w stosunkach polsko-niemieckich, gdzie przez dwa lata codziennie przyjeżdżałem z Zabrze i z dworca szedłem na ul. Jagiellońską. A przecież ten gmach to cała historia miasta oraz całego Śląska. Ta historia, to nie tylko Kattowitz ale i Stalinogród. Historia Katowic to historia nietypowa – pełno w niej jest historycznych emocji, sensacji i kontrowersji. Po dwóch latach bycia urzędnikiem od kultury przenoszę się do WOKO. I tak się składa, że moja nowa instytucja znajduje się także w historycznym miejscu Katowic – dawny reprezentacyjny Wilhelmsplatz, a teraz plac Wolności. Nie było na tym placu pomnika Dwóch Cesarzy (wysadzonego w 1922 roku przez nieznaną sprawców), był w 1970 roku pomnik wdzięczności Armii Czerwonej – „wyzwolicielce” spod okupanta hitlerowskiego.

Szukając miejsca dla mojego Teatru „Forum” trafiłem przez przypadek (znowu przypadek) do dzielnicy Bytomia – Miechowic. Przejechałem swoją „Syreną 104” codziennie w drodze z Zabrze – Rokitnicy do Katowic. Intrygował mnie budynek w którym, okazało się, jest zakładowy dom kultury kopalni „Miechowice”. Wówczas nie zdawałem sobie sprawy, że wybierając sale okrągła w tymże budynku zagram „Hamleta” w historycznym miejscu zamieszkania Franciszka Wincklera (rocznik 1803), który dorobił się wielkiej fortuny i pod koniec lat 30. XIX wieku miał 13 kopalń węgla, 15 kopalń rud cynku i żelaza, 7 hut żelaza i tyle samo cynku i ołowiu – prawdziwy przemysłowy potentat. W 1839 roku rodzina Winklerów przeniosła się do wsi Katowice. Przeniesienie się z Miechowic do

Katowice było symbolicznym wmurowaniem kamienia węgielnego pod przyszłe miasto. I w ten sposób w ciągu najbliższych 20 lat Katowice stały się centrum górnictwa, hutnictwa oraz raj dla finansjery. I pomyśleć, że ten budynek w Miechowicach miał taką bogatą historię. A po kolejnych latach Teatr „Forum” zaistniał w historycznym miejscu – Pałacu Kultury Zagłębia.

Ten socrealistyczny budynek z czasów budowy warszawskiego PKiN miał powstać na życzenie urodzonego w Dąbrowie Górniczej przewodniczącego rady państwa A. Zawadzkiego. Po prostu część 2. pięter przesyłanego pociągami PKiN trafiła do Dąbrowy Górniczej z całą sztukaterią i marmurami. I tak, w piwnicach przez kolejne 9 lat prezentował swoje spektakle mój teatr. W ten sposób rodzenie się Katowic połączyły „pociągi przyjaźni” z Czerwonym Zagłębiem.

## Solidny Ślązak

Wydaje mi się, że znam go od zawsze. To już ponad 40 lat! Lata mijają, jedni koledzy i przyjaciele umierają; z innymi nasze drogi gubią na przetrzeni czasu; są też tacy, których należy wymazywać z pamięci z wielu powodów. Nieliczni przetrwali. Do tej nielicznej wieloletniej grupy moich przyjaciół zaliczam pewniaka – Jurka.

Poznałem go, gdy mieszkał w Zabrze-Mikulczycach, jeszcze był kawalerem. Dzisiaj mieszka w Heidelbergu i ma już dorosłych dwóch synów i wnuczki. Daleko? Ale i blisko.

– Cześć! Co słychać? – regularnie dzwoni do mnie, nie licząc się z kosztami. Mieszka w pięknym historycznym, uniwersyteckim mieście podobnym do mojego (?) Torunia.

„Matka mądra jak wieża kościoła  
Matka większa niż sam Rzymski Kościół  
Matka długa jak transsyberyjska  
Kolej i jak Sahara szeroka

I pobożna jak partyjny dziennik  
Matka piękna niczym straż pożarna  
I cierpliwa jak oficer śledczy  
I bolesna jak gdyby w położu

I prawdziwa jak gumowa pałka  
Matka dobra jak piwo żywieckie  
Piersi matki dwie pobożne setki

I troskliwa jakby bufetowa  
Matka boska jak Królowa polski  
Matka cudza jak Królowa Polski”

(Rafał Wojaczek „Ojczyzna”)

Jurek był pierwszym laureatem z tym właśnie tekstem Ogólnopolskiego Konkursu Poezji Śpiewanej, która to dyscyplina jest do dzisiaj bardzo popularną formą wyrażania ekspresji poetyckiej na scenie. To był początek lat 70., wygrywał w tej kategorii także „Złoty Lemiesz” na Ogólnopolskim Festiwalu Poezji J. Przybosa w Rzeszowie czy „Zapalanej Świcy” w Opolu. Ogromny wpływ na jego interpretację wyniosłem od Ewy Demarczyk. Miałem bowiem zaszczyt studiować w Krakowie, kiedy ona kończyła Wyższą Szkołę Muzyczną ( na I piętrze przy ul. Bohaterów Stalingradu) a ja studiowałem na II piętrze.

Zawsze był solidny, prawdomówny, wspinał się w budowaniu swojej świadomości, swojej dojrzałości, swojego wykształcenia na moich oczach. Byłem świadkiem jego skoku w ŻYCIE. Był także świetnym aktorem. Jego udział w spektaklach „1044”, „Torby pełne głów”, „Retro Meeting”, „A gwiazdy świeca i płoną...” wyróżniał się z grupy swoim charakterem. Jego pasja, pracowitość i talent były widoczne już od pierwszego naszego kontaktu w teatrze „Forum” w Bytomiu.

Był jednym z nielicznych bohaterów reportażu Hanny Krall w tygodniku „Polityka” i później w Jej książce „Siedem odcieni bieli”. W „Hamlecie” grał Poloniusza.

Rok 1974. Katowice. Dzwoni telefon. Tu redakcja „Polityki”. – Proszę z panem Staśkiewiczem. – Słucham. – Łączę z redaktorką Hanną Krall.

– Widziałam w telewizji zrealizowany przez Barbarę Pietkiewicz reportaż „Chcą być razem, są w teatrze. Bardzo mnie zainteresowała realizacja przez pana w Teatrze „Forum” – „Hamleta” według Szekspira. Czy to prawda, że przy realizacji wykorzystał pan amatorów? Nie ma w tym spektaklu profesjonalistów?

– Tak, to prawda. Prowadzę ten teatr od 5 lat i mam bardzo doświadczonych aktorów, laureatów wielu konkursów recytatorskich i poezji śpiewanej.

– Czy możemy się spotkać? Jestem zainteresowana poznaniem tych pańskich „aktorów”. Mogę przyjechać na 5–6 dni. Proszę mi to umożliwić.

Restauracja „Polonia” słynęła z bardzo dobrej kuchni. Szczególnie przypadła mi w niej do gustu golonka z grochem purée. Bywałem tam często, podobnie jak luminarze katowickiej kultury z Wilhelmem Szewczykiem i Kazimierzem Kutzem na czele. Wielokrotnie też jadałem tam uroczyste kolacje z okazji bądź to premiery teatralnej, bądź innych wydarzeń, gdy byłem dłużej w Katowicach (mieszkałem bowiem w Zabrzju).

– Proszę połowę porcji zupy pomidorowej. – poprosiła kelnera redaktor H. Krall.

Dlaczego ona prosi tylko połowę porcji? Zadawałem sobie w duchu to pytanie. Czyżby chodziło o rachunek? Przecież ja ją zaprosiłem. U nas, na Śląsku jak się zaprasza, to się płacił. Po chwili wszystko się wyjaśniło. To z powodu diety odchudzającej. Och, te Warszawianki.

Przez kolejne 5 dni odwiedzaliśmy moich aktorów w miejscu ich pracy, w ich mieszkaniach, na uczelniach. Nie uczestniczyłem przy rozmowach pani redaktor z kolejnymi bohaterami mojego „Hamleta”.

Nie przedstawienia nie obejrzała. Jak to? Nie chce oglądać „Hamleta” to o czym chce pisać?

Wreszcie na trzeciej stronie ozdobionej rysunkiem J. Kofty (po raz pierwszy w „Polityce”) jest bijący w oczy tytuł „Hamlet”. Czytam i oczom nie wierze. To jest zupełnie inne zjawisko. Dla mnie ważne, nie odkryte przez publiczność, przez samych aktorów.

Na drugiej stronie książki wydanej przez „Czytelnika” pod tytułem „Sześć odcieni bieli” autorka Hanna Krall napisała w 2000 roku: „panu Michałowi jednemu z moich ulubionych bohaterów najserdeczniej Hanna Krall”.

Dopiero po ukazaniu się reportażu mogłem stwierdzić, że moja premiera i jej talent pozwoliły na stworzenie w tamtych gierkowskich czasach czegoś nietypowego. Czegoś odkrywczego. Jak to było możliwe w takim ustroju, z takimi tematami.

Jednym z głównych bohaterów owego reportażu stał się Jurek. I tu posłużyć się cytatem:

*Poloniusz, dworzanin królewski, ma niedobory w magazynie, dzisiaj zauważył brak suwmiarki, a wczoraj palnika(...). Mimo wszystko nie chciałby stracić tej pracy.*



W domu mieszka w jednym pokoju z żoną, matką i dzieckiem (w drugim pokoju – siostra z dziećmi, w kuchni ułomny brat) i tylko tu w narzędziowni może jeszcze znaleźć skupienie i spokój tak potrzebny w pracy nad rolą. Jeśli wspomina więc o nieczynnej tokarni, o której dyrekcja ciągle jeszcze nie wie, to tylko całkiem prywatnie. Od roku jest ta tokarnia i nikt nic nie mówi, to teraz on miałby nagle wstać? On nie jest od zebrań. Zabiera głos na scenie i stamtąd odwołuje się do ludzi, których, jak wiemy, bez przerwy trzeba na pewne rzeczy uczulać.

Wystarczy? I cały reportaż utrzymany w tym właśnie stylu. I na przykładzie codziennych zajęć moich aktorów odtworzyła rzeczywistość tamtych lat siedemdziesiątych, lat z hasłem naczelnym „Aby Polska rosła w siłę a ludzie żyli dostatniej”.

W 1974 roku otrzymał tytuł „FILAR FORUM” i był jednym z pierwszych laureatów tego szanowanego przez nas w „Forum” wyróżnienia, który miał charakter honorowy.

Jego rola ojca Laurentego w premierze „Romea i Julii” z okazji 10-lecia naszego Teatru. mimo rozlicznych obowiązków zawodowych, wypełniała jego osobowością główny nurt spektaklu. Mam jeszcze po tylu latach w pamięci jego role.

Jego najmocniejszym atutem i wrodzonym talentem był kabaret. Świetnie śpiewał, wspaniale pointował teksty. Od pierwszego programu kabaretu „Forum” – „Cierpiśława” był jego gwiazdą (mimo złamanej nogi). Oklaskiwali go widzowie nie tylko Śląska i Zagłębia. Podczas kabaretonów w Tychach czy w Zakopanem wzbudzał podziw także jurorów: T. Toeplitza. R. Grońskiego, B. Miecugowa A. Kreczmara czy L. Śliwonika. Publiczność Domu Staromiejskiego w Warszawie oniemiała na naszym kabarecie z okazji katowickiej Panoramy. To było jego miejsce, tu czuł się wyjątkowo uprzywilejowany. Jego walory wokalne zaowocowały pełnym blaskiem. Bardzo go wspierali kolejni akompaniatorzy, a zwłaszcza Andrzej Gołąb. Mimo, iż się ożenił i urodził mu się syn, podjął próby awansu społecznego (nauka), wtedy zaniedbywał się w kontaktach z „Forum”. Pamiętam Jego udział i mam zakodowane w pamięci obrazy ze spektakli „Torby pełne głów”, „!044” „Retro Meeting”. Pamiętam garderobę po spektaklu „Toreb...” – wszyscy mokrzy od potu, z ogniem w oczach, nie byli w stanie ostygnąć – teoria Stanisławskiego spełniała się w całej okazałości. I to działo się u amatorów. U Jurka nie było rzeczy niemożliwych. Jego upór i konsekwencja w wypełnianiu zadań aktorskich miała wpływ na pozostałych aktorów. Czulem, że trochę męczy się

w tym moim gorsecie reżysera. Chciał iść swoją drogą. Po maturze rozpoczął pracę w domu kultury w Bielszowicach. Stworzył konkurs „Śląska Paproć”. Byłem z niego dumny. Moja szkoła – myślałem nieskromnie. A to przecież była jego – Jurka szkoła, uczył się bowiem szybko i potrafił wyciągać wnioski. Był cholernie ambitny i konsekwentny.

Popis Jurka w „Retro Meetingu” w dużym stopniu także utkwił mi w pamięci i jego zakończenie – spuszczenie żelaznej kurtyny, a później jej podniesienie. Była to jedna ze scen o dużym ładunku emocjonalnym, zwłaszcza politycznym. Uważam tę scenę za jedną z najciekawszych zabiegów inscenizacyjnych w mojej karierze reżysera. Lech Śliwonik po spektaklu pogroził mi palcem – „Oj, Michał, Michał!” On mnie zawsze czytał.

Nawrót naszej współpracy z Jurkiem nastąpił w spektaklach Teatru STT – cykl premier Sindbada, to kolejne kreacje Jurka – Ali Baba, wódz Indian – tak, to prawda panie magistrze Szeja – solidny Ślązaku.

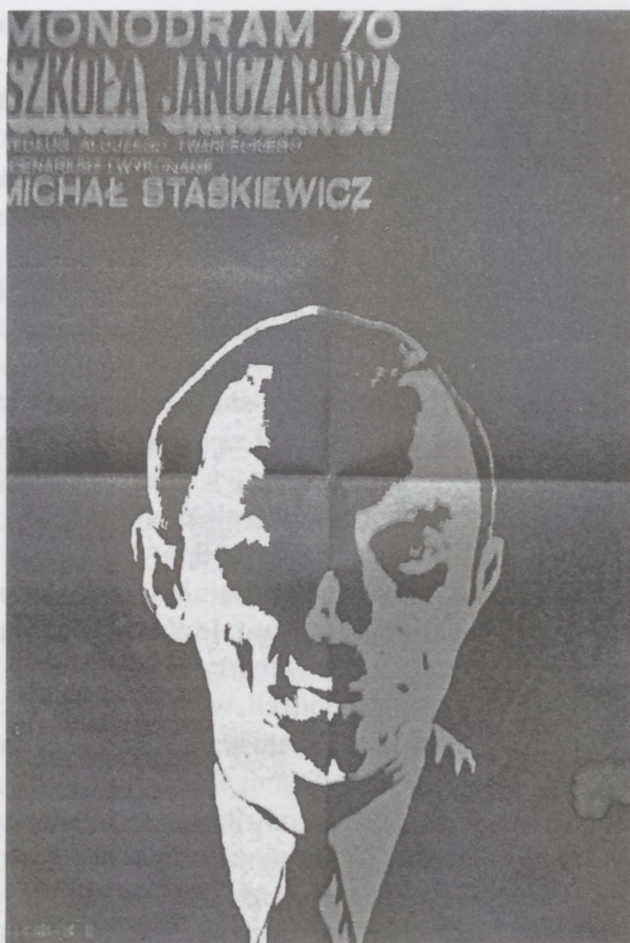
„Czy tędy nie jechała,  
Kareta moja mała  
Moja tęsknota, Kareta złota?...”

## Monodram 70.

Moda na teatr jednego aktora opanowała w tym czasie (1970) całą Polskę. W Toruniu funkcjonował Festiwal Teatru Jednego Aktora, podobny istniał także we Wrocławiu.

W wyniku powstawania wiejskich i miejskich kameralnych placówek upowszechniania kultury zwanych klubami „Ruchu” lub „Rolnika” powstała baza, która była zainteresowana prezentacją takiej właśnie formy.

Mimo rozlicznych zajęć, pracy etatowej w Wojewódzkim Ośrodku Kultury w Katowicach, prowadzenia Teatru „Forum” w Bytomiu, Teatrów Rozmów w Zabrze, a później w Siemianowicach Śląskich, czułem głód samokreacji, zmierzania się osobiście i konfrontowania moich możliwości z widownią. Po okresie dwóch lat zamieszkiwania w samym centrum Śląska – Zabrze poznałem problemy z jakimi borykali się tutejsi mieszkańcy. W tym okresie rodowici Ślązacy, tzw. „krzoki”, marzyli o tym, aby móc wyjechać do RFN, do swoich rodzin bądź stać się emigrantami z Polski. Buntowałem się, ale byłem tylko „ptokiem”, a tacy nie znali specyficznego



kultu niemieckiego, kultu pozostającego w głęboko zakorzenionych tradycjach i, oczywiście, powojennym dobrobycie Niemiec. Paczki otrzymywane z RFN od rodzin, w czasie, kiedy w Polsce obowiązywała ścisła reglamentacja żywności, a właściwie wszystkiego – te paczki tworzyły legendę dobrobytu i nie odbiegały od rzeczywistości. I w tym nastroju nagle przeczytałem w warszawskiej tygodniku „Kultura” pierwszy odcinek wspomnień Alojzego Twardeckiego z jego dzieciństwa spędzonego podczas okupacji w domu dziecka tzw. Lebensborn i późniejszym odkryciu, że jest dzieckiem z Polski. Nie mogłem doczekać się po przeczytaniu pierwszego odcinka na następny. Postanowiłem w oparciu o losy Twardeckiego przygotować scenariusz monodramu. Zadaniem tych ” domów”, po dokonaniu selekcji i wyszukiwaniu czystej nordyckiej rasy zabranych rodzicom

dzieciom, było ich wychowanie na tzw. janczarów, oddanych w służbę nazistów hitlerjungend. Po latach, będąc już dorosłym, mając niemieckich rodziców, nagle odkrywa listy pisane przez jego autentyczną matkę – Polkę. Nie może uwierzyć w to, czego dowiaduje się z tych listów. Przyjeżdża do Polski, aby wyjaśnić nieznaną kobiecie, że nie jest jej synem. Dzisiaj, po wielu perypetiach, mieszka w Polsce i ma dwie rodziny – polską i przybraną – niemiecką.

Z okazji inauguracji nowego sezonu artystycznego w Katowicach, w centrum miasta, w katowickim MKPiK-u zaprezentowałem swój pierwszy monodram – „Szkolę janczarów”. Jedyńm rekwizytem, poza długopisem i kartka papieru był 12 cm misiu kupiony dwie godziny przed premierą na ul. Mariackiej za 18 zł. Stał się on podczas mojego monodramu najważniejszym rekwizytem wiążącym mnie, dorosłego, z jakże okrutną przeszłością. Ten monodram stał się moim markowym znakiem rozpoznawczym. Grałem go w całej Polsce. Spotykały mnie różne przygody. W Zabrze, w kopalni Makoszowy zagrałem ten spektakl, a na widowni siedzieli kandydaci do wyjazdu na stałe do Niemiec. Grałem w Gliwicach, w Technikum Mechaniczno-Elektrycznym. Już po 3. minutach czułem niechęć do tematu wśród młodych, wychowanych w kulcie Reichu widzów. Przez kolejne 50 minut toczyłem walkę o to, by chcieli słuchać.

Innym razem, w Tarnowskim Domu Kultury na spektaklu obecny był mój tata. Zabrałem go z sobą, nie mówiąc, po co jedziemy z Zabrze do Tarnowskich Gór. Po spektaklu, w hollu, widziałem dyskusję mojego ojca z jego rówieśnikami. Nie chciałem przeszkadzać. Po 30 minutach, w samochodzie usłyszałem od ojca: jestem z ciebie dumny. I to była najlepsza recenzja, nie licząc setki innych publikowanych w ówczesnej prasie.

Grałem „Szkolę janczarów” przez 11 lat i wykonałem 1120 spektakli. Tak, to nie pomyłka. I mogę śmiało dzisiaj napisać, że dzięki zarobionym finansom żyło się mnie i mojej rodzinie lepiej. Wyprzedziłem w ten sposób czas, miałem prywatny teatr.

Po latach, w 1983 roku, wróciłem do formy teatru prywatnego i bardzo mi się ten powrót opłacał. Ale to już inna opowieść.

Mogę dzisiaj stwierdzić, że monodram każdorazowo przeżywałem inaczej, nigdy się w nim nie poddałem rutynie, to zawsze dla mnie była psychodrama.

## Teatry Rozmów

Zawsze miałem słabość do teatru faktu, historycznego, a zwłaszcza współczesnego. Teatr Rozmów przy domu kultury Kopalni Rokitnica w Zabrze powstał jakby w kontynuacji piotrkowskiego Teatru Publicystycznego. Chciałem kontynuować i uteatralniać problemy ówczesnej młodzieży. Materiałem do scenariusza, i to bardzo dobrym, okazały się listy do „Agory” – rubryki miesięcznika twórczego „RADAR”. Młodzież w tych listach poruszała bardzo szczerze problemy, które w tym czasie ich interesowały. Tak powstał pierwszy program Teatru Rozmów „My 70–Rzecz o autorytecie”. W czasach owych traciły, w wyniku takiej a nie innej polityki państwa (czyt. partii), autorytety tradycyjne: wiara, rodzice, nauczyciele, itp. I właśnie miesięcznik „Radar” podejmował m.in. te problemy. Moim zdaniem, na ówczesne czasy było to bardzo interesujące czasopismo. Poezja, wieści z Zachodu, relacje z podróży, wywody filozoficzne na temat – jak żyć – to tylko wycinek poruszanych przez „Radar” problemów.

Teatr Rozmów powstał w wyniku spotkania z uczniami 3–4 klasy liceum. Po godzinnym spotkaniu młodzież w liczbie 12 osób „kupiła” mój pomysł.

Ponieważ w tym czasie mieszkałem nieopodal domu kultury, dochodziło 2–3 razy w tygodniu do spotkań. Młodzież ćwiczyła dykcję, dowiedziała się o interpretacji. Były ćwiczenia z ruchu i kontakty z muzyką (wtedy rockową). Już na wstępie muszę dodać, że kilkoro z tych licealistów tak się zapaliło do uprawiania teatru, iż po skończeniu liceum uczestniczyli w pracy mojego najważniejszego – Teatru „Forum”. Do tej grupy należeli m.in. Zb. Zachariasz i Andrzej Puksza, późniejszy „Filar Forum”, inżynier drogowy zresztą.

Wracam do pierwszej premiery TR. Praca z tak młodymi ludźmi była dla mnie nowym doświadczeniem. Sam byłem zdumiony, jak szybko nawiązałem z całą grupą kontakt. Byli tak rozemocjonowani moimi propozycjami, że już po 3. miesiącach doszło do premiery. Ważnym elementem naszej pracy był fakt współtworzenia scenariusza. Pierwszy raz w swojej pracy pozwoliłem na ingerowanie w teksty, aby odzwierciedlały opinie i stanowiska właśnie tej grupy. I udało się! Na premierze moi Akto-rzy doznali satysfakcji – przyszło całe ich liceum. Przyjęcie spektaklu było tak gorące, że przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Oni naprawdę w tym spektaklu prezentowali stosunek do AUTORYTETU, że można było stwierdzić, dlaczego nikt dotychczas nie wpadł na taki pomysł.

Po premierze posypały się zaproszenia z występami w Katowicach, Bytomiu, Zabrze, Gliwicach czy udział w Centralnej Scenie Amatora w Kaliszu. Po występie w Kaliszu o Teatrze Rozmów pisała z zachwytem prasa ogólnopolska, periodyki kulturalne zamieściły recenzje a przedstawiony problem: kto jest dla młodzieży autorytetem stał się dyżurnym w prasie i radio Katowice. Występy dla tej młodej grupy były jednak utrudnione ze względu na zbliżającą się maturę. Nie mogłem ich dociążyć nowym zadaniem, ale zostałem przez nich samych zmuszony do przygotowania kolejnej premiery – „Rzecz o nas samych”. I ten spektakl przyniósł młodym wykonawcom dużo satysfakcji. Ale Matura! I wszystko się skończyło. To był błysk, że można...



Moje córki Julia i Ania w Zagórz – 1998 r.

Teatr Rozmów przy domu kultury kopalni „Michał” w Siemianowicach Śląskich powstał w 1971 roku i był kontynuacją tego typu teatru z Zabrze.

Działająca w domu kultury kawiarnia stała się pewnej niedzieli miejscem powstania teatru w dzielnicy Siemianowic-Michałkowicach, miejscu zamieszkania górników kopalni „Michał”, w wyniku przypadkowego wejścia tam Michała (kolejny przypadek) mojej skromnej osoby. Nigdy go

tam nie było. Królował w tej dzielnicy hokej na trawie i siatkówka, podnoszenie ciężarów i oglądanie TV.

W niedzielę 1971 roku, chyba w listopadzie, spotkali się więc: Danuta Breguła, Gabryś Samulska, Teresa Szwarz, Irena Wodejko, Franek Buchta, Janusz Deszcz, Czesław Słabosz i Bernard Jaksy. Wszyscy byli córkami i synami górników, mówili piękną śląską gwarą i stanowili paczkę z osiedla. Już na drugim spotkaniu tej grupy uświadomiłem sobie, ile mnie czeka pracy nad polską mową, dykcją, nie mówiąc o interpretacji. Ale to było moje kolejne doświadczenie. Zapaliłem się do pracy.

Ćwiczyliśmy późnymi wieczorami, oni byli już dorośli i mogli wracać do domów po 22. Byli także pracowici i uparci. Naładowani dobrą energią. Nie mogłem ich zawieźć. I... udało się. Po 5. miesiącach doszło do premiery „MY-70”. Program był jakby kontynuacją teatru publicystycznego, prezentującego cykl o młodziuży.

Michałkowicką osadę ukształtowała kopalnia, określając i dzisiaj jej byt materialny i obyczajowość. Jak wszędzie jednak, i tu górnictwo sprzyjało pewnej izolacji i hermetyczności środowiska. Stałe ciśnienie do spraw technicznych odwracało poniekąd zainteresowania dla wartości humanistycznych.

Z powstaniem Teatru Rozmów wiązano niejedną nadzieję. Celem najważniejszym było podniesienie kultury języka polskiego, stworzenie dopingu ku literaturze.

Nieobojętne w tym całym przedsięwzięciu były problemy młodzieży, która w popołudniowo-wieczorowych godzinach zalegała stoliki kawiarniane.

Na premierze programu „MY-70” wystąpiło 8 wykonawców, w trakcie przygotowywania kolejnej zespół rozrósł się do 16 osób. Kiedy w trakcie premierowego spektaklu, w tejże kawiarni, padały z ust wykonawców kwestie:

„To przecież nieprawda, że my jesteśmy źli, podli, głupi i nudni. Być może tak oceniają nas czasami ci, których główną domeną są plotki”.  
Albo:

„To społeczeństwo nas zepsuło. Pozwoliło mieć wszystko, co chcieliśmy. Pozwoliło łatwo zdobywać i realizować nasze zachcianki” – rozlegały się, ku mojemu zaskoczeniu, oklaski. Spektakl wbijał widzów w krzesła.

Po spektaklu, wykonawcy w ogromnych emocjach, po konfrontacji z widownią (była dyskusja – wiadomo – Teatr Rozmów), mówili: „To, co

nam pan Staśkiewicz zaproponował, było takie inne i fascynowało. Dziś cieszymy się, że nam wyszło” (Franek Buchta).

Jak pisała w „Tygodniku Powszechnym” w listopadzie 1970 r. Danuta Wernic: „Ten teatr jest niepowszednim zjawiskiem, które cieszy”. „Ten teatr jest czymś zupełnie nowym, zarówno w treści, jak i w formie, jest funkcją podwójną: rozrywkową i wychowawczą”.

I dalej D. Wernic pisała: „Michał Staśkiewicz – reżyser z wykształcenia, pedagog z urodzenia i wielki przyjaciel młodzieży, potrafił tego dokonać. Jemu więc w dużej mierze Michałkowicki Dom Kultury zawdzięcza swoją sławę, która wyszła już poza ramy województwa”. A wybitna śląska krytyk teatralna red. Irena T. Sławińska na łamach „Trybuny Robotniczej” napisała: „Temat korespondencji okazał się frapujący, nikogo nie pozostawia obojętnym. Dotyczy przecież najżywotniejszych spraw współczesnego pokolenia młodzieży, ukazanych szczerze, z pasją i żarem – jak tylko to w listach jest możliwe. Młodzież ta nie chowa głowy w poduszkę – pyta, polemizuje, broni się czy nawet oskarża”.

Czyż po blisko 40 latach nie mam prawa chwalić się takimi opiniami pod moim adresem? Uważam, że takie moralne prawo mam!

Muszę w tym miejscu napisać o sprawie, która wynikła z mojej pracy w Teatrze Rozmów. Otóż w wyniku tego kontaktu powstała na następne 15 lat stała moja współpraca z dyrektorką Wydziału Kultury Miejskiej Rady Narodowej w Siemianowicach Śląskich panią Alfredą Barnaś. W wyniku tej współpracy, na szeroko rozumianym polu kultury w tym mieście, po upływie 11 lat powstał kolejny mój teatr – Siemianowicka Trupa Teatralna z cyklem spektakli na temat przygód Sindbada. Trupa tym razem przygotowywała spektakle dla dzieci, które cieszyły się niebywałym powodzeniem w Polsce. Zaprezentowała ponad 2000 spektakli, przygotowując 5 premier. Ale to już temat do innego rozdziału.

## Widowiska plenerowe

Kiedy miałem za sobą ponad 30 premier w różnych konwencjach teatralnych przyszła moda na duże widowiska plenerowe. Był to okres lat 70-tych, lata sukcesów, zdaniem ówczesnego I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka. Będąc na Śląsku trudno było nie zauważyć, jak ogromną rolę odgrywała w tym czasie komunistyczna propaganda. Wielkie święto „Trybuny Robotniczej”, odbywające się w chorzowskim Parku Kultury



i Wypoczynku, duże widowiska plenerowe na Stadionie Śląskim realizowane przez pana Dziembę czy liczne pikniki, skierowane do górników i hutników – „soli ziemi śląskiej”. Ograniczę się tylko do wyliczenia zrealizowanych przeze mnie scenariuszy i reżyserii widowisk przygotowanych w województwie śląskim. W każdym z tych widowisk uczestniczyło ok. 2 000 wykonawców. Widownia, zwykle w centrum miast, gromadziła 10 – 12 000 widzów. Spektakle przyjmowane były z ogromnym aplauzem, przy użyciu reflektorów, pochodni i zniczy, gdyż rozpoczynały się zawsze ok. godz. 22. światlenie widowisk przygotowywali profesjonaliści z TVP Katowice, a nagrania playbacku realizował inż. Norbert Szklarz

Tytuły zrealizowanych przeze mnie widowisk plenerowych:

„Zrodził nas czyn” – Dąbrowa Górnicza – 1974 r.

„Eroica” w Dąbrowie Górniczej oraz Siemianowicach Śl. – 1975/1976

„Oto nasza sprawa” – Dąbrowa Górnicza – 1977 r.

„Znaczy przyjaciele” w Dąbrowie Górniczej i Rybniku – 1978 r.

„Na chwałę Orła Białego” w Dąbrowie Górniczej, Gliwicach – 1979 r.

„Skok przez skórę” w Jastrzębiu Zdroju. – 1980 r.

## Laureatem też byłem...

Zgodnie z doktryną polityczną lat 70. XX wieku – „Aby Polska rosła w siłę a ludziom żyło się niedostatnio” postanowiłem wówczas, będąc 30 letnim ojcem rodziny, mniej zwracać na rozrywkę; a bardziej na to, aby nam się żyło lepiej. Kupiłem na raty samochód m-ki „Syrena 105” i natychmiast znalazłem rozwiązanie aby dorobić „na turystyczną benzynę”, która na rynku kosztowała za 1 litr równowartość dwóch bułek. Pierwszym moim „wynalazkiem” było przygotowanie monodramu, o którym wyżej. W 1971 roku Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz Centralny Ośrodek Metodyki Upowszechniania Kultury zaczęły organizować tzw. Giełdy Programowe. Dotyczyły one pomysłów na formy upowszechniania kultury kadrze zatrudnionej w placówkach kultury. Idea tych Giełd daleka była od wszelkiej ideologii, tak wówczas modnej, lecz dawała szansę popularyzacji ciekawych i nietypowych imprez. Wówczas jedyną drogą przekazu masowego była prasa i książki. O Internecie nawet nie marzył Lem. To była dla mnie szansa. Dla mnie, mojej wyobraźni i mojego entuzjazmu do pracy. W 1 Giełdzie nie startowałem, bo nie wiedziałem o jej istnieniu. Nie miałem

bowiem czasu przeglądać codzienną prasę. Natomiast w II Giełdzie, odbywającej się w Toruniu 31 maja 1971 roku, nie tylko przedstawiłem swoją programową propozycję wśród 67 innych z całej Polski. Moja propozycja pn. Teatr Rozmów zdobył Nagrodę Ministra Kultury i Sztuki a za którą kupiłem córkom fotel bujany, uwieczniony na licznych zdjęciach.

Ponieważ Giełdy odbywały się corocznie, nie przepuściłem okazji, aby startować w III Giełdzie (Poznań, 14–16.04.1972 r.) z propozycją akcji społecznej p.n. „Szukamy Hamleta”. Główną ideą było tworzenie na śląskich podwórkach teatrzyków przez dzieci w celu poprawienia polszczyzny. Zdobyty Medal i Nagroda MiS za zdobycie I miejsca, wzbogaciły mój dorobek. Godnym podkreślenia jest fakt, że na Śląsku i w Zagłębiu w lato 1972 r. powstało ok. 1000 dziecięcych teatrzyków, w których dominowały teksty J. Brzechwy, J. Tuwima i W. Chotomskiej.

Kolejna, IV Giełda odbywała się w Szczecinie w dniach 23–26.05.1973 r. Na Zamku Księżąt Pomorskich za mój pomysł, który do dzisiaj jest realizowany w PKZ Dąbrowa Górnicza, **LITERACKI HYDE PARK** zdobyłem kolejny Medal i I Nagrodę Ministerstwa. Stałem się w ten sposób ekspertem metodycznym i zostałem w Wojewódzkim Ośrodku Kultury w Katowicach kierownikiem działu metodyki upowszechniania kultury.

Nadmieniam, że w kolejnych 4. Giełdach prezentowano ok. 60 różnych propozycji z kraju, a potem i zza granicy. Wydawano także książki z nagradzanymi pomysłami. Moje propozycje zawsze znajdowały się w pełnej krasie (nawet z moim wizerunkiem). Byłem dumny z nagrody, którą wydałem na bankiet w hotelu „Katowice” dla przyjaciół. Było wesoło, choć nie siermiężnie, zgodnie z najmodniejszym wówczas politycznym hasłem „Aby Polska rosła w siłę, a ludziom żyło się dostatnio”.

23–29.10.1974 r. dostąpiłem zaszczytu reprezentowania Polski na Giełdzie Programowej w Budapeszcie. Moje dwie propozycje tj. Literacki Hyde Park i Teatr Rozmów zyskały ogromny aplauz ponad 1000 widzów. Ale szczególną sensację wywołała lekcja języka polskiego dla Węgrów. Nauczyłem całą widownię skandowania po polsku „Ja lubię blondynki” a potem... wniosłem na rękach kolejną autorkę, p. Bogusławę z Wrocławia. Przez kolejne dni byłem wszędzie witany słowami po polsku i... mogłem się dogadać.

W 1987 roku wznowiono po dłuższej przerwie Giełdę Pomysłów, tym razem w Poznańskim Zamku. Za program ekologiczny p.n. „Gadające drzewo” zdobyłem nie tylko I Nagrodę MKiS, ale przede wszystkim wspólnie z innymi laureatami Nagrodę Publiczności.

Skończył się okres demokracji socjalistycznej i nikt już nie wrócił do Giełdy Pomysłów. A szkoda... Ale... ale – za ostatnią nagrodę kupiłem... kolejny fotel bujany, który stoi w moim mieszkaniu do dzisiaj.

Zaznaczam, że wszystkie nagrodzone moje pomysły zrealizowałem osobiście na terenie Bytomia, Dąbrowy Górniczej, Siemianowic Śląskich i Torunia.

## Święto „Trybuny” w Chorzowie

Lata 70. XX wieku obfitowały nie tylko w ciekawe hasła, jak np. „Aby Polska rosła w siłę...”, ale także w różne ciekawe wydarzenia. Przyjazd L. Breżniewa i manifestacyjnie okazywane uznanie, uściski „na niedźwiedzia”, PEWEXY, talony na maluchy (nie dzieci, tylko samochody Fiat 126p), wyjazdy do krajów demokracji ludowych na dowody osobiste, kurs dolara i cinkciarze. Na Śląsku prawdziwą furorę, poza wzrastającym wydobyciem i rosnącą liczbą pogrzebów, było organizowane corocznie w Parku Kultury i Wypoczynku w Chorzowie – Święto „Trybuny” Robotniczej. Dzisiejszy mecz piłki nożnej na stadionie Narodowym w Warszawie jest niczym przy przygotowywaniu tamtego wydarzenia. Wzorcem dla tego święta była podobna impreza organizowana w Paryżu przez dziennik „Humanite”.

Wojewódzki Park Kultury i Wypoczynku im. Gen. Jerzego Ziętka w Chorzowie powstał na terenach zdegradowanych ekologicznie. Teren, na którym powstał park w 75% pokryty był hałdami, odpadami górnictwami, zapadliskami, bagnami i bieda szybami. Była to pionierska w skali kraju, a nawet Europy, próba przywrócenia życia środowisku zdewastowanemu przez przemysł. Inicjatorem i głównym realizatorem tej wielkiej inwestycji był ówczesny wojewoda śląski Jerzy Ziętek. Dzięki konsekwencji i talentom organizacyjnym generała w krótkim czasie „księżycowy krajobraz” zamienił się w „zieloną wyspę” Górnej Śląska.

Bywałem w Wesołym Miasteczku, odwiedzałem Ogród Zoo, miałem przyjemność oglądać „Orłów Kazimierza Górskiego” na Stadionie Śląskim, spektakle kosmiczne w Planetarium, oglądałem z wysokości Park w wagoniku kolejki linowej „Elka”, przemierzałem największy park miejski w Polsce w wagonikach kolejki wąskotorowej, pływałem w basenach kąpieliska „Fala”. Wszystkie te atrakcje na powierzchni ponad 600 ha między Katowicami, Chorzowem a Siemianowicami. Dwie strefy parkowe

– jedna rozrywkowa i druga – oazą spokoju. Zieleń, kwiaty, rabaty, kanały wodne i staw – cisza i idealne miejsce do wypoczynku. I ptaki, i drzewa różnej maści, i krzewy, z egotycznymi kształtami. Alejki dla pieszych, rowerzystów i matek z wózkami. I nagle, w lipcu każdego roku przez trzy dni – od piątku do niedzieli wielkie igrzyska, miliony ludzi i tysiące atrakcji. Święto „Trybuny Robotniczej” organu prasowego PZPR województwa katowickiego. Miałem przyjemność (tak, tak) pracować przy organizacji tego święta, a właściwie pełniłem funkcję kierownika Estrady nr 5, tzw. „Parkowej” z blisko położoną restauracją o tej nazwie.

Niekończące szeregi stoisk wzdłuż wszystkich alejek parkowych. Na stoiskach poczynając od gorących krupnioków, poprzez różne wędliny, napoje (bezalkoholowe), gadżety, baloniki i nawet książki, także unikatowe, jak np. „Książka kucharska” czy „Sztuka kochania”. Można także było spotkać kuglarzy, mimów czy iluzjonistów, prezentujących swoje umiejętności. Wszystko dla ludzi i wśród ludzi. Duże place były zarezerwowane na instalacje scen. Było ich w sumie 7, a na każdej przez cały czas trwania igrzyska występy najlepszych, najwybitniejszych zespołów rockowych, jazzowych, folklorystycznych i bardzo widowiskowych, górniczych orkiestr dętych.. Doskonale pamiętam wspaniałą orkiestrę Kopalni „Walenty Wawel” z Rudy Śląskiej czy Kopalni „Michał” z Siemianowic Śl.

Na tychże estradach występowały też czołowe zespoły i soliści-piosenkarze z krajów demokracji ludowej. Dużym powodzeniem cieszyły się szczególnie zespoły rockowe z Węgier, czy Karel Got z Czechosłowacji. Na tych estradach popisywali się najwybitniejsi polscy piosenkarze z Marylą Rodowicz, Jerzym Połomskim, Hanną Banaszak, „Niebiesko-Czarnymi”, Łucją Prus, „Skaldami”, SBB ze Skrzekiem i wieloma najwybitniejszymi muzykami jazzowymi z Andrzejem Kurylewiczem na czele. Karnawałowy nastrój udzielał się także prezentacją cygańskiej „Romy”, „ZPiT „Śląsk” czy „Mazowska”. Przed każdą estradą bywało od 5.–10. tysięcy widzów. Programy były zmienne, a kurierzy w milicyjnych mundurach „przeprowadzali” autokary z zespołami na sygnale syren. Kto miał ochotę, ten mógł potańczyć na specjalnych kręgach tanecznych, albo na statku, który pływał po sztucznym jeziorze. Były estrady tylko dla dzieci, tylko dla młodzieży, tylko folklor albo piosenkarze. Do koloru, do wyboru. I wszystko to bezpłatnie, ba, można było wylosować nawet w loterii „Fiata 126p”.

Już na 5 miesięcy przed imprezą obradował i układał program specjalnie powołany sztab, w którym miałem przyjemność pracować przez

9 lat (1970–1978). Najbardziej gorące noce bywały w sobotę między 22. a 7. rano. Niedziela, dzień wolny od pracy, pozwalała na szaleństwa przez całą noc. Do godziny 22 występowały zespoły, estrady pracowały pełną parą.

Natomiast po godz. 22 młodzi ludzie, dziewczęta i chłopcy, którzy nie mieli w domach dużej dyscypliny, uprawiali w miejscach zielonych i krzewiastych, różne sporty. Dominowali przez kilka lat budowniczy Huty „Katowice”, dowożeni autokarami na miejsce igrzysk. Pamiętam incydentalny przypadek wypełniania luki, z powodu braku zespołu jazzowego Wikarego, gdy musiałem przez 1,5 godziny stać na estradzie i opowiadać różne dziwne rzeczy – tworząc improwizowany kabaret, dla utrzymania stojących przed estradą tłumów..

Dzisiaj, odtwarzając z pamięci tamte igrzyska w Wojewódzkim Parku Kultury i Wypoczynku, mogę stwierdzić, że stanowiły one przyczynek do tzw. kultury masowej, której naczelnym zadaniem było dostarczyć klasie robotniczej rozrywki. W XXI wieku taki rodzaj imprezy byłby nie do pomyślenia. Także ze względu na koszty. Pozostał mi z tamtych czasów wielki dyplom „Czerwonej Róży” oraz miniatura w etui. Ślad minionego czasu, za którym nie tęsknię. Została po nim tylko pewna doza nostalgii. Byłem przecież młody...

## Muzyka dla aktorów

Miałem szczęście do ludzi. I do twórców. Na Śląsku prawdziwą karierę w 1975 roku robiła Wyższa Szkoła Muzyczna (obecnie Akademia Muzyczna) w Katowicach. Moje związki z tą uczelnią bywały nie tyle przypadkowe. I tak np. z okazji Roku Nauki Polskiej w 1973 roku w ramach sesji naukowej, rektor tej uczelni zwrócił się do mnie z prośbą o umożliwienie zaprezentowania wybitnemu gremium naukowców polskich (szczególnie muzykologów i socjologów) spektakli Teatru „Forum”. Teatr w tym czasie cieszył się dużym powodzeniem nie tylko w Bytomiu, także w całym ówczesnym województwie katowickim. 21–23 marca w domu kultury Kopalni „Miechowice” miałem okazję zaprezentować dwa spektakle – Scenę Publicystyczną z programem „My-70. Rzecz o autorytecie” oraz „Torby pełne głów, czyli tragedii ciąg dalszy” oparty na reportażach z Wietnamu w konwencji teatru otwartego. Każdy z tych spektakli wywołał burze dyskusji, bądź co bądź, zebranych w tym miejscu autorytetów (ok. 100

osób–2 autokary). Pierwszy z nich, to pytania, które padały w programie: kto jest dzisiaj autorytetem? Dlaczego tak mało autorytetów? Czy są autorytety? I ten program, adresowany do naukowych autorytetów, wywołał 2 godziną burzę, która przeniosła się w sposób naturalny na całą Sesję, trwającą 3 dni w Katowicach. Poczucie winy świata za okrucieństwa wojny wietnamskiej, a zwłaszcza inscenizacja spektaklu, wniosły ożywienie do dyskusji na temat form współczesnego, niezależnego teatru. Często Teatr „Forum” gościł w Katowicach przy dużym zainteresowaniu środowisk twórczych. Moje uczestnictwo w Komitecie organizacyjnym Festiwalu Muzyki Rosyjskiej i Radzieckiej, nawet bezpośrednie kontakty z wybitnymi solistami uczestniczącymi w nim, pozwalały na świadomą z mojej strony edukację muzyczną. I tak doszło do mojej przyjaźni z Krzysztofem Zgrają, jazzmanem, flecistą, który studiując wydział kompozytorski, zaproponował przygotowanie partytury na egzamin dyplomowy właśnie mojemu teatrowi. W wielogodzinnych dyskusjach, miałem przecież ów utwór reżyserować w konwencji teatru ruchu, Krzysztof zrelacjonował mi ideę jego kompozycji. I wyjechał na Festiwal jazzowy do San Sebastian, gdzie z Czesławem Gładkowskim (słynne DUO) ów festiwal wygrali, zdobywając wysoką nagrodę pieniężną. Dwa dni przed prezentacją spektaklu powrócił autor kompozycji. Przez blisko miesiąc pracowałem nad spektaklem i po powrocie Krzysztofa nie było już czasu na prezentację owego spektaklu–utworu. Powrócił własnym samochodem przez Niemcy. Bowiem rzadko można było wyjechać na koncerty na Zachód. 14 maja 1975 roku w auli Szkoły Muzycznej w Katowicach, w ramach Śląskiej Trybuny Kompozytorów prowadzonej przez wybitnego krytyka i muzykologa prof. M. Walka–Walewskiego, przy licznej grupie kompozytorów i studentów rozpoczął się spektakl pomysłu K. Zgraji. Obok kompozytora funkcjonowało także moje nazwisko–reżysera spektaklu. Od kilku nocy nie mogłem spać, męczyło mnie pytanie, czy właściwie odczytałem intencje i zamysł kompozytora? Nie miałem z nim kontaktu, o rozmowach telefonicznych wówczas można było tylko marzyć. Od strony teatralnej byłem spokojny. Uważałem, że spektakl jest barwny, atrakcyjny ale...Krzysztof już nie mógł przed premierą zobaczyć gotowego dzieła. Przy obiedzie wielokrotnie wsłuchiwał się w moje opowieści. Znał mój styl i mógł, jak się potem okazało, wyobrazić sobie cały spektakl. Ale partytura dźwięków?.. Dopuszczała ona pewną dowolność (patrz: Warszawska Jesień w tamtym okresie). Czy jednak zostanie ta propozycja przyjęta i zaakceptowana przez recenzentów i zebranych na widowni muzykologów i kompozytorów?

Promotor Krzysztofa, wybitny kompozytor prof. B. Wójtowicz przed spektaklem nie miał podniecenia. Spektakl, trwający 38 minut, został przyjęty bardzo dobrze. Był zaskakujący w formie, warstwa dźwiękowa była bardzo bogata. Nikt, na szczęście, nie miał przed nosem partytury, bo spektakl wciągał uwagę widzów i słuchaczy. Wzorem przyjętej konwencji Śląskiej Trybuny Kompozytorów nastąpiła dyskusja. Najpierw wypowiedział się Zgraja, jego wypowiedź bardzo mnie satysfakcjonowała, choć, nie ukrywam, że z dużym niepokojem oczekiwałem jego werdyktu. Odechnąłem z ulgą. I nagle usłyszałem z ust prowadzącego prof. M. Wallek-Walewskiego: „Panie Staśkiewicz. A czy bez udziału partytury mógł pan zrealizować ten spektakl?” W tym momencie, wywołany do tablicy, widziałem wystraszoną minę Krzysia. „Nie. Bowiem partytura narzuciła mi dyscyplinę i jej podporządkowałem całą inscenizację”.

Dostałem brawa, Krzysztof stał się bohaterem Trybuny i do późnych godzin świętowaliśmy ową premierę w restauracji katowickiej „Polonia” słynącej ze smakowitej golonki z grochem purée.

## Clownada

„Odnutowujemy 47 już premierę Teatru „Forum”, który w tym roku obchodzić będzie 10-lecie swego istnienia. „Clownada” – spektakl krótki, bo trwający niespełna pół godziny, zaliczyć należy jednak do bardziej ambitnych prób kontynuowania przez Michała Staśkiewicza i jego młody zespół konwencji teatru ruchu. Wbrew sugerującemu rozrywkę tytułowi „Clownada” bynajmniej w swej wymowie nie skłania do śmiechu, a wręcz przeciwnie do refleksji nad sprawami najbardziej istotnymi. Jak zwykle u Staśkiewicza jest to teatr wymagający od widza intelektualnego wysiłku, czynnego współuczestnictwa i teatralnej wyobraźni. Operując sugestywnie zarówno ruchem, słowem, światłem, jak i muzyką „Forum” udało się stworzyć od pierwszych minut nastrój wciągający widza w ten interesujący spektakl.

„Clownadę” wyłamującą się z kanonów tradycyjnego teatru warto na pewno polecić każdemu, kto interesuje się współczesnymi formami artystycznego przekazu. Warto tu dodać, iż wszystkie elementy składające się na całość tego spektaklu, a więc scenariusz, reżyseria, opracowanie muzyczne, pomysłowa scenografia i stroje, a nawet afisze są dziełem Michała Staśkiewicza”. (Wypis z Kroniki)

W grudniu (8–9 XII 1979 r.) w kolejnych Spotkaniach Teatr „Forum” zaprezentował w konwencji teatru poetyckiego w połączeniu z groteską spektakl „Clownada”. Siedmiu klaunów w charakterystycznych kostiumach i bogatym makijażu „wypowiadało się” na tematy ówczesnego ustroju. Komunizm umierał powoli. Uzdrawienie było niemożliwe i nawet rządzący tracili stopniowo swą na pozór niewzruszoną pewność siebie. I to właśnie było głównym założeniem spektaklu. Nieskromnie dopowiem, że spektakl rozgrywał się w konwencji teatru „a ronde”. Jak teraz łatwo to zinterpretować, bo po kilku miesiącach odbył się historyczny „okrągły stół”. Ci, którzy grali w tym spektaklu lub go widzieli mogą potwierdzić, że to prawda.

Intuicja podpowiedziała mi, abym sparodiował władzę, ówczesna władza, jak pokazywały wszelkie znaki (1979 r.) chyliła się ku upadkowi. Widzowie i wykonawcy doskonale odczytywali moją ideę, myśl przewodnią. Wyrażała się ona w poetyckich krótkich tekstach. Ale kto wtedy mógł pomyśleć, że nastąpi za rok okrągły stół, „Solidarność”, za dwa lata stan wojenny, za lat 10 – pełna niepodległość! KTO?

Jak napisał ks. Józef Tischner: „Chodzi o to, żeby odrzucić od siebie te rozmaite gry i „gęby”, za pomocą których usiłujemy panować nad drugim. Odrzucić przekonanie, że kiedy tracimy władzę, tracimy życie. Niczego takiego nie tracimy”.

## Romeo i Julia

Ale żyjesz w zespole teatralnym, który uprawia różne formy, w czasie kolejnej Reformy Teatru, w czasie wielkich odkrywczych spektakli w reżyserii Jareckiego, Swinarskiego, Kantora czy Grotowskiego. Oglądasz wrocławski Festiwal Teatru Otwartego, w którym prezentowane są najciekawsze teatry awangardowe z całego świata. Jesteś wychowany na teatrze Adama Hanuszkiewicza czy Andrzeja Wajdy. Od wielu lat pasjonujesz się poezją Różewicza, Eliota czy Białoszewskiego. Wtedy chciałbyś stworzyć coś nietypowego, nie mieszczącego się w kanonach przyjętych przez współczesność. Chcesz ją wyprzedzać, wybiec z szeregu, być blisko, a może na czele. Przełamywać istniejące tabu, że czegoś nie można, nie wolno, nie wypada. Bo w Polsce, wiadomo, nie tańczy się podczas grania „Czerwonych maków”! Byłem i jestem przeciwnikiem czczenia przegranych(!) powstań narodowych z Powstaniem Warszawskim na czele. Jednak lektura





Piwnica – scenografia do spektaklu „R&J”

„Pamiętnika z powstania warszawskiego” M. Białoszewskiego, ujmująca to wydarzenie w ludzkich, prostych, wręcz obsesyjnych wydarzeniach, pochłonęła mnie już przy pierwszym czytaniu. I jakby na zamówienie, poznałem wiersze Anny Świrszczyńskiej z tomu „Budowałam barykadę”

Wstrząsające teksty Świrszczyńskiej w sposób jednoznaczny uzupełniały teksty Białoszewskiego. Nadawały im wręcz dramatyczny charakter, były gotowym scenariuszem..

Po powrocie z Teatru „Na Tagance”, obejrzeniu kilku przedstawień z „Hamletem” W. Wysockiego włącznie, pod dużym wrażeniem pracy reżysera i twórcy tego Teatru Jefimowa zastanawiałem się, czy kontynuować swój pomysł, aby co 5 lat prezentować jeden z dramatów Wielkiego Szekspira. Długie nocne rozmowy m.in. z członkami Rady Programowej

Teatru: red. Andrzejem Babuchowskim z Polskiego Radia Katowice, Antonim Halorem – reżyserem filmowym, czy red. Markiem Ziembą spowodowały, że wziąłem się do pracy nad nietypowym scenariuszem. „Romeo i Julia” w moim przekonaniu bardzo łączyła się z wspomnianymi wyżej tekstami Białoszewskiego i Świrszczyńskiej. Przecież losy młodych kochanków, jak na zamówienie, przypominały losy powstańca K. Baczyńskiego i jego nowopoślubionej żony – Barbary. Przez ponad rok pracowałem nad scenariuszem, wprowadzając do tekstów Anny Świrszczyńskiej wokal, który jakby wyjęty z tamtych dni, jakby intermedium akcji, jakby pointa sytuacji, wiązał znakomicie postacie Romea, Julii i Ojcem Laureatem (bo tylko te postacie wydołyłem z dramatu Szekspira) z ową powstańczą rzeczywistością. Kiedy zapoznałem zespół z tekstem – poruszenie wśród aktorów było wyraźne, nie musiałem już niczego dodawać. A miejsce akcji – piwnice pod Pałacem, zakurzone i ogromne, z kolumnami podtrzymującymi cały budynek, stanowiło wręcz idealne miejsce schronu.

Głównymi bohaterami zostali: Julia – Alicja Swat – młoda, zdolna i piękna licealistka; Romeo – to Marcin Barysz, wypisz – wymaluj współczesny hippis; o. Laurentego powierzyłem Jurkowi Szeji, swojemu sprawdzonemu w wielu premierach, szalenie zdolnemu, o dużych możliwościach interpretacyjnych, aktorowi. Tak się złożyło, że wszystkie partie wokalne tekstów A. Świrszczyńskiej śpiewała w tej premierze moja przyszła żona – Zosia Ślęczek. Poza ilustracją dźwiękową (naloty bombowe, itp.) właśnie Zosia nadawała spektaklowi bardzo dramatyczne napięcia i potęgującą ekspresję. Śpiewała teksty z akompaniamentem gitarzysty (świątecznego) Mariusza Rejdaka. Grupa ponad 50 osobowa tworzyła tło całej akcji. Charakterystyczne biało-czerwone opaski na ramionach, nosze, duży ruch spowodowany akcjami na zewnątrz i w to wkomponowane dialogi z „Pamiętnika...” Białoszewskiego.

!3 maja 1978 roku będąca 50 (!) premierą naszego Teatru zajaśniała w piwnicach Pałacowych pełnym blaskiem. Tragedia, jakby na nowo, współcześnie przez Szekspira napisana. Owacyjne przyjęcie spektaklu i jego późniejsze prezentacje wywoływały u widzów spodziewane reakcje. Wybitny polski reżyser Józef Gruda, realizator zapisanego w historii polskiego teatru „Hamleta” w Szczecinie, długo nie mógł publicznie dojść do siebie po zakończonym spektaklu. Był bowiem żołnierzem AK i z autopsji łączył nasz spektakl ze swoimi wspomnieniami. Nie muszę pisać, jakim wydarzeniem ta premiera była dla mnie, autora, bo mogę śmiało

powiedzieć, że Szekspir był tylko przeze mnie wykorzystany do zaprezentowania miłości dwojga młodych ludzi. Świrszczyńska i Białoszewski byli współ-autorami tego przedstawienia. Z kronikarskiego obowiązku nie mogę wspomnieć o pozostałych wykonawcach. Dublerką Julii była Małgorzata Chojnicka. W grupie powstańców wyróżniali się: Marek Sornat, Andrzej Pusztka, Hanna Winiarska, Andrzej Kociołkowski, Lidia Zielińska, Jolanta Wilk, Iwona Kramarczyk i inni. Pozostały zdjęcia i głęboko schowane obrazy tamtych przeżyć i emocji.

Zobaczył oczy człowieka  
Powinien strzelać.  
Leży na bruku  
Nie nauczono go na lekcjach polskiego  
strzelać w oczy człowieka.

Anna Świrszczyńska

Pali się  
Pałają się domy po lewej  
Pałają się domy po prawej,  
Cała ulica  
W ogniu.  
Przez krzyczące płomienie  
Biegną krzycząc ludzie.  
Przebiegli.  
Jeden pozostał.

Anna Świrszczyńska

Od bomb i samolotów – wybaw nas Panie,  
Od czołgów i goliatów – wybaw nas Panie,  
Od pocisków i granatów – wybaw nas Panie,  
Od miotaczy min – wybaw nas Panie,  
Od pożarów i spalania żywcem – wybaw nas Panie,  
Od rozstrzelania – wybaw nas Panie,  
Od zasypania – wybaw nas Panie...  
Mówi o tym, że Niemcy łapią ludzi i gnają ich przed czołgami na powstańców, żęby powstańcy w tych ludzi strzelali.  
– I cała ulica spalona  
– Która? – pytam.

– No, Krakowskie Przedmieście – powiedział to bardzo smutno.

– Pańska zbombardowana!

– Prosta zbombardowana!

Przez te wertepy skręca rządkiem iluś harcerzyków w zielonych mundurkach.

Z butelkami z benzyną...

M. Białoszewski „Pamiętnik z powstania warszawskiego”

I kto dzisiaj wie, że M. Białoszewskiego i jego „Pamiętnik” odkrył na scenie przed blisko 30 laty Teatr „FORUM”?

Jak napisał na łamach red. Jerzy Grządziel po obejrzeniu spektaklu; „Spektakl, który wzbudził wiele kontrowersji, co zresztą stało się niemal nieodłączną cechą propozycji teatralnych Michała Staśkiewicza. Zwraca w nim przede wszystkim uwagę koncepcja werystyczna objawiająca się w dążeniu do wiernej rekonstrukcji, tła wydarzeń, jakie rozgrywały się w czasie tragicznych dni powstania warszawskiego. Były więc autentyczne syreny alarmowe, autentyczna piwnica, rekwizyty z tego okresu oraz wierne nagranie nalotu bombowego – wszystko to podporządkowane, z dużym skutkiem stworzeniu iluzji rzeczywistego zagrożenia. Uczucie to ustępuje jednak wkrótce innemu, stanowiącemu chyba punkt dojścia całego spektaklu, uczuciu zadumy nad okropnością wojny, jej antyhumanitaryzmem i niszczycielską siłą. Jest w sercu każdego Polaka miejsce szczególnie

Wrażliwe na wspomnienia wojennych losów narodu i miejsca tego dotknął Staśkiewicz w swym spektaklu. Wykluczył przez to reżyser obojętność widza, zmusił go do czynnego uczestnictwa w spektaklu, sprowokował do dyskusji. Warto zwrócić uwagę na umiejętne połączenie formuły teatralnej, polegającej na dominacji tekstu w koncepcję, w której na równych prawach funkcjonuje tekst, efekty scenograficzne, ruch i muzyka. Dzięki temu wypuklony został paralelizm nieszczęśliwej miłości, a więc tragedii osobistej i tragedii narodu, podkreślona została ich wzajemna zależność”.

Musze dodać, że jednym z motywów mojego pomysłu na „R&J” był K. K. Baczyński i jego żona Barbara.

## Międzynarodowe Barbórkowe Spotkania Teatralne

Wariaci rodzą się nie wiadomo kiedy i nie wiadomo jak. W czasach, kiedy panował król Jerzy Grotowski i jego „Laboratorium”, w czasach, gdy panował Konrad Swinarski i jego „Nie-Boska komedia”, w czasach, kiedy panował Tadeusz Kantor i jego „Umarła klasa” – w tych zwariowanych czasach wczesnego Gierka zazdrościłem ważnych wydarzeń wielkim ośrodkiem życia kulturalnego i postanowiłem, przy pomocy życzliwych mi ludzi i instytucji, zorganizować w Dąbrowie Górniczej Barbórkowe Spotkania Teatralne. I to miała być impreza konfrontująca najwybitniejsze dokonania ówczesnych awangardowych grup teatralnych, które rodziły się w Polsce, jak na kamieniu. Byli tacy, którzy pukali się w czoło na tę wiadomość – gdzie? W Dąbrowie Górniczej. Przecież tam tylko węgiel i nowopowstała huta „Katowice”. Dodawałem złośliwie – i gdzie blisko urodził się towarzysz Gierek. Zagórze – miejsce urodzenia tego partyjnego przywódcy, który uwierzył, że „Polska urośnie w siłę, a ludziom będzie żyło się dostatniej”. Jak się okazało epoka Gierka minęła, a moja słabość do Zagórza stała się symbolem mojego szczęścia. Ale to już zupełnie inna bajka. Wracam do BST. Pierwsza edycja Barbórkowych Spotkań Teatralnych odbyła się w dniach 30 XI–1 XII 1974 roku w Pałacu Kultury Zagłębia w Dąbrowie Górniczej z udziałem wybitnych teatrów alternatywnych z Polski, Czechosłowacji i Węgier. Nie jest moim zdaniem opisywanie kolejnych teatrów i spektakli. Mogę tylko poświadczyc, że przez kolejne 6 lat w BST uczestniczyła cała czołówka teatrów polskich na czele m.in. z Akademią Ruchu z Warszawy, Teatrem „Kalambur” z Wrocławia, Pantomimą Głuchych z Olsztyna, Pantomimą szczecińską, Studiem „P” z Torunia, Studiem „Z” ze Szczecina, a także znaczące teatry studenckie z Teatrem Stu z Krakowa na czele.

Moje wspomnienia dotyczyć będą uczestnictwa w Spotkaniach Teatru „Forum”, bo ten teatr był głównym gospodarzem i organizatorem programowym imprezy. To dla tego teatru wymyśliłem te Spotkania. I nie jest przypadkiem, że właśnie z okazji 5-lecia „Forum” zrealizowałem spektakl „Hamleta”, który przyniósł mojemu teatrowi sławę i stał się bardzo popularny. Ten właśnie spektakl rozpoczął I BST i stał się doskonałym przykładem na poziom i sposób przebiegu kolejnych Spotkań. A Spotkania odznaczały się przez kolejne lata wysokim poziomem artystycznym,

szerokim udziałem miłośników Melpomeny, dyskusjami z udziałem wybitnych krytyków i ludzi teatru. W grupie ekspertów dominował przez cały ten okres Lech Śliwonik – prezes Towarzystwa Kultury Teatralnej, późniejszy rektor Akademii Teatralnej w Warszawie, wybitny ekspert od teatrów awangardowych. To dzięki Leszkowi dyskusje prowadzone po każdym spektaklu stawały się kolejnymi propozycjami. Nie oszczędzano nikogo, ale też zdarzały się komplementy. Dotyczyły one głównie propozycji, które potem zaistniały w Polsce. Można to także powiedzieć o kolejnych propozycjach repertuarowych Teatru „Forum”. Jak nie trudno się zorientować pierwsze Spotkania były poświęcone teatrowi dramatycznemu i jego aktualnym formom. Biorąc pod uwagę następne omówienia pozwalam sobie wspomnieć, że nasz „Hamlet” był spektaklem w dość spektakularny sposób pokazujący ówczesne trendy polityczne, związane z przemocą i narzucaniem w tzw. krajach demokracji ludowej określonej przez Kreml doktryny politycznej. We mnie budziła ona zawsze bunt, czego wyraz dawałem w inscenizacji tego szekspirowskiego spektaklu. Widzowie, znający mój sposób interpretacji, doskonale rozumieili idee mojej propozycji. Sądzę, że Warszawa i kilkoro recenzentów także filmowo–telewizyjnych, dopatrzyło się w niej głębszych treści, niż faktu, że „jacyś amatorzy porwali się na „Hamleta” i to w Dąbrowie Górniczej!” A rolę Poloniusza, sprowadzoną do współczesnego esbeka czytało wielu widzów. Z tego tytułu zbierałem liczne gratulacje wyrażane na ucho, aby nie zapeszyć. Prowincjonalizm powstania i funkcjonowania Teatru „Forum” był jednym z bardzo subiektywnych treści pod płaszczykiem określonej metafory. I tak też stało się z II Spotkaniami poświęconymi teatrom ruchu i pantomimy.

Przykłady sukcesów Teatru Pantomimy Tomaszewskiego z Wrocławia czy Akademii Ruchu Wojciecha Krukowskiego z Warszawy świadczyły o tym, że przez ruch czy pantomimę można dotykać fundamentalnych treści współczesnego świata, nie bojąc się o interwencję tzw. urzędu kontroli prasy, publikacji i widowisk, od którego miałem wielokrotnie interwencje i ingerowanie w treści kolejnych premier. I dlatego w II Spotkaniach które odbywały się 13–14 XII 1975 r. zaprezentowałem spektakl „Bona fides” (Dobra wiara) w konwencji teatru ruchu. To był spektakl, w którym moja wyobraźnia mogła poszaleć. Po raz pierwszy, po doświadczeniach teatrów poetyckich, kabaretu czy teatru rapsodycznego, porwałem się na w dużym stopniu abstrakcyjną dla moich aktorów formę. W obrazach tego spektaklu poruszałem treści przemocy, niekoniecznie

fizycznej, choć w swojej formie moi aktorzy wykazali się w tym spektaklu swoistą kondycją i zdyscyplinowaniem. Spektakl był przyjmowany wszędzie, gdzie go prezentowaliśmy, bardzo gorąco, wręcz entuzjastycznie. Był to wynik bardzo długiego procesu edukowania sposobów wyrażania określonych treści w gestach i ruchu poszczególnych wykonawców.

Klasyycznym dowodem „polityki” w moim wydaniu stał się spektakl „Retro meeting”, prezentowany na III Spotkaniach 18–19 XII 1976 r. Przypomnę, że ten spektakl powstawał po głośnych wydarzeniach politycznych 76 roku. Moim skromnym zdaniem, był to majstersztyk moich dotychczasowych teatralnych wypowiedzi. Utopia, tak często przywoływana w różnych tekstach przez prof. L. Kołakowskiego, w tym spektaklu przybrała bardzo realistyczne treści przy pomocy starannie dobranych wierszy. Nie tylko symbol lat 70 – mównica – trybuna, nie tylko publiczność zebrana na obrotowej scenie PKZ, nie tylko patetycznie wygłaszane teksty przez U. Kocabę, J. Szeję i innych, nie tylko tekst R. Wojaczka „Ojczyzna w konwencji poezji śpiewanej. Było jeszcze coś, co nadało charakter bardzo wymowny – obracająca się scena obrotowa z tymi 200 widzami i w środku ustawioną trybuną z której dobiegały mocne teksty. I to wszystko, to „dzianie się” przy zamkniętej kurtynie.

I kiedy przebrzmiał ostatni tekst, metalowa kurtyna poszła w górę a na 400-miejscowej widowni był tylko... reżyser przedstawienia w mojej osobie bijący brawo. Zapanowała konsternacja, a za ten spektakl Lech Śliwonik postawił mi koniak mówiąc, że był to majstersztyk polityczny o głębokiej wymowie. To, że spektakl został właściwie odczytany przez większą część widowni niech świadczy fakt, że w reportażu tygodnika „Panorama Śląska” centralne miejsce zajęła właśnie trybuna ze spektaklu, widownia z transparentami i masa komplementów pod adresem Teatru „Forum”. Moja uwaga, że właśnie na moim festiwalu mogłem sobie pozwalać na takie działania, uważam za istotę całego pomysłu BST.

W dniach 10–11 XII 1977 roku odbywały się kolejne, IV Barbórkowe Spotkania Teatralne.

Naszym udziałem w tych Spotkaniach był spektakl odznaczający się ogromną ekspresją wyrażoną tak w obrazie, jak również w tekstach „A gwiazdy świeca i płoną, płoną i płoną, i świecą”. Pod pretekstem II wojny światowej udało mi się pokazać dramat totalitaryzmu.

Szczególnego znaczenia nabiera fakt, iż pomysł zrealizowania spektaklu powstał w... Leningradzie (Sankt Petersburg). Odwiedzając tamtejszy cmentarz poległych podczas oblężenia dzieci zdumiał mnie... cukierek.

To on stał się głównym rekwizytem spektaklu. Cukierek i dziecięce zabawki w tzw. "wojnę". Spektakl o ogromnej sile rażenia widzów, przyniósł Teatrowi nie tylko dużą satysfakcję artystyczną ale także znaczną popularność.

Świadectwem wieloznaczności treści tego spektaklu niech będzie fakt przyznania po spektaklu w Poznaniu jednego z odznaczeń wojennych przez naszego okupanta – generała Armii Czerwonej. Ot, paradoksy historii. Jak to dzisiaj brzmi: „okupanta”?

Wyjątkowość tego misterium oddaje rzetelny zapis spektaklu na końcu tego rozdziału.

Następna sprawa udziału w V Barbórkowych Spotkaniach Teatralnych wiąże się w dzisiejszym czasie z publikacją na łamach tygodnika „Polityka” zapowiedzią spektaklu w dniu 1 VIII 2014 roku spektaklu w reż. K. Jandy w oparciu o „Pamiętnik z powstania warszawskiego” M. Białoszewskiego! Wywołało to we mnie refleksję; przecież ja wraz z Teatrem „Forum” w 1978 roku zaprezentowałem znaczące fragmenty „Pamiętnika...” w swoim spektaklu „Romeo i Julia” prezentowanym podczas tego jubileuszowego Spotkania. W 1978 roku! Tylko, że wtedy było z mojej strony świadectwo pokazania autentycznego powstania, a nie bajeczek z „Kanału” A. Wajdy. Przez pryzmat nieszczęśliwej miłości Romea i Julii, Baczyńskiego i jego żony Barbary, wplecionych tekstów Szekspira w okrucieństwo powstania, było świadectwem dramatu cywilnych mieszkańców Warszawy skazanych na śmierć przez Hitlera. Trzeba było dopiero wybitnego reżysera Józefa Grudę – uczestnika powstania w oddziale AK, który po obejrzeniu spektaklu w Skierniewicach, przez dłuższą chwilę nie mógł dojść do siebie, a potem zadał sakramentalne pytanie (publicznie) „Staśkiewicz, jak tyś to zrobił?” Nie należy się zatem dziwić uzyskaniu I miejsca w kategorii teatrów dramatycznych ogólnopolskiego festiwalu. Ale w tamtych czasach żadna telewizja nie zrobiła z tego spektaklu reportażu, ani nie napisano o nim na łamach „Polityki”. W tamtych czasach... miałem cholerną satysfakcję z przechytrzenia urzędu kontroli, prasy, publikacji i widowisk. Jak zwykle! Chociaż znacząco uczciłem X lat Teatru „Forum” wraz z całym zespołem, który w tym spektaklu, z całą odpowiedzialnością mogę to stwierdzić, wiedział po co realizujemy ten rzekomy dramat Szekspira. Mam też szczególny „ślad” w moim życiu osobistym. Nie przypadkowo moja trzecia córka ma na imię Julia a urodziła ją uczestniczka przedstawienia, śpiewająca przejmujące pieśni wg. A. Świrszczyńskiej – moja żona już wtedy – Zosia.



## A gwiazdy świecą i płoną, płoną i płoną, i świecą

(zapis spektaklu)

Prolog: Holl. Półmrok. Widzowie gromadzą się przed drzwiami do sali, w której grany będzie spektakl. Drzwi otwierają się i wychodzi z nich bosy, ubrany w dreluchy, aktor. Na ramionach ma zawieszona planszę z napisem: "Jest Miasto Bohater. I jest w tym mieście Pomnik. Gdy tam jadę – biorę ze sobą cukierek i TAM zostawiam go IM". Plansza jest obustronna, informuje widzów stojących za i przed aktorem, który wolno przechodzi przez holl, między ludźmi i znika za drzwiami, z których wyłania się inny – identycznie ubrany, z tacą pełna cukierków. W milczeniu podchodzi do widzów i częstuje. W drzwiach mija się z trzecim aktorem. Ten ma na głowie hełm strażacki, jest również bosy i w dreluchu. Wnosi syrenę alarmową, stawia ją na środku hollu i uruchamia. Przejmujący, jękliwy sygnał trwa około 30 sekund. Po 15 sekundach odzywa się z góry druga syrena; jeszcze silniej i przenikliwiej. Gdy obie syreny milkną, drzwi do sali otwierają się.

Akcja: Widzowie wchodzą do sali, w której rozbrzmiewa głos wiolonczeli i a rond otaczają plan gry. Sala jest wyciemniona. Plan wyznaczają gaśnice ustawione na przemian z oponami samochodowymi, w których wewnątrz stoją płonące świece. Vis a vis wejścia piętrzy się barykada z krzesel, na których nogi pozatykane są dziecięce rysunki. Rysunki rozsypane są również wokół barykady, która dyskretnie podświetlona od dołu – ogromnie dzięki rzucanym cieniem. Po prawej stronie wejścia ustawiony jest wysoki, górujący nad stojącymi widzami, podest, na którym znajduje się reflektor punktowy. Z lewej strony planu, na tle barykady, siedzi tyłem do widzów, aktorka ubrana na czarno, z przeraźliwie białą chustą na głowie. Pod barykadą, bliżej środka, stoją asymetrycznie ustawione kręgle. W centrum planu znajduje się: oświetlona punktowcem – jedyne jasne miejsce – opona ze stojącym na niej dziecięcym bucikiem, oraz przykryty czarnym sukniem stos, upstrzony pięcioma żółtymi i czerwonymi bilami. Na Sali panuje półmrok. Między wchodzącymi na spektakl widzami znajdują się aktorzy, którzy – gdy już wszyscy widzowie wejdą do sali, kolejno w kilkusekundowych odstępach, odrywają się od tłumu, podchodzą do opony z bucikiem i z nabożeństwem składają na

niej niesiony demonstracyjnie w rękach cukierek. Po złożeniu ofiary pozostają na centralnym planie.

Misterium trwa. Do tej celebracji włączają się niektórzy widzowie. Punktowy reflektor dzieli mrok i w jego smudze widać wyłącznie bucik. Nagle głosowi wiolonczeli zaczyna towarzyszyć śpiew:

„My obywatele fantasmagorii  
dawno przekroczyliśmy  
szybkość światła  
uruchomiliśmy naszą planetę,  
wyprzedziliśmy wszystko  
nawet przyszłość (...)

Śpiewa siedzący za podestem ukryty przed wzrokiem widzów, wiolonczelista. Aktorzy stoją na planie. Twarze ich, słabo widoczne w półmroku, są poważne, kamienne.

Po złożeniu ostatniego cukierka muzyka gwałtownie milknie. W trwającej ciszy, znajdująca się na planie grupa aktorów wolno zdejmuje bluzy, kładzie je na całunie biorąc równocześnie drewniane bile; każdy jedną i kolejno, w ciągle trwającej ciszy absolutnej rzucają nimi do kręgli.

Po Sali przetacza się i uderza pod sufit łoskot toczących się bil, słychać trzask walącej się figury, turkot powoli zamiera. Ciszę przenika głos aktora:

„Zamilknijcie mówcy!  
Pauza w przemówieniach!  
Chwila milczenia...”

Pięciu mężczyzn kolejno włącza się w mówienie, powielając tekst, tworząc nieregularny chór, gwar, lecz nie kakofonie. Głosy ich nakładają się na siebie szumami. Tekst jest różnie interpretowany: agresywny, rozkazujący. Atakuje widzów i wolno ubożeje, gdyż ci, którzy zaczęli wcześniej – pierwsi skończyli swoje kwestie.

Punktowiec wyłapuje z mroku twarze mówiących, bucik, cukierki. Nagle, jak ostrze – krzyk mężczyzny przebija wokaliza tegoż tekstu, wykonywana przez siedzącą tyłem aktorkę i jednego z aktorów: Gdy song dobiega końca, mężczyźni idą do widzów powtarzając tylko dwa słowa: „Zamilknijcie mówcy!” Słowa ich zaczyna zagłuszać narastające forte wiolonczeli.

Zatrzymują się. Jej rozdzierający, bolesny głos powoli wprowadza aktorów w pantomimiczną scenę bólu i rozpacz. Oślepiające światło punktowca i stroboskopu wylapuje z mroku szeroko otwarte oczy, drapieżne bądź błagające ręce, twarze napięte jak struny, wykrzywione grymasem męki, ciała pokryte potem, wijące się, zniewolone, bezbronne. Chwieją się, padają, by znów podnieść się do góry w niewysłowionym cierpieniu. Efekty świetlne pogłębiają niesamowitość obrazu. Światło zapala się na tak krótko, że obrazy, jakie się ukazują, robią wrażenie fotogramów. Szokują...

Muzyka urywa się nagle. Mężczyźni zastygają w bezruchu. Cisza ożywia ich, wolno zbliżają się do całunu i zrywają go, ukazują nam to, co ukrywał: stos dziecięcych zabawek. Lalki – całe i te z powyrywanyymi rączkami, nóżkami, bez główek; samochodzik, misia, bąki, pieska, trąbkę, pajacyka, klocki, bębenek, drewniany karabinek... Aktorzy pochylają się nad stosem i siadając na podłodze zaczynają się nimi bawić, jak dzieci. Puszczają bąka, trąbią, próbują zreperować popsute lalki. Jeden z aktorów bawi się strzelając karabinkiem do widzów. Bawiąc się, mówią:

„Posłuchajcie – przecież skoro zapalają gwiazdy  
Widać komuś jest to potrzebne  
Widać ktoś bardzo chce żeby były...” (...)

Tekst dobiega końca i wiolonczela zaczyna kolejną, liryczną solówkę Szostakowicza.

Punktowiec wyluskuje z mroku kobietę spod barykady, która podnosi się, wstaje, zwraca twarzą do ludzi i wolno wchodzi na plan. Prowadzona światłem zbliża się do opony z bucikiem i wolno bierze bucik w dłonie.

Muzyka milknie. Jej dłonie na tle czerni – ogromnie czułe, puste, jałowe, jej wzrok – wbity w relikwię dziecięcej odzieży, twarz zastygła, posągowa, okolona przezrzystą bielą chusty... Jak „Pieta” Michała Anioła w bazylice św. Piotra w Rzymie.

Unosi ręce na wysokość twarzy i spokojnym, dźwięcznym głosem – przerażającym przy tej czerni, podkreślającym swym brzmieniem jeszcze bardziej jej ton, mówi, patrząc na bucik:

„Do tatusia synek podszedł taki – ot malusi!  
- Co to znaczy źle i dobrze? Powiedz mi tatusiu...”

Odwraca się i odchodzi pod barykadę, gdzie z troskliwością kładzie pantofelek.

Aktorzy siedzący nieruchomo ożywają się, wracają do przerwanej zabawy. Bawiąc się, mówią:

„Myśmy z rubryki – ludzie prości  
I w historii nazywają nas zwyczajnie  
Choć podniośle – lud.  
Jeśli wojny –  
Myśmy mali- ogromni!  
Gdy padniemy –  
Jeden stawiają nam pomnik (...)

Po słowach:

„Myśmy ludzie prości,  
A jednak z nas  
Wывodzą się najprawdziwsi herosi!”

Unoszą się na kolanach, w rękach trzymają: jeden główkę lalki, inny misia, inny bąka i trąbkę, środkowy drewniany karabin, dwaj następni autko bez kół i pieska bez nogi. Ruszają na klęczkach do przodu, śpiewają:

„Śmierci wcale nie ma  
Wcale nie ma  
Nie ma  
Nie.  
Jest powietrze ranne, Zorzy smuga nikła,  
Rosa na dziewannach,  
Jest bursztynu nitka  
Na korze sosnowej.(...)  
Śmierci nie ma wcale  
Nie ma wcale  
Nie”

Zastygają z uniesionymi, obciążonymi symbolami, dłońmi. Dyszą. Pot spływa im po twarzach, pot – a może łzy?

Podchodzi do nich aktorka i kolejno, powoli wyjmuje z zastygłych, zdrętwiałych palców zabawki. Robi to ostrożnie i delikatnie. Te, które wyjęła składa w oponie, która była ołtarzem bucika. Ostatni zabiera karabin. Gdy odwraca się by z nim odejść, klęczący, przed chwilą zamarli mężczyźni, otaczają ją i zatrzymują słowami:

„Kiedy umierają konie – dyszą

Gdy umierają trawy – schną  
Gdy umierają słońca – gasną  
Gdy umierają ludzie – śpiewają pieśni”.

Unoszą do góry puste, ogołocone dłonie, próbują dosięgnąć światła rozjaśniającego twarz kobiety. Napierają na nią. Jasność jest nieuchwytna. Dłonie błędzą, gubią się. Nieregularny chór nabiera regularności, tempa i siły. Aktorka uwięziona przez klęczących zaczyna wokalizę:

„Zamilknijcie mówcy (...)

Kotłująca się wokół niej grupa – do złudzenia przypomina Grupę Laokoona, krzyczy skandując:

„Gdy umierają ludzie...”.

Milkną, ale nie wiotczeją – zastygają z uniesionymi w górę twarzami. Ich wzrok wpija się w twarz aktorki, która kończy śpiewać, przechodzi przez ich ciała i na stosie złożonych w oponie zabawek, kładzie trzymany do tej pory w rękach karabin.

Odzywa się krótkie crescendo, drażniące zmysły adagio arioso wionczeli. Podrywa ona mężczyzn do kolejnej sceny bólu (jakby wyjętej z Grottgera).

Muzyka urywa się nagle: kontynuuje ja song wokalny „Zamilknijcie mówcy...” śpiewany przez aktorkę. Zastygają na moment w tragicznych pozach aktorzy, idą pod barykadę. Podnoszą leżące na posadzce rysunki, usuwają kręgle.

Aktorka, śpiewając przechodzi przez plan – scenę, aktorzy – z naręczem rysunków podchodzą do widzów i w milczeniu je wręczają. Punktowiec wyłapuje z mroku treści obrazków, barykadę, bucik, karabin i kręgle.

Wykonawcy wracają pod stos krzeseł, twarze mają zasłonięte rysunkami, giną w ciemności. Aktorka – ciągle śpiewając – zbliża się do bariery z gaśnic i kolejno, ręką gasi płonące świece. Mrok przenika smagniecie światła z punktowca. Prowadzona smugą, która toruje jej drogę, przechodzi przez zgromadzoną widownię, która ustępuje jej miejsca. Opuszcza salę. Punktowiec oświetla teraz tylko dziecięcy bucik leżący na brzegu opony. Z oddali dobiega wokaliza. Powoli cichnie jakby zniknęła w przestrzeni, w oddali. W powietrzu unosi się mdły zapach zgaszonych świec.

Ci z widzów, którzy na początku spektaklu nie złożyli cukierków, ocknawszy się, robią to teraz; niektórzy – idący do wyjścia – wracają, by złożyć

otrzymane podczas spektaklu rysunki. Zatrzymują się. Czekają. Wszystko zaczęło się niepostrzeżenie, od nas samych – widzów, od cukierka, którego każdy z nas wziął z tacy, którego z nas każdy trzymał w ręce...

Epilog: Opuszczamy salę. Milczymy. Dławienie w gardle...

(zapis Studentki U. Śl. Urszuli Kocaby – XII. 1977 r.)

## Najlepszy gospodarz z laską

Rok 1978. Restauracja „Polonia” w Katowicach miała wspaniałą kuchnię. O każdej porze dnia (i nocy) można było tam spotkać, przy wspanialej golonce i grochu purée, a także tradycyjnym piwie, elitę miasta. Od lat bywał tam śląski literat, naczelny pisma „Poglądy” – Wilhelm Szewczyk ze swoim sekretarzem Staszkiem Wilczkiem, artyści plastycy z Jerzym Dudą-Graczem, filmowcy z Kazimierzem Kutzem – wówczas szalenie popularnym z uwagi na swój śląski tryptyk, robiący w Polsce furorę, a także Antoni Halor – wybitny reżyser filmowy- dokumentalista. W „Polonii” musiało się bywać, jak chciało się istnieć w środowisku. Pewnego popołudnia wpada do knajpy Antek Halor, który przed kilku laty zrealizował film „Adam i Ewa” o moim Teatrze „Forum”, i już od progu na pierwszym poziomie („Polonia” miała jeszcze wyższy poziom – półpiętro), okazuje na mój widok wyraźne podniecenie. Kiedy przysiadł się do mojego stolika, wykrztusił z siebie tylko jedno słowo: ZGODZIŁ SIĘ! Po wypiciu kielicha, zaczął opowiadać. – Michał. Wiesz, że jestem Ślązakiem z krwi i kości, z Siemianowic. Moim wielkim marzeniem, znaczącym w karierze zawodowej, było nakręcenie filmu dokumentalnego o człowieku, do którego mam szczególny sentyment. Zgaduj, proszę, o kim mówię? – Zapewne o Kutzu lub Szewczyku, bo ich śląskość bije wszystkich po oczach. – Nie. Ty, Piotrkowianin, nie masz nawet zielonego pojęcia, kto jest dla mnie symbolem tej ziemi. Więcej, solą, według Kutza czy krzynką piwa według Szewczyka. Wyobraź sobie, że będę robił film dokumentalny o człowieku z laską.

Nie musiał więcej mówić. Jerzy Ziętek, jako przewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej, był moim szefem, ba, miałem ten zaszczyt, pracując w wydziale kultury i sztuki, otrzymać w Rokitnicy mieszkanie z puli –uwaga! „Powstańców Śląskich”. Bywałem kilkakrotnie u pana wojewody w jego gabinecie. Potężna postura starszego pana opierała się

zawsze na potężnym biurku. Nawet nie podnosił wzroku, taki był zawsze zajęty. Podpisywał dokumenty, a nie cierpiał tych „papierków” – jak sam o tym mówił. Kiedy przyjeżdżałem rano do pracy, miałem okazję obserwować, jak pan wojewoda wysiadał z samochodu. Już od 6. rano odwiedzał on ważne inwestycje. Jego oczkiem w głowie była wówczas duża inwestycja – katowicki Spodek. Charakterystyczna postać Jerzego Ziętka z nierozłączną laseczką i z inkrustowaną srebrną rączką, była wszystkim podwładnym dobrze znana. Ta laska nie służyła tylko do podpierania się, także do uderzania nią w biurko, jak czegoś nie można było załatwić. Była ostatecznym argumentem w niewygodnych dyskusjach. Od 40. lat w służbie Polsce i Śląskowi, miał swoich oponentów, nawet w osobach wysoko postawionych w państwie. Jego życiorys imponował wszystkim. Był fenomenem PRL-u. Był wielkim pragmatykiem. Uwielbiany do dzisiaj na Śląsku zajmuje szczególne miejsce w sercach mieszkańców Śląska i nie tylko. Niesamowitość tej postaci polega przede wszystkim na tym, że przez 40 lat, pomimo zawirowań politycznych, utrzymywał się na powierzchni PRL-owskiego establishmentu politycznego. Związany ze Śląskiem, starał się dla tego regionu zrobić więcej, niż ktokolwiek inny zrobił dla pozostałych regionów.

To z inicjatywy gen. Jerzego Ziętka rozpoczęto w 1951 roku budowę Wojewódzkiego Parku Kultury i Wypoczynku w Chorzowie, w 1956 roku Stadionu Śląskiego i Planetarium, w latach 70-tych Hali „Spodek”, wiele szkół (dzisiaj noszących jego imię), szpitali (m.in. w Reptach) i dziesiątki innych inwestycji, z których korzystamy do dzisiaj.

Jerzy Ziętek był namiastką dobrego państwa dzięki temu, co robił. Był samorządowcem prawie, że doskonałym. Nie bał się rozmów z ludźmi, był człowiekiem otwartym na bolączki, które dokuczały Ślązakom. Kochał Polskę i Śląsk. 19 listopada 2005 roku odsłonięto przy Rondzie w Katowicach Pomnik – posąg Generała Jerzego Ziętka z laską.

A film Antoniego Halora „Człowiek z laską” zdobył szereg nagród na różnych festiwalach i pozostał trwałą pamiątką po tym Wielkim Polaku.

## Moskiewska wizyta

Zima, 27 stopni mrozu. Na ulicach Moskwy przygotowującej się do Olimpiady w 1980 r., zasypany śniegiem przy głównych ulicach. Samochody wywożące z centrum śnieg tarasują np. Prospekt Mira, a nawet plac Czerwony.

Przed mauzoleum Lenina nawet w taki mróz kolejka oczekujących turystów. „Koguty” pełniące wartę zmieniają się, co pół godziny. Do dzisiaj, po upływie blisko 40. lat widzę ich marsz, podobnie jak przed siedzibą Królowej Elżbiety w Londynie.

Panorama muru kremlowskiego, pod nim para ślubna składająca kwiaty pod pomnikiem – wieloletnia tradycja tego świeckiego ustroju. Po wizycie w Instytucie Humanistycznym Uniwersytetu im. Łomonosowa mam dylemat. Otóż, będąc w miejscu przeznaczonym dla palaczy otrzymałem od poznanego tam naukowca karteczkę. Kiedy znalazłem się w foyer hotelu „Rosija” siadłem w barze Bierioska, poprosiłem o kawę, zapaliłem papierosa i na karteczce przeczytałem: „Zapraszamy na spotkanie dzisiaj o godz. 19... I tu ulica, nr domu, nr mieszkania(?) i jak dojechać (metro i nr autobusu). Zapowiada się ciekawy, także dla Pana wieczór. Wiktor”. Zdębiałem. Wiktor prawie mnie nie znał, nasza rozmowa w Instytucie trwała ok. dwie godziny. Bywał w Polsce: w Warszawie, Krakowie i Lublinie. Lubił Polaków (często się z tym faktem spotykałem w różnych miejscach) i odnosiłem wrażenie jego potrzeby poznawania mnie. To wyczuwałem. Ale dlaczego taka dyskrecja? Co to za spotkanie? Zbyt długo się nie wahałem, ciekawość wzięła górę i już o 16 siedziałem w metrze. Wsiadłem na stacji Łuźniki i stamtąd odjechałem autobusem linii np.165 (bo nie pamiętam, a nie robiłem notatek). Kiedy po 35 minutach jazdy znalazłem się na wskazanej ulicy, była godz. 18.40. Nie wypadło przyjść do gospodarza za wcześnie, uważam, że lepiej się spóźnić 5–10 minut, to jest zręczniejsze. Wszedłem do bramy pod wskazanym numerem. Obskurna, stara brama z korytarzem przejściowym na podwórko. W bramie rzuciła mi się w oczy skrzynka, ustawiona w kącie, dokładnie taka, jak w Polsce do przewożenia jabłek, tylko wysoka na 2 metry i oznaczona numerami. Domyśliłem się, że pewnie to dla listonosza i korespondencji przychodzącej do lokatorów. Według wskazówek z karteczki na podwórzu, oficyna na lewo odnalazłem nr mieszkania. Stoję przed drzwiami, a po lewej i prawej stronie drzwi niezliczona ilość dzwonek. Odliczyłem, 11 dzwonek po lewej i dzwonię trzy razy. Otwiera mi Wiktor i zaprasza do środka. Długi przedpokój, po lewej i prawej stronie drzwi wejściowe do mieszkań kolejnych lokatorów (jak mi potem wyjaśniono). W kolejne drzwi wchodzimy prawie po ciemku, bowiem żarówka w przedpokoju ledwie świeci. Pokój ok. 30–40 m<sup>2</sup>, pełno w nim dymu, meble pamiętające czasy carskie, duże, ogromniaste i krzesła, już współczesne. Jestem gościem, a więc Wiktor przedstawia mnie – Polaka, stypendystę



teatralnego, a potem przedstawia mi obecnych: swoją żonę Nadię, jeszcze wtedy młodą a już sławną Bellę Achmadulinę i jej męża, legendę współczesnej poezji rosyjskiej – Jewgienija Jewtuszenkę. Mimo ogromnej tremy mówię, że tego pana nie trzeba mi przedstawiać, bo wiem kto to jest – Bułat Okudźawa – wszyscy się śmieją. Ktoś mówi, że to przez Agnieszkę Osiecką Polacy go znają. Ja – że zachwycam się jego piosenkami. I szybko się poprawiam – pieśniami. Okudźawa nic nie mówi, tylko się uśmiecha, choć wyraźnie widzę, że nie jest w fizycznej formie.

– A tego pana na pewno nie znasz – to Robert Roźdiestwienski, także poeta – mówi Wiktor. I wtedy nie wytrzymuję i mówię cytatem „Zamilknijcie mówcy, pauza w przemówieniach. Chwila milczenia, chwila milczenia...”. Cisza. Wszyscy zdumieni, skąd ja mogę znać ten tekst, a ja opowiadam, że tym tekstem Henryk Stanek, recytator, wygrał centralne eliminacje Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego. Wywołuję tą informacją, duże zainteresowanie. Siadamy przy stole, kieliszki i toast „Za pabiedu nad germancami w wielkiej otczestwiennoj wojnie!”. Pielemieni na talerzach, ciemny chleb, jakaś wędlina w plasterkach i duży słoik kiszonych ogórków. I one miały największe powodzenie. W trakcie tej poetyckiej biesiady dokładnie przejedzono 5 dużych słoików pełnych ogórków.

Właściwie cała noc upłynęła w nastroju poetyckim. Wiersze, wspomnienia, nie było śpiewania ze względu na współlokatorów, a szkoda. Opowieści wokół poezji przeplatane sprawozdaniem Jewtuszenki z wizyty w Białym Domu i meetingu w Nowym Jorku. Roźdiestwienski opowiadał o meetingu poetyckim na stadionie moskiewskim na Łuźnikach, gdyż w tamtych czasach nazwiska obecnych poetów przyciągały tysiące wielbicieli. Na to odpowiadałem także o dużej popularności pieśni Okudźawy. On sam dodał, że właśnie Polacy utrzymują go przy życiu. I uwielbia odwiedzać nasz kraj. Oczywiście – wywołuje to natychmiastową reakcję zebranych. Komentarze, że szczególnie lubi tete a tete z Osiecką. Okudźawa mówi, że z całym warszawskim STS - em (Studenckim Teatrem Satyryków-dla niezorientowanych). Kiedy rano wracałem do swojego hotelu była godzina 8. Już przy drzwiach hotelowych „wykidajło” w mundurze portiera zapytał: „Kuda wy byli?” A ja odpowiedziałem: „Ja guliał po Moskwie!” „Kak, 27 gradusow moroza?”, „Da, Moskwa oczeń krasiwa!” Z perspektywy lat mogę dzisiaj powiedzieć, że moja wizyta w Moskwie dostarczyła mi mnóstwo wrażeń, lecz ta noc była niepowtarzalna. Bardzo często słucham Ałły Pugaczowej czy np. Aleksandra Malinina do tekstów

J. Jewtuszenki, a pieśń „Daj Bog” może być tylko porównywalna z pieśniami Bułata Okudźawy. Składając hołd poetom rosyjskim mam nadzieję, że jeszcze moda w Polsce na ich teksty przyjdzie i będzie dla młodych prawdziwym odkryciem. Bo, jak napisał Jewtuszenko o sobie, że „Jestem pisarzem duszy”. Ale stało się nieszczęście – PUTIN!

## Margines kultury

„Kogo potępiać i czym, jeśli stempel  
Zastąpił tępę ostrze potępienia  
I – bezszelestnie, żeby iść z postępem,  
Trzeba udzielać hurtem rozgrzeszenia?”

J. Kaczmarek „Zwątpienie”

O deprecjacji twórców w imię przedsiębiorczości w ostatnich latach napisano już wiele wersów. I nie pomógł Kongres Kultury. Kult przedsiębiorczości przyczynił się do zepchnięcia na margines życia społecznego sfery kultury i edukacji.. Zamyka się szkoły, likwiduje biblioteki publiczne, padają świetne teatry, szkolnictwo wyższe funkcjonuje już tylko dzięki płatnym studiom. Buduje się jedynie pomniki. Ku chwale i ku czci. Jakże dużo wątpliwości, na tle dokonań innych państw, budzi nauka polska. Polscy naukowcy przyjęli zgubną teorię umiejętnego korzystania z cudzych cytatów. Poza nielicznymi postaciami brakuje w nauce faktycznych autorytetów, mogących się wykazać dokonaniem na miarę Europy czy świata

Służba naukowa wymaga ścisłych więzi ze społeczeństwem, a idea nadrzędną winna być służba narodowi. Dotyczy to także humanistów, artystów i filozofów. Retrospektywnie chciałbym się odnieść do swoich doświadczeń praktyka zatrudnionego przez całe życie w jakże pięknej dyscyplinie, jaką jest bez wątpienia – kultura i sztuka. Mając w swoim dorobku pracę na uczelniach (Uniwersytet Śląski, Studium Teatralne w Warszawie i Katowicach) oraz liczne kursy dla kadr kierowniczych i animatorów kultury. Będąc także autorem licznych publikacji repertuarowy, np. „Mój warsztat teatralny” wspólnie z Ireną Jun czy scenariuszy teatralnych poczynając od monodramów, a na widowiskach typu „światło-dźwięk” kończąc. Będąc autorem wielu tekstów np. kabaretowych pozwalam sobie na opisanie łączenia praktyki z moimi doświadczeniami teoretycznymi. Przykład: bardzo proszę. Będzie zaskakujący.

W 1974 roku, po zrealizowaniu w Teatrze „Forum” „Hamleta” i sukcesie, jaki bezsprzecznie mnie spotkał, postanowiłem w związku z ogromną popularnością Jana Pietrzaka, Jonasza Kofty, a szczególnie Wojciecha Młynarskiego, spróbować swoich sił w...kabarecie. Tak, to nie pomyłka, Kiedy miałem zajęcia podczas studiów z Jarosławem Abramowem, Ryszardem Praczem i Jerzym Markuszewskim z STS-u, wielokrotnie mówiono mi, że aby robić kabaret należy wcześniej się dobrze zastanowić. Jest to bowiem forma trudna, przede wszystkim dla tekściarzy i wnikliwych obserwatorów życia politycznego i obyczajowego. Lata 70-te dostarczały bowiem wiele politycznych sytuacji, które nawet w kabarecie uchodziły za nieprawdopodobne. Któż bowiem uwierzy mi, że na moich oczach malowaną trawę na zielono, czy zasypywano już wykopany tunel tylko dlatego, że właśnie za chwilę obchodzona była Barbórka z udziałem Edwarda Gierka. 6 maja 1974 roku odbyła się bowiem premiera mojego debiutanckiego programu kabaretowego pt. „Bilety darmowe wyprzedane”, a kilka tygodni później program „Cierpiśława”. Już 5 dni po premierze nasz kabaret wygrał wojewódzki kabareton i zakwalifikowany został do Kabaretonu w Krakowie. Dziesięć wybranych kabaretów z całej Polski (z późniejszym słynnym „Pod budą”) prezentowało swoje programy przed bardzo autorytatywnym jury na czele z K. T. Toeplitzem, Bruno Miecugowem i innymi tuzami znawców ówczesnej sceny kabaretowej. W listopadzie tego roku zaprezentowaliśmy „Cierpiśławę” w klubie „Largactil” na Rynku Starego Miasta w Warszawie. Program przyjmowany był bardzo ciepło przez liczną widownię. I tylko po trzech spektaklach widzowie nie mogli się nadziwić, że na Śląsku istnieje taki kabaret. W programie kabaretu „Forum” występowali sami mężczyźni: Jerzy Szeja, Henryk Stanek, Ryszard Zgierski, Andrzej Gołąb i ja, także w roli wykonawcy i w części autora tekstów.

Już po upływie roku od powołania sceny kabaretowej w miesięczniku „Radar” ukazał się reportaż z budowanej właśnie huty „Katowice”. Z reportażu wynikało, że najpopularniejszymi artystami wśród ludu pracującego w tej hucie są Czesław Niemen i kabaret „Forum”. Rzeczywiście, powodzenie kabaretu przeszło najśmielsze oczekiwania. Jego skład przy każdej kolejnej premierze się zmieniał, doszłypanie, wśród nich Zosia Ślęczek – moja



Kabaret „Forum” 1975 – Program „Cierpiślawia”

przyszła żona, Krystyna Dudek i Maria Popławska. W ten sposób kabaret dostarczał nam finansów i rekompensował dość ubogie dochody z Teatru. Istniał w swojej niezmienionej formie do 1981 roku. Kolejne premiery to „Kaskaderzy” i „Ruszaj się Bruno”, dedykowany naszemu przyjacielowi Bruno Miecugowowi z tekstem E. Stachury. „Kwadratowe jajo” – program bardziej obyczajowy, ukazujący paradoksy ówczesnego życia w Załębiu.

W maju 1976 podczas Tyskich Spotkań Kabaretowych zaprezentowaliśmy program obyczajowy „Różnij Stasiu, różnij” a rok później „Ożeń się Stasiu”. Odchodząc od kabaretu obyczajowego (ta ambicja!) kolejna premiera „Zapas na zapas” miała charakter polityczny i wywoływała co chwila jakieś nieprzewidywalne konsekwencje ze strony Urzędu Kontroli Prasy, publikacji i Widowisk. Egzemplarze ocenzone stanowią bardzo namacalne świadectwo ingerencji. Klasycznym przykładem tych ingerencji była dyskwalifikacja naszego kabaretu w Cieszyńskich Spotkaniach Małych Form (1978), gdyż jedna z piosenek nie znalazła się w ocenionym scenariuszu. Prawdziwym karnawalem kabaretu „Forum” były

lata 1980 – 81. Ale wtedy tematy leżały na ulicy i wystarczyło się pochylić, aby je podnieść. Sztandarowa piosenka J. Pietrzaka „Aby Polska” była także naszą piosenką. Popularny tekściarz kabaretowy Jerzy Klejny w tygodniku satyrycznym „Szpilki”, relacjonując IV Tyskie Spotkania Kabaretowe, napisał: „Najdojrzalsze programy przedstawiły kabarety „Forum” z Dąbrowy Górniczej i „Ssak” z Politechniki Gliwickiej. I tu, i tam nie brakowało inwencji inscenizacyjnej, niezłych tekstów i ostrej satyry. Nie brakowało też śmiechu, o który coraz trudniej w tego rodzaju imprezach. I wspólnej zabawy, do której walnie przyczynił się twórca kabaretu „Forum” – Michał Staśkiewicz”.

Kolejne premiery kabaretu „Forum”:

„Bilety darmowe wyprzedane” – 1974 r.

„Cierpiśława” – 1974 r.

„Festiwal pieśni Z.” – 1975 r.

„Kwadratowe jajo” – 1975 r.

„Różnij Stasiu, różnij” – 1976 r.

„A, psik” – 1976 r.

„Ożeń się, Stasiu” – 1977 r.

„Zapas na zapas” – 1978 r.

„S.O.S.czyli toń ta!” – 1980 r., pod nazwą Niezależny Samorządny Kabaret „Forum” z Będzina.

## Literacki Hyde Park

W 1952 roku nauczycielka języka polskiego w szóstej klasie szkoły podstawowej zachwyciła się moim wypracowaniem na temat wiersza A. Mickiewicza „Oda do młodości”. Wówczas, nie zdając sobie z tego sprawy, zainteresowałem się poezją. Zacząłem pisać wiersze, wysyłać je do harcerskiego tygodnika „Na przelaj” i młodzieżowego dziennika „Sztandar Młodych”. Moją pierwszą miłość w wieku 15 lat skwitowałem tekstem:

„Idź w cholerę

A krew niech zaciera za tobą ślady”.

I byłem z tego dwuwiersza w owym czasie bardzo dumny. Wyrażał on bowiem ówczesne moje odczucia. Tak zaczął się mój romans z POEZJĄ. Pisywałem jeszcze przez kilka lat o drzewach – kasztanach, pocałunkach, dziewczynie z okna, odpowiadałem Mickiewiczowi wierszem na

Wielką Improwizację. Uśmiecham się dzisiaj ale wtedy czułem się niedocenionym poetą. Spowodował to artykuł pewnego dziennikarza w gazecie „Ziemi piotrkowskiej”: „Odpowiedź na list i wiersze Syna Króla”. „Syn Króla”, to mój pseudonim. Do dzisiaj moja miłość do poezji trwa, jest tym bardziej mocna, że sam już od wielu lat wierszy nie piszę. Zdarzyło mi się jednak w moim życiu poznać osobiście wielu poetów. W innym miejscu opisuje moje spotkania z Cz. Miłozsem, T. Różewiczem, M. Grześczakiem, W. Szymborską, M. Hillar, Zb. Bienkowskim, T. Śliwiakiem i innymi luminarzami polskiej poezji. Często też realizowałem spektakle według tekstów poetyckich Zb. Herberta, St. Grochowiaka, W. Szymborskiej, A. Świrszczyńskiej, M. Białoszewskiego, J. Kofty, T. Nowaka i innych.

„I tak już zostało na całe życie.  
Do dzieła Prousta  
Nie dodają w księgarni pilota  
Nie można się przełączyć  
Na mecz piłki nożnej  
Albo na kwiz, gdzie do wygrania volvo.  
Żyjemy dłużej  
Ale mniej dokładnie  
Z krótszymi zdaniem”.

W. Szymborska

I wydarzyło się to w 1973 roku. W wyniku „poetyckich kompleksów” postanowiłem wymyślić imprezę popularyzującą w formie słowa żywego, tzw. trzeciego wiersza – właśnie poezję. Warunki stworzone przez ówczesną dyrekcję Pałacu Kultury Zagłębia w Dąbrowie Górniczej dla mojego Teatru „Forum” pozwoliły na stworzenie m.in. cyklicznych imprez takich jak Międzynarodowe Spotkania Barbórkowe Awangardowych Teatrów, teatrów także Literackiego Hyde Parku. Ta ostatnia impreza stawiała nie na poezje „czystą” – wyzwolona z potrzeby międzyludzkiej komunikacji, sprawiła, że stawiałem w założeniu tej niszowej imprezy na „nieczystość”, zmęczenie, które wiąże się z ciekawością świata. Należy pamiętać, że impreza rodziła się w latach głębokiego Gierka, kiedy najpopularniejszym hasłem było „Aby Polska rosła w siłę, a ludziom żyło się dostatniej”. Jej charakterystycznym elementem było to, że impreza była adresowana do profesjonalistów i amatorów.

„Poezja może robić mnóstwo rzeczy, może zachwycać, niepokoić, bawić, ale jest coś, co wszelka poezja robić musi, musi słać wszystko, co może, za to, że to jest i że wydarza się”.

W. Auden

13 kwietnia 1973 roku na Wojewódzkiej Trybunie Pomysłów w Gliwicach za opracowanie propozycji programowej „Literackiego Hyde Parku” otrzymuję II nagrodę, a we wrześniu tego roku zaprezentowany program zdobywa Medal i Nagrodę Ministra Kultury i Sztuki oraz dla mnie nagrodę indywidualną w IV Ogólnopolskiej Gieldzie Programowej w Szczecinie... Podczas tej dużej imprezy zaprezentowałem I Literacki Hyde Park na Zamku.

W Październiku 1974 roku prezentowałem propozycję w Wielkiej Gieldzie Programowej Kultury w Budapeszcie zdobywając aplauz międzynarodowego jury, a w której uczestniczyły programy z 17 państw świata.

I wreszcie miałem okazję 20 kwietnia 1975 roku zorganizować II Literacki Hyde Park o nagrodę Prezydenta Dąbrowy Górniczej w wysokości 5 000 zł, którą otrzymała Urszula Kocaba.

Jedynym jurorem był, zgodnie z ustaleniami regulaminowymi, poeta Marian Grześcak.

III Literacki Hyde Park w 1975 r. z jurorem Tadeuszem Śliwiakiem wygrał, dzisiaj wielki aktor Teatru Starego – Krzysztof Globisz. IV LHP w 1976 r. wygrała dąbrowianka, a dzisiaj aktorka – Beata Maj.

V LHP w 1978 roku wygrali: M.Barysz, U.Kocaba, J.Szeja z dąbrowskiego Teatru „Forum”.

Mógłbym tak długo wyliczać kolejne edycje tej jakże interesującej imprezy. Miło mi znaleźć w Internecie wiadomości o kontynuacji LHP przez Pałac Kultury Zagłębia. Ostatnia 36 edycja tej imprezy uświadomiła mi jakim sukcesem był ten mój pomysł, który znalazł kontynuatorów. Cieszę się, że aktualny juror poeta Maciej Szczawiński, który zna początki tej wspaniale popularyzującej poezję imprezę, jest spadkobiercą mojej intencji.

Nieskromnie myślę, że ten krótki historyczny zapis przyda się w następnej edycji LHP, będąc odpowiedzią na pytanie; skąd przychodzimy i dokąd idziemy.

## Utracony talent?

Przez 13 lat działalności Teatru „Forum”, tak w Bytomiu, jak również w Dąbrowie Górniczej, w sumie pracowało w teatrze ponad 140 osób. Byli chętni, którzy dojeżdżali do siedziby teatru z całego województwa, byli zdolni, którzy kreowali siebie (w konkursach indywidualnych), byli tacy, którzy zdawali egzaminy do szkół teatralnych i dzisiaj są w różnych teatrach w całej Polsce, a nawet w Europie. Ale byli też tacy, których zdolności były nieprzeciętne, a ich losy życiowe nie pozwalały na dokonanie wyboru. Wśród tej ostatniej grupy wymienię Marię Popławską, Urszulę Kocabę, Jerzego Szeję, Henryka Stanka, Jerzego Szota czy Mariusza Rejdaka.

Pokończyli studia, znaleźli swoje miejsce w różnych profesjach, wyjechali za granicę, zajęli się pracą, ale zostali w naszej pamięci w roli aktorów, bardzo często jednej roli lub epizodu. Jest jedna osoba w tej ostatniej grupie, której talent stykał się ze mną przez 15 lat. Maria Popławska, bo o niej chcę napisać, jest moim zdaniem, utraconym talentem. Ale nie do końca, bo muszę zaznaczyć, że dwie wybitne polskie aktorki: Aleksandra i Magda Popławskie, to córki Marii. I odziedziczyły po mamie duży talent. Na ten temat mogą powiedzieć dużo krytycy teatralni, widzowie i reżyser Jerzyna lub Warlikowski. WRACAM JEDNAK DO MARII. Kiedy pojawiła się w Teatrze Forum, miała 18-19 lat. Chwilowe doświadczenie ze Studenckiego Teatru Gliwic, a wcześniej z różnych konkursów recytatorskich, zaowocowało wejściem w „Forum” w sposób błyskotliwy. Podjęte studia w jakiś sposób ograniczały możliwości czasowe, Miechowice od Zaborza dzieliła 60 minutowa jazda. A mimo tego – została. Jej, pełna ekspresji rola w „Torbach pełnych głów”, a zwłaszcza rola królowej Gertrudy w „Hamlecie” to były wybitne kreacje. Wyróżniała się piękną dykcją, muzykalnością, brakiem barier w ruchu i, podziwianą przeze mnie przez blisko 18 lat – ekspresją sceniczną. Jej osobowość objawiła się w sposób bardzo przekonujący w spektaklu „My, nasz ogromny czas, nasz wiek XX – Ziemia na lewo”. W 1972 r. wygrała zdecydowanie eliminacje wojewódzkie XVIII Konkursu Recytatorskiego i już w tym roku otrzymuje Nagrodę „Filar Forum” dla najlepszej aktorki naszego teatru. Kończyła studia, wychodziła za mąż, urodziła Olę i Magdę, i kiedy czas jej pozwolił, bywała w Teatrze. Szczególnie dotyczyło to Bytomia. Gorzej było już w Dąbrowie, bo za daleko. A obowiązków miała bardzo dużo. Sprawdzała się bardzo, była moja prawą ręką przy realizacji widowisk plenerowych,



prowadziła próby z 1500. wykonawców. Kiedy w Jastrzębiu Zdroju straciłem głos – zastąpiła mnie doprowadzając do premiery „Skoku przez skórę” (historycznego widowiska wg starych obyczajów górniczych). W trakcie premiery „Romea i Julii” w piwnicach pałacu Kultury siedziała w roli widza. Obserwowałem ją dyskretnie – postrzegalem, że za chwilę zerwie się z ławki i wbiegnie na plan powstańców.

Zapewne mam swój udział w tym, że sama zaczęła realizować spektakle szkolne i wygrywać z młodzieżą różnego rodzaju przeglądy. Jej wyobraźnia i zdobyte doświadczenie dawało znakomite rezultaty. Kochała TEATR i TEATR kochał ją, odwiedzając się talentem jej CÓREK.

Ponad 3-letnia praca przy realizacji „Sinbada...”, jej wspaniała kreacja brzydkiej (mimo urody) czarownicy Tabazy, córek biegających pod krzesłami widzów, obowiązków żony i matki w przerwach między spektaklami. Prędko... prędko... jeszcze prędzej. Samochód... jazda, zdążyć do szkoły, do domu, na próbę. Zwariowane lotnisko!

I dalej tak jest. A mogłaby już zwolnić, to tempo. I znaleźć sobie „przytulankę. Ale ma wnuczkę... Trasa Katowice–Warszawa. Premiery córek, potrzeba teatru, dumna Maria Jaśko (bo taką Ją zapamiętałem). Tak trzymać, jak najdłużej!!!! a talent?

## Głos

Mamy go od urodzenia na własność. Jest z nami zawsze i wszędzie. Może nas bronić, może dowartościować, może odstraszać i może przestraszyć. Jest z nami w chwilach dobrych i złych, w chwilach rozpaczy i upojenia. Potrafi za nas określać wszystko, co nieokreślone, nazywać nienazwane, kłąć, modlić się, wyznawać miłość, bądź ją odrzucać. Jednym słowem – to on pozwala człowiekowi porozumieć się z drugim, trzecim i dziesiątym. Może być w barwie jesieni lub brazylijskiego słońca. Może zachwycać cały świat, nadawany przez rozgłośnie radiowe, lub straszyć narody, a w historii już się to zdarzało – całe kontynenty. Może wydawać rozkazy i polecenia. Może skazywać i uniewinniać, może poświadczając i pomawiać. Może mówić prawdę lub kłamać. Może, „co ślina na język” i „mówić tylko prawdę!”

Może mieć wspólny język ze zwierzętami i brak kontaktu z drugim człowiekiem, jeśli mówią różnymi językami. Może mówić szeptem, półgłosem, podniesionym głosem, krzykiem. Może wyrażać nastroje,

określać przedmioty, wartości i oceniać. Może być publiczny i osobisty, mięsisty i delikatny. Może być mądry i głupi. Może oczarować nas, najbliższe otoczenie, rodzinę, a narażać się partiom, narodom i ideologom. Jest nasz aż do końca, do śmierci. Nie możemy go zmienić a jedynie wykształcić. Możemy nad nim panować, bądź nie. I możemy go stracić. Na chwilę, na rok, na szesnaście lat, albo na zawsze. Jak to stracić? A no tak, zwyczajnie stracić. I nigdy go nie odzyskać. Wyobraź sobie, ile zatem traci głuchoniemy? Nigdy nie słyszał i nie wydawał głosu a też żyje. Żyje wśród nas, słyszających. Słyszysz?... Wśród nas, słyszających i mówiących. Niech będzie błogosławiona chwila w której mówię i sekunda w której słyszę. I nie wolno nam głosu nadużywać, bo można go stracić.

Zdarzyło się dla mnie duże nieszczęście. To zapewne z szalbierstwa. Przy realizacji dużego widowiska górniczego „Skok przez skórę”, które realizowałem w samym sercu Rybnickiego Okręgu Węglowego w Jastrzębiu – Zdroju, w wyniku błędu lekarskiego, straciłem GŁOS!

Przyszedeł sierpień 1980 roku. Gorący sierpień!!! A ja kaleka! I jeszcze jesienią Czesław Miłosz otrzymuje Literacką Nagrodę Nobla. Muszę coś zrobić. Ale jak?

W ciągu dwóch tygodni przy pomocy żony, karteczek i scenariusza przygotowałem na kolejne VI BST spektakl – wydarzenie „Dzieliła nas od Jego twórczości bariera milczenia” według Cz. Miłosza. Wszelkie doświadczenia dotychczasowe w konwencji teatru ruchu, poetyckiego i groteski wykorzystałem przy bardzo bogatej inscenizacji. Jakaż to była frajda obserwować publiczność podczas tego spektaklu. A jego podteksty trafiały w samo sedno ówczesnego klimatu społecznego. Byłem poruszony. Wówczas nie zdawałem sobie jeszcze sprawy, że po 16 latach odzyskam głos.

Barbórkowe Spotkania Teatralne były kontynuowane w Pałacu Kultury Zagłębia przez całe następne lata. Ale już beze mnie i bez Teatru „Forum”, który przeszedł do historii. A, mimo utraty głosu po kilku latach przerwy wróciłem do teatru. Ale już do teatru dla dzieci, bo Julia miała 4 lata i bardzo interesowała ją japońska baśń rysunkowa „Sindbad” prezentowana w TVP. To już nie był Teatr „Forum”, tylko Siemianowicka Trupa Teatralna.

I powtórzę za Platonem: „Nie ma nic piękniejszego niż piękno, nic śmieszniejszego niż śmieśność, nic głupszego niż głupota”.

## Barbórka

Wielkie górnicze święto. Przygotowania do tego święta rozpoczyna wielki ceremoniał powszechnego mycia okien. Tak w Zagłębiu, jak i na Śląsku każde ważne święta rozpoczynają się od mycia okien. Trwają także intensywne próby orkiestr dętych. Bez tych trąb, werbli i pióropuszy to święto nie byłoby górnicze, tradycyjne i lubiane. Owego opisywanego przeze mnie roku ruszyła wielka budowa. Stare górnicze miasto stało się nagle w siódmej dekadzie XX wieku wielką ideologiczną inwestycją.

Już od pierwszej symbolicznej łopaty, zauważonej przez ówczesne media, pierwszego ruchu szwedzkich koparek można było odnieść wrażenie, jakby stał się cud. Jakby cały cywilizowany świat umówił się na randkę w Gołonogu. To była jednak tylko dzielnica, sztucznie stworzonego 200 tysięcznego miasta. Miasta złożonego z kilku blisko położonych osiedli i wiosek, starych górniczych domków, zwanych francuskimi. Na pamiątkę emigrantów górników, którzy wrócili z zarobionymi pieniędzmi do kraju. Aby to prowincjonalne miasto stało się metropolią, władze postanowiły wybudować w ekspresowym tempie do miejsca wielkiej inwestycji, czteropasmową ulicę prowadzącą przez centrum miasta. Zaplanowano, zgodnie z tym, co można było zobaczyć w Berlinie, Paryżu czy Londynie podziemne przejścia dla pieszych, przystanki tramwajowe z zadaszeniem i ogromne kierunkowskazy DO HUTY. I nagle, kilka dni przed 4 grudnia, gruchnęła wiadomość powalająca władze partyjne i administracyjne tego miasta na kolana. Nie do modlitwy, która wówczas była zakazana. – Jakże to, mamy przyjąć naszego ziomka i głowę naszej partii w takim bałaganie? Koniecznie musimy uporządkować plac przed pałacem, w którym ma dojść do spotkania z okazji Barbórki z bracią górniczą – czołową siłą klasy robotniczej. Ta czołowa siła miała nawet, wzorem Pewexu, swoje sklepy, gdzie za odpowiednie talony można było kupić wszystko to, czego w Polsce wtedy nie było. A talony otrzymywali tylko górnicy. Nawet na pieluchy jednorazowe dla niemowląt. A przed pałacem usypano wały ziemi, wybranej na głębokość sięgającą pierwszych pokładów węgla. Co sprytniejsi mieszkańcy wieczorami przychodzili na to „urobisko” i zbierali do wiader i worków przyzwoite łupki węgla. Mieli go, jak się powszechnie mówi, na wyciągnięcie ręki. W tym miejscu rozpoczęto budowę reprezentacyjnego ronda i, oczywiście, przejście podziemne ze wschodu na zachód i z zachodu na wschód. Czasu do przyjazdu „najukochańszego syna ziemi zagłębiowskiej”, było niewiele. Może tydzień, może dwa. Ten fakt przeszedł do

historii polskiej, szeptanej, anegdotycznej i kawiarnianej plotki. A ja tam byłem, widziałem tę dziurę w ziemi, prawdziwe alpy, no może karpaty – zwały ziemi. A kiedy czwartego grudnia podjechały pod pałac partyjne, rządowe i resortowe limuzyny, w miejscu tych zwałów ziemi rosła autentyczna trawa (w grudniu!) podmalowana przed godziną przez miejscowe służby zieleni miejskiej.

Sam widziałem, buty moje zzieleniały ze złości. Wiedziałem bowiem, że uroczystości się skończą i trzeba będzie odkopywać te pokłady. Inaczej nie powstanie przecież cztero pasmówka. 5 grudnia rozpoczynała się w pałacu impreza mająca w nazwie: i międzynarodowa, i barbórkowa. „Ojciec narodu” już wyjechał. Jednak górnicy, to twardy naród, bawili się do rana. A kiedy rano znalazłem się z dyrektorem Mero Bellą, gościem z Węgier, w pałacu zobaczyłem na własne oczy, i nie tylko ja, coś, czego żaden pisarz nie wymyślił, ani malarz nie namalował. Zobaczyłem bowiem stopy wysokich odznaczeń, tak pieczołowicie wiezionych pod eskortą z samiotkiej Warszawy, wręczanych w świetle jupiterów telewizyjnych przez samego „ojca narodu” ze stowarzyszeniem górniczej orkiestry kopalni im. gen. Zawadzkiego, syna tej ziemi. I te sztandary pracy pierwszej klasy, krzyże kawalerskie i oficerskie, orderzy budowniczych Polski ludowej poniewierały się pod stołami razem z butelkami po wódce, kawałkami barbórkowej darmowej kielbasy i plastikowymi nakryciami. I to wszystko w marmurach pałacu, który powstał w wyniku zmniejszenia warszawskiego Pałacu Kultury im. J. W. Stalina o jedno piętro. To bowiem był klasyczny szaber generała Zawadzkiego. Wystarczyło przestawić tylko semafony.

Ponieważ za kilka godzin miała się rozpocząć międzynarodowa impreza teatralna, ten happening z udziałem sprzętaczek zmiatających do metalowych wiader państwowe odznaczenia, był dla mnie prawdziwym wydarzeniem artystycznym Barbórkowych Spotkań Teatralnych w Dąbrowie Górniczej.

## Za czym kolejka ta stoi?

Gdzie można spędzić noc? W hotelu z czterema gwiazdkami, przydrożnym zajeździe, na campingu lub na statku-promie płynącym do Grecji.

A może ...na zwykłej ulicy, w samym centrum dzielnicy o wdzięcznej nazwie Syberka? Było to ćwierć wieku temu. W kieszeni miałem trzy

kartki na mięso, na każdej zezwolenie od najwyższych władz państwowych, umożliwiające mnie i mojej rodzinie nabycie miesięcznie 1,6 kg mięsa, wędlin, kości lub słoniny. Niepotrzebne skreślić. Na cały miesiąc. Dla każdego członka oddzielnie. Cóż to była za rozkosz! Ile było emocji. Czy dowiozą, co dowiozą, i kiedy? Niezapomniane chwile stanu wojennego. Wyobraźnia sięgała w głąb podświadomości i penetrowała korę mózgową. Jest godzina 21, a sklep mięsny (co za ironia w nazwie!) otworzą jutro, o 8. Mam tyle godzin przed sobą. Do wigilii zostały dwa dni. Karpie pływają w wannie, dwa, po półtora kilo każdy. Po chleb stanę w kolejce jutro przed południem. Masło, proszek do pieczenia i cukier już wystąpiłem wcześniej. Nawet ta kolejkowa atmosfera mi się podoba. Znam już prawie wszystkich mieszkańców mojego kilkutysięcznego osiedla. Zmieniając sklep, mam okazję zmieniać też kolejkowych sąsiadów. Znamy się nie tylko z widzenia. Często wymieniamy informacje, co gdzie rzucili. Chodzi oczywiście o reglamentowany towar, konieczny każdemu do życia. A reglamentacja, to najczęściej powtarzane słowo w mediach. Właściwie – wszystko jest reglamentowane. Nawet wolność. Nie wolno chodzić po ulicach po godzinie dwudziestej drugiej aż do 6 rano. Czwarte ćwierćwiecze XX wieku w Polsce? To jakiś koszmarny film, jakieś nieporozumienie. I to wszystko dla dobra obywateli. Koń by się uśmieł, ale kto teraz ma konie? Chyba, że mechaniczne. Ale nawet dla koni mechanicznych pasza, czyli benzyna, też jest reglamentowana. 20 litrów na miesiąc. Albo, jak to bywało w Polsce za niemieckiej okupacji, paliwo na lewo. Litr 100 zł. Może kiedyś ktoś wytłumaczy przyszłym pokoleniom, co to znaczy reglamentacja wszystkiego. Czy to jest wyobrażalne?

Ale wróćmy do mojej kolejki przed sklepem „mięsnym”. Po dwóch godzinach stania w 12 stopniowym mrozie jestem zmrożony. Trudno dłużej wytrzymać. Stoi się na zmianę z członkami rodziny. Zaraz wracam – powiedziałem do stojącego za mną mężczyzny. Już zdążyłem go zlustrować. Pewnie jest górnikiem, bo bardzo towarzyski i zna wszystkich kolejkowiczów. A może z zawodu jest staczem? To taka nowa profesja. Stacz!

– Pana tu wszyscy znają – mówię. – A pan to chyba niedawno tutaj mieszka, bo nigdy pana w tym sklepie nie widziałem. – Pracuję w innym mieście i tam robię zakupy.

Nie mogłem mu przecież powiedzieć, że tak naprawdę, to stoję za mięsem pierwszy raz. Zaopatrzenie, czyli tzw. szmugiel tym razem nie wypadli. Bo świniobiecie w kopalni Czerwone Zagłębie zrobią dopiero na Sylwestra, a to tam, przy okazji, mogłem na lewo dostać to i tamto. A jaka była

wspaniała wędlna. I to nie tylko kiełbasa o smaku niespotykanym, ale także salceson, krupnioki, pasztetowa – palce lizać. Miałem to szczęście, że miałem dostęp. Mieć dostęp do takich nabytków, to duża sprawa. Pożywienie i benzyna jak są, to żyjesz jakby w innym świecie.

Nie spiesz się pan. Mamy przed sobą całą noc. Jak pan wróci, to ja też pójdę się ogrzać do chałupy – powiedział stacz. Żona mi mówi – Co będziesz marzył. Podjedź samochodem, będzie nagrzwany, możesz posiedzieć. Ważne, abys był, jak sprawdzają kolejkową listę. Bo w kolejce lista obecności jest najważniejsza. Sprawdza się ją co 2 godziny. Jak kogo nie ma, to go skreślają.

Przez tę listę byłem świadkiem kilku awantur. Pilni są zwłaszcza ci z końca kolejki. Jak kogoś nie ma, to mniej osób przed tobą. Może ci starczy szynki albo schabu bez kości? Podjeżdżam z fasonem pod sklep. Jestem pełen podziwu dla żony. Taka ładna i taka praktyczna. Nie posądzałem jej o takie prototypowe kolejkowe rozwiązania. Siedzę ja sobie, panisko, w samochodzie marki Wartburg (produkcji NRD), ciepło powoli zmusza mnie do drzemki. Nagle, jak przez sen, słyszę głosy w kolejce: jestem!... jestem! Wychodzę na zewnątrz. Jest chyba z 15 stopni mrozu. Tak mrozi, że zapiera w piersiach. – Jestem! Kiedy padło moje nazwisko stojący za mną stacz rzucił jakby w powietrze: – Idę z panem! Ma pan coś przeciw? Jak mogłem mieć przeciw w czasie, gdy najmodniejszym słowem języka polskiego rozbrzmiewającym we wszystkich zakątkach kuli ziemskiej było słowo „solidarność”. Kiedy późnymi wieczorami szukałem w radiu Londynu lub Radia Wolnej Europy, to nawet radio Tirana mówiło o Polsce, głosem pana Morawskiego – jego zdaniem, jedyne prawdziwego polskiego komunisty.

„Solidarność”! Wałęsa! „Solidarność”! Wałęsa! – mówiły tak wszystkie radiostacje świata, poza sowieckimi, chińskimi i południowokoreańskimi. No i, oczywiście, poza Fidelem Castro z Kuby. Nagle obok usiadł stacz – Będzie mi bardzo miło mieć towarzystwo. Samemu jakoś smutno. Siedzimy. W samochodzie robi się coraz chłodniej. A benzyna na kartki, szkoda zapalać silnik. Jest coraz zimniej. Robi się smutno. I nagle mój kolega z kolejki odkręca szybę i krzyczy do swojego kumpla – Rychu! Pojedź do wozu! Z kolejki podchodzi Rychu, a mój towarzysz – pasażer wyjmuje z torby pół litra wódki – też na kartki. I kieliszek. – Machniem, bo zaśniem – i podaje mi napełniony kieliszek. – Za kółkiem nie piję – odpowiadam na ten gest. I mam tego stacza już dość. Jak się go pozbyć?

Przecież to prowokacja. A wszyscy mnie ostrzegali, abym uważał. Każdy pretekst był wtedy dobry, aby znaleźć się w internacie.

Po trzech minutach przy moim Wartburgu stała kolejka kolejkowiczów. Za jednego piątaka mogli się rozgrzać, znosić to upokorzenie za 1,6 kg „mięcha”. Kiedy już rozlał, a właściwie sprzedał zawartość trzech półlitrówek, niespodziewanie rzucił w moją stronę: – Zaraz wracam! Trzasnął drzwiami samochodu i pobiegł w stronę wieżowca. Uruchomiłem samochód i pojechałem do domu. Wróciłem po 15 minutach bez samochodu. Mój stacz przyszedł kilka minut po mnie. Było już po północy. Do rana przemiennie z żoną dyżurowaliśmy przy odczytywaniu listy obecności. Byliśmy szczęśliwi, kiedy o 8 rano otworzono nasz sklep. Według listy byliśmy na 47 miejscu. Szynki przywieziono 50 kilogramów. Każdy mógł dostać, zgodnie z reglamentacją, po pół kilograma. Dla nas wystarczy. Nie starczyło. Część przywiezionej szynki, niestety, trafiła do „ustępu”. Były to takie czasy, gdzie wszystko „śmierdziało”. Ten zapach tamtych czasów przetrwał do dzisiaj.

Smród towarzyszył wielkiemu łąpanięciu komunizmu. I trudno się go pozbyć.



Zdjęcie z sierpnia 1980 r. (historia się kłania). Ja z córką Julią (1 rok).

Rys. M. Kaldowski

## Sindbada cała paka

Stan wojenny, czas na refleksję, zdenerwowanie osiąga himalajskie szczyty, brak głosu dopełnia zły stan psychiczny. Bezsilność odbiera chęci do robienia czegokolwiek. Pustka.

I nagle, leżąc na piasku nadmorskim w Kołobrzegu, gdy temperatura wody wynosi 22 stopnie i nie ma czym oddychać, wpada powiew lekkiego wiatru. Niesie on ze sobą myśl, która na długie dwa tygodnie nie opuszcza mnie nawet na chwilę. Czego ja jeszcze nie robiłem w teatrze? Nie robiłem spektaklu dla dzieci. A pora na taki spektakl, po latach dramatów, publicystyki i kabaretu jest wprost wymarzony. Julia wymusza na nas pójście przed telewizor w samo południe. Po co? Od kilku tygodni ogląda japońską kreskówkę na temat znanej baśniowej postaci Sindbada i jego przyjaciół. Siadamy w domu wczasowym, licząc się z 40 minutowa nudą. Robimy to dla naszej pociechy. A ona, wpatrzona w ekran, wręcz pochłania treść tej bardzo poglądowej baśni. I nam się to udziela. Po obejrzeniu kolejnych przygód, wracamy na plażę. Temat Sindbada wraca w rozmowie. A może wykorzystać tę postać do ewentualnego spektaklu? Jest teraz, z uwagi na film japoński, bardzo popularna. Może być w wersji japońskiej o różnych cywilizowanych przygodach, może też być pomysłem na spektakl teatralny żywego planu. W zeszycie, kupionym w kiosku „Ruchu” pojawia się pierwszy tekst:

Chłopcy i dziewczynki!  
Najmłodsze i starsze!  
Dzisiaj wydarzenie wielkie  
Jest w naszym teatrze!  
Za chwilę przed wami  
Z dużymi oczami  
Stanie bohaterów rój!  
Każdy będzie miał swój strój!  
Postacie znane i lubiane!  
Wcale nie wyszukane!  
Widziane z bliska i z daleka!  
Każde dziecko na nich czeka!

Gdyby wtedy na plaży ktoś mi powiedział, że piszę swoją przyszłość, to bym się roześmiał w głos. O czym mówisz, przyjacielu? Przymierzam się do bajki. A co z tego wyniknie, tego nikt nie wie. Wtedy była to prawda.



A jednak... nie stosując dramaturgicznej reguły wzrastania napięcia, mogę z perspektywy 30 lat oświadczyć, że ta baśń stała się kluczem do wielu zmian.

To wręcz nieprawdopodobne, że Siemianowicka Trupa Teatralna (bo tak nazwaliśmy nasz teatr) zaprezentowała pięć części baśni o Sindbadzie w ponad 2 000 spektaklach granych w ciągu trzech lat, które obejrzało około 300 tysięcy widzów. Spektakl cieszył się niebywałym powodzeniem w całym województwie katowickim, opolskim, krakowskim. W Domu Muzyki i Tańca w Zabrze, po każdym spektaklu, przy wyjściu z garderoby, ustawione były tłumy widzów po autografy. Tylko na filmach można było obserwować takie sceny po koncertach Beatlesów. Zabrze nie było wyjątkiem. Dzieci oglądały ten żywy plan teatralny z wypiekami, a obecni z nimi rodzice nie mogli się nachwalić poziomem trafnie dobranych aktorów.

Dodatkowymi atrakcjami naszych przedstawień były liczne i wpadające w ucho piosenki, jako że spektakle miały musicalowy charakter. Nowoczesna scenografia, kostium i żywa muzyka (wspaniała Hassan grający na gitarze- Mariusz Rejdak) wzmocniona mikroportami (na owe czasy supernowość) stanowiły nowoczesny w formie i współczesny w treści spektakl.



**Wykaz premier Siemianowickiej Trupy Teatralnej – 1983–1985**

„Sindbada cała paka i jaka była draka” – 162 spektakle

„Co z tą Tabazą?” – 140 spektakli

„Sindbad małą być nie może” – 127 spektakli

„Sindbad wśród Indian” – 97 spektakli

„Spotkanie Sindbada z UFO” – 101 spektakli

Tekst, scenariusz i reżyseria Michał E. Staśkiewicz

Muzyka i scenografia – Mariusz Rejda

**Piosenka Sindbada:**

Czasem słońce się złoci,  
Czasem mokra jest trawa,  
Wiosna, wiosna nadchodzi –  
Wiosną śmiech i zabawa!

Na gałęzi huśtawka,  
Wróbel wróbla kołysze.  
Świat jak wielka zabawka  
Chmarą wilg i pliszek.

Gile, pliszki, zięby, kraski, drozdy, słonki  
Są jak broszki najpiękniejszej leśnej łąki.  
Jeszcze słońca ranny obłok nie odsłonił,  
A już ptaszek z ptaszkiem w trawie dziobem dzwoni.

Chmurka z chmurką się goni,  
Chmurki bawią się w berka.  
Nieraz chmurki balonik  
Moknie w wody lusterkach.  
Tej to wierzby nad wodą –  
Strumień ładnie im śpiewa,  
Tylko kłopot z pogodą –  
Często chłapie, polewa.

Widzowie w Katowicach, Bytomiu, Dąbrowie Górniczej, Chorzowie, Gliwicach, Cieszynie, Bielsku, Sosnowcu, Siemianowicach Śląskich, Częstochowie, Tarnowskich Górach czy Mysłowicach śpiewali



„Siemianowicka Trupa Teatralna”

Plakat pierwszego programu „Sindbada cała paka i jaka była draka”

\* \* \*

nasze piosenki, a każda kolejna premiera wywoływała ogromne zainteresowanie. Graliśmy np. 14 spektakli dla dzieci pracowników Huty „Katowice”, czy w jednym dniu 2 spektakle rano w Cieszynie i w godzinach popołudniowych 2 spektakle w Częstochowie. Używaliśmy własnych samochodów „Wartburg”, „Fiat 125p” czy „Syreny”. Największy problem był w tamtym czasie z benzyną, ale „Polak potrafi” (paliwo było na kartki

i ciągle go brakowało w stacjach CPN). Obsada poszczególnych spektakli zmieniała się w zależności od miejsca występów. Były potrójne obsady, a rolę tytułową grała wspaniale Zosia. Rewelacją była także obsadzona przez Marię Popławską rola Tabazy i Jurka Szeję – Ali Baba, szczególnie w roli wodza Indian. Wprost nie do przecenienia był wspomniany już autor muzyki i jednocześnie gitarzysta Mariusz Rejda – Hassan. Dzisiaj, z perspektywy upływającego czasu, mogę stwierdzić z całą stanowczością, że nasz teatr już wtedy był w XXI wieku. Ale komuś to nie było na rękę, że ta Siemianowicka Trupa Teatralna pracująca pod egidą Towarzystwa Miłośników Siemianowic Śląskich, była konkurencyjna dla innych teatrów. I po trzech latach działalności odebrano nam zezwolenie występów. Jedy- nym śladem po naszej działalności jest pomnik Korfantego w Siemiano- wicach ufundowany z dochodów uzyskanych przez Towarzystwo w wyni- ku patronatu nad naszym teatrem.

Moja rola w charakterze animatora kultury na Śląsku i w Zagłębiu do- biegła końca.

Stać mnie było, dzięki dochodom ze spektakli Sindbada, abym z ro- dziną mógł zamienić mieszkanie. W pięknym lipcowym słońcu 1985 roku, w blasku toruńskiej panoramy nad Wisłą, zamieszkaliśmy w czwórkę w tym pięknym mieście Mikołaja Kopernika przy ul. K. I. Gałczyńskiego.

## Człowiek na Księżycu

W wędrowce przez Ustrzyki Górne i Czarną, po pełnym zachwytu zetknię- ciu się z urodą dzikich Bieszczad, znalazłem się w wakacyjnej wędrowce przy zaporze i elektrowni nad zalewem nad Soliną, w Polańczyku. Piękny widok zalewu zwabiał w 1969 roku turystów ale nie tak licznych. Było tyl- ko pole namiotowe, grupa wędkarzy i nielicznych żeglarzy ze swoimi jach- tami. Pole namiotowe było usytuowane przy przystani, gdzie była też dość prymitywna restauracja, a właściwie barak – bar z wyśmienitym jedzeniem i świeżo złowionymi w zalewie rybami. Bo wówczas woda w Solinie była czysta jak kryształ i pływanie w niej było ogromną rozkoszą. Po dwudnio- wym pobycie rozeszła się wiadomość, że jutro będzie wielkie wydarzenie. Na szczęście w knajpie był jedyny w tej okolicy telewizor. I Rzeczywiście – 21 lipca 1969 roku, opatuleni w przywiezione ze sobą koce i śpiwory oczeki- waliśmy na plaży. Wystawiony na tarasie telewizor zapowiadał nie lada atrakcję. Oczekiwanie trwało kilka godzin, wypiliśmy po kilka piw i nagle

– pojawił się obraz a na nim Neil Armstrong z modułu księżycowego statku Apollo 11. Jego pierwszy krok na tej planecie mam przed oczami po tylu latach. Drugi kosmonauta, który postawił nogę na Księżycu – Buzz Aldrin już nie wywołał takiego aplauzu jak właśnie Armstrong. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Byłem świadkiem wielkiej historycznej chwili i to właśnie przy zalewie solińskim. Kroki, a właściwie podskoki kosmonautów na księżycowym Morzu Spokoju wzbudziły entuzjazm zgromadzonych. Do tychczas imponował wszystkim bohater ZSRR Jurij Gagarin, który w maju 1961 roku został pierwszym człowiekiem w kosmosie. Obwożony przez ówczesnych władców po świecie stał się Gagarin bohaterem nawet plemion afrykańskich. i nagle – u Twardowskiego na Księżycu – Amerykanie.

Dlaczego polecili? Przecież przywieźli niewiele – 381 kg starych kamieni, estetyczną radość Aldrina i nieznane wcześniej ludziom poczucie, że nasza planeta jest mała i krucha. Więc po co to wszystko? Odpowiedź cyniczna – J. Kennedy chciał dowieść wyższości amerykańskiej techniki raketowej nad radziecką. Jak oświadczył: "Wybraliśmy wyprawę na Księżyc w tym dziesięcioleciu i robimy inne rzeczy nie dlatego, że są łatwe, ale dlatego, że są trudne, dlatego, że cel ten posłuży nam do zorganizowania i do zmierzenia tego, co najlepsze w naszej energii i w naszych umiejętnościach". umiejętnościach wybitny pisarz Vladimir Nabokov napisał: "Chodzenie po Księżycu, obmacywanie jego kamyków, doświadczanie trwogi i wspaniałości tego wydarzenia, odczuwanie oderwania się od Ziemi – to wszystko składa się na najbardziej romantyczne doznania odkrywcy".

Wędrowiec przez obszar Ciemny Czarny, po pełnym zachwycie zerkniętym się z drogi dołżył do jeziora, znalazłem się w wulkanicznej wędrowiec przy zaporze i elektrocie nad zalewem nad Soliną, w Palanicyku. Piękny widok zalewu powstał w 1969 roku, narodził się nie tak brzydko. Było tylko pole namiotowe, grupa wędrców i nielicznych zeglarczy z swoimi jachtami. Pole namiotowe było wyznaczone przy przylątku, gdzie była też dość przytulna restauracja, a właściciel barak – bar z wyśmienitym jedzeniem i świeżo słodkimi w zalewie rybami. Do wówczas woda w Solinie była czysta jak kryształ i pływanie w niej było ogromną rozkoszą. Po dwudniowym pobycie rozszala się wiadomość, że jutro będzie wielkie wydarzenie. Na szczycie w knajpie był jedyny w tej okolicy telewizor. I Rzeczywiście – 21 lipca 1969 roku, opatkiem w przekonaniu że woda będzie i spławy oczekiwaliśmy na piasku. Wstawiony na tarasie telewizor zrywował nieładnie transmisję. Oczekiwanie trwało kilka godzin, wypiliśmy po kilka piw i nagle

W wędrowiec przez obszar Ciemny Czarny, po pełnym zachwycie zerkniętym się z drogi dołżył do jeziora, znalazłem się w wulkanicznej wędrowiec przy zaporze i elektrocie nad zalewem nad Soliną, w Palanicyku. Piękny widok zalewu powstał w 1969 roku, narodził się nie tak brzydko. Było tylko pole namiotowe, grupa wędrców i nielicznych zeglarczy z swoimi jachtami. Pole namiotowe było wyznaczone przy przylątku, gdzie była też dość przytulna restauracja, a właściciel barak – bar z wyśmienitym jedzeniem i świeżo słodkimi w zalewie rybami. Do wówczas woda w Solinie była czysta jak kryształ i pływanie w niej było ogromną rozkoszą. Po dwudniowym pobycie rozszala się wiadomość, że jutro będzie wielkie wydarzenie. Na szczycie w knajpie był jedyny w tej okolicy telewizor. I Rzeczywiście – 21 lipca 1969 roku, opatkiem w przekonaniu że woda będzie i spławy oczekiwaliśmy na piasku. Wstawiony na tarasie telewizor zrywował nieładnie transmisję. Oczekiwanie trwało kilka godzin, wypiliśmy po kilka piw i nagle

## Wstęp

W pięknym dniu lipcowym 1985 roku zjawili się z sobą w Toruniu na moście J. Piłsudskiego. Jechaliśmy w kierunku. Droga Torunia Głaz. W nas każdorazowo, gdy jechaliśmy ze Śląka nad Bałtyk. W momencie wjazdu na most, przy pięknej słonecznej pogodzie, zobaczyliśmy panoramę i wtedy stwierdziliśmy, że zostajemy w tym pięknym mieście. I choć nie znaleźliśmy nikogo (zamiana mieszkańców na podstawie ogłoszenia rekrutacyjnego). Będąc rodzicami dwóch córek: Julii i Ani stwierdziliśmy, że jest to właśnie ten skrawek Polski w którym chcemy się zapisać korzeniami. Kiedy w pierwszym dniu po przyjeździe mieliśmy wyjechać na spacer do „naszego” miasta. A dalej zobaczyliśmy piękny miasteczko i Julia była zadowolona. Urzeczony grodzką miastem nawet nie zauważyliśmy, że przez pół roku, tamto intensywnie po-

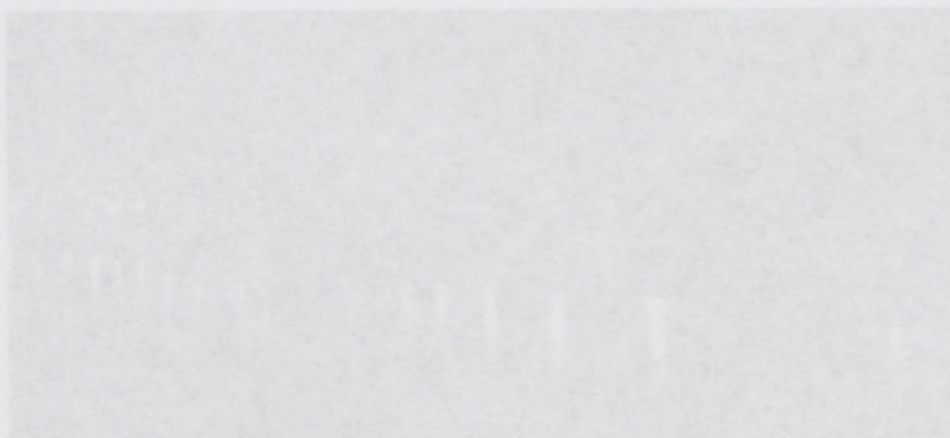
### III. „POD KRZYWAŃ WIEŻĄ” (1985-2015)



Toruń – nocna panorama

panterci, chwile szczęścia. Toruń – nocna panorama. Jest to miasto, przetrwało wyjątkowo, wielkiej ustrojowej transformacji w 1989 r. Nie tylko byłem tego świadkiem, lecz brałem czynny udział w jej przeprowadzeniu. Przez okres pierwszym 5 lat pobytu w Toruniu dojrzałem do tego, by nie stwierdzić, że jestem „krzyżakiem” używając określenia kłębów sportowych. Sądzę, że będąc w środku różnych toruńskich wydarzeń dostarczając czytelnikowi ciekawych, a nawet anegdotycznych faktów. Jest jednak na kilku stronach nie zabraknie Ciebie, Czytelniku, moja pamięć – odtąd.

III. "POD KRZYWA WIEŻA"  
(1985-2015)



Tom – nowa seria



## Wstęp

W pięknym dniu lipcowym 1985 roku zjawiłem się z żoną w Toruniu na moście J. Piłsudskiego. Jechaliśmy w nieznaną. Uroda Torunia trafiała nas każdorazowo, gdy jechaliśmy ze Śląska nad Bałtyk. W momencie wjazdu na most, przy pięknej słonecznej pogodzie, zobaczyliśmy panoramę i wtedy stwierdziliśmy, że zostajemy w tym pięknym mieście. I choć nie znaleźmy nikogo (zamiana mieszkania na podstawie ogłoszenia prasowego), będąc rodzicami dwóch córek: Julii i Ani stwierdziliśmy, że jest to właśnie ten skrawek Polski w którym postaramy się zapuścić korzenie. Kiedy w pierwszym dniu po rozładunku mebli wyszliśmy na spacer do „naszego” miasta, już na ul. Mickiewicza, widząc piękne przedszkole stwierdziliśmy, że Ania mogłaby do niego chodzić. A dalej zobaczyliśmy szkołę muzyczną i Julia będzie tu uczyć się muzyki. Urzeczony urodą miasta nawet nie zauważyliśmy, że przez pół roku, mimo intensywnych poszukiwań, nie znalazłem pracy. Byłem tym faktem zdziwiony, gdyż mimo swoich 44 lat nigdy się z tym nie spotkałem. Uchodziłem bowiem za dobrego fachowca – animatora kultury i miałem odpowiednie referencje. I nagle...

Jestem z 6-letnią Julią w Teatrze „Baj Pomorski”, stoję przed kasą i nagle słyszę znajomy głos Antoniego Słocińskiego – Michał. Co ty tu robisz?

Na szczęście pamięć mnie nie zawodzi. Od tamtego dnia upłynęło dokładnie 30 lat. To dzięki Antkowi znalazłem pracę i odkryłem jedyne znajomego w tym gotyckim mieście. Wspaniałe. Pamięć ludzka jest swoistym fenomenem. To co napisałem nie jest wielką literaturą, nie jest nawet średnią, a może nie jest w ogóle literaturą. Są to, zapisane w mojej pamięci, chwile szczęścia i porażek, chwile przeżyte, co jest w moim przypadku wyjątkowe, wielkiej ustrojowej transformacji w 1989 r. Nie tylko byłem tego świadkiem, lecz brałem czynny udział w jej przeprowadzeniu. Przez okres pierwszym 5 lat pobytu w Toruniu dojrzałem do tego, by móc stwierdzić, że jestem „krzyżakiem” używając określenia kibiców sportowych. Sądzę, że będąc w środku różnych toruńskich wydarzeń dostarczę czytelnikowi ciekawych, a nawet anegdotycznych informacji. Jeśli jednak po kilku stronach nie zainteresuje Ciebie, Czytelniku, moja pamięć – odłóż.

## GRÓD CUD

Dumą Torunia jest Mikołaj Kopernik, który tu się urodził 19 lutego 1473 roku. Był zachwycony miastem swego urodzenia, jego podziwu godnymi zabytkami. 1825 r. odwiedził Toruń, przebywając na wakacjach w Szafarni w liście do swego przyjaciela Jana Matuszyńskiego tak opisał swój zachwyt Toruniem i jego piernikami. „To jest wszystko co Ci o Toruniu napisać jestem w stanie, może więcej opowiem, ale to tylko Ci napiszę, iż największą impresję czyli alias wrażenie, pierniki na mnie uczyniły. Widziałem ja prawda, i całą fortyfikację ze wszystkich stron miasta, ze wszystkimi szczegółami, widziałem sławną machinę do przenoszenia piasku z jednego miejsca na drugie, [...] prócz tego kościoły gotyckiej budowy, od Krzyżaków fundowane, z których jeden w 1231 r. zbudowany. Widziałem wieżę pochyloną, ratusz sławny, tak zewnątrz, jako i wewnątrz, którego największą osobliwością jest to, iż ma tyle okien, ile dni w roku, tyle sal, ile miesięcy, tyle pokoi ile tygodni, i że cała budowla onego jest jak najwspanialszą, w guście gotyckim. To wszystko jednak nie przechodzi pierników, oj pierników z których jeden posłałem do Warszawy [...]”.

„Ale porzuciwszy Kopernika, zacznę o pierniku toruńskim. Nie bez tego, żebyś ich dobrze, a może lepiej niż Kopernika znał, z tym wszystkim doniosę Ci o nich ważną wiadomość, która się może zdać do jakiegoś szpargała; wiadomość jest następująca. Podług zwyczaju tutejszego piekarzy, sklepy do pierników są to sienie obstawione skrzynkami na klucz dobrze zamkniętymi, w których rozgatunkowane, w tuziny ułożone pierniki spoczywają [...]”.

Mając bogactwo „gotyku na dotyk” sztuka konserwatorska w Toruniu kwitła i kwitnie do dzisiaj. Jest co robić, gdyż historyczny potencjał architektury, wnętrza i sakralne budynki z czasów Zakonu Krzyżackiego, coroczne konserwacje murów obronnych, także pożądane ruiny Zamku Krzyżackiego stanowią niewyczerpane źródło wszelakich prac. I stąd Pracownia Konserwacji Zabytków, która w II połowie XX wieku zajmowała się nie tylko toruńskimi zabytkami, ale rozslawiła sztukę konserwacji na cały świat. I to współzasluga konserwatorów, że Toruń dzisiaj znajduje się na Światowej Liście Dziedzictwa Kulturowego UNESCO. Uroda naszego miasta ma dużo do zawdzięczenia toruńskiej myśli konserwatorskiej i jej rzemieślnikom – artystom.

Skoro piszę o urodzie, to nade wszystko zwracam uwagę na toruńską panoramę nad Wisłą, tą oświetloną nocną, ale tę dzienną, w pełnym

słońcu. I Bulwar Filadelfijski (miasto partnerskie) ukwiecony z głównym elementem – obronnymi murami miejskimi. W tle Krzywa Wieża, piękny spichlerz i bramy do miasta z najpiękniejszą Bramą Mostową. Dzisiaj konserwatorzy wychodzą z założenia, że odbudowywać należy tylko te zabytki, które popadły w ruinę stosunkowo niedawno, mają wartość kulturową lub symboliczną, a ich obraz zapisany jest w pamięci żyjącego pokolenia. I stąd odrestaurowane wnętrza Dworu Artusa, a pozostawione „ku pamięci” ruiny zamku krzyżackiego. Takie miejsca powinniśmy zabezpieczać jako dokument historii, ale nie rekonstruować. Są one same w sobie dokumentem przemijania, stając się jednocześnie symbolem teraźniejszości.

A czy wiecie państwo, że pomnik M. Kopernika na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie miał stać w Toruniu? I to Warszawa zawdzięcza nie nam. Ale mamy swojego Kopernika, na stojąco, z astrolabium i jest symbolem tego miasta najczęściej fotografowanym przez turystów. Jest także Uniwersytet Mikołaja Kopernika (a jakże by inaczej?). Dzięki Uniwersytetowi ponad 30 tys. młodych ludzi z Pomorza i Kujaw buduje wizerunek miasta młodego, aktywnego, inteligentnego. Wielka to zasługa wybitnych naukowców i pedagogów tej liczącej się w Polsce uczelni. Nazwiska prof. Stefana Srebrnego, prof. Władysława Dziewulskiego, prof. Konrada Górskiego, prof., Karola Górskiego, prof. Aleksandra Jabłońskiego, prof. Artura Hutnikiewicza czy prof. Wilhelminy Iwanowskiej są znane nie tylko w Polsce, w znaczący sposób wpisali się oni w księgę wspólnej Europy.

Nie jestem zdziwiony, jako przybyły przed 30 laty piotrkowianin, że Toruń znalazł się, zdaniem mieszkańców, na drugim miejscu wśród miast w którym się dobrze żyje.

Laurki naszemu miastu można wystawiać bardzo różne: miasto młodości, nauki, festiwali artystycznych, zabytków i przyjazne ludziom. Lecz przede wszystkim jest piękne, a to piękno budowano przez 800 lat. I buduje się nadal – patrz nowy most na Wiśle, Hala Sportowa czy Filharmonia im. Fr. Chopina.

\* \* \*

Piotrków trybunalski  
 Matecznik  
 Zabrze piłkarskie  
 „Górnik” w chwale  
 Dąbrowa górnicza  
 Czerwona  
 Będzin zamek  
 „My tu bendziem...”  
 Siemianowice i trupa teatralna  
 Toruń Kopernik piernik  
 Już tu nie wrócę [...]

To moje 30 lat  
 To moje miasto  
 W sile wieku  
 To mój 800 letni Toruń  
 Wpisany na listę  
 Mojego serca na stałe

Mimo wszystko słyżę Tuba Dei.

Warszawa, 6 listopada 2015 roku

Odwiedzaj swoje wspomnienia,  
 Uszyj dla nich płócienne  
 Pokrowce.  
 Odsłoń okna i otwórz powietrze.  
 Bądź dla nich serdeczny i nigdy  
 Nie daj im poznać po sobie.  
 To są twoje wspomnienia.  
 Myśl o tym, kiedy płyniesz  
 W sargassowym morzu pamięci  
 i trawa morska zarasta ci usta.  
 To są twoje wspomnienia, których  
 Nie zapomnisz aż do końca życia.

A. Zagajewski

## Wymyślanie

W czasach mojej młodości wystarczyło oddalić się od prowincjonalnego miasta o 15–20 kilometrów, aby dostrzec siermiężność polskiej wsi. A było to pół wieku temu, czyli niedawno. Ugór, ugór, ugór, siekiera wbita w pniok i koleiny w piaszczystej drodze prowadzącej do kościoła, na pastwisko albo do nikąd. No bo gdzie? Do miasta jeździło się dwa razy do roku – po żniwach albo z mlekiem. Nawet się nie jeździło, tylko szło pieszo, boso, bo po piachu szkoda było tych sapogów ciężkich wyłobionych z drzewa, a zwanych trepami, dźwigać. Krowa na pastwisku spalonym słońcem, wóz drabiniasty ciągnięty przez chudą szkapinę czy okryta brezentem furmanka przewożąca z odległych wapienników do miasta wapno potrzebne nowej cywilizacji, w której już glina nie wystarczała na nowe budownictwo. W tym pejzażu zdarzały się obrazki napawające swoim pięknem, jak Chełmońskiego obrazy. Do mnie jednak w mojej dziecięcej wyobraźni one nie przemawiały pięknem przyrody i romantyzmem nastrojów. Ojczyznianych! Gdy widziałem stado owiec, zwłaszcza na terenach podgórskich, na przykład w okolicach Szczyrku Górnego, gdzie spędziłem jedne wakacje, czy w Ostrowie nad Czarną, gdzie mama wielokrotnie zawoziła mnie na kilka tygodni do zamieszkałej tam ciotki, to kojarzyło mi się to z koniecznością ich przywiązania lub pilnowania. Bycie pasterzem mnie nie interesowało, od maleńkości jednak, gdy przeczytałem powieści Karola Maya, to moja wyobraźnia poszła tym tropem. Ba, nawet łąso było w ruchu, podejmowałem próby konkurencji z moim rówieśnikiem Jankiem, kto jest lepszy. Ćwiczyliśmy na jednym czarnym baranie, który uwielbiał nam uciekać. Pojedyncze przydomowe ogródki zwykle od strony piaszczystej drogi, po której pędzono krowy, owce i konie na pastwiska, wypełniały zwykle warzywa potrzebne gospodyni. Od czasu do czasu zdarzały się malwy, Kiedy kwitły były urocze. Kwiaty można było spotkać tylko przed kościołem, obowiązkowo na cmentarzach, przed karczmami lub na przedmieściach miast. I ten zapach. Ciągły zapach wsi mam do dzisiaj, po tylu latach, w swojej pamięci. Jest on nie do odtworzenia. Gdybym mógł przenieść dzisiaj ten zapach do spektaklu w Teatrze Polskim w Warszawie, to byłaby atrakcja. A gdy dodam do tego obrazu z wczesnego dzieciństwa fakt, że urodziłem się w czarną noc okupacji faszystowskiej, to trudno się dziwić, że moja przygoda w wymyślanie zaczęła się już w łonie matki. I stąd wzięła się komplikacja porodowa, 14 godzinne

owinięcie pępowiną i, eureka, czepek na główce nowonarodzonego syna. To chyba już sam sobie wymyśliłem, już wtedy. I tak zostało.

Leżąc w wózku anno domini 1942, w rodzinnym sklepie, nawet nie płakałem. Oddawałem się bowiem wymyślaniu swojego przyszłego życia. Klienci nawet się dziwili, że takie spokojne to dziecko. A ja miałem o czym myśleć. Już w wieku sześciu lat zachwycałem umiejętnością czytania („Mój syn będzie księdzem” – mówiła mama) i mogłem czytać początkowo „Świerszczyk”, potem „Plomyczek”, bo Elementarz Falskiego znałem na pamięć. Szczególnie ulubionym wierszem był „Murzynek Bambo” (o nim później). Kiedy w wieku 10–12 lat natknąłem się w rodzinnym domu na powieści Karola Maya, całym sobą zostałem bohaterem dzikiego Zachodu. Podobnie przeżywałem „Krzyżaków” i „Quo vadis”. Cały Sienkiewicz, to było coś więcej niż szkoła z nudnymi lekcjami o pantofelku. W szkole babrałem się w „Starej baśni”, a po szkole pędziłem po powieści A. Dumasa. To była moja prawdziwa literatura. I nagle – olśnienie. Przecież mogę ją sobie sam wymyślać. Na własny użytek, dla przyjemności. To stało się nagle przy okazji przeczytanej „Chaty wuja Toma, a więc znów Murzyn. Moi rówieśnicy, bawiący się ze mną w „wojnę” (taka była moda) po męczącej bieganiu podwórkami starego miasta siadali na „górcie” przy ulicy Rwańskiej i wymieniali poglądy na temat ostatnio zbitych szyb w oknach pastora, i czy Hanka od Spałków nosi majtki. Kiedy na „górcie” opowiedziałem im o wuju Tomie, nagle nastąpiło olśnienie i opowiadałem dalej o losie Murzyna ale już z mojej wyobraźni. Słuchali uważnie, a potem przez kilka dni prosili, abym opowiadał dalej. W ten sposób stałem się powieściopisarzem. Doszedłem do wniosku, że coś muszę z tym wymyślaniem zrobić? Ale nie miałem na to pomysłu. Do czasu. Ale to było już o wiele później. Dalej jednak ćwiczyłem swoją wyobraźnię. Nawet pisałem wiersze, które wysyłałem do „Świata Młodych” – odpisali „Pisz!”. Już w piątej klasie zbierałem oceny bardzo dobre za wypracowania, zwłaszcza na tematy ogólne. W Liceum pozwoliłem sobie na odpowiedź A. Mickiewiczowi(?) na Wielką Improwizację. Pani od polskiego chodziła po klasach i czytała to moje „wierszowanie”. Byłem dumny i nieszczęśliwy, że nikt ich nie drukuje. Ale też się nie starałem zrobić z nimi cokolwiek. Chodząc po deptaku na ul. Słowackiego wymyślałem, kim może być idący przede mną? Robiliście zapewne to samo? A ja ćwiczyłem...

W chwili, kiedy piszę te słowa moja córka gra na University of Rochester w Nowym Yorku! Tego nie mogłem wymyślić, to przechodzi moje oczekiwania!!!

W swoich ćwiczeniach wyobraźni szukałem klucza dla dalszego rozbudzania mojej twórczości. Obce mi wówczas były rozmyślenia o seksie i kontaktach damsko- męskich. Do nich jeszcze nie dojrzałem. Ale długo na te ludzkie emocje nie czekałem. Potrafiłem, w wyniku kontaktów z literaturą, zwłaszcza z Balzakiem, przyspieszać swoje dojrzewanie. Najpierw były to platoniczne miłości do BB, Sofii Loren i pewnej Oli z klasy równoległej, ale innej podstawówki. Ta Ola siedziała w mojej głowie przez kilka lat. Już... już wydawało mi się, że pójdzie ze mną na randkę, ale wtedy zgubiłem czapkę i pas 25 Pułku Piechoty poszedł w ruch uruchomiony przez moją Mamę. Osiągnąłem swój cel i pocałowałem ją w wieku 16 lat, ona była o dwa lata starsza. Po kilku miesiącach dostałem kosza – wyszła za męża w wieku 18 lat za lekarza, który wycinał mi wyrostek robaczkowy. A ten lekarz poznał ją w momencie, kiedy mnie odwiedzała w szpitalu. To był pech. Nabawiłem się kompleksów i wszystkie „miłostki” ze mnie wyparowały. Wróciłem do poezji. Rozkoszowałem się Pawlikowską-Jasnorzewską, Hilar i... Słowackim.



Ks. Tischner w Dworze Artusa w rozmowie z ks. Biskupem A. Suskim i autorem

Wychowany od wczesnego dzieciństwa w teatrze amatorskim przy kościele Ojców Jezuitów przez ojca Chmurę tkwiłem w II części „Dziadów” A. Mickiewicza. Ale to właśnie pozwalało mi na wymyślanie nowych, innych od poznanych w teatrze scen dotyczących obrzędu. I miałem inne, różniące się od poznanych, wyobrażenia o tych opisanych przez Wieszcza, wstrząsających zjawiskach. Nie postrzegałem w literaturze romantycznej tylko wielkich ideowych polemik. Odbierałem tę literaturę w formie mitu – moja wyobraźnia była nastawiona na „tu i teraz” mojego krótkiego życia. Wówczas nie zdawałem sobie sprawy z tego, co mnie czeka. Jaką przejdę drogę poznawania świata i ludzkich charakterów? Ba, nawet, jaką poznam jeszcze literaturę? To było przede mną. Ale o tym nie wiedziałem.

Przed chwilą, w momencie historycznym, Justyna Kowalczyk, nasza wspaniała narciarka zdobyła złoty medal na Olimpiadzie zimowej w Soczi. To już drugi złoty medal dla Polski, cztery dni temu w skokach na dużej skoczni także złoto zdobył Kamil Stoch. Wspaniale!!!! Takie chwile przechodzą jak legendy, do historii naszego sportu, którego jestem wiernym kibicem od 60 lat.

Właśnie literatura, a szczególnie prasa młodzieżowa miały ogromny wpływ na kształtowanie mojej wyobraźni. Miesięcznik „Radar” z podtytułem „miesięcznik pracy twórczej” czytywałem we wczesnej młodości od dechy do dechy. Ponieważ nie tylko interesujące reportaże, poezja współczesna czy teksty piosenek Presleya i Beatlesów otwierały mi nową przestrzeń, pewną innowacją były eseje filozoficzne i... kontakty z rówieśnikami o podobnych zainteresowaniach.

Skorzystałem z tej redakcyjnej oferty i kontakt do mnie znalazł się na tych dla mnie wartościowych łamach. Odzew był zaskakujący – któregoś dnia listonosz dostarczył na mój adres ponad 200 listów. Mama była zdumiona posądzając mnie o jakieś nieczyste intencje. Wygłosiła długą i soczystą prelekcję okraszoną wskazaniem na pas 25. Pułku Piechoty wiążący na swoim stałym miejscu przy drzwiach wejściowych w przedpokoju. Ale ja już czułem się bardzo dorosłym i kiedy przez kolejne kilka dni przychodziły kolejne paczki listów, byłem pochłonięty ich treścią. A była to korespondencja dla 15 latka bardzo interesująca. Od tekstów nawiązujących do moich zainteresowań – poezji, sportu i literatury, poprzez wyznania miłosne poszukujących dla siebie partnerów młodych i starszych kobiet, aż na, jak dzisiaj sędzę, różnych zбочeńców oferujących „sponsoring” naszych kontaktów osobistych. Szkoda, że nie zachowałem



tej korespondencji, miałbym dzisiaj niezły ubaw. Nie ulega jednak wątpliwości, że ta korespondencja w sposób znaczący rozwinęła moją wyobraźnię szczególnie na temat – jakie mogą istnieć związki różnych osób o różnym temperamencie, zainteresowaniach, wykształceniu i statusie społecznym. Bardzo to doświadczenie zaprocentowało w późniejszym moim życiu. Należy jednak pamiętać, że po wielu krętych drogach, kontynuowałem swoją naukę w liceum ogólnokształcącym. I stało się.

Pisząc ten tekst dzielę swoją UWAGĘ na ekran telewizora, bowiem dzieją się tam wielkie rzeczy. XXII Igrzyska Olimpijskie w Soczi i WSPANIAŁE sukcesy polskich zawodników. Zaczęło się od skoków na normalnej skoczni – ZŁOTY medal Kamila Stocha, bieg na 10 km stylem klasycznym – ZŁOTY medal Justyny Kowalczyk, łyżwiarstwo szybkie 1500 m – ZŁOTY medal dla Zbigniewa Bródki, skoki na dużej skoczni – ZŁOTY medal dla Kamila Stocha Wspaniale!!!! Muszę jednak w tym miejscu zacytować tekst z „Gazety Wyborczej” o bohaterce polskiego sportu: „Stanęłam na starcie i pomyślałam: albo to wygram, albo zdechnę. Mam to w nosie. Ryzykuję... Ja nie miałam czegoś takiego, żebym na ostatnich fragmentach biegu właściwie przechodziła do marszu. A na samej górze podbiegu tak właśnie było... Potrafiłam tylko przekładać nogami, nie umiałam wprowadzić narty w ślizg... Ta złamana stopa to naprawdę był tylko szczyt góry. Pierwszego dnia tutaj noga mi wyjechała z buta; gdy szłam po schodach, obtarłam całe ścięgno Achillesa. Tak naprawdę dopiero w środę mogłam ubrać buty bez żadnych plastrów. Wszystko się waliło...”.

Soczi było magiczne! 4 ZŁOTE, 1 srebrny i 1 brązowy medal wywalczyli Polacy. To piękny rekord.

Nie mogłem jednak kontynuować swojej opowieści o wymyślaniu, bo życie zaskakuje coraz to nowszymi wydarzeniami. Żeby to były wydarzenia. To TRAGEDIA! Ukrainy.

A miało to miejsce w dniach XXII Olimpiady w Soczi. Majdan w centrum Kijowa – ponad 100 zabitych ceną wolności Ukrainy. I to stało się w rzekomo demokratycznym kraju. Zbrodniarzem okazał się legalnie wybrany prezydent. Czy to jest możliwe w samym sercu Europy? Naród został okłamany przez manipulatorów, którzy choć wybrani demokratycznie, poprzez pełzający zamach stanu przekształcili Ukrainę w państwo dyktatury i korupcji. Protest na Majdanie pokazał, że Ukraińcy potrafią bronić europejskich wartości. Ukraina walczy o prawo do własnego wyboru, o godność. Naród, który przeżył masowe represje

stalinowskie i Wielki Głód, udowodnił teraz sobie i światu, że potrafi bronić swojej wolności... To były bardzo tragiczne dni lutowe. Cała Europa wstrzymała oddech.

Chyba powinienem sobie nawymyślać! Pisząc o wymyślaniu jednocześnie reaguje na to, co dzieje się wokół mnie. A nawet dalej... ten bałagan w pisaniu zaczyna mi się podobać. Przecież ta moja pisanina, to próba i retrospekcji zapamiętanych obrazów z życia. Nic tu nie ubarwiam, mimo chęci fabularyzowania treści, nic nie kłamię, oddaje to, co zostało w mojej jeszcze zdrowej głowie. Bo o tym, co może się stać, wie tylko Pan Bóg. I nikt więcej. Jak mawiał ks. Józef Tischner: „Są trzy prawdy: święto prawda, tys prawda i gówno prawda”.

## Pierwsze miejsce pracy - MDK „CENTRUM”

Była to nowa placówka, powołana do życia 2 stycznia 1986 r. Jej położenie, ul. M. Kopernika i ul. Podmurna w samym centrum miasta, dawały szansę na duże zainteresowanie jego działalnością. Ale zanim się tam znalazłem przez pół roku poszukiwałem pracy. Znałem swoją wartość, jednak nikt nie znałem i nikt mnie nie znał. Jak ma się duży dorobek w swojej profesji, to trudno znieść takie upokorzenie. Na szczęście opisany powyżej przypadek spotkania Antka pozwolił mi zostać zatrudnionym w nowo powstałej placówce kultury. Rozpocząłem swoją pracę 1 lutego 1986 roku.

Aby nie rozpisywać się własnymi słowami pozwałam sobie zacytować fragmenty artykułu zamieszczonego w „Gazecie Toruńskiej” we wrześniu 1987 roku redaktora Marka Ignasiaka.

„Nawiedzeni”

Kiedy pewnego dnia wczesnym popołudniem spacerowałem ulicami toruńskiej starówki, z zamyślenia wyrwał mnie dość bolesny kontakt z planszą zapraszającą do odwiedzin w Miejskim Domu Kultury – „Centrum”. Wprawdzie zapraszano – mnie i innych chętnych – dopiero na godziny popołudniowe i wieczorne, postanowiłem jednak, mimo nietypowej pory, zaryzykować.

Do „kwatery głównej” czyli dyrekcji „Centrum” trudno nie trafić. Swoją siedzibę mają tylko kilka kroków od najbardziej znanego w Toruniu budynku, miejsca spotkań wszystkich wycieczek – Domu Kopernika.


Już w holu budynku spotkałem „duszę artystyczną” toruńskiego MDK-Michała Staśkiewicza, pełniącego tu funkcję kierownika artystycznego. Po wzajemnej prezentacji, przechodzimy na górę do gabinetu pana Michała. – Przepraszam za bałagan, ale wczoraj bardzo późno zakończyliśmy próbę naszego teatru – usprawiedliwia się gospodarz. Teatr – ten... amatorski jest jego drugim życiem. Przez 18 lat prowadził teatr „Forum” w Bytomiu i Dąbrowie Górniczej. Pracowało się tam dobrze, miał wiele sukcesów

Ogólnopolskich. Jednak jadąc z rodziną nad morze zatrzymywał się mój rozmówca choć na kilka godzin w Toruniu.

Scena Poezji Teatru „Centrum” \* \*

Dom Kultury „Centrum” Dom Muz ul. Podmurna 1/3 \*

„Jesteś  
niepokonany”



Dnia: 28-87 Godzina: 18:00

Rzadki to przypadek, by normalna działalność wyprzedzała uroczyste otwarcie obiektu kulturalnego. Tak się jednak stało w Toruniu. Oficjalne otwarcie „Centrum” miało miejsce 3 października 1986 roku na wojewódzkiej inauguracji roku kulturalnego. Już 24 maja odbyła się premiera kabaretu „E...TAM” spektaklem pt. RACHUNEK MYLENIA”, 1 czerwca premiera spektaklu dla dzieci „Bez piątej kleпки” przygotowanego przez Teatr „Centrum”, we wrześniu odbył się konkurs piosenki polskiej „Uwaga...Start!”. Także w czerwcu mieszkańcy i liczne rzesze turystów mogli oglądać happening pt. „Turyści” na ulicach miasta i na Wiśle [...]. To, że przyciągał liczne grono młodych i starszych na swoje imprezy jest zasługą ludzi tam pracujących, czy jak się czasem o nich mówi – „nawiedzonych”, dla których jednym z najważniejszych marzeń jest to, by doba miała 48 godzin. Ta nienormalna przestaje im wystarczać [...].

Prawie każdego dnia dzieje się się w „Centrum” coś ciekawego. Występy i próby teatrów i kabaretu, spotkania młodych poetów w ramach Klubu Literackiego, turnieje kultury języka polskiego dla szkół ponadpodstawowych, spotkania w ramach Klubu Piosenki, próby zespołu muzycznego „Dring Bar” – wszystko to sprawia, że stare, szacowne mury tętnią nowym życiem. Przy „Centrum” działa już blisko stuosobowa grupa młodych twórców.

Oddajmy im głos:

*Iwona Gniedziejko – studentka, wykonawczyni monodramu „Słuchaj Joe” wg S. Becketta:*

Dom Kultury stworzył mi nowe możliwości wypowiedzi artystycznej i dalszego rozwoju, czego nie mogły mi zapewnić inne instytucje.

*Jacek Beszczyński – absolwent UMK:*

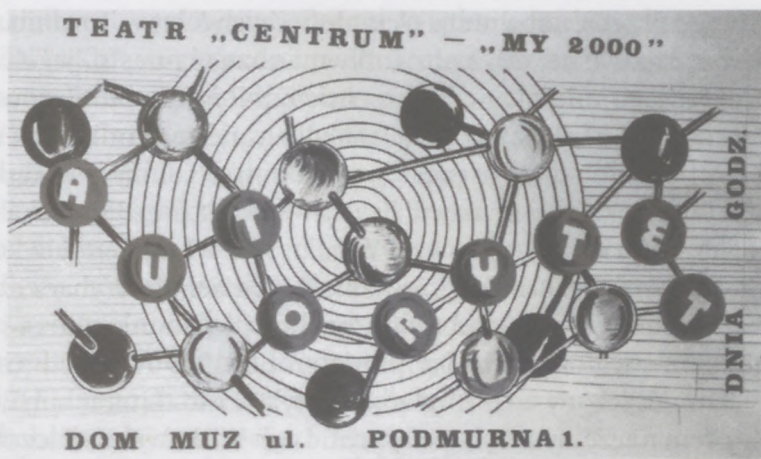
Michała Staśkiewicza poznałem w 1980 roku podczas organizowanych przez niego Międzynarodowych Barbórkowych spotkań Teatralnych w Pałacu Kultury Zagłębia w Dąbrowie Górniczej.

*Joanna Jagła – studentka:*

Teraz to ten kabaret jest czymś więcej niż zabawą. Chcemy robić to, co nas frapuje.

Siedząc przy herbacie w zabytkowej Sali „Domu Muz” przy ul. Podmurnej (najstarszy budynek w Toruniu) przez okno widzę stary orzech, stara fosę, stare mury obronne,

Kry na Wiśle W chwili ciszy tak głęboko odczuwalnej w grubych wiekowych murach, tłumiących zgiełk miasta, słyszę, jak ociera się gdzieś – obok – duch: duch dobrej tradycji i zapału do pracy w kulturze...



Kończę – nie ma już starego orzecha za murem, już tyle lat upłynęło od tamtego opisanego czasu. Kobiety już mają swoje dzieci, J.Jagła jako J. Darc została piosenkarką, I. Gniedziejko (podobno) ma wspaniałe dzieci i działa w stołecznej kulturze, i tylko J.Beszczynski dalej uprawia kabaret w różnych formach. Viola Siwczyńska jest aktorką w Niemczech, Marlena Stachewicz gdzieś mi zniknęła z oczu (a może już wzrok nie ten?), Renata Kaczorowska działa w MDK i jest wspaniałym konferansjerem itd. itp.



Nie mogę przebiec sprintem tych pierwszych 5 lat w Toruniu. Są one dla mnie bardzo ważne, gdyż pozwoliły mi poznać miasto, jego charakter, charakter jego mieszkańców zupełnie odbiegający od mazowieckiego (Piotrków Tryb.) i śląskiego. Stało się dla mnie zrozumiałe, że nie będzie mi tutaj wesoło i dlatego pierwszym moim działaniem był... kabaret „E...tam”. I udało się. Także nawiązywanie kontaktów z toruńską opozycją – pisałem do „Wolnego Słowa”. W roku 1989. I miałem już kontakty z najważniejszymi działaczami toruńskiego podziemia. Wybacz czytelniku, że powołałam się na wywiad (w fragmentach) jaki udzieliłem już jako naczelnik spraw Kultury w UM w październiku 1999 roku red. Grażynie Górskiej, zamieszczony w „Przeglądzie Artystyczno-Literackim”, którego redaktorem naczelnym był wtedy prof. Lech Witkowski – filozof, działacz i wybitny naukowiec.

– *Toruń ma ambicje stać się silnym ośrodkiem kulturalnym. Ma ku temu wszelkie warunki: niepowtarzalną atmosferę starego miasta, tradycje, prężne środowiska artystyczne, którego zapleczem jest Uniwersytet Mikołaja Kopernika, wreszcie sporo obiektów, w których można organizować imprezy i skupić liczną widownię.*

– *Mogę śmiało powiedzieć, że Toruń właściwie już jest stolicą kulturalną całego Pomorza. Teatr im. W. Horzycy z Międzynarodowym Festiwalem Teatralnym „KONTAKT” ma europejską rangę, którą zawdzięcza talentowi organizacyjnemu dyrektorki, Krystyny Meissner. Z kolei Marek Żydowicz wymyślił „CAMERIMAGE”. Kto przed nim wpadł na pomysł dowartościowania sztuki operatorów filmowych? Nikt. Ten festiwal przyczynia się do światowego rozgłosu naszego miasta, przyciąga wielkie sławy kina. Inne międzynarodowe imprezy – Festiwal Muzyki Kameralnej i Sztuki Krajów Nadbałtyckich „PROBALTICA” oraz Międzynarodowy festiwal Kapel Ludowych. Liczy się w świecie także działalność Galerii i Ośrodka Plastycznej Twórczości Dziecka. Placówka działa pod auspicjami UNICEF-u, a w jej konkursach biorą udział tysiące dzieci ze wszystkich kontynentów. Przykłady imprez o skali większej niż lokalna mógłbym mnożyć.*

– *Najwybitniejszym wydarzeniem minionego sezonu jest „KONTAKT”, zorganizowany po raz piąty.*

– *Myślę, że regionalna prasa nie zdawała sobie sprawy, jakiej rangi było to wydarzenie. Otrzymaliśmy zagraniczne czasopisma z Niemiec, Rosji, Litwy i innych państw, które zamieściły entuzjastyczne recenzje z toruńskiego festiwalu na pierwszych stronach, wybijając wielkimi literami nazwę naszego miasta. Doskonałym pomysłem było zaproszenie do udziału w festiwalu egzotycznych teatrów z Wietnamu i Chin.*

Chciałbym zacytować Andreasa Wirtha z Berlina, który stwierdził, że „KONTAKT” za pośrednictwem teatru łączy zachodnią, wschodnią i środkową Europę. Dobrze, że istnieje.

– Festiwal znalazł się we właściwym miejscu. To kapitalne określenie. Chyba lepiej nie można było tego wyrazić.

– Francuscy goście porównywali Toruń do Avignionu, ale z tym się nie zgodziłem. Toruń to Toruń. „we właściwym miejscu”.

– Będąc miastem wielu festiwali, i to o randze światowej, to sukces dla naszego miasta ogromny. Jeśli mówimy o festiwalach, nie możemy zapomnieć o organizowanym najdłużej Ogólnopolskim festiwalu Teatrów Jednego Aktora. W marcu odbył się po raz XXIX. OFTJA w tym roku obchodzić będzie swój jubileusz.

– Muszę powiedzieć, że marcowy festiwal zorganizowaliśmy mimo braku dotacji z Ministerstwa Kultury i Sztuki, któremu widocznie nie zależy na promowaniu dokonań młodych artystów... Jeśli już kontynuujemy tematykę teatralną, przypomnę jeszcze jeden festiwal – Teatrów Studenckich i Alternatywnych „KLAMRA”. Popularnością wśród mieszkańców i turystów cieszy się festiwal teatrów ulicznych. Występy takich grup z kraju i zagranicy odbywają się w czasie wakacji na starówce.

– Podajmy, że urokliwie wyglądali katarzyniarze z Getyngi, bliźniaczego miasta Torunia, kapele ludowe, pojedynczy grajkowie. W Toruniu nie ma sezonu ogórkowego. Sukces to Urzędu Miasta, a konkretnie pańskiego wydziału, czy ludzi zatrudnionych w placówkach kulturalnych?

– Te wszystkie niebanalne imprezy artystyczne, składające się na niepowtarzalną atmosferę miasta, tworzy łącznie tysiąc osób.

– Na ile są samodzielni? Czy realizują własne pomysły?

– Z pewnością. Jednak byłbym złym naczelnikiem, gdybym nie miał wpływu na to, co się w życiu artystycznym i kulturalnym naszego miasta dzieje(...)

Dziękuję za rozmowę.

Po bardzo udanym okresie rozpoczęcia działalności Miejskiego Domu Kultury „Centrum” nadeszła właściwa pora na zorganizowanie wielodniowej imprezy w maju, tradycyjnym mieście wszelakich działań kulturalnych, pod nazwą wielce obiecującą „MU-LI-MA-RE-T (muzyka, literatura, malarstwo, recytacje, teatr). Imprezę nie mogliśmy nazwać festiwalem, choć spełniała wszelkie ku temu warunki, ponieważ organizowaliśmy ją wyłącznie własnymi siłami i własnymi środkami. W bardzo efektowny sposób reklamowana była na Rynku Staromiejskim i jego

okolicach. Właściwie mogę śmiało powiedzieć, że ożywiła Stare Miasto, obok stojących od lat rusztowań Dworu Artusa, administrowanego przez UMK. Poza tym, posiadając już poważne zaplecze artystyczne, organizowaliśmy w ramach naszej akcji nawet... happeningi. Obecność imprez popularyzujących literaturę, w tym Turniej Jednego Wiersza z udziałem wybitnych polskich poetów, Noc Poezji, Poezja pod Pomnikiem (M. Kopernika), koncerty poezji śpiewanej, spektakle kabaretu „FO Pa”, spektakle kameralne. Nie brakowało też imprez rozrywkowych, jak np. Konkurs Piosenki polskiej „Uwaga... Start”, czy koncertów piosenki dla dzieci prezentowanych w Fosie Staromiejskiej. Wydarzeniem był happening pn. „Umarłe drzewo”, za który jako autor otrzymałem główną nagrodę i nagrodę publiczności na Ogólnopolskiej Gieldzie Programowej w Poznaniu... I stało się. Mimo tak ważnej roli, także akcji ekologicznej, już nie ma tego drzewa. I nie ma nawet po nim śladu. A przypomnę, zachwycali się obrazem drzewa ubranego w odpadki cywilizacyjne nawet... Japończycy.

W 1987 roku, po licznych doświadczeniach m. in. z „Żywą Gazetą Literacką”, spotkaniach z autorami, Zaduszkach Poetyckich postanowiłem zaproponować Konkurs Poetycki „O Liść konwalii” z portretu słynnego obrazu M. Kopernika. Po latach konkurs ten otrzymał swojego patrona Zbigniewa Herberta. Już od pierwszej edycji, cieszył się ogromnym zainteresowaniem, a powołane jury miało ogromnie dużo pracy z wytypowaniem laureatów trzech nagród.

„A słowa się po niebie włączą i łajdaczą  
I udają, że znaczą coś więcej, niż znaczą”.

(B. Leśmian)

Motto wybrane przez K. Ćwiklińskiego, autora antologii wierszy laureatów konkursu w latach 1987–2001.

I pomyśleć, że w 1987 r., w rok po powstaniu MDK „Centrum”, gdzie zostałem po półrocznym poszukiwaniu pracy kierownikiem artystycznym, powołałem wspólnie z J. Rochowiakiem, konkurs, który trwa do dzisiaj. Zanim to jednak nastąpiło powstał w Centrum Klub Literacki. Przy życzliwym stosunku ówczesnego kierownika Wydziału Kultury MRN pana Romana Czyżniewskiego i nagrodzie Prezydenta Miasta udało się nam doprowadzić do I Konkursu. I tu niespodzianka. Z całej Polski napłynęło 351 wierszy 50 autorów. I na tą liczbę zapracowały dwie wolnostojące plansze wykonane ręcznie przez Lecha Zakrzewskiego i umiejscowione



na pl. Rapackiego i w Rynku Staromiejskim. Na kolejny coroczny Konkurs wpłynęło 1000 wierszy 121 autorów. Kolejne lata zaowocowały zwiększając się ilością nadesłanych utworów (jak np. w 1990 r. – 1911 wierszy 381 autorów). I wówczas przy kolejnych konkursach zrodziła się anegdota, że więcej wierszy powstaje, a mniej osób je czyta. Jednak ten wybuch zainteresowania przerósł najsmielsze moje oczekiwania. A jurorami w tym konkursie byli zacni i profesjonalni i bardzo kompetentni przedstawiciele toruńskiego środowiska literackiego: Jerzy Rochowiak, Krzysztof Obremski, Zofia Mocarska – Tyc, Marian Grześczak i inni. Po roku 1998 było stałe kilkuletnie jury w składzie Krzysztof Karasek, O. Waclaw Oszajca i Janusz Kryszak. Należy także przypomnieć, że na nasz konkurs, z całej bez mała Polski, napłynęły także wiersze z Montrealu i USA.

Dlaczego w pierwszych edycjach konkursu pojawił się Liść Konwalii? Otóż przed laty był w Toruniu organizowany konkurs literacki o „gałązkę Konwalii” ze słynnego portretu M. Kopernika. Ponieważ na tej gałązce są liście – stąd nazwa konkursu, której jestem autorem.

Na koniec przytoczę wiersz Radosława Siomy – Laureata I edycji Nagrody Literackiej „O Liść Konwalii”

Jezus

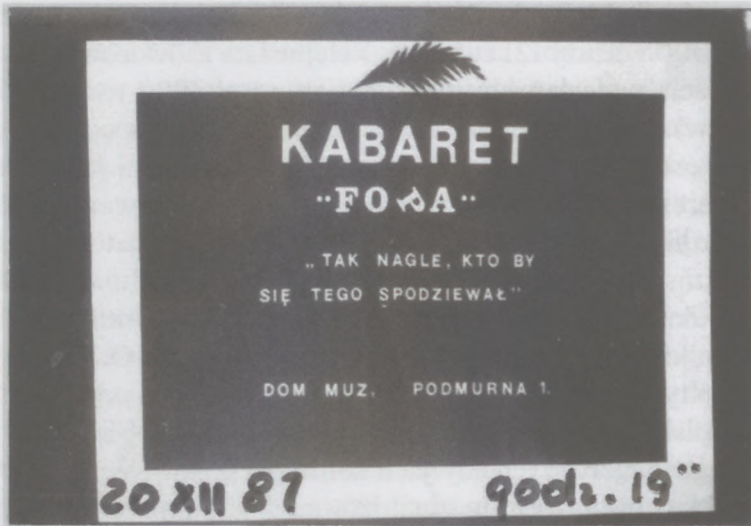
Jezus je rosół z kury  
W bielonej drewnianej chacie  
Gdzieś na Lubelszczyźnie

przychodzą do niego  
i każą mu  
uzdrawiać

zamieniać wodę w wino  
i jeszcze dużo takich rzeczy  
i mówią mu  
że już niedługo będzie pora  
aby pójść na górę

zdziwiony Jezus  
– czego oni od niego chcą?  
musi przecież iść do warsztatu

1987 r.



### „Głos pokoju znad Wisły”

„Ten koncert stał się powodem do dumy dla wszystkich wykonawców z Torunia, tutejszej Polonii, naszych władz i nas wszystkich – pisały „Nowości” w relacji z Getyngi 06.06.1988 roku – Patrzyliśmy z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami, nie wierząc, że Toruń stać na taki występ. Po raz pierwszy i jedynie na tę okazję złączono tak różne elementy, style i muzykę. Nadburmistrz Getyngi Artur Levi w przemówieniu po koncercie określił to połączenie jako awangardowe i niezwykle ciekawe. Polonia urosła i – jak mówili między sobą i do nas jej przedstawiciele – wyzbyła się dalszych kompleksów. Gala Koncert „Głos pokoju znad Wisły w reżyserii Michała Staśkiewicza był montażem muzyki poważnej w wykonaniu pianisty Jarosława Wakarecego (który nb. po koncercie został w RFN) i toruńskich kameralistów oraz folkloru („Kądziołeczka”), muzyki młodzieżowej ( w wydaniu „Nocnej Zmiany Bluesa”) i grupa wokalna ze Studium Nauczycielskiego oraz kabaret „Fo-Pa” z MDK „Centrum”. Burzliwe, entuzjastyczne oklaski zebrali wszyscy”.

To moje pierwsze spotkanie z miastem uniwersyteckim, gdzie przed wiekami patrycjat toruński zdobywał szlify, miasto Braci Grimmów i kilkudziesięciu noblistów ze szczególnym uwzględnieniem fizyków i chemików. Wówczas nie zdawałem sobie sprawy, że będę po kilku latach(2) stałym gościem w tym partnerskim mieście, że będę podpatrywał, jak

wygląda ta niemiecka organizacja pracy, jak pracują instytucje kultury, oświaty i sam uniwersytet. Wtedy bowiem nie wiedziałem, co stanie się w 1989 roku i że znajdę się we władzach miasta Torunia. Już bowiem od wieków Getynga była w zasięgu patrycjatu toruńskiego. To na Starym Rynku w Getyndze absolwenci tamtego uniwersytetu całowali postać niemieckiej Genselize. Taki bowiem obyczaj powstał tam przed wiekami. Sami byłem obserwatorem „orszaku” z okazji habilitacji i wchodzenia na postument getyńskiej Gęsiarki. A ile było hałasu, szumu i śmiechu. Tak, że obchodzone 10-lecie to tylko fragment większej całości. I tak już zostało do dzisiaj – wymiana studentów i nauczycieli akademickich ze szczególnym uwzględnieniem profesorów historii. I nie jest przypadkowym fakt, że od wielu lat (od 1996 r.) przyznawana jest Nagroda Literacka Miast Partnerskich Torunia i Getyngi im. S. Bogumiła Lindego. Wśród laureatów same „wielkie” nazwiska literatury polskiej i niemieckiej z W. Szymborską i G Grassem na czele.

## Nocna przygoda. Człowiek z klasą

Rok wielkich przemian politycznych (1989) był dla mnie także rokiem nowych znajomości. Wracając z pracy około godziny 21 na Rynku Staromiejskim zwróciłem uwagę na trzech mężczyzn, którzy stojąc na rusztowaniu, próbowali zawiesić na nim transparent. Kiedy odczytałem treść, wszedłem na rusztowanie, aby pomóc ów transparent powiesić. Budynek był bez dachu, bardzo zniszczony ale... był legendą miasta. Rusztowanie władze komunistyczne postawiły dwa lata wcześniej sugerując, że będzie remontowany. Ten budynek to Dwór Artusa. Kiedy zesliśmy z rusztowania okazało się, że się nie znamy. Panowie (3) byli lekko zdziwieni, że im pomogłem. Wyjaśniłem, że nie mogłem przejść obojętnie obok hasła „Solidarność”.

Kiedy jeden z panów zapytał, gdzie mieszkam, okazało się, że jest mu po drodze i może mnie podwieźć. Kiedy Fiat 125 ruszył powiedziałem, że mam zaszczyt jechać w samochodzie przyszłego prezydenta mojego miasta. Wywołało to wesołość kierowcy – właściciela samochodu, tudzież jego kolegów. Po podwiezieniu, podziękowałem i wróciłem do domu, opowiadając żonie owe zdarzenie. Też się uśmieła z mojego proroctwa. Sprawdziło się ono. Dr Jerzy Wiczorek był prezydentem od 1990 r. do 1996 r.

Człowiek i prezydent z klasą sprawował za krótko swoją funkcję

W 1996 roku „ostatnim dniem lata” odchodził ze stanowiska Prezydenta Miasta Torunia pan dr Jerzy Wieczorek. Jego sześćoletnia kadencja, jestem tego zupełnie pewny, przejdzie do historii naszego Miasta. I to nie tylko z powodów statystycznych. I nie tylko z powodu zmian politycznych, otwarcia w mieście Kopernika toruńskiego Planetarium, odrestaurowania po blisko 50 latach Dworu Artusa. Nie tylko z powodu odrestaurowania Starówki, iluminacji murów i zabytków, stworzenia miasta festiwali artystycznych znanych w Polsce i Europie, stworzenia warunków do codziennego obcowania w towarzystwie muzyki, teatru, filmu czy tzw. kultury popularnej, uczynienia z Torunia jednego z pięciu centrów kultury w Polsce, sukcesów sportu wyczynowego i młodzieżowego, coraz liczniejszych rzesz turystów odwiedzających nasze piękne gotyckie miasto.

Przede wszystkim jako mądry gospodarz, wspaniały i prawy człowiek, kochający swoje miasto i kochający ludzi. To on otrzymywał i otrzymuje wyrazy sympatii na każdym kroku. Ponieważ uważam za zaszczyt sześć lat pracy pod jego kierownictwem, mogę publicznie oświadczyć: - Jerzy Wieczorek jest człowiekiem z klasą.

#### List otwarty do Rady Miejskiej Torunia

„Jerzy Wieczorek przejdzie do historii Torunia jako prezydent, który mocną ręką przeprowadził gród od komunizmu do normalności. Jako prezydent, za rządów którego Toruń z pięknego, lecz smutnego i szarego skansenu zmienił się w tętniące życiem nowoczesne miasto. I za to wszystko dziękujemy Panie Prezydencie!” (cytat z: „Gazety Regionalnej” GW nr 127 z dnia 1–2 czerwca 1966 roku).

W swojej blisko 800-letniej historii Toruń miał burmistrzów i prezydentów, którzy na trwałe wpisali się w jego dzieje. Ostatnie 6 lat (1990–1996) jest niewątpliwie świadectwem pewnej historycznej kontynuacji. Kryteria pełnienia funkcji Prezydenta Miasta Torunia zostały przez dra Jerzego Wieczorka ustalone w poczuciu duchowego związku z wartościami tej historycznej tradycji.

Aby być prezydentem miasta Torunia należy:

- być pracowitym i poświęcić temu Miastu cały swój czas i siły
- kochać i dbać o to Miasto jego Mieszkańców, znać jego historię i „każdy kamień”

— umieć tworzyć w przepięknej, gotyckiej architekturze klimat wza-  
jemnego szacunku, dbałości o piękno i przeszłość, które stanowiąc będą  
dla Torunia kontynuację przeszłości

— być Europejczykiem szanowanym przez partnerów z zagranicy,  
środowiska akademickie, artystyczne, opiniotwórcze i ludzi biznesu

— być autorytetem moralnym

— mieć pasję tworzenia (scalać, a nie – rozbijać)

— być mądrym i doświadczonym Przewodnikiem

— znać świat i starać się w tym świecie znaleźć godne miejsce dla To-  
runia

— szanować adwersarzy i nie kierować się prywatą

— znać swoją wartość i mieć swoją ambicję.

WNOSIMY ZATEM DO WSZYSTKICH RADNYCH RADY MIEJSKIEJ  
TORUNIA – JEST TAKI KANDYDAT NA PREZYDENTA MIASTA – NA-  
ZYWA SIĘ DR JERZY WIECZOREK.

Sygnatariusze listu: 27 własnoręcznych podpisów zacnych Obywate-  
li Torunia.

PS .Panie Prezydencie! Prosimy zgodzić się na kontynuację. Ci, którzy  
Pana popierają, nie muszą używać argumentów w rodzaju ilości szczepio-  
nych w Toruniu psów.

Tekst ten został opublikowany we wszystkich gazetach codziennych  
Torunia.

Dzisiaj, z perspektywy 16 lat od tamtego wydarzenia, mogę tylko do-  
dać, że toruńscy radni przyznali Jerzemu Wieczorkowi, pierwszemu pre-  
zydentowi miasta po 1989 roku, najwyższą miejską godność – w roku  
2009 – tytuł Honorowego Obywatela Torunia. Zdaniem Kapituły Hono-  
rowych Wyróżnień Miasta Torunia „ogromnymi zasługami dla tworzenia  
podwalin odrodzonego po 1990 r. samorządu terytorialnego”. Kryje się  
za tym mnóstwo spraw, z jakimi borykało się na początku lat 90. miasto.  
Poza tym, co podkreślała Kapituła – Jerzy Wieczorek jest „autorytetem  
moralnym, człowiekiem pracowitym i uczciwym”.

„Zastałem urząd zupełnie nieprzygotowany do pełnienia nowych  
funkcji. Spotkałem zakompleksionych urzędników, uzależnionych od  
województwa, czekających na dyrektywy z góry”. Dr Jerzy Wieczorek  
uporał się z tym.

## Telewizyjna dywersja

Rok 1990. Minął rok od okrągłego stołu. Powstał alternatywny rząd premiera Tadeusza Mazowieckiego. Wasz prezydent – nasz premier – to hasło nowopowstałej „Gazety Wyborczej” (jeszcze ze znakiem firmowym „Solidarności”). Zbliżały się wybory samorządowe na szczeblu miast i gmin. W Toruniu stacjonowały jeszcze jednostki wojsk sowieckich, które przez lata budowały swoją infrastrukturę organizacyjną. W mieście działał już Pełnomocnik Rządu ds. Reformy Samorządu Terytorialnego. Delegat w woj. toruńskim oraz Komitet Obywatelski, rekrutujący się z członków wcześniejszej opozycji demokratycznej z jej przewodniczącym Janem Wyrowińskim (dzisiaj – Wicemarszałek senatu R.P.). W wyborach do Sejmu (tzw. kontraktowego) wybrano m.in. na posłów. Jana Wyrowińskiego, Alicję Grześkowiak, a na senatora prof. Stanisława Dembińskiego (b. rektora UMK). Dla kilku tysięcy żołnierzy sowieckich w naszym mieście działała wewnętrzna linia sowieckiej telewizji. Transmitowała ona audycje prosto z Moskwy. Mogła także wprowadzać na antenę swoje komentarze i filmy.

W moim mieszkaniu przy ul. A. Mickiewicza, na mocy umowy zawartej 5 kwietnia 1990 r. pomiędzy jednostką wojsk radzieckich w Toruniu, w imieniu której działa dowódca płk Anatolij Trojanow, a stroną polską, reprezentowaną przez Wojewodę Toruńskiego dr. Stanisława Rakowicza, zawartej w sprawie umowy użyczenia nadajnika TV, doszło do spotkania dowódców wojsk sowieckich stacjonujących w Toruniu w osobach dowódcy toruńskiego garnizonu płk Anatolia Trojanowa i jego dwóch zastępców – Suczkowa i Padzorowa. Ze strony Komitetu Obywatelskiego w spotkaniu, poza mną, udział wzięli: dr Jan Kostrzak, dr Jerzy Wieczorek i Andrzej Korpusiński. Spotkanie trwało bez mała całą noc i nie obyło się bez tradycyjnej gościnności ze strony polskiej. Wypito ok. 3 litrów „Żytnej”. Omówiono przy tym możliwość korzystania z nadajnika sowieckiego w celu prezentacji przez Komitet Obywatelski „audycji kulturalnych”. Nasi fachowcy doszli do tego, że mieszkańcy części miasta mieli możliwość ich odbioru. Ten kaskaderki pomysł rodził się w głowach uczestników spotkania od dwóch tygodni. Co na to strona sowiecka? Wódka „Żytnej” bardzo im smakowała. Spotkanie skończyło się nad ranem, przy pełnej aprobacie Rosjan.

Otrzymaliśmy zgodę na przygotowanie kasety VHS na 40 minut. Zgoda obligowała nas do emitowania raz w tygodniu przygotowanej taśmy

prosto ze studia, znajdującego się na terenie jednostki sowieckiej. Zająłem się tym osobiście.

18 czerwca 2010 roku „Gazeta pomorska” zamieściła na kilku szpaltach fotoreportaż p.n. „Zobaczyć tamten czas – niezwykle odkrycie: znalazły się programy wyborcze sprzed 20 lat”.

Autor tekstu red. Adam Wilma opisuje szczegóły tamtej, jakże kuriozalnej akcji.

„Niesamowite były okoliczności nadawania tych programów. O tym, że emitowano je z nadajnika stacjonujących w Toruniu wojsk radzieckich – informowała nawet Wolna Europa i Głos Ameryki. Michał Staśkiewicz, któremu Komitet Obywatelski zlecił zrealizowanie nagrań, był wówczas kierownikiem artystycznym w domu kultury. – *Jedyna kamera, do której mieliśmy wtedy dostęp, była wówczas w domu kultury na Rudaku i z niej skorzystaliśmy – wspomina Staśkiewicz. W rolę dziennikarzy wcielili się aktorzy z Teatru Horzycy oraz ekipa z kabaretu FoPa, który prowadziłem w domu kultury. Pozostał jedynie problem, jak ten program emitować...*”.

Współpraca z Rosjanami trwała dwa miesiące. Wyemitowano w tym czasie sześć 45. min. programów. Na doniesienia o sowiecko-solidarnościowej współpracy zrobiło się na tyle głośno, że sprawę zrelacjonowały radio Wolna Europa i Głos Ameryki. Na te doniesienia gwałtownie zareagował dowódca radzieckiej Armii Północ gen. Dobrynin. Ponoć wściekł się sam minister obrony Dymitrij Jazow. W trybie natychmiastowym zmieniono z nami warunki umowy, uniemożliwiając emisję. Kilka lat później, w sensacyjnym tonie opisała to gazeta „Nie” red. J.Urbana, powołując się na anonimowego uczestnika libacji w moim mieszkaniu. Był nim bez wątpienia Andrzej K. zatrudniony do noszenia... alkoholu. Zrobiono z nas niemal agentów.

Historia radzieckiego garnizonu w Toruniu zakończyła się rok później na mocy ustaleń prezydenta Lecha Wałęsy z prezydentem Jelcynem.

Po prezentacji kompletu audycji w Internecie, nagrania leżą spokojnie na mojej półce wśród książek. Ale o nich nie zapomniałem, bowiem przez kolejny rok w tamtym czasie przygotowałem 50 kolejnych audycji wyemitowanych w telewizji kablowej. I taki był początek telewizji lokalnej w Toruniu. Mam w nim swój osobisty udział.

Podaję niżej historyczne Audycje tele wyemitowane z nadajnika  
sowieckiego – kwiecień–maj 1990 w Toruniu:

### Audycja I.

Wywiad z posłem RP Janem Wyrowińskim – Przewodniczącym Komite-  
tu Obywatelskiego

Wywiad z k. S. Józefem Nowakowskim – proboszczem NMP – W.Zagula

Wywiad z prof. Stanisławem Dembińskim – senatorem RP

S o n d a Uliczna

Wywiad z prof. Alicją Grześkowiak – senatorem RP- M.E. Staśkiewicz

S o n d a uliczna

Wywiad z Ryszardem Musielakiem – przew. NSZZ „Solidarność” w To-  
runiu

Wywiad z prof. Sławomirem Kalembką – prowadzenie M.E. Staśkiewicz  
Toruńskie Spotkanie Obywatelskie z wicemin. zdrowia Piotrem Mierze-  
jewskim

Wywiad z lek. med. Anną Perdyńską

Wywiad z dr. Janem Matyjkiem – senatorem RP

Relacja z targowiska na Rynku Nowomiejskim – M.E. Staśkiewicz

Informacje bieżące

Sygnal i stopka redakcyjna.

### Audycja II.

Rezurekcja Wielkanocna w Katedrze św. Janów w Toruniu

Zapowiedzi spikera

Wypowiedź Krzysztofa Żabińskiego – posła do sejmu RP

I n f o r m a c j e

O profesorze Górskim mówi prof.J.Kryszak

Wywiad z Jackiem Stankiewiczem – pełnomocnikiem Rządu - M.E. Staś-  
kiewicz

S o n d a pod „Elaną”

Wywiad z J.Wyrowińskim i A. Tycem – M.E. Staśkiewicz

Wywiad z Janem Adamiakiem – M.E. Staśkiewicz

I n f o r m a c j e

Nasz gość – Wicemin.Kultury Stefan Starczewski – w ramach TSO

Informacje bieżące

Sygnal i stopka redakcyjna



**Audycja III. (1 maja 1990 r.)**

Aula UMK-wywiady przed spotkaniem Tor. Spotkań Obywatelskich  
Zapowiedź programu  
V Tor. Spotkanie Obywatelskie z min. Jackiem Kuroniem  
Wywiad z dr. J. Czerwińskim – przewodn. Izby Lekarskiej – M. E. Staśkiewicz  
Zgromadzenie Spółki Mleczarskiej w Grębocinie – relacja  
Rozmowa z J. Kuroniem w kularach – E. Potarzyńska  
Wypowiedzi widzów po spotkaniu z J. Kuroniem  
Sygnał i stopka redakcyjna

**Audycja IV. (3 maja 1990 r.)**

Relacja z Mszy Świętej na Rynku Staromiejskim  
z udziałem JE Biskupa Przykuckiego.  
Film francuski „Samorządy lokalne”  
Informacje- kalendarz wyborczy  
Oświadczenie dot. rzemiosła w Toruniu  
Zakończenie programu

**Audycja V.**

Wiersz „Jak daleko odszedłeś” ks. J. Twardowskiego  
Wywiad z Marią Kalotą- Szymańską – poetką – M.E. Staśkiewicz  
Zapowiedź programu  
Wystawa podyplomowa studentów Wydz. Sztuk Pięknych  
Wywiad z aktorką Zofią Melechówną – M.E. Staśkiewicz  
OFTJA – relacja z wręczania nagród  
Wybory do samorządu lokalnego – informacje  
Film instruktażowy francuski o samorządzie lokalnym  
Zakończenie programu i kalendarz spotkań przedwyborczych

**Audycja VI.**

Sonda uliczna przed wyborami  
Wywiad z Janem Wyrowińskim – przewodn. Komitetu Obywatelskiego  
Kabaret „FO PA” MDK „Centrum” w Toruniu  
Wywiad z Michałem Wojtczakiem – przew. NSZZ „S”  
Wywiad ze Zbigniewem Mówką  
Kabaret „FO PA”  
Wywiad z Jerzym Wiczorkiem – E. Potarzyńska  
Sonda uliczna

Wywiad z Grzegorzem Potarzyńskim – sekretarzem KO- M.E. Staśkiewicz  
VI Tor. Spotkania Obywatelskie – relacja ze spotkania z min. sprawiedli-  
wości

Odezwa KO dot. wyborów samorządowych

Kabaret „FO PA”

Wywiad z prof. Kazimierzem Wajdą – M.E. Staśkiewicz

Wystąpienie M. E. Staśkiewicza

Kabaret „FO PA” w piosence ”Przychodzimy, odchodzimy”.

\* \* \*

Pełnomocnik Rządu ds. Reformy

Toruń, 25 maja 1990 r.

Samorządu Terytorialnego

Delegat w woj. Toruńskim

DR/19/90

Szanowny Pan

Michał Staśkiewicz

Z satysfakcją, ale również z żalem oglądałem ostatni program, wy-  
boreczy STUDIA V. Z satysfakcją, gdyż był to pierwszy – nie tylko w Pol-  
sce całkowicie niezależny, realizowany społecznie program telewizyjny,  
traktujący o sprawach miasta, w którym mieszkamy. A żalem, bo kończy  
się pewien etap przygody, w której dane mi było brać udział, z czego je-  
stem dumny.

Wiem, że STUDIO V przysłużyło się doskonale krzewieniu idei samo-  
rządności lokalnej. Wierzę, że nadane dotychczas programy były ważnym  
elementem mobilizującym do udziału w wyborach.

Za ogromną pracę włożoną przez cały zespół w urzeczywistnienie na-  
szego pomysłu chcę złożyć na Pana ręce szczególne podziękowanie. Pra-  
gnę zapewnić, że nie ma ono w najmniejszym nawet stopniu oficjalnego  
charakteru. Jak Pan wie, ze STUDIEM V jestem związany bardzo emocjo-  
nalnie i dołożę wszelkich starań, by program nadany 25 maja nie był pro-  
gramem ostatnim.

Przekonany jestem, że w staraniach tych będę mógł liczyć na dalszą  
Pana pomoc i zaangażowanie, a także na zrozumienie i poparcie nowej  
Rady Miejskiej i ugrupowań politycznych reprezentowanych w niej.

Z poważaniem

Jacek Stankiewicz

## Michałki z władzy półki

Ponad 12 lat temu byłem urzędnikiem na odpowiedzialnym stanowisku naczelnika dużego wydziału w Urzędzie Miejskim w Toruniu. Dzisiaj w to miejsce są trzy różne wydziały i trzech różnych dyrektorów. Przez okres 10 lat starałem się godnie pełnić swoją funkcję. Jednak różnica poglądów różnych partii stwarzała także mało przyjemne sytuacje. I nie chodziło najczęściej o sprawy merytoryczne. To zdarzało się dosyć często z uwagi na brak doświadczenia w nowej rzeczywistości gospodarczej i politycznej. Nie starając się tłumaczyć jednego incydentalnego przykładu dotyczącego mojej osoby, pozwalam sobie zacytować toruńskie „Nowości” z dnia 13.09.1996 roku. Zwracam tutaj uwagę na rok. To w odpowiedzi na przed kilku miesiącami odwołanego z funkcji prezydenta dra Jerzego Wieczorka. Byłem traktowany jako „jego człowiek”, którego zawsze bronił go przed atakami „jak niepodległości”: chciano, wyszukując różne zmyślone argumenty, odwołać mnie. I właśnie relacja dziennika toruńskiego na pierwszej stronie oddaje charakter tego sporu.

„Dostało się podczas czwartkowego posiedzenia toruńskiej rady Miejskiej członkom komisji rewizyjnej. A na początku obrad wydawało się, że będzie słodko i przyjemnie – radny Andrzej Ruciński zaserwował bowiem na stoły słodczyce z toruńskiej „Nadwiślanki”. Były więc całe stopy murzynów, wafli i przepysznych cukierków o nazwie „Michasie”. Podczas obrad zrobiło się jednak nieprzyjemnie, a nawet mdło. W przenośni i dosłownie.

Pod nieobecność swojego przewodniczącego, lewicowi członkowie komisji rewizyjnej próbowali narzucić pozostałym radnym własną ocenę działalności Michała Staśkiewicza, naczelnika Wydziału Kultury, Turystyki i Sportu. Robili to bardzo nieudolnie, nie potrafili wyjaśnić wielu konkretnych zarzutów wobec „oskarżonego” naczelnika zapisanych w ich uchwale. W końcu próbowali odłożyć dyskusję w tej sprawie na inną sesję. W głosowaniu radni nie zgodzili się na takie rozwiązanie. Po kilkugodzinnej dyskusji, w której radni bardzo umiejętnie wykazywali kruchość zarzutów wobec naczelnika Staśkiewicza, został on zrehabilitowany. Większością 23 głosów, przeciwko 6, odrzucono proponowany przez komisję rewizyjną projekt uchwały. Stwierdzono, że wszystko co robił Staśkiewicz, miało przyzwolenie Zarządu Miasta”.

Takich sporów w okresie pierwszego dziesięciolecia nowego ustroju bywało wiele. Ożywienie dyskusji w sprawach spornych przybierało

nieraz bardzo różne dramatyczne formy, do wychodzenia z Sali włącznie. Nie było to zatem łatwe zajęcie – być szefem w jakichś samorządowych sprawach.

Aby dodać smaczku opisaney mojej sprawie pozwolę sobie zauważyć, że na następnej Sesji odwołano komisję rewizyjną. W składzie tej komisji był wówczas radny Michał Zaleski. Dzisiaj prezydent miasta Torunia Michał Zaleski przyznał mi Honorowy Medal „THORUNIUM” w uznaniu zasług dla Miasta. Bez komentarza.

## Magiczna panorama

Zbliżała się godzina 23. Zadzwoić, czy jeszcze poczekać? Chyba za wcześnie, poczekam.

Mam nadzieję, że się nie obrazi. Ale nie mam samochodu. Trochę głupio zadzwonić o tej porze. A jak będzie już spał? Nie może spać. Musi przecież przejrzeć dokumenty z całego dnia. I podpisać ważne decyzje. Sam mi mówił, że pracuje 18 godzin na dobę. Bycie prezydentem dwustutysięcznego miasta samo w sobie jest już dużą odpowiedzialnością. Zwłaszcza dla człowieka tak skrupulatnego, jakim jest Jerzy Wieczorek.

23.20. Jednak wykręcąm jego domowy telefon (jeszcze nie było telefonów komórkowych).

– Mam prośbę – mówię z zaschniętym gardłem. – Słucham? – Ale się nie pogniewasz? – Przecież wiesz, że nie śpię. Ale mam dużo pracy.

– A ja chciałbym prosić, abys wsiadł do swojego Fiata, przyjechał po mnie. Będę stał na rogu Konopnickiej i Mickiewicza. – Czyś ty zwariował? O tej porze? A po co?

– Mam sprawę i muszę natychmiast być w okolicach Dworca Głównego. – Michał – przecież są taksówki. – Nie. Tylko z Tobą mogę tam pojechać.

Kiedy wsiadałem do Fiata na umówionym miejscu, widziałem minę niezadowolonego prezydenta. Pewnie będzie przeze mnie musiał przeciągnąć swoją pracę nad codziennymi dokumentami na później. Gdy zbliżyliśmy się na ulicy Kujawskiej na wysokości campingu Tramp poprosiłem, aby skręcił w lewo. I wtedy zaskoczył. – To trzeba było mówić od razu. Oszczędziłbyś mi nerwów.

Staliśmy na wysokości dzisiejszej platformy widokowej, po przeciwnym brzegu, na wysokości Bramy Mostowej. Była godzina 23.50. Tajemnica mojego podróżowania była już wiadoma. Od tygodnia trwały próby instalacji iluminacji murów obronnych Torunia. Tymczasowe lampy, które podświetlały mur od mostu drogowego, a właściwie Krzywej Wieży do Bramy Mostowej, były instalowane przez ekipę fachowców i przez kilka dni wzbudzały duże zainteresowanie przechodniów. Nikt jednak nie wiedział, poza ekipą techniczną, kiedy będzie ten pierwszy raz. I oto stoimy po drugiej stronie Wisły i czekamy. Nagle wolno, jakby dostojnie, zaczęły lampy się rozświetlać. I to był moment historyczny. Godzina O. Cóż to był za widok!

– Panie prezydencie! Jesteśmy pierwszymi, którzy mogą napawać się tym widokiem. Potem będzie to już normalka.

Jak mogło w takim momencie zabraknąć człowieka, który poparł tę ideę i przekonał Radę Miasta na taką inwestycję. Wówczas takimi iluminacjami w Polsce mogły się popisywać tylko Wawel i krakowski kościół Mariacki. A jeszcze przed Świętami Bożego Narodzenia była też iluminowana Katedra św. Janów. W samą Wigilię.

Po 15 minutach próba dobiegła końca, a my obaj pojechaliśmy podziękować ekipie technicznej firmy „Coma” i naczelnemu inżynierowi panu Alojzemu Szpikowi za nocną próbę. Inżynier A. Szpik był właścicielem „Comy” i miał swój ogromny wpływ w techniczne rozwiązania iluminacji świetlnych w Toruniu. Należy jednak zaznaczyć, że ówczesny miejski konserwator zabytków Zbigniew Nawrocki zaproponował rozwiązanie zabezpieczenia lamp podświetlających mury w formie imitacji kamieni, których technologia nie pozwoliła na ich niszczenie i przetrwały one, mimo podejmowanych przez miejscowych wandalów prób niszczenia, do dzisiaj.

Tak rodziła się nocna panorama Torunia, która znalazła się w 2007 roku na liście 7 cudów Polski i jest podziwiana przez licznych turystów z całego świata i ulubiona przez jego mieszkańców.

## **Drugi Toruński Festiwal Książki – 1996 r.**

Sobotnia noc, nad głowami toruńskiego Planetarium gwiazdy, na widowni – znakomitości pióra. Adriana Szymańska – torunianka z Warszawy (I nagroda), Maria Kalota-Szymańska – torunianka (II nagroda), Adam

Ziemianin z Krakowa (III nagroda), a ponadto: Józef Baran, Julian Kornhauser, Aleksander Jurewicz, Michał Siewkowski – uczestnicy Turnieju Jednego Wiersza. Jeden juror – o. Wacław Oszajca z Poznania – Torunia – Warszawy. Przewodniczący Rady Miejskiej pan Bogdan Major wręcza nagrody i żałuje, że... nie startował w Turnieju.

Wracamy do inauguracji – poniedziałek – spotkanie w Wielkiej Sali Dworu Artusa z pisarzem Andrzejem Szczypiorskim – trudno było znaleźć wolne miejsce, przeważa młodzież

Wtorek – „Wolę Szymborską” – w Domu Muz, tłumy, przeważa młodzież licealna.

Środa – Po raz 26 autorska impreza „Zaduszki poetyckie” w Domu Muz.

Czwartek – spektakl Studia P, prowadzonego przez tegoroczną laureatkę Nagrody Prezydenta Miasta panią Lucynę Sowińską pt. „Śpiewanki zakłète” w Sali TNT – tłum.

Piątek – przyznanie po raz pierwszy Nagrody Literackiej im. S.B. Lindego ufundowanej przez władze Torunia i Getyngi – w uroczystości uczestniczą Ulla Borchard i Joachim Kummer z Getyngi.

Laureatami Nagrody zostali: wkrótce laureatka Nagrody Nobla Wiśława Szymborska oraz wybitny niemiecki pisarz – Günter Grass. Nie byli obecni ciałem, nadesłali listy. Będą w Toruniu w 1997 roku.

Także w piątek – inauguracja Panelu Literackiego, nad którym patronat objął bydgoski „Kwartalnik Artystyczny”. Temat Panelu „Kryzys moralności w świecie i jego odbicie w sztuce” potrwa w Dworze Artusa przez kolejne dwa dni.

Sobota – pięćdziesięciu literatów z całej Polski, krytycy, prozaicy, poeci, tłumacze. Spotkania z literatami w całym mieście. Wieczorem – A. Szamańska, U. Kozioł, o.W. Oszajca i J. Kornhauser czytają swoje teksty w Wielkiej Sali Dworu Artusa.

Niedziela – uroczyste zakończenie X Jubileuszowego „Konkursu Literackiego liść konwalii”. 167 poetów nadesłało ponad 800 wierszy.

Przez cały tydzień w kinie „Orzeł” na ekranie klasyka literatury, wystawy w Książnicy Miejskiej, TNT, Bibliotece Uniwersyteckiej, Dworze Artusa – Festiwal Książki – to po toruńsku brzmi dumnie!

Uff... Uczestnicy mieli okazję oglądać i spotkać się w miesiącu, który kiedyś podobno był trudna dla kultury. Kolejny toruński festiwal dobiegł końca. Gdy umilkło zakończenie – na Sali wielkiej Dworu Artusa

rozpoczynał się koncert uniwersytecki w wykonaniu Toruńskiej Orkiestry kameralnej. Taka to jest codzienność kultury w naszym mieście.

Od 15 listopada 1997 roku kolejny III Festiwal Książki. Sądząc po tegorocznym – czekają nas nie lada emocje.

## Spotkanie po latach z Hanną Krall

„Moja praca to jest wszystko. A moje życie to jest właśnie to, co napisałam. Tych kilkanaście książek. Śniło mi się, że jestem stara, mam dużo lat i przyjdzie moment, kiedy pomyślę: „I co ja z tym życiem zrobiłam?” I pomyślę, że chyba go nie zmarnowałam. Opowiadałam o ludziach, o których należy opowiadać, zapisywałam rzeczy, które należało zapisać. Które były tego warte, które były godne, o których należało zawiadomić świat”.

W 2005 roku pojawiła się w Sali Wielkiej Dworu Artusa w towarzystwie Zofii Kucówny – wielkiej polskiej aktorki, która czytała fragmenty z Jej licznej twórczości. Siedziałem w 12 rzędzie i byłem bardzo podniecony. HANNA KRALL! Ile to już lat temu towarzyszyłem na Śląsku Wielkiej Piarce 5 dni. Przyjechała aby zrobić reportaż na temat mojego „Hamleta” (patrz część II).

Po reportażu red. Barbary Pietkiewicz zaprezentowanym w STUDIO-2 TVP, to było drugie wyróżnienie i zainteresowanie autorki „Zdażyć przed Panem Bogiem” – prawdziwego besseleru. Ile to lat upłynęło? Trzydzieści lat temu na pierwszej stronie „Polityki” z rysunkami J.Kofy ukazał się reportaż o „Hamlecie” Teatru „Forum”. A trzy lata później książka „Sześć odcieni bieli” w którym także znalazł się ten reportaż Po latach zabrałem z sobą na spotkanie książkę i po spotkaniu ujawniłem swoją obecność, rzuciła mi się na szyję, kiedy przypomniałem okoliczności powstawania reportażu „HAMLET”. Jej wpis dedykacji po 30 latach: „Panu Michałowi, jednemu z moich ulubionych bohaterów, moc serdeczności – Hanna Krall”.

Tę pamiątkę z tamtego spotkania mam przed sobą. Jak pisano wówczas „Lubi udawać naiwną. Ta brunetka ze sztucznymi, bo udawanymi kompleksami, po wielu latach pracy w „Życiu Warszawy” wybiła się jako moskiewska korespondentka „Polityki”. Po powrocie osiągnęła pułap w skali jakości reportaży. (...) Punkt widzenia autorki narzucony jest czytelnikowi w udającym obiektywizm opisie faktów i rysunku sytuacji, tła i postaci. Krallówna robi to w taki sposób, że jej mniej obyty z literackim

szalbierstwem odbiorca sądzi, iż autorka tylko opowiedziała, zaś czytelnik sam przy użyciu własnej głowy nadał reportażowi sens znaczeniowy. Sprawy wielkie odbijają się u Krallówny w kropelce wody”. Tak o jej twórczości pisał w 1978 r. Jerzy Urban jej redakcyjny kolega w „Polityce”. Wszystkie te elementy jej pisania znalazły bezpośrednie odzwierciedlenie w reportażu o moim teatrze.

„Poloniusz, dworzanin królewski, ma niedobory w magazynie, dzisiaj zauważył brak suwmiarki, wczoraj palnika. Ofelia, jego córka, wpisuje pospiesznie do arkusza siedemset sześćdziesiątą liczę, bo dyrektor musi mieć o godzinie szóstej trzydzieści pierwszy raport. Król Klaudiusz zaś lutuje elementy do komputerów. Królowa Gertruda koduje mięsa i wędliny dla maszyn liczących. Zna już wszystkie symbole na pamięć: wie na przykład, że cielęcina ma 030, baranina 040, a końskie 050. Od siedmiu lat wystukuje już na ślepych klawiszach te symbole. Więc kiedy tylko przestają kodować, lutować i nanosić – spieszą na duński dwór i są królowami i dworzanami, sprawcami i ofiarami intryg, i pochłaniają ich problemy ostateczne, i targają nimi niszczące namiętności”. (fragment reportażu H. Krall o „Hamlecie”) „Było to okropne. Rano wykrywał machlojki na wydziale, a po południu matka mu się puszczała z tym gnojkiem, królem, który przecież załatwił mu ojca, o czym ona nie mogła nie wiedzieć”. (fragment reportażu).

Te teksty powstawały na moich oczach i tylko nie zdawałem sobie wówczas sprawy, jaki będzie końcowy rezultat. I powstało coś, co pokrywało się z moim myśleniem przy realizacji „Hamleta”, lecz jak inne, jak codzienne, jak bezczelnie odsłaniała autorka mechanizmy władzy w tamtym czasie. Nie dziwiły mnie wcale obiady w restauracji „Polonia” w Katowicach i prośba autorki do kelnera – Proszę pół porcji zupy pomidorowej, za resztę czy – za deser dziękuję. To jeden z przykładów jej świata, jej wyobraźni. A jak się okazało po latach, wielkich dokonań znaczących w polskiej i światowej literaturze.

## Przedwczesna śmierć

Columbia University, jedna z najlepszych uczelni w Stanach Zjednoczonych. Na jeden metr kwadratowy kampusu przypada tam więcej laureatów Nobla, niż w jakimkolwiek innym miejscu na świecie. Wśród absolwentów tej uczelni są głowy państw, pisarze, a także czołówka najbogatszych



ludzi świata. To tam, w różnych formach, poszukuje się odpowiedzi na pytania, które są stawiane przed każdym człowiekiem.

Czy wasze ciało przesywa dreszcz emocji na myśl, że żyjecie?

Czy każdą chwilą waszego życia rządzi najgłębszy sens?

Przez całe swoje życie nie miałem czasu, aby zadawać sobie takie pytania. Zatem nie podejmowałem się znalezienia na nie odpowiedzi. Czas refleksji na najpoważniejsze pytania przychodzi wcześniej lub później. U mnie stało to się stosunkowo późno. Powstały bowiem okoliczności eliminujące wszelki pośpiech, konieczność bycia, czy robienia czegokolwiek. Nadmiar czasu, przy moich predyspozycjach do organizowania siebie, jest już na wyczerpaniu. Stało się to, co stać się musiało. Trzy dni w tygodniu po 4 godziny spędzam na łóżku szpitalnym. I to już od ponad 7 lat. Kiedy miałem 14 lat znalazłem się pierwszy raz w szpitalu w związku z usuwaniem tzw. ślepej kiszki (jak mówiono w Piotrkowie) czyli wyrostka robaczkowego! Potem omijałem ten przybytek na dużą odległość, ale sytuacja moich rodziców zmusiła mnie do tzw. odwiedzin. Kiedy, w wyniku wypadku, znalazłem się w zabrzańskiej klinice i leżałem przez 3 tygodnie unieruchomiony – była to droga przez mękę.

Jednak prawdziwy smak bycia pacjentem poznałem z powodu dializ. Wtedy ma się dużo czasu. I próbuje sobie człowiek odpowiadać często na absurdalne pytania, np. dlaczego mnie to spotkało? Co było głównym powodem? Dlaczego do tego dopuściłem? Itd. Itp.

A jednak doszedłem do wniosku, że nie mogę się poddać. Właśnie ogłoszono, że moje miasto ubiegać się będzie o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury w 2016 roku. Mimo zaistniałej krytycznej dla mnie sytuacji, postanowiłem zaproponować, po przemyśleniach na szpitalnym łóżku, Międzynarodowy Festiwal Gwiazd „FORTE piano”. Oczywiście, brałem pod uwagę organizację tej imprezy w Dworze Artura. Już latem 2008 roku zapowiadano moja imprezę jako wydarzenie kulturalne tego roku.

Koncertu, spotkania z gwiazdami muzyki, teatru, filmu i literatury – okazją było 775-lecie lokacji Torunia. Impreza miała charakter interdyscyplinarny. Jako pomysłodawca i dyrektor Festiwalu, były szef miejskiej kultury, Michał Staśkiewicz, stwierdziłem na łamach „Gazety Wyborczej”: Organizuję ją dlatego, gdyż chcę mieć nadal osobisty wkład w to, co się dzieje w mieście. Zależy mi, aby Toruń stał się Europejską Stolicą Kultury”.

Program Festiwalu był imponujący. Wybitni muzycy – instrumentalści: S. Pajdassi z Francji, I. Monighetti z Rosji, A. Szymczewska z Polski, E. Keefe z USA, A. Shishkov z Białorusi,

Philharmonia Quartett z Berlina, A.M. Staśkiewicz z Orkiestrą Kameralną Polskiego Radia Amadeus pod dyr. A. Duczmal – oto bukiet gwiazd muzycznych.

Ponadto na Festiwalu gościli: Krzysztof Zanussi – reżyser, Wiesław Myśliwski i Jerzy Pilch – pisarze, Anna Seniuk i Jerzy Radziwiłowicz – aktorzy.

Powodzenie imprez festiwalowych nawet mnie zaskoczyło. Komplety na Sali, owacyjne przyjęcia oraz wybitnie przyjacielska atmosfera stworzyły warunki, aby Festiwal kontynuować w 2009 roku. W relacjach i recenzjach zamieszczanych we wszystkich mediach pochwałą nie było końca.

Trwa Rok Astronomii, a podstawą astronomii są gwiazdy, więc utrzymamy się w tym tonie – zapowiadam na łamach toruńskiej prasy i w licznych mediach wykazujących szczególne zainteresowanie Festiwalem FORTE piano 2009. I kolejne pasmo sukcesów – gwiazdy nie zawiodły. Światowej sławy improwizator jazzowy Ken Vandermark z zespołem z USA, Leszek Możdżer, Andrzej Bauer, Rafał Kwiatkowski – wybitni instrumentalści, Anna Romantowska, Krzysztof Kolberger, Jan Peszek, Teresa Budzisz-Krzyżanowska i Daniel Olbrychski rekomendacji nie potrzebowali. Także Krzysztof Daukszewicz, Grażyna Auguścik, Stanisław Sojka, czy red. Jacek Żakowski. Tłumy widzów i owacyjne przyjęcie poszczególnych koncertów i spotkań sprawiły, że Festiwal FORTE piano został zaliczony do najważniejszych wydarzeń artystycznych Torunia.

Rok 2010 stał się kolejnym rokiem sukcesów Międzynarodowego Festiwalu Gwiazd FORTE piano. Wystąpił kolejny blok gwiazd muzyki, teatru, filmu i literatury. Zespoły: KROKI, DAGADANA, TRIO SMYCZKOWE z wariacjami Goldbergowskimi J. S. Bacha, Wołosi i Lasoniowie, recital Marka Tomaszewskiego z Paryża, Trio Andrzeja Jagodzińskiego,

Orkiestra Kameralna Filharmonii Kaliningradzkiej z solistą Robertem Kabarą, Gaba Kulka z zespołem, Bartek Topa, O.L. Knabit, M. Niezabitowska, J. Kuźniar i wieczór kabaretowy w wykonaniu Grupy Rafała Kmity z Krakowa... Każdy z koncertów kończył się owacjami na stojąco. Publiczność była zachwycona.

Kiedy w następnym roku zaproponowałem termin następnego Festiwalu FORTE piano, otrzymałem zdawkową odpowiedź od nowego

dyrektora Centrum Kultury „Dwór Artusa” pana Marka Pijanowskiego, że nie jest zainteresowany dalszą współpracą. Na moją uwagę, że jest to propozycja autorska, a impreza organizowana była w Dworze Artura, przynosząc mu sukces, odpowiadano mi pismem radczyni prawnej, że nie. I już? A w ogóle, jakim prawem jestem pomysłodawcą. W podtekście – jako emeryt nie mam żadnych praw. I nic mnie nie usprawiedliwia.

Impreza jest dalej kontynuowana, zmieniono co prawda nazwę na „FORTE Artus Festiwal” ale forma pozostała bez zmian. Tylko gwiazdy, jakby trochę bledsze.

**I komu to przeszkadzało?** Czy można znaleźć jakiegokolwiek uzasadnienie takich decyzji?

Z ostatniej chwili. W najnowszym miesięczniku IKAR napisano, że „...Cykl imprez jest spadkobiercą wcześniejszego Międzynarodowego Festiwalu Gwiazd FORTE piano. – Obecna nazwa wiąże to wydarzenie z miejscem, w którym się odbywa – tłumaczy zmianę dyrektor CK „Dwór Artusa” Marek Pijanowski. – Poza tym wcześniej mylnie kojarzono festiwal z imprezą o charakterze pianistycznym. Wreszcie w tegorocznym programie będzie mniej piano, a więcej forte, stąd skrócenie nazwy”. Raktunku!

Po objęciu stanowiska dyrektora CK „D.A”. przez M. Pijanowskiego na łamach „Nowości” ukazał się wywiad red. M. Suleckiego pt „Dwór Artusa był za eleganci. Przerazał Torunia” – ten cytat świadczy o kompletnym braku zainteresowania tą, od 1996 do 2006 roku najlepszą, zdaniem wielu obserwatorów placówką tego typu w Polsce. I co? I okazało się po 4. latach, że jedynym pomysłem wzbogacającym dotychczasowy program jest... oprowadzanie dzieci po budynku. Brawo. A dopełnieniem niech będą tytuły kolejnych wywiadów: „Na dworze w śpiworze”. red. A. Krześcińskiej czy „Więcej popkultury” red. W. Giedrysa.

(Z programu festiwalowego:)

„Dwór Artusa – to miejsce stworzone przez toruńskich rzemieślników do prezentacji kultury, sztuki i rozrywki o wysokich lotach.

FESTIWAL – to muzyka, poezja, teatr w ciekawych interpretacjach prezentowanych przez różne epoki, style, a także współczesne.

FESTIWAL – to świetni wykonawcy, starannie dobrani do repertuaru.

Wszystko razem daje poczucie spójności, kulturowego zamysłu, mimo szerokiego pola prezentowanych zjawisk.

FESTIWAL – to kolejny akcent budowania MIASTA FESTIWALOWEGO.

FESTIWAL – to paleta artystów i twórców z Polski, Niemiec, Francji, Rosji, USA, Kanady, Szwajcarii, Białorusi.

FESTIWAL – to pokrzepienie serc w jesienne wieczory, kiedy ostre kontury toruńskich gotyków przechodzą naturalnie w kolor pastelowy.

W rankingu „Nowości” za 2009 rok Festiwal „FORTEpiano” zajął trzecie miejsce. Red. T. Bielicki napisał m.in. „Lista osób, które pojawiły się w tym roku była imponująca a Dwór Artusa wielokrotnie huczał od braw”.

Red. Adam Rozlach – kierownik redakcji muzycznej I Programu Polskiego Radia tak opisał finał Festiwalu Gwiazd „FORT-piano”:

Tegoroczny Festiwal Gwiazd „FORTE piano” zakończył się bardzo mocnym i szczególnie ważnym – bo polskim – akcentem: w „Porach roku” Vivaldiego zagrała laureatka III nagrody Konkursu Wieniawskiego sprzed dwóch lat – Anna Maria Staśkiewicz, a w równorzędnej nieomal roli gwiazdy wystąpiła w olśniewająco pięknym toruńskim Dworze Artusa – Agnieszka Duczmal ze swoimi kameralistami, tworzącymi Orkiestrę Polskiego Radia „Amadeus”. Był to niezapomniany dla wszystkich wieczór. Trochę sentymentalny, bo to już koniec ośmiu festiwalowych wieczorów, a z drugiej strony był to rodzaj koncertu na życzenie melomanów, nb. którzy przyszli na koncert w komplecie. Nie zabrakło prezydenta Torunia, który od zawsze jest sprzymierzeńcem muzycznych inicjatyw, były władze kulturalne miasta, no ale przede wszystkim byli wspaniali, niezawodni i wierni toruńscy melomani, za co na pewno trzeba im bardzo mocno podziękować. Pozazdrościć Toruniowi takiej publiczności!

Podczas tego koncertu strzelba wystrzeliła od razu – „Cztery pory roku” są arcydziełami nieśmiertelnymi, toteż zawsze wzbudzają i wzbudzać będą emocje największe. Solistka Anna Maria Staśkiewicz zagrała je wspaniale, cudownie muzycznie i olśniewająco wirtuozowsko, ale napiszę też, że tak samo grali i towarzyszyli solistce kameraliści Agnieszki Duczmal. Po koncercie, kiedy gratulowałem wykonawcom, powiedziałem, że nie zdarza się często, aby „obie strony medalu” zachwycały równocześnie tak niesamowitą maestrią gry, takim kunsztem prezentacji; że nie zdarza się, aby popisowa gra solistki niemal „zlewała” się artystycznie i wyrazowo z popisową grą orkiestry. Takie samo „oddychanie”, frazowanie, wibracja, zresztą bardzo oszczędna i pełna subtelności... Jeden z muzyków zespołu skonstatował: przecież my, wszyscy skrzypkowie, łącznie z solistką, wywodzimy się z tej samej szkoły, z poznańskiej szkoły prof. Jadwigi

Kaliszewskiej i jej uczniów – także potem pedagogów, a i muzyków Orkiestry... Fakt, nie pomyślałem o tym. To jest estetyczny fenomen – proszę mi wierzyć! Uważam, że nasza znakomita solistka z „Amadeuszem” powinna nagrać te 4 koncerty na płytę. Tego nie można nie utrwalić!!!

Fajnie się żyje w kraju, w którym wszystko wolno. I czując konieczność przerwania tej prostej, a właściwie prostackiej pop kultury, doszedłem do wniosku, że należy ten festiwal kontynuować. Jest przecież wiele do zrobienia. Czując się człowiekiem wolnym i to bez względu na panującą ustrój, zawsze w życiu przyświecała mi myśl, budowania a nie burzenia. Czy muzyka, literatura, wysoka kultura, a przez nią granie na ludzkich emocjach i odkrywanie ludzkiej duszy nie czyni świata, państwa, ludzi lepszymi? Teraz, kiedy wolność słowa jest w społeczeństwie równoznaczna z pozwoleniem na obrażanie, brak odpowiedzialności za to, co się mówi i robi.

## Cz. Miłosz w Toruniu

Rok 1980 był dla mnie i mojego życia rokiem przełomowym. Wszyscy kojarzą ten rok z wydarzeniami sierpniowymi, Lechem Wałęsą i „Solidarnością”. Dla mnie osobiście był to też rok utraty głosu w wyniku błędu lekarskiego i satysfakcji z przyznania Literackiej Nagrody Nobla Czesławowi Miłoszowi.

Nie mając już pełnej możliwości korzystania z głosu, posługując się jedynie chrapliwym szeptem, zbudowałem, na wiadomość o Nagrodzie dla mojego poety, w Teatrze „FORUM”, spektakl pt. *Dzieliła nas od Jego twórczości bariera milczenia*. Spektakl powstał w ciągu 7 tygodni, a premiera została zaprezentowana na Międzynarodowych Spotkaniach Teatralnych w Pałacu Kultury Zagłębia w Dąbrowie Górniczej. Rodził się w bólach spowodowanych nieznaną materią literacką przez aktorów i w kłopotach wynikających z mojego kalectwa. Wywołał jednak, tak wśród widzów, jak również gości i realizatorów swoich spektakli z zewnątrz, ogromne poruszenie i duży aplauz.

Po latach ciszy na temat poety i jego twórczości nastąpił wybuch! Motywem przewodnim całego spektaklu był wiersz napisany przez wielkiego poetę w 1950 roku – „Który skrzywdziłeś”, który w tamtym czasie stał się sztandarowym tekstem związanym z ówczesnym klimatem politycznym.

Który skrzywdziłeś człowieka prostego  
 Śmiechem nad krzywdą jego wybuchając,  
 Gromadę błaznów koło siebie mając  
 Na pomieszanie dobrego i złego,

Choćby przed tobą wszyscy się skłonili  
 Cnotę i mądrość tobie przypisując,  
 Złote medale na twoją cześć kując,  
 Radzi że jeszcze jeden dzień przeżyli,

Nie bądź bezpieczny. Poeta pamięta  
 Możesz go zabić – narodzi się nowy.  
 Spisane będą czyny i rozmowy.

Lepszy dla ciebie byłby świt zimowy  
 I sznur i gałąź pod ciężarem zgięta.

Kim był? Był człowiekiem bardzo długo i bardzo świadomie gromadzącym ludzkie doświadczenia. Człowiekiem mówiącym z perspektywy osiągniętego przez kilka dziesięcioleci wewnętrznego bogactwa. Był świadkiem niemal całego XX stulecia, obserwatorem zdarzeń, znawcą idei, kronikarzem wielkości o nędzy minionego wieku – jak to pięknie ujął, po śmierci poety, krakowski krytyk Marian Stala.

Moja fascynacja Cz. Miłoszem rozpoczęła się we wczesnych latach 70., gdy dotarły do mnie pierwsze egzemplarze paryskiej „Kultury” J. Giedrojcia. I stąd ten historyczny moment skoku przez płot Lecha Wałęsy na trwale zaistniał w momencie Nagrody Nobla Cz. Miłosza.

I już myślałem, że ten mój ostatni zrealizowany w życiu spektakl teatralny zakończy moje teatralne życie. A Miłosza w kapciach będę czytywał wnuczkom za kilkadziesiąt lat.

Ale los płata figle. Bywają one tragiczne, lecz także przyjemne. Ba, zaskakujące w swojej formie i treści.

W wyniku transformacji ustrojowej w 1989 roku nagle nierealne stało się rzeczywistością. W 1993 roku Czesław Miłosz przeprowadza się z USA do Krakowa. W 1995 roku pojawia się możliwość przyjazdu wielkiego poety do Torunia. Ówczesny prezydent dr Jerzy Wierczok z entuzjazmem przyjmuje propozycję zaproszenia poety do naszego miasta i zorganizowania w nowo odrestaurowanym Dworze Artusa spotkania. Zbliży się wielkie święto literatury w mieście Kopernika, Lindego, a także prof. A. Hutnikiewicza z Uniwersytetu M. Kopernika.

W hollu hotelu „Helios” oczekujemy na przyjazd gościa. Cała świta z Prezydentem na czele, reporterzy i gospodarz hotelu, bez zniecierpliwienia, oczekują blisko godzinę.

Nie mogę uwierzyć, że za chwilę przywita się także ze mną wielki poeta. Ze mną, prowincjonalnym urzędnikiem, wielbicielem jego poezji. I będę w najbliższym otoczeniu Poety przez kilka dni. Wydarzenie to miało miejsce 7 czerwca 1995 roku w Toruniu.

Kiedy wysiadał z samochodu przy wejściu witał Dostojnego Gościa prezydent Torunia dr Jerzy Wieczorek w asyście świty władz miasta i zgromadzonych reporterów. Są na te okoliczność nie tylko zdjęcia, lecz także, w moim przypadku, zapamiętanie spotkania z legendą, wielkim poetą. Skromność osobistą tak prezydenta, jak również poety, przykryły na chwilę podniecenie i naturalne zamieszanie. Ten dystyngowany gość z laseczką, w otoczeniu swojej żony Caroli, Krzysztofa Myszkowskiego – redaktora „Kwartalnika Artystycznego” – inicjatora przyjazdu Cz. Miłosza do Torunia i Bydgoszczy, Grażyny Strumiłło-Miłosz i Krzysztofa Iwaszkiewicza wyglądał dostojnie. Po krótkim odpoczynku poeta jedzie na lewy brzeg Wisły, aby zobaczyć jedną z najpiękniejszych w Polsce panoram – Toruńską Starówkę. Wchodząc potem przez Bramę Żeglarską, idziemy trasą królewską. Wizyta w katedrze św. św. Janów, przy chrzcielnicy, pamiętającej Mikołaja Kopernika. Idąc w kierunku ulicy Szerokiej przechodnie, na widok gościa biją brawo. Oklaski świadczą o dotarciu informacji wcześniej publikowanych, jaki zaszczyt spotkał nasze miasto. Idąc obok poety widzę jego ukontentowanie faktem zatrzymania się wycieczki młodzieży i oklaskami. „czy to jest wyreżyserowane?” – zapytał, uśmiechając się. Odwiedziny w księgarni „A. Bochenek” gdzie jest ekspozycja książek Miłosza, pierwsze rozdane autografy, a nad drzwiami transparent powitalny. Kolejny etap wizyty, to odwiedzenie Ratusza i Muzeum. W moim mieszkaniu, na czołowy miejscu na ścianie wisi zdjęcie wykonane na dziedzińcu Ratusza, gdzie obok Czesława Miłosza i jego żony Carol, stoi prof. Zenon Hubert Nowak i moja skromna osoba. Dzisiaj z perspektywy lat mogę powiedzieć, że zatrzymany w kadrze poeta i jego własnoręczne autografy są bezsprzecznie dokumentem, jednym z ważniejszych wydarzeń mojego życia.

Po upływie lat jeden z biografów poety Andrzej Franaszek, autor „Miłosz Biografia” wyd. Znak, Kraków powiedział w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”:

...Dziś myślę, że był wspaniałym człowiekiem, który miał wiele trudnych cech. Ale dalej jestem przekonany, że w polskiej literaturze ostatnich lat nie ma nikogo, kto byłby porównywalny z Miłoszem, jeśli chodzi o skalę talentu i skalę jego życia duchowego, intelektualnego, emocjonalnego. Wręcz format człowieczeństwa.

Kontynuując zwiedzanie Torunia, poeta w towarzystwie żony, K. Myszkowskiej i prof. Z.H. Nowaka oraz mojej skromnej osoby odwiedza kościół Najświętszej Marii Panny. Zachwyca się barokowym ołtarzem, dużymi ściennymi malowidłami. Wizyta w Collegium Maius i odwiedza gabinet prof. Tadeusza Czyżowskiego, którego był studentem na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. Wielkość osoby poety zlewa się w jedną całość z historią. Jesteśmy świadkami legendy – rzeczywistość i jednocześnie wielkość poety przytłacza nas.

On jest jednak naturalny, chętny do dalszego zwiedzania, mimo podróży, nie widać po nim zmęczenia. A przecież... W drodze do hotelu wpisuje się w indeksy trzech przypadkowo spotkanych studentek, które witają go uśmiechem i prośbą o wpis. Komentuje to zdarzenie:

„Teraz na pewno zdacie swoje egzaminy”. I pomyśleć – mieć indeks z wpisem laureata literackiej nagrody Nobla! Pamiątka na całe życie. I dokument.



Miłosz na dziedzińcu Kościoła NMP, obok poety autor



Kolacja w Hotelu „Helios” z udziałem prezydenta dra Jerzego Wieczorka, rektora UMK profesora Andrzeja Jemiołkowskiego, profesora Artura Hutnikiewicza, biskupa toruńskiego Andrzeja Suskiego oraz przedstawicieli władz miasta, przebiegała w atmosferze powagi, jednocześnie bez zbytniego ceremoniału. Tego Cz. Miłosz nie lubił. Mimo wszystko odczuwało się podniosły nastrój i powagę uczestników kolacji. Odnosiłem wrażenie, że nawet kelnerom obsługującym przyjęcie udzieliła się atmosfera powagi wynikająca z rangi i szacunku do gościa. A przecież dla nich wizyty ważnych osób, to codzienność. Ale ten gość, to żywa legenda. I wszyscy obecni zdawali sobie z tego sprawę. Ja też.

W czwartek, 8 czerwca Poeta spędził w Bydgoszczy, a w piątek, po powrocie do Torunia w godzinach południowych poeta złożył wizytę ks. biskupowi Andrzejowi Suskiemu w jego siedzibie. Miałem ten zaszczyt uczestniczenia przy rozmowie, przebiegała ona w bardzo przyjemnej atmosferze, wspomniano wspólnych znajomych, także z Paryża. Na pożegnanie wizyty poeta wręczył Biskupowi „Metafizyczną pauzę” z dedykacją. Wzruszającym momentem było odprowadzenie przez gospodarza gościa aż do drzwi samochodu.

Wydarzeniem historycznym, godnym upamiętnienia tablicą pamiątkową, było spotkanie poety z czytelnikami w pięknej Sali Wielkiej Dworu Artura – 9 czerwca o godz. 17. Wypełniona po brzegi sala, dzięki głośnikom zainstalowanym na zewnątrz, głos poety słyszany był na Rynku Staromiejskim, gdzie zgromadzili się ci, dla których zabrakło miejsca w Sali Dworu Artusa.

Wchodzącego na salę Poetę przywitał entuzjazm zebranych. Spotkanie prowadził wybitny znawca jego twórczości prof. Janusz Kryszak. Poeta czytał swoje wiersze, a sala milczała, wsłuchując się w głos wielkiego poety. Czulo się wielkie onieśmienie słuchaczy, jakby tremę.

Jak mówi Andrzej Franaszek: „Jego poezja jest mądra doświadczeniem człowieka, który dużo przeszedł, bardziej niż na estetyczną doskonałość nastawiona na przekazanie czegoś istotnego”.

Po blisko godzinnym prezentowaniu swoich wierszy, poprosił o pytania z sali. Z pięknych zdań, które padały ze strony poety zapamiętałem szczególnie: „Z polszczyzną był to jednak romans trwały. Dlatego starałem się być taki prowincjonalny, zaściankowy, ale piszący po polsku”.

Po spotkaniu długo podpisywał swoje książki na scenie toruńskiego Dworu Artura. Wykazał ogromne zainteresowanie „Pamiętnikami” Konrada Górskiego w opracowaniu Z. Jędrzyńskiego wymógł zamianę

z czytelnikiem, aby mógł te książkę mieć dla siebie, darowując swoją. Mogę się także pochwalić kilkoma dedykacjami.

Miałem zatem ogromną przyjemność towarzyszyć Poezie podczas Jego pobytu w Toruniu.

Uważam te dni i godziny za jedno z najważniejszych w moim życiu zawodowym.

Jakże pięknie w „Tygodniku Powszechnym” z dnia 22 sierpnia 2004 roku żegnała Czesława Miłosza kolejna laureatka Nagrody Nobla – Wisława Szymborska:

*„Święto. Każdy jego nowy wiersz to było dla nas święto, niespodzianka, podarunek, temat do długich rozmów z przyjaciółmi i zaproszenie do rozmyślania w samotności. Podobnie działo się z Jego książkami. Gdy tylko któraś się ukazywała, odkładaliśmy wszystkie rozpoczęte lektury i jej dawaliśmy w czytaniu pierwszeństwo. Czasami pokazywał nam wiersz czy poemat dopiero co napisany – ciekaw nie tyle pochwał, ile czyjejs nieskrępowanej opinii. Żył wśród nas i myślę, że nas odrobinę lubił, trochę potrzebował, niczego jednak od nas nie żądał, nie wymuszał. Teraz stało się to, co stać się kiedyś musiało. A dla nas skończył się przywilej obcowania z Nim. Święto zgasło”.*

„27 sierpnia 2004 roku w bazylice Mariackiej przy Rynku Głównym w Krakowie uroczystości pogrzebowe śp. Czesława Miłosza. Prostą, jasną trumnę ozdabia wiązanka z białych lilii i frezji. Otwarty ołtarz Wita Stwosza. Mszę żałobną celebryje metropolita krakowski kardynał Franciszek Macharski, który odczytuje piękny list-telegram od Ojca Świętego Jana Pawła II. Homilię wygłasza absolwent mojego liceum im. B. Chrobrego w Piotrkowie Trybunalskim arcybiskup Józef Życiński. Przy dźwiękach hejnału mariackiego kondukt żałobny przechodzi na Skałkę, do ojców Paulinów.

Okolo cztertnastej trzydzieści trumnę przy dźwiękach *Salve Regina* wnoszą do krypty bazyliki.

Wieczorem w kościele świętej Katarzyny u ojców Augustianów na Augustiańskiej w świetle świec pożegnanie Miłosza – przemowy i czytanie jego wierszy; jest Wisława Szymborska, Julia Hartwig, Seamus Heaney, Andrzej Wajda, Ryszard Krynicki, Julian Kornhauser i inni poeci. Słuchamy, zastanawiamy się, wspominamy, w duchu modlimy się. Jesteśmy zmęczeni i bardzo smutni. Tam, niedaleko stąd, na Skałce, w mroku, spoczywa w pokoju Czesław Miłosz, największy poeta polski XX wieku”.

K. Myszkowski „Kwartalnik Artystyczny” nr 4 z 2007 r.

## Poeta – gigant

Poznałem poetę, kiedy ukazała się „Kartoteka”. Byłem właśnie po egzaminie maturalnym. A potem byli „Świadkowie albo nasza mała stabilizacja”. Od tego czasu nazwisko Tadeusza Różewicza było obecne w moim życiu. Przez poezję, dramaty i...

Dlaczego nie dostał Nagrody Nobla?

Czas na mnie

Czas na mnie

Czas nagli

Co ze sobą zabrać

Na tamten brzeg

Nic

Więc to już

Wszystko mam

Tak synku

To już wszystko

A wiec to tylko tyle

Tylko tyle

Więc to jest całe życie

Tak całe życie

Pierwszy raz widziałem go w Gliwicach. Zdziwiłem się – nie wyglądał na poetę, dramaturga, awangardzistę. Ale już mi wówczas imponował. Śledziłem jego twórczości także w teatrze. Imponował mi swoim trafnym językiem, swoim własnym zdaniem. Poruszał moja wyobraźnię. Chciałem, aby przyjechał do Dąbrowy na Literacki Hyde Park. Odmówił. Nie znosił spotkań, a co dopiero Hyde Parku. Pomyślałem wtedy, szkoda. Jak już jest taki, to nie mam szans na jego poznanie. Był dla mnie i mojego pokolenia większy niż Urszula Koziół i Jej „W rytmie słońca”, większy niż Wisława Szymborska i Jej „Rozmowa z kamieniem”, większy niż Broniewski, Grochowski, Grześczak, Harasymowicz czy Przyboś. On poruszał moją wyobraźnię, naruszał moją estetykę i smak. Był nadzwyczajnym człowiekiem.



T. Różewicz w towarzystwie prezydenta J. Wiczorka i M. Staśkiewicza  
w toruńskim Dworze Artusa

1. I na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, i Bogiem było Słowo.  
2. Ono było na początku u Boga. 3. Wszystko przez Nie się stało, a bez  
Niego nic się stanie stało, co się stało. 4. W nim było życie, a życie było  
światłością ludzi, 5. a światłość w ciemności świeci i ciemność jej nie  
ogarnęła.

Ewangelia wg św. Jana 1,14

Kiedy Go poznałem wydało mi się, że jest jakby głosem danym od  
Boga.

On nie mógł nie mówić, wg mnie, prawdy. Dla mnie, urodzonego  
w czasach okupacji niemieckiej, jego „Do piachu” jest tekstem niezwy-  
kłym. A wiersz „W środku życia”, że

człowieka trzeba kochać  
uczylem się w nocy w dzień  
co trzeba kochać  
odpowiadałem człowieka

stał się dla mnie jednym z ważniejszych przesłań na całe życie. Ba, był katechizmem działań zawodowych, przybliżał świat do absolutu.

### I pomyśleć

i pomyśleć

że gdyby

kolasa się nie wywróciła

koło nie odpadło

oś nie pękła

nie byłoby IX Symfonii

z finałową kantatą

Ody do radości F. Schillera

Sonaty Kreutzerowskiej

A także Ludwika van Beethovena

I pomyśleć co by to było

Gdyby koło nie odpadło

Oś nie pękła itd.

Aż człowieka strach ogarnia

Gdy o tym pomyśli

Jak to dobrze

Że zawsze się znajdzie Taki

Co o tym pomyśli zbada

Napisze artykuł

A nawet rozprawę

(T. Różewicz)

## Wizyta u Mistrza Władysława Hasiora w Zakopanem

Na przełomie XIX i XX wieku Zakopane zyskało status kurortu, w którym należy się pokazać. Wraz z rosnącą popularnością miasta rosło zainteresowanie samymi górami. Choć Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, którego celem było rozwinięcie turystyki górskiej, powstało już w latach 70. XIX wieku, a obok Tytusa Chałubińskiego swoje eksploracje prowadził słynny kompozytor Mieczysław Karłowicz, to prawdziwy boom na Tatry pojawił się w XX wieku. Chcąc uzupełnić „Wielką encyklopedię tatrzańską” Zofii i Witolda Paryskich pozwałam sobie na jej poszerzenie.

Zakopane fascynowało mnie od zawsze. Nie Krupówki, nie oscypek, nie Kasprusie.

Miejscem magicznym dla mnie była willa „Atma” z jej przeszłością Karola Szymanowskiego i teraźniejszością – recitalami skrzypcowymi mojej córki. Drugim takim magicznym miejscem była skocznia narciarska „Duża i Mała Krokiew” na której miałem zaszczyt podziwiać jeszcze Stanisława Marusarza, Wojciecha Fortunę, czy w ostatnim okresie Adama Małysza. Tylko w telewizji, a nie na żywo, podziwiałem na Krokwi ostatniego dwukrotnego złotego medalistę olimpijskiego z Soczi – Kamila Stocha. Jest takie miejsce w Zakopanem, które od lat sześćdziesiątych mnie fascynowało – późniejsze muzeum Władysława Hasiora.

Jego sława WIELKIEGO RZEŹBIARZA I PLASTYKA dała się już poznać w mojej młodości. Jego pomniki wywoływały zachwyt i liczne kontrowersje. Wyprzedzał bowiem swoją wyobraźnią tamtą epokę lat realnego socjalizmu. Jakby z nią polemizował.

Jego rzeźby i instalacje dla mnie, człowieka teatru, tworzyły obok T. Kantora, najciekawszy teatr bez aktorów, teatr scenografa. Każda rzeźba Władysława Hasiora stanowiła dzieło sztuki współczesnej XX wieku, które wstrząsało moją wyobraźnią, ba, zaskakiwało wyobraźnią Mistrza. Ten uczeń wielkiego francuskiego rzeźbiarza Orsipa Zadkine’a już w latach 50-tych, czasach Kantora, Grotowskiego, Wajdy i T. Różewicza był pierwszym ambasadorem polskiej sztuki, po „szkole paryskiej”, który zdobył zachwyt krytyki w całej Europie i nie tylko.

Hasiorek bardzo szybko wypracował charakterystyczny styl, który przejawiał się wyraźnie nawet w dziełach bardzo z pozoru różnych od siebie. Zbudowany ten styl był z jednej strony z wyraźnych inspiracji najnowszych

prądów współczesnej rzeźby, z drugiej – oparty na silnie zakorzenionej ludowej tradycji. Wykorzystywał swoje nietypowe pomysły, materiały i techniki. Inspirował także mnie do wykorzystania w moich spektaklach ogień, chleb czy zwykłe stołowe noże. Jego materiałem do artystycznych instalacji były przedmioty codziennego użytku, takie, jak: maszyna do szycia, wózek dziecięcy czy lalki, którym nadawał zupełnie nowe metaforyczne znaczenia i funkcje. W latach 90. kilkakrotnie odwiedzałem Jego galerię znajdującą się w zaadoptowanym przez Artystę budynku po starej sanatoryjnej Leżakowni. Miałem przyjemność wysłuchiwać Jego opowieści, komentarzy,

Oglądać jego dzieła w obecności Autora. Ta autorska instalacja była stałą ekspozycją – zbiorem magicznym sztandarów, zdjęć jego rzeźb plenerowych, magiczną kreującą przestrzeń przesycona muzyka, światłami odrealnioną w odbiciach ogromnych lusterek. To był TEATR HASIORA. Jego słynne procesje – pochody sztandarowe zostały zapisane na licznych filmach artystycznych. Ale ten TEATR, to nie tylko jego muzeum dzisiaj – to rzeźby plenerowe „Płomienne ptaki” w Koszalinie, „Ogniste ptaki” w Kopenhadze, „Słoneczny rydwan” w Szwecji czy obelisk „Ratownikom górskim” w Zakopanem.

Jego galeria ma m.in. takie perły jego twórczości, które na mnie robiły oszałamiające wrażenie, jak np. cykl „Kapliczki domowe”, „Wyszywanie charakteru”, „Pamięci dzieciom Zamojszczyzny”, „Pałac sprawiedliwości”, „Król Herod”. W ostatnim wywiadzie przed śmiercią dla toruńskiego „Przeglądu Artystyczno - Literackiego” powiedział: „Kontrastem dla wody jest ogień, ziemia i powietrze. Taką klasyfikację ustalono dawno – wtedy, kiedy ludzie nie umieli się doliczyć wszystkich żywiołów, bo o diw – jest ich o jeden więcej. Piątym żywiołem jest ludzka zdolność fantazjowania!”

W jego dziełach mamy dwie cywilizacje – cywilizację życia i cywilizację śmierci. Oba tym cywilizacjom Mistrz pozostał w swoich dziełach wiernym.

Miałem zaszczyt poznać Mistrza osobiście. I dużo mu zawdzięczam.

## Mój przyjaciel Niemiec?

Mój stosunek do Niemców wyssałem z piersi matki. A potem, w dzieciństwie, miałem okazję do dalszego pogłębiania swojej wiedzy w oparciu o to, co doświadczała moja rodzina podczas bez mała sześciu lat okupacji niemieckiej.

Mam w swojej rodzinie zapisane karty nie tylko ciężkich czasów, ale i ofiar śmiertelnych. Moi rodzice ponieśli przez II wojnę światową straty materialne i upokorzenia moralne, które w znacznym stopniu odbiły się na losach moich, mojego ojca, mamy i bliskich krewnych. Stałym elementem wizyty na cmentarzu w moim rodzinnym Piotrkowie Tr. jest grób mojego wujka, zastrzelonego przez Niemców.

Mam przed oczami do dzisiaj obrazy, zakodowane może bardziej przez późniejsze relacje mamy, lecz tak żywe, jakbym sam był ich świadkiem. Mogłem się nawet nie urodzić, gdyby nie odwaga mojego ojca i determinacja ginekologa. Mama rodziła mnie w bólach. Byłem okręcony pępowiną. Uratował mnie, doprowadzony podczas godziny policyjnej przez ojca, ginekolog Żyd. Miałem to szczęście – nieszczęście (niepotrzebne skreślić) urodzić się podczas niemieckiej okupacji. Nie mam na ręce numeru, który mają więźniowie obozów koncentracyjnych. Nie stałem pod murem rozstrzelań, kiedy ginął brat mojej mamy w wieku 24 lat. Nie chwytało mnie podczas łapanek. Ale też nigdy nie strzelałem do drugiego człowieka, a na strzelnicy tylko do sztucznych kwiatów, do żywych kwiatów nie mógłbym. Wychowany zostałem w permanentnej krzywdzie doznanej przez Niemców.

I oto w wieku 47 lat, przeżyłem już, tak mi się wydawało, wszystko, co może przeżyć mężczyzna – przekraczam granicę Republiki Federalnej Niemiec. Jadę wraz z trzema towarzyszami podróży do Reichu, jak popularnie nazywało się Zachodnie Niemcy. Jadę ze swoim osobistym bagażem. Mam go w głowie, podczas tej podróży, wpisane wszystkie zapamiętane i utrwalane przez lata obrazy. Jadę skonfrontować swoje 47 lat z panującą opinią kraju winem i miodem płynącym, jak przekonywał mnie pewien taksjarsz, uciekający podczas stanu wojennego z Polski. Pewnie teraz mieszka w Mannheim i dalej jest taksjarszem. Ale do Polski już nigdy nie wróci. Bo on był młodszy ode mnie i nie miał pojęcia o czasach, które przeżyłem. Inni, zwłaszcza na Śląsku, marzyli, aby móc wyjechać tam... W latach wczesnych siedemdziesiątych widziałem puste domy w dzielnicy Bytomia – Miechowicach. 70% mieszkańców natychmiast wyjechało,



kiedy Gierek pozwolił. Dla takich właśnie „Niemców” grałem monodram „Szkola janczarów” pokazujący historię polskiego dziecka, które wychowano w Leibesbornie na Niemca. Po latach, główny bohater, będąc dorosłym mężczyzną, poznaje matkę. Grałem ten monodram, nie zdając sobie sprawy, do kogo mówię. Po spektaklu, przyjętym bardziej niż chłodno, dowiedziałem się, kim byli moi widzowie. Otóż widzami mojego spektaklu byli... ci, którzy złożyli dokumenty w celu uzyskania zgody na wyjazd do NRF. Byłem zszokowany bezczelnością organizatorów, ponieważ zostałem potraktowany przez nich instrumentalnie. Kiedy wychodziłem z domu kultury kopalni „Makoszowy” w Zabrze podeszła do mnie starsza kobieta i w gwarze śląskiej dziękowała mi. Zapytałem, dlaczego mi dziękuje, a ona odparła, że była na spektaklu z 24 letnim synem, który szykuje się do wyjazdu. Ona nie chce, żeby wyjeżdżał, bo tu, na Śląsku jest jego ojczyzna, jego Heimat.

Byłem tym faktem poruszony i przeszła mi złość na organizatorów mojego spektaklu. Kiedy tak jechałem półciężarowym samochodem marki Robur z prędkością 60 kilometrów na godzinę, myśli kłębiły się w mojej głowie. Jak będzie wyglądało moje spotkanie z Niemcami mojego pokolenia. A więc ludźmi, którzy nie są winni temu, co stało się przed pół wiekiem.

Przekroczenie granicy polsko enerdowskiej trwało blisko 3 godziny. Kontrola dokumentów i bagażu były poniżające. Kontrola przy granicy NRD-RFN była nieprzyjemną. I potem ten pas ziemi niczyjej, ciągnący się do granicy RFN. Myślałem wtedy, ilu to Niemców, Polaków i innych chciało przekroczyć tę „żelazną kurtynę”? Ilu z nich zostało zastrzelonych, bądź śmiertelnie rażonych prądem zasięków gęsto ustawionych po stronie NRD? I ten mur berliński, świadek dramatu niejednej rodziny niemieckiej. Jak oni to postrzegają? Jak czuje się matka, mieszkająca we wschodnim Berlinie, a syn w zachodnim? Te myśli skracały długą, blisko 18 godzinną podróż. Było to podniecenie. Te pytania, te wątpliwości, te trudności w znalezieniu odpowiedzi.

Na granicy RFN odprawa trwała 3 minuty. Mechanicznym ruchem starego znajomego funkcjonariusz granicznej służby, z pistoletem na biodrze, po amerykańsku przejrzał nasze paszporty i życzył szerokiej drogi. Byłem mile zaskoczony. – Jak to, on nas nie sprawdzał? – A po co? Oni wiedzą, że jeśli przepuszczono nas na tamtej granicy, to oni nie muszą nic sprawdzać. Jesteśmy teraz na wolnej ziemi, gdzie gości wita się serdecznie – powiedział jeden z moich współtowarzyszy podróży. Dotykam

„kapitalistycznej” rzeczywistości. Zajazd, przystajemy. Wchodzę do toalety. Oglądam sklep. W stacji benzynowej bezpłatnie otrzymuję mapę – wyraźna różnica cywilizacyjna. Jednak ceny dla nas horrendarne. U nas jedna marka kosztuje 80 zł. I tyle należy zapłacić za korzystanie z toalety. Nie płacimy. Kierowca mówi, że za kilka minut staniemy tam, gdzie jest bezpłatna. I rzeczywiście. Identyczna toaleta z suszarką do rąk – bezpłatna. Przyglądam się z okna Robura tej „ziemi obiecanej” mojego sąsiada – taksiarza. Czyste gospodarstwa, brak kominów fabrycznych, duży ruch samochodów wszelakich marek. Najwięcej volkswagenów i opeli. Kierowcy, widząc naszego Robura trąbią i uśmiechają się, wiedzą, że jadą ludzie z innej cywilizacji, ze wschodu, zza żelaznej kurtyny. Porządne oznakowanie trasy, nawierzchnia autostrady równa jak stół.

Jedziemy do Dolnej Saksonii, do miasta w którym jest jeden z najsłynniejszych w Europie uniwersytetów. Aktualnie pracuje w nim kilkunastu laureatów Nagrody Nobla! Przed wielu laty patrycjał miasta, w którym mieszkam od kilku lat, przyjeżdżał do Getyngi studiować. A nie jest to blisko – 750 kilometrów.

Nagle kolejna niespodzianka. Stoimy w korku. Jaka to, u nich są korki? Kiedy stoimy 40 minut dochodzą do nas informacje, że przyczyną tego korku jest polski TIR. Z niego wysypały się jabłka, które wiózł do Hannoveru. To znaczy, że nie mają jabłek – przemyka mi przez myśl. Przynajmniej też czegoś nie mają, czego u nas jest w bród. Późną nocą docieramy na miejsce. Mimo późnej pory, czeka na nas, jak się później dowiedziałem, prawdziwa przyjaciółka mojego miasta – pani Ulla. Hotel w samym centrum. Ekskluzywny. Miasto – bajkowe. Miasto braci Grimmów. Mieszkając w tym mieście, jak oni mogli pisać takie straszne bajki?

Podpisuję jakiś dokument po niemiecku i dostaję 120 marek kieszonkowego. Kupa forsy. –Dziękuję.– Bitte. Pierwszy dialog polsko-niemiecki mam za sobą.

Podczas wystawnej kolacji wszyscy mówią po niemiecku, czuję się fatalnie. Przypominam sobie, że w wieku 14–15 lat mama wysyłała mnie na prywatne komplety języka niemieckiego. Lekceważyłem te komplety. Mama płaciła, a ja olewałem. Teraz żałuję, bo brak znajomości języka w danym kraju stawia osobę w bardzo niezręcznej sytuacji. A, niby dlaczego oni nie mogą znać polskiego? – odzywa się we mnie moje drugie ja. Ale gospodarze i tę okoliczność przewidzieli. Jest tłumaczka – emigrantka z Gliwic. Szybko się dogadaliśmy i od razu poczułem się lepiej. Przez trzy dni poznaję historię partnerstwa naszych miast. Poznaję codzienność

przepięknego miasta, jego historię. Poznają mnóstwo ludzi, z którymi nawiązana wówczas znajomość przetrwa lata. Wyjątkowych ludzi. Mówiących z sympatią o naszym kraju, o naszym mieście. Szczególną uwagę zwróciłem na dystyngowanego pana, który, jak się okazało, mówił po polsku. Był przewodniczącym Towarzystwa Niemiecko-Polskiego w Getyndze, Pan Reinhard Caspari.

– Pan nie zna niemieckiego? – Nie. Znam rosyjski – próbuję się wytłumaczyć z błędów młodości. – To u Polaków jest powszechne. Ta niechęć do naszego języka. Rozumiem powody – mówi. Po upływie godziny już wiemy o sobie wystarczająco dużo. Niemiec, mówiący po polsku, okazuje się szalenie interesującą osobowością. Jest założycielem towarzystwa, ma sentyment do Polski i Polaków, był jednym z inicjatorów partnerstwa naszych miast.

Może zakochał się w Polce, a może ma polskie korzenie, mimo włoskiego nazwiska, może... Nie mogłem zasnąć w tym luksusowym hotelu. Moja dotychczasowa wiedza o Niemcach legła w ruinach. Już podczas pierwszego pobytu zmieniłem zdanie. A propos jabłek. Różne gatunki leżały na stoiskach i supermarketach: z Afryki, Hiszpanii, a nawet Ameryki południowej. Trudno było odróżnić, które były z Polski.

## Nagrody literackie Torunia i Getyngi

Jest kwiecień roku 1996. W ramach kontaktów miast partnerskich, będąc naczelnikiem wydziału kultury, turystyki i sportu urzędu miejskiego w Toruniu, składałem wizytę w niemieckim mieście uniwersyteckim – Getyndze. Toruń od 15 lat był bliźniaczym miastem położonego w Dolnej Saksonii ośrodka akademickiego. Po transformacji politycznej w Polsce i rozebraniu muru berlińskiego nastąpiło wyraźne ożywienie z obu stron. Wymiana doświadczeń, poznawanie partnerów, a także otwartość strony niemieckiej na poszerzenie współpracy, zachęciły mnie do złożenia ówczesnemu dyrektorowi miasta dość na owe czasy odważnej propozycji. Pan Schilwater odniósł się do niej bardzo rzeczowo i życzliwie. Mianowicie, zaproponowałem miastu Getynga, po wcześniejszych ustaleniach z prezydentem J. Wieczorkiem, aby wspólnie z Toruniem, utworzyły Nagrodę Literacką Miast Partnerskich im. S.B. Lindego. Ten wybitny językoznawca (1771–1847), bibliograf i pedagog, autor słynnego 6-tomowego „Słownika Języka Polskiego” urodził się w Toruniu. Jego ojcem był

z pochodzenia Szwed, zaś matka Niemką. Czy można było nie zauważyć historycznych racji stworzenia takiej nagrody?

Fakt, że patron nadawanej wspólnie przez Getyngę i Toruń nagrody ma też swoje miejsce w galerii znaczących budowniczych mostów między Polską a Niemcami, szczególnie cieszy mieszkańców obu miast – powiedział na wręczaniu nagrody Karl Schlogel. Jakże jest to wielkim wyróżnieniem dla mnie – pomysłodawcy nagrody. Życie i twórczość S. B. Lindego są doskonałym przykładem tego, co w kontaktach między dwoma narodami może zdziałać jeden człowiek. Był on bowiem polskim patriotą i Europejczykiem w prawdziwym sensie tego słowa.



Mój Przyjaciel, wielki pisarz Wiesław Myśliwski – laureat Nagrody

Dokonania S.B. Lindego były w owym czasie znane w całej Europie.

Za pracowitość i wytrwałość przyjęły go w poczet członków liczne towarzystwa naukowe m.in. w Warszawie, Pradze, Petersburgu, Berlinie, Królewcu, Paryżu, Kopenhadze i Getyndze. W 1844 roku otrzymał dyplom honorowego obywatelstwa miasta Torunia.

Po moim powrocie z Getyngi, przedstawiłem propozycje utworzenia nagrody, prezydentowi Torunia dr. Jerzemu Wieczorkowi. Propozycja została przyjęta i zostałem zobowiązany do rozpoczęcia procesu realizacji

tego projektu. Przygotowując ramowy regulamin Nagrody uwzględniłem fakty, że nagroda ma charakter literacki, przyznawana będzie rocznie, wręczanie jej będzie przemiennie w Getyndze i Toruniu, będzie miała charakter nagrody pieniężnej z odpowiednim dyplomem. Zaproponowane warunki zostały zaakceptowane już w miesiącu lipcu. Wówczas, jako autor tego projektu, wytypowałem do pierwszej edycji Nagrody Wisławę Szymborską i Güntera Grassa. Jakież było moje zdumienie, kiedy w październiku właśnie polska poetka otrzymała Nagrodę Nobla. Po kilku latach ten wielki zaszczyt spotkał także G. Grassa. Nie wyobrażałem sobie wówczas, że pierwsi laureaci naszej nagrody zostaną noblistami. Ten fakt postawił tę nagrodę w odpowiedniej randze wartości i umiejscowił w świadomości współczesnej literatury europejskiej. Stała się ona jedyną tego typu nagrodą literacką miast w Europie. Będąc obecnym na wręczaniu nagrody G. Grassowi w getyńskiej Stadhalle mogłem naocznie przekonać się o stosunku władz niemieckiego miasta do mojej propozycji. Obecność około tysiąca zaproszonych obywateli Getyngi, liczne zespoły, artyści i suto zastawione stoły świadczyły o randze tej propozycji. Laureat był podejmowany, jak cesarz literatury niemieckiej, przy udziale władz Torunia i licznego korpusu dyplomatycznego. Kolejną edycję wręczania nagrody odbywaliśmy w toruńskim Dworze Artura. Przedstawieni przede mną laureaci w osobach Zbigniewa Herberta i Karla Dedeciusa zostali zaakceptowani przez władze. Niestety, choroba Zbigniewa Herberta nie pozwoliła mu na udział w tej doniosłej uroczystości. Obecność K. Dedeciusa – wybitnego propagatora literatury polskiej w Niemczech, spowodowała ogromne zainteresowanie, tak licznej grupy czytelników-widzów, jak również mediów. Oprawa uroczystości, a także osoba Laureata sprawiły duże wrażenie, szczególnie w akademickim środowisku naszego Uniwersytetu. Po kilku latach K. Dedecius został bowiem Doktorem Honoris Causa UMK.

W 1998 roku decyzją władz Torunia i Getyngi powołana została Kapituła Nagrody w składzie: Michał Staśkiewicz – pomysłodawca, prof. J. Kryszak, prof. L. Witkowski ze strony Torunia i prof. H. L. Arnold, K. Kummer, prof. R. Lauer ze strony Getyngi.

Imponująca lista laureatów Nagrody jest antologią najwybitniejszych pisarzy niemieckich i polskich.

Jak napisał dr Krzysztof Ćwikliński – aktualny członek Kapituły (od 2007 roku):

Nagroda Miast partnerskich Torunia i Getyngi im. Samuela Bogumiła Lindego nie jest, by użyć tu niezbyt precyzyjnego określenia, zwyczajną nagrodą literacką, którą honoruje się całokształt dokonań pisarskich, jakichś ich ideowo, gatunkowo bądź tematycznie umotywowany fragment czy konkretną książkę. Ta ustanowiona w 1996 roku nagroda jest elementem zjawiska znacznie szerszego niż literatura, jest elementem więzi partnerskich, elementem porozumienia i pojednania, wreszcie przywołaniem i potwierdzeniem tego, co wspólne i niepodzielne, co łączy Polaków i Niemców zarówno w tym, co konkretne i lokalne, jak i w tym, co uniwersalne i nieogarnione, co łączy we wspólnej rozmowie i twórczej refleksji ludzi, społeczeństwa i narody.

Epokowe dzieło S.B. Lindego „Słownik Języka Polskiego” liczący w 6 tomach ponad 4600 stron dużego formatu, zawierający 60 tys. haseł opatrzonych 200 tys. cytatów nie miało w owym czasie sobie równych w Europie pod względem bogactwa materiału leksykograficznego i służyło za wzór dla innych słowników słowiańskich.

Dnia 3 czerwca 2015 roku, otrzymałem następujące pismo:

#### PREZYDENT MIASTA TORUNIA

Pan Michał Staśkiewicz – Kapituła Nagrody Miast Partnerskich Torunia i Getyngi im. S.B. Lindego

Szanowny Panie. Chciałbym serdecznie podziękować Panu za długoletnią pracę w Kapitulce Nagrody Miast Partnerskich Torunia i Getyngi im. Samuela Bogumiła Lindego. Cieszę się, że dzielił się Pan z nami swoją wiedzą i doświadczeniem, a Pana żywa zainteresowanie literaturą współczesną zawsze przekładało się na efektywną pracę w polsko – niemieckiej Kapitulce, przynosząc ze sobą wskazania znakomitych laureatów nagrody. Dzięki Pana aktywnej pracy mogliśmy sięgnąć dalej poza jej literacki wymiar i wspierać porozumienie pomiędzy naszymi narodami udowadniając, że słowo może tworzyć ideały i wartości, łącząc ludzi, społeczeństwa i narody we wspólnej rozmowie.

Życząc jeszcze wielu aktywnych lat działalności oraz zdrowia i pomyślności w życiu osobistym

Z poważaniem Prezydent Miasta Torunia Michał Zaleski.

Ponieważ był to mój pomysł, cieszę się, że będzie dalej kontynuowany. Dziękuję.

Z prasy: W latach 2015–2018 kapituła będzie pracować w nowym składzie. W ośmioosobowym zespole cztery miejsca zajmują torunianie: prof. Ewa Owczarz, prof. Leszek Żyliński, dr hab. Radosław Sioma (laureat I edycji), dr Adam Marszałek, historyk i wydawca.

Gratuluję i życzę udanej kontynuacji!

Laureaci Nagrody Literackiej  
Miast partnerskich Torunia i Getyngi  
im. Samuela Bogumiła Lindego:

- 1996 Wisława Szymborska – Hunter Grass (późniejsi laureaci Nagrody Nobla)
- 1997 Zbigniew Herbert – Karl Dedecius
- 1998 Tadeusz Różewicz – Siegfried Lenz
- 1999 Ryszard Kapuściński – Christa Wolf
- 2000 Hanna Krall – Marcel Reich-Ranicki
- 2001 Jan Józef Szczepański – Henryk Bereska
- 2002 Andrzej Stasiuk – Friedrich Christian Delius
- 2003 Włodzimierz Kowalewski – Barbara Kohler
- 2004 Hubert Orłowski – Klaus Zernack
- 2005 Paweł Huelle – Hans Joachim Schadlich
- 2006 Sławomir Mrożek – Tankret Dorst
- 2007 Ewa Lipska – Sarah Kirsch
- 2008 Olga Tokarczuk – Ingo Schulze
- 2009 Adam Zagajewski – Durs Grünbein
- 2010 Adam Krzemiński – Karl Schlogel
- 2011 Wiesław Myśliwski – Herta Mulle
- 2012 Andrzej Bart – Stephan Wackwitz
- 2013 Eustachy Rylski – Brigitte Kronauer
- 2014 Janusz Rudnicki – W. Genazino
- 2015 Stefan Chwin – M.L. Scherer

## Mistrz monologu W. Myśliwski

*Czym jest samo życie? „Nie wiemy przecież, czy nie zajmujemy się jedynie własnymi złudzeniami. Nie mamy żadnej władzy nad życiem wbrew temu, co nam się wydaje. To ono rządzi nami przez różne przypadki, zbiegi okoliczności i temu podobne. Dla życia jesteśmy tylko pionkami w jego grze. Lecz jaka to gra, o co gra, nie wiemy”.*

Cytat z pięknej powieści Wiesława Myśliwskiego „Ostatnie rozdanie”.

Znamy się osobiście od blisko 30 lat, powiem więcej, lubimy się. Nie tylko na odległość, nie tylko, bo tak wypada, nie tylko, bo mi imponuje, nie tylko... Przed ostatnimi świętami zadzwonił z życzeniami w wielką sobotę. Zawsze ja byłem pierwszy, dzwoniłem, bo go lubię. I jego mądre powieści. Mam w swoim notesie telefon do wielkiego pisarza. Los pozwolił mi poznać tego wspaniałego twórcę przy okazji jurorowania w organizowanym przez lata w Toruniu Ogólnopolskim Festiwalu Teatrów Jednego Aktora – formy cieszącej się dużym zainteresowaniem w latach 70. i 80. XX wieku tak w środowisku aktorów, jak również publiczności. Ta niszowa dyscyplina teatru w latach jego świetności, czasach K. Dejmka, A. Hanuszkiewicza, T. Kantora, J. Grotowskiego czy K. Swinarskiego, znalazła swoje miejsce i swoich widzów, dając jednocześnie możliwość wyrażania swoich wątpliwości, stosunku do życia i tamtej rzeczywistości w formie indywidualnych kreacji. I ta właśnie okoliczność zetknęła nas we wspólnym odbiorze i przeżywaniu sztuki teatru. Moja fascynacja miastem Kopernika, w którym zamieszkałem przed kilku laty spowodowała, że mogłem wówczas podzielić się swoimi radościami i wiedzą o Toruniu z W. Myśliwskim.

Polubiliśmy się na długie lata. Obserwowałem jego narastającą popularność przy okazji wydawanych kolejnych powieści. Cieszyłem się jego sukcesami i nagrodami. Byłem dumny, że jest moim dobrym znajomym i stałem się gorącym czytelnikiem jego myśli wyrażanych w pięknych i mądrych treściach jego książek. Jakiej siły duchowej i jakiej mocy twórczej trzeba było, by stać się w literaturze współczesnej tym, kim Myśliwski jest dzisiaj!

Jego powieści „Kamień na kamieniu”, „Widnokrąg”, „Traktat o łuskaniu grochu” czy „Ostatnie rozdanie” w trudnych czasach PRL i III Rzeczypospolitej świadczą, że teza o głębokim kryzysie polskiej prozy najnowszej przeczy i jest przykładem wyjątku, który nie mieści się w żadnej syntetycznej regule.



Chłopska epopeja, za którą krytyka literacka uznała „Kamień na kamieniu”, to podsumowanie kultury chłopskiej, której autor poświęcił całe swoje życie. Głęboka psychologiczna i symboliczna powieść o zanikaniu tego, co rodzime i swojskie zyskała uznanie szerokich rzesz czytelników:

„Widnokraż” to z kolei śmiała narracja o szerokim epickim oddechu, w jakimś sensie autobiograficzna. Obserwując drogę pisarstwa Myśliwskiego można śmiało stwierdzić, że stał się on autorem snującym refleksję nad zagadką człowieczeństwa, ludzkiej egzystencji, przemijania i śmierci.

„Traktat”, o luskaniu fasoli”, to z kolei opowieść o tajemnicy istnienia, sensu ludzkiego losu i ludzkiej kondycji w świecie i otoczeniu. Monolog tej wspaniałej powieści wygłaszany przez głównego bohatera, tworzy zapis ludzkich zmagania z tym, co dla człowieka jest jednak tajemnicą.

„Ostatnie rozdanie”, to powieść, gdzie autor opisuje historie rozmaitych zaniedbań, spotkań, które nie miały dalszego ciągu, przede wszystkim rozmaitych strat. Bohater chce dowiedzieć się kim jest i dlaczego tak potoczyło się jego życie. Gra z własną pamięcią i wyobraźnia wyrażana w tej powieści świadczy, że żaden obraz nie istnieje, obraz uniwersalny do prostego zdefiniowania. Jest to kolejna wielka powieść mojego znakomitego przyjaciela, z którym miewaliśmy swoje chwile, swoje „pięć minut” przy papierosie, który dawał nam pretekst do lepszego poznania.

Jego twórczość wymaga skupienia i koncentracji, ale daje ogromną satysfakcję i odpowiada na trudne pytania, z którymi się rodzimy – jak żyć?

Ileż to zaniechań, nawiązując do ostatniej powieści, ma każdy człowiek. Nie zawsze sobie z tego zdajemy sprawę i dopiero po lekturze tej powieści zaglądamy w nasz notes i postrzegamy, ile straciliśmy. I te portrety kobiet w listach od Marii... Jakie wewnętrzne są jego wynurzenia, jego determinacja za rozliczeniem się z niespełnieniami.

Jedna uwaga dotycząca postaci wielkiego pisarza – nie tylko saksofon jest jego ulubionym instrumentem. Są także skrzypce, co mogę poświadczyc faktem, że gościł wraz z małżonką na kilku koncertach mojej córki-skrzypaczki Ani, które odbywały się w Warszawie.

W 2011 roku W. Myśliwski otrzymał Literacką Nagrodę Miast Partnerskich Torunia i Getyngi im. S. B. Lindego. Byłem pomysłodawcą i jurorem tej Nagrody przed 18 laty i z dumą w toruńskim ratuszu słuchałem mojego przyjaciela, jak w swoim podziękowaniu, nawiązując do patrona Nagrody, wyrażał się o ważnej dla jego twórczości sprawie. Było to dla niego tym, co jest budulcem literatury – SŁOWO.

Bo „literatura jest sztuką słowa, moim zdaniem, i tylko sztuką słowa, bez względu na formę, w jakiej się objawia”.

## Polak – Słowak...

Od lat w świadomości Polaków funkcjonuje powiedzenie, że „Polak – Węgier dwa bratanki, i do szabli, i do szklanki”. Nie mam nic przeciwko Węgom. Miałem przed trzydziestu laty w Zalaegerszeg dobrego kolegę, Bellę. Był dyrektorem teatru i mieliśmy między sobą nawet konfrontacje naszych dokonań reżyserskich. Byliśmy o podobnym smaku i posługiwaliśmy się podobnymi środkami wyrazu artystycznego.

Ponadto bywałem wielokrotnie w Budapeszcie, Szegedzie i mam z tych pobytów miłe wspomnienia (ale także niemiłe).

Dzisiaj, po latach, mogę pokusić się jednak o sprostowanie wspomnianego wyżej powiedzenia. Mogę to zrobić z powodu mojego „rozkwitu” w stosunku do najbliższego naszego sąsiada, jakim jest Słowacja. Od wczesnej młodości miałem do Słowaków jednoznaczny stosunek. Lubiałem jeździć na Słowację w czasach studenckich. Miałem swoje ulubione miejsce w słowackich Tatrach. Uwielbiałem słowackie wieczory przy zawsze dobrym piwie w znakomitej kompanii. Kiedy się ma dwadzieścia i kilka lat, to człowiekowi nie przychodziło do głowy myśleć o polityce, o tym, co mówią ludzie. Przeżyłem straszną inwazję wojsk polskich na Czechosłowację, zrobioną w 1968 roku w wyniku decyzji sowieckich dowódców.

Pamiętam, że kilka miesięcy po tej haniebnej inwazji „w obronie komunizmu(!)” byłem w Ostrawie i widziałem napisy na murach. Napisy te w jednoznaczny sposób określały stosunek Czechów do nas, naszego wojska i w ogóle, do całej tamtej rzeczywistości. Po godzinie pobytu w restauracji nawet kelner się do mnie przekonał i zmienił mi posiłek na lepszy. Byłem przecież artystą, a artyści, to humaniści. Prawdziwy humanista nigdy nie będzie za przemocą, totalitaryzmem. A uważałem się wówczas za człowieka chodzącego swoimi drogami. I na pewno moje drogi nie miały kierunkowskazów w języku rosyjskim. Sowieckie ideologie skutecznie wybijała mi z głowy mama, a „Głos Ameryki”, „Wolna Europa” i inne rozgłośnie skutecznie budowały moją świadomość Polaka i człowieka szanującego to, czego nie było – wolności. Ponieważ jestem człowiekiem urodzonym podczas niemieckiej okupacji, odpowiednio zostałem zakodowany w stosunkach do okupantów.

Wracam zatem do mojej Słowacji. Ta przepiękna kraina już w VII wieku istniała jako tzw państwo Samona. W IX wieku powstały dwa księstwa: nitrzańskie i morawskie. Połączone utworzyły Państwo Wielkomorawskie. I to w tym państwie w tymże wieku, a więc 100 lat przed przyjęciem chrztu przez Polskę, działali sprowadzeni z Bizancjum Misjonarze Cyryl i Metody. A wszystko po to, aby nie było możliwości wpływów kościoła niemieckiego. Skąd my to znamy? Choć dzisiaj żyjemy w czasach papieża Niemca. Ale przed nim był Jan Paweł II. Od XI wieku tereny Słowacji wchodziły w skład Królestwa Węgierskiego. I tutaj mamy pierwszy sygnał. Ponieważ wówczas już ważną rolę na tych terenach odgrywał handel z Polską. Prawdopodobnie mówiło się już wtedy, że jadę na Węgry, choć chodziło o tereny Słowacji. Po objęciu tronu w XVI w. przez Habsburgów ich tereny obejmowały głównie Słowację, nazywaną wówczas Górnymi Węgrami.

W drugiej połowie XVIII wieku rodzi się na Słowacji **ruch odrodzenia narodowego**. Podczas Wiosny Ludów wybucha antywęgierskie powstanie.

Przyjęto wówczas symbole narodowe Słowacji – trójkolorową flagę i godło oraz hymn „Nad Tatrou sa blýska”. Po kilku latach powstała Macierz Słowacka.

Zakończenie I wojny światowej, w wyniku działań Słowaka Milana Rastislava STEFANIKA oraz Czecha Tomasa MASARYKA 28.X.1918 roku powstała **Republika Czesko-Słowacka**.

W marcu 1939 r. Pod naciskiem Niemiec hitlerowskich powstało państwo słowackie pod nazwą Republika Słowacka z prezydentem Jozefem Tiso. A potem, w wyniku powstania w 1945 r. nastąpiło oswobodzenie całego terytorium.

Upłynęło wiele lat. Jest rok 1996. Okoliczności sprawiły, że nagle znalazłem się w Domu Kultury Słowackiej w Warszawie. Zaczęło się od licytacji marki krawatów, w którym uczestniczyli mężczyźni. Ot, taka zabawa dla przełamania lodów. A potem poznaliśmy się ze spóźnionymi reprezentantami miasta Cadca – Magdą i Vlado.

I natychmiast znaleźliśmy wspólny język. W wyniku tego spotkania doszło do Dni Słowacji w Toruniu. I po kilku dniach, zakończonych kolacją z udziałem Ambasadora Słowacji w Polsce pana Serwatki, rozpoczęliśmy działania w kierunku nawiązania partnerskich stosunków między naszymi miastami. Cadca, to raj, miasto położone w Beskidzie Śląskim. Jest tam pięknie i latem, i zimą. To mogą być płuca Torunia. To był argument przekonujący. Ponadto jest to tylko 500 kilometrów – równe

pięćset! Toruń, to gotyk, Wisła i aglomeracja 200 tys. A także Uniwersytet Mikołaja Kopernika, naszego protoplasty. Formalności potwierdzające partnerstwo trwały krótko. I stało się. Moje kontakty z Cadcą, to kontakty osobiste. Nie liczyły się stanowiska, choć w znaczący sposób pomagały. Nic sympatii bardzo szybko stała się linią przyjaźni.

Nasze spojrzenie na zastaną rzeczywistość pokrywały się w zupełności. Udało mi się stworzyć w swojej rodzinie klimat, że Słowacja to jest też nasz kraj. Ta uroda gór, ten prażony syr, te wspaniałe zamki, wreszcie to piwo – wszystko to miało znaczenie, tak dla mojej rodziny, jak również moich przyjaciół. Nagle zaczęliśmy postrzegać, że Słowacja jest wspanialsza od Szwajcarii. Jak słusznie mówi słowacka anegdota, że Panu Bogu pozostało mało, ale pięknych drobiazgów do rozdzielenia i dał ten kraj Słowakowi. Odbylem z moją rodziną kilka podróży po Słowacji. Podziwiałem Hleb i Demianowską Jaskinię, kąpałem się w termicznych basenach i pływałem po Dunaju. Zachwyciłem się Bratysławą, pomnikiem Janosika i przepięknymi skałami. I tylko żałowałem, że już mam swoje lata, że to wszystko przyszło trochę późno. Ale trudno. Wpoilem moim córkom miłość do Słowacji i wiem, że będzie ona procentowała w przyszłości. Miałem ogromne satysfakcje, mając po tamtej stronie Tatr przyjaciół. Vladowi nigdy się nie splącę za „lekarstwo” na żołądek, nie mówiąc już o nauce jazdy na nartach. Córka Ania jest zakochana w Słowacji, czemu dała już wyraz w różnej formie. Druga, Julia ma także wspaniałe wspomnienia, a ja żoną z Zosią nie mogę się doczekać na kolejną wizytę Króla w Toruniu. Wspólnota myśli i zainteresowania nie tylko zawodowe, połączyły mnie z Miro, moim drugim Przyjacielem. Choć jesteśmy już emerytami, to przecież jesteśmy ludźmi działania i jeszcze niejedno razem zrobimy. Cyryl – mój kompan, człowiek z inicjatywą różną od mojej, zapisał się na stałe w naszej pamięci. I wielu innych, na czele z Józefem. To jego działanie, oraz wspomnianych Vlada i Mira spowodowały, że dzisiaj na mojej wizytówce jest napisane ”Honorowy Obywatel Miasta Cadca”. Jest to dla mnie wielki zaszczyt. Chcę dalej być ambasadorem Miasta i Kraju w Polsce. I może jeszcze, w ramach wspólnoty europejskiej, coś pożytecznego uda się stworzyć. Jestem tym bardzo zainteresowany i wierzę, że kolejni prezydenci naszych miast takiej inicjatywie przyklasną. Tak więc jestem teraz Polakiem i Słowakiem pospołu. A być Honorowym Słowakiem jest znacznie trudniej, niż pospolitym Polakiem.

Mam tyle wrażeń, że zapewne w najbliższej przyszłości będę pisał o Słowacji.

Muszę bowiem spłacić w ten sposób swoje Honorowe Obywatelstwo. Nawiązując do tytułu. Przed wielu laty w Koniakowie żył legendarny góral, piewca góralskiego folkloru, budowniczy góralskich trombit – Jan Kawulok. Kiedy kilkakrotnie odwiedzałem jego dom, który po śmierci właściciela stał się prawdziwym muzeum górali beskidzkich, wiele mi opowiadał. I to on mówił mi, że „chodził w okupację na Węgry”. Pytałem wówczas, czy to możliwe, aby tak daleko chodził? Odpowiedział, patrząc w kierunku południa: „Panoczku. Toż to tylko 3 kilometry”.

Uświadomiłem sobie wówczas, że określenie „Węgry” bierze się z historii. Cesarstwo Habsburgów obejmowało także Słowację. I stąd przy granicy polsko-słowackiej jest Węgierska Górka. Bo parę kilometrów dalej już dawne cesarstwo austro-węgierskie.

Teraz, w kontaktach ze słowackimi przyjaciółmi zrozumiałem, że to POLAK SŁOWAK – DWA BRATANKI... Bo jak mógłby polski góral dogadać się z Węgrem? I kupić tam np. cukier? Trzeba to Polakom uświadomić.

## VLADO – patriota Słowacji i Torunia

Współpraca z Czadką dostarczała nowych przyjaciół i orędowników Torunia. Za Giewontem i Rysami, za Orawami, na skraju Beskidu Morawsko – Śląskiego tam, gdzie w krajobrazie pięknie wygląda Wielka Racza (1236 m.n.p.m.) mieszka naród, który bez trudu może się porozumieć z sąsiadami z północy mieszkającymi między Odrą a Wisłą – Słowacja.

Państwo to, będące przez wieki włączone w obszar wielkiego cesarstwa austro – węgierskiego, stanowiła mniejszość narodową mylnie nazywaną często przez polskich górali Węgrami. Jakby mogli się porozumieć górale z Węgierskiej Górki po stronie polskiej, z góralami po południowej stronie piękniejszych Tatr z Gerlachem na czele, pilnowanym przez Zamek Orawski i ciupagi orawskiego plemienia? To na tym terenie grasował Janosik, bohater ludu po obu stronach granicy, który zabierał bogatym, a dawał biednym.

Tuż obok Kisuce, region ciągnący się od Morawsko – Śląskich Beskidów na zachodzie Słowacji, do szczytów Małej Fatry na wschodzie. To tajemnicza kraina przepelniona górami, ciemnymi lasami i dziką przyrodą. Kisuce leżą bowiem na granicy Słowacji z Czechami i Polakami, którzy zimą i latem zachwycają się urodą tej ziemi.

Liczne potoki i rzeki spływające dolinami dodają temu krajowi niezwyklej urody. Do największych należą: rzeka Wag i Kisuce. Narodowy rezerwat przyrody Wielki Jawornik i Wielka Racza, dalej rezerwat Mała Fatra mogą zauroczyć każdego, nie tylko rodowitego mieszkańca Żyliny (trzeciego miasta Słowacji), Nowego Miasta czy Czadcy – partnerskiego miasta Torunia. Skąd taki kontakt i jak do tego doszło? Mam w tym swój osobisty udział.

Blisko dwadzieścia lat temu ( w 1996 r.) w towarzystwie innych przedstawicieli kultury toruńskiej na czele z inicjatorką kontaktu Zofią Karpińską – dyrektorem Galerii i Ośrodka Plastycznego Kształcenia Dzieci i Młodzieży znalazłem się w Domu Kultury Słowackiej na Starym Mieście w Warszawie. Zaprosił nas podczas wizyty w Galerii Dyrektor Instytutu Słowackiego w Warszawie Pan Jan Budzyniak. Podjęto nas tam bardzo serdecznie, po słowacku. Rozmowy dotyczyły organizacji w Toruniu Dni Kultury Słowackiej.

Oczekiwaliśmy na przyjazd delegacji miasta Czadca, leżącego na ziemi kisuckiej, graniczącej z Polską. Przy okazji prowadziliśmy dość ożywioną dyskusję na temat form stałego kontaktu miast partnerskich. Propozycje nasze przyjęto ze zrozumieniem. Początek miały stanowić DNI KULTURY SŁOWACKIEJ w Toruniu. Organizacją tych dni ma zająć się miasto Czadca i na przedstawicieli tego miasta oczekiwaliśmy.

*W chwili, gdy piszę ten tekst zadzwonił telefon. Cześć! Jestem w Toruniu. Przywiozłem kolejną wystawę, rzeźbiarza z Czadcy Stanislava Mikovcaka. Wystawiamy w Dworze Artusa. Koniecznie przyjdź. To jest cały Vlado – mój serdeczny przyjaciel i przyjaciel Torunia z za południowej granicy. Przedstawiają nam gości z Czadcy; poznaliśmy Vice Primatora (Burmistrza) miasta pana Vladimira Krala oraz przedstawicielkę okręgu Kisuce ds. kultury panią Magdę Hackovą. Miesiąc po naszym spotkaniu doszło do organizacji Dni. Przez tydzień Toruń żył nie tylko występami kapel ludowych, teatru mody, licznych stoisk i wystaw, degustacji kuchni słowackiej właściciela restauracji pana Cirila Wakuli, a także znakomitego piwa słowackiego. Ten czas spędzony w Toruniu pozwolił mi się zaprzyjaźnić tak z Vlado Kralem, jak również z dyrektorem tamtejszego miejskiego domu kultury panem Miro Duricą, oraz Cirilem Wakulą. Powiem wprost, nasza znajomość zaiskrzyła wzajemną sympatią, którą ja osobiście przez następne lata odbierałem. Impreza w tej skali musiała zrobić na ówczesnych władzach wrażenie, ponieważ po kilkunastu dniach delegacja Torunia w składzie: Bogdan Major – Przewodniczący Rady Miasta, Kazimierz Zawal – wiceprezydent Torunia oraz moja osoba udała się do Czadcy, aby sfinalizować podpisanie umowy o partnerstwie*

obu miast. Właściwie już podczas Dni Słowacji nasze spotkania nie sprowadzały się tylko do protokolarnych, lecz miały charakter przyjacielski. Okazało się, że Vlado doskonale mówi po polsku, studiował w Krakowie. A w obecności pana Ambasadora w Dworze Artusa okazało się także, że na zakończenie dni poznaliśmy smak wina z winnic w południowej części Słowacji. Były znakomite!

Vlado – mój Przyjaciel, to słowacki góral. Pochodzi z regionu o bardzo silnych tradycjach i umiłowaniu folkloru. Jest on pełen sprzeczności, ma bardzo ciekawy charakter. Z jednej strony historycznie konserwatywny o ogromnym ładunku patriotyzmu. Uwielbia „swoje” góry, które zna na pamięć i niejedną wycieczkę (zawsze pod górę) zaliczył wraz z całą rodziną. Przy tym ma duży sentyment do Polski i Polaków ponieważ studiował w Krakowie. A i mówi wspaniale po polsku. Jest bardzo usportowiony a jego ulubione dyscypliny to tenis ziemny, narciarstwo i hokej na lodzie (wiadomo, supermocarstwo – Słowacja). Uprawia latem tenis, a zimą narciarstwo. Przez cały rok jego ulubionym zajęciem są długie górskie wycieczki wymagające dużego wysiłku. Mimo posiadanej kondycji lubi się męczyć fizycznie.

Jest przesiąknięty historią swojej ojczyzny, swojego regionu, miasta. Jest dumnym Słowakiem. Mój przyjaciel jest fantastycznym animatorem nie tylko dla swojej rodziny, także dla innych, w tym Polaków. Szczególnie mogłem to obserwować podczas licznych przed laty odwiedzin Słowacji i Czadcy. Bywałem tam bowiem samotnie, z rodziną a także w większych wycieczkach autokarowych. Vlado, poza charakterystyczną dla Słowaków gościnnością, jest encyklopedią swojej ojczyzny. Wie i zna wszystko. Przez niego przemawia prawdziwy Słowak znający historię swojego kraju i pamiętający o wielowiekowej okupacji.

Kiedy Vlado chciał mi jak najwięcej pokazać Słowację, poznałem nie tylko urodę różnego krajobrazu, ale i duszę górala, kiedy siadaliśmy przy piwie „rezane” i prowadziliśmy długie przyjaciół rozmowy, nie tylko ze mną, ale także z moją rodziną. Jego szczególną sympatię budziła Ania, którą, kosztem swojego urlopu, uczył przez tydzień jeździć na nartach z Wielkiej Raczy, co mnie i Zosię wprowadziło w zdumienie. To, co robił Vlado zasługiwało na duży szacunek. On nie „produkował” braków. To dzięki Vlado moja cała rodzina poznała smak Słowacji poprzez wyprawy w głąb kraju, wspinanie się w górach, spanie na skalnych półkach – znał swoją ojczyznę na wylot. Jego uwielbienie górskich potoków, tras zjazdowych narciarskich zimą, jaskiń takich jak lodowa Demianowska

w Niskich Tatrach. Dzięki jego inwencji jestem w posiadaniu księgozbioru najpiękniejszych zakątków przyrody w Słowacji, zamków, jaskiń ciepłych źródeł i folkloru. Vlado jest moim Przyjacielem na dobre i zła czasy.

## Holenderska przygoda

„O, Holender!” – mawiałem w dzieciństwie nie zdając sobie sprawy z tego, o co chodzi. Słowo to zastępowało jakieś brzydkie przekleństwo, o którym także nie miałem pojęcia. Potem Holandia kojarzyła mi się z zasłyszana depresją, żeglowaniem, kolonializmem, malarstwem (jakie grube kobiety – myślałem), Słonecznikami van Gogha, Rembrandtem, którego potem w swoim życiu widziałem rekordową ilość (w Moskwie, Leningradzie, Kassel i Amsterdamie), szlifowaniem diamentów, kanałami wodnymi i łyżwiarstwem szybkim, piłką nożną i różową dzielnicą w Amsterdamie. I nagle siedzę w Lejdzie (Butelka lejdejska – z fizyki) w cafe nad kanałem obok pięknego mostku ozdobionego kolumnami. To w tej kawiarence przesiadywał Einstein, codziennie rozprawiając o swoim pa-trzeniu na świat w towarzystwie pracowników tutejszego uniwersytetu. Ze ściany spogląda na mnie znajoma uśmiechnięta i powszechnie znana twarz wielkiego uczonego. I wszystko jest jak dawniej – zapewnia właściciel podając kolejne piwo. Wieczorem w lustrze wody lejdejskich kanałów odbijają się światła miejskich latarni. Elektryczne. Okazały budynek mera miasta przypomina czasy świetności, kraj obejmujący swoim zasięgiem pół albo i cały świat. Ten kolonialny dobrobyt postrzegać można na każdym kroku i to nie tylko w Lejdzie. Byłem kilka razy w tym zaprzyjaźnionym z Toruniem mieście. I za każdym razem dostrzegałem coś nowego. To, że Holendrzy nie używają w oknach firanek, bo „mąż-żeglarz płynął gdzieś a sąsiedzi musieli czuwać nad czystością jego żony”. To, że są skąpi, to że ich najbardziej ulubionym środkiem lokomocji jest rower, a zimą łyżwy. Rowerów w każdym miejscu pod dostatkiem, przed restauracją, przed szkołą, przed uniwersytetem, przed urzędami. Niedziela. Nad głównym kanałem stoiska jarmarczne, niczym na targach wielkanocnych w Toruniu. I tylko brakuje prawdziwych toruńskich pierników. Ale pierniki są, tylko inne.

Moja wizyta ostatnia była w 1999 roku. Czy coś teraz się zmieniło?



Uroda miasta, kanały wodne, wąskie domy dwupiętrowe z „pruskiego muru” i dużo kolorów, schodów, zawsze do góry. Czy to związek z depresją?

Jadę samochodem do Amsterdamu i nagle... Nad moja głową na autostradzie startuje samolot odrzutowy. Pasażerski. Tak, to już koniec XX wieku. Autostrada ośmiopasmowa przecina się z pasem startowym największego lotniska Europy. Z Amsterdamu zapamiętuję kanały, krzywe pochylone domy, mosty i mostki, dużo rowerów, kolorowe postacie ulicznych aktorów, dużych rozmiarów katarynki z obowiązkowymi małpami, oczywiście – wiatraki.

I hałas. Nawet pod pałacem królowej rozgościł się „diabelski młyn” – karuzela widoczna z dużej odległości. Jakby potwierdzenie, że wszystko się kręci: historia, władza, cywilizacja, sztuka, Dom Rembrandta, czerwona dzielnica z wystawami pełnymi ponętnych dziewcząt reprezentujące wszystkie rasy, kolory i figury, zapachy Marychy i Chanel. Ogromna potencja cywilizacji mieszcząca się na skrawku ziemi położonej w depresji i niedawno odzyskanej.

Amsterdam kipi, wrze, dniem i nocą. I wszędzie domy jakby wpadały do kanałów, jak wierzby płaczące. Tramwaje wodne przypominające Sekwanę lub Wenecję. Holandia, to dowód historycznego bogactwa z czasów kolonialnych pod każdym względem. Także społecznej tolerancji.

## Wspomnienie Marka Wakarecego

Tak nagle. Kto by się tego spodziewał?

W. Szymborska

Urodziliśmy się w tym samym dniu. Był ode mnie młodszy o równe 10 lat. Poznaliśmy się w nietypowych okolicznościach przy rozwieszaniu afiszy dot. wyboru do Sejmu i Senatu w 1989 r. Wiedziałem, że jest muzykiem, kojarzyłem go z Toruńska Orkiestrą Kameralną. Mieszkaliśmy obok siebie. On na ul. Konopnickiej, ja na Mickiewicza. Zrobiłem z Nim wywiad do „Wolnego słowa”, w którym pisywałem felietony, głównie o kulturze i sztuce.

Jego argumenty, aby słuchać muzyki klasycznej do mnie trafiały, był zapaleńcem, kochał muzykę, kochał ludzi i często borykał się z powodu

braku zrozumienia. Był człowiekiem z sercem. Po transformacji ustrojowej nasze stosunki uległy przybliżeniu, gdyż stałem się urzędnikiem „od kultury” a on radnym – przewodniczącym Komisji Polityki Społecznej, w tym m.in. zajmował się kulturą i oświatą. Bywaliśmy u siebie, przestawialiśmy w moim mieszkaniu pianino, przesłuchiwał moją Anię, czy nadaje się do gry na skrzypcach. Był już dyrektorem Orkiestry (pod moją namową) gdy Ania zagrała pierwszy koncert właśnie z Orkiestrą gdy miała 12 lat. Obaj z racji urodzenia byliśmy spod znaku Barana o silnych charakterach. Jednym ze znaczących wydarzeń, które miały wpływ na losy toruńskiej kultury był fakt, że stojący od lat, a będący w gestii UMK Dwór Artusa nie mógł doczekać się remontu. Kiedy dowiedziałem się od prezydenta J. Wieczorka, że miastu przekazano ten historyczny obiekt i zamierza się go pozbyć na rzecz ZPR-ów, bo są potrzebne środki na spłacenie długów po poprzednich gospodarzach – natychmiast udałem się do Marka i już na drugi dzień Komisja Polityki Społecznej wraz ze mną przeszła ten niszczący obiekt od piwnic aż po dach, który był w kompletnej ruinie (właściwie go nie było). Stanowczość Komisji, a szczególnie Marka, spowodowały, że Rada Miejska uwzględniła potrzebę odrestaurowania obiektu. Tym samym nie doszło do jego sprzedaży. Jak potrzebny toruńskiej kulturze i sztuce jest Dwór Artusa, to można stwierdzić po 20 latach jego działalności. Podczas trwającego dwa lata remontu stałym „wizytatorem” robót był Marek.

Widzę go jak jedzie na rowerze przez Drapaka, jak pracuje na swojej działce, jak udziela korepetycji niepełnosprawnym, jak miota się, aby TOK miała wyższą dotację, jak poszerza jej skład i to on spowodował, że dzisiaj w Toruniu jest orkiestra symfoniczna.

Będąc człowiekiem czynu zginął „na posterunku” w wypadku samochodowym tak nagle i niespodziewanie. Składam w tych kilku zdaniach hołd pamięci.

## Profesor Krzysztof Mikulski

Mieszkańcy Torunia wiedzą, że najlepszym punktem w mieście do umiarkowania się jest Pomnik Największego Polaka, stojący dostojnie na tle toruńskiego Ratusza na Rynku Staromiejskim.

Ten wybitny astronom, urodzony w Rynku Staromiejskim, jest bardzo popularny, a dwa mln zwiedzających nasze miasto w roku przyjeżdża,

aby oddać Wielkiemu Polakowi hołd i jednocześnie nacieszyć się urodą naszego miasta.

Już od wczesnego dzieciństwa, bodajże od VI klasy szkoły podstawowej polubiłem historię, a w latach licealnych wręcz się nią pasjonowałem. Na świadectwie dojrzałości, które otrzymałem w czerwcu 1960 roku z dumą mogę dostrzec piątkę (w skali 2–5). W tym samym roku w czerwcu, kiedy odbierałem świadectwo dorosłego człowieka, urodził się mój przyjaciel – Krzysztof Mikulski.

Przez blisko 30 lat dał mi się poznać jako aktywny, inteligentny, twórczy naukowiec. Czulem jego wielką i wybitną przyszłość. A zaczęło się to od polityki w historycznej Sali Toruńskiego Towarzystwa Naukowego w 1988 roku. To dzięki kilku posiedzeniom pewnego zarządu poznałem Krzysztofa. Jest najwybitniejszym historykiem „od Kopernika”, i jego czasów. W wyniku naukowych dociekań odkrywa przed nami kolejne tajemnice Wielkiego Astronoma, kanonika warmińskiego (1473–1543), urodzonego w nieistniejącym już budynku na Rynku Staromiejskim.

Przedemną leży opasły wolumin pt. „Mikołaj Kopernika – środowisko społeczne, pochodzenie i młodość”. To kolejne naukowe opracowanie, często zagadkowych i tajemniczych informacji z życia Wielkiego Torunianina – autor Krzysztof Mikulski – „mój Przyjaciel”. Ten historyk pisze także wiersze, wydał kilka tomików poezji i satyry.

Ponieważ nie jestem krewnym ani uczniem profesora, pozwalam sobie na osobiste zapiski związane z tą twórczą i aktywną postacią toruńskiego środowiska naukowo-kulturalnego, która w sposób znaczący wpisała się we współczesną historię. Jego osobowość jak wiedza, pracowitość, stosunek do studentów i ludzi z ulicy są powszechnie znane. A chwile spędzane w towarzystwie przyjaciół w „Jadwidze” w ustalonym na stałe dniu tygodnia mają już swoją historię i anegdoty. Nie jest tajemnicą, że poza licznymi pracami naukowymi, profesor jest także czynnym i bardzo aktywnym uczonym przysparzającym UMK, Toruniowi chwały i licznych zaszczytów.

Blisko 30 lat znajomości i wiele przygód, poczynając od organizacji Toruńskich Spotkań Obywatelskich, twórczych dyskusji o partiach politycznych, są cennymi bagażami ważnych wspomnień.

Wydawnictwo Naukowe UMK wydając w 2015 roku cytowany tom o Koperniku już we stępie Rektora zaznacza, że ten wolumin ukazuje się z okazji 70-lecia istnienia toruńskiej uczelni, kontynuatorki tradycji Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. „(...) Niech książki te, niezależnie,

czy wezmą je Państwo do ręki w roku jubileuszu, czy znacznie później, przypominają nam wszystkim o wyjątkowym miejscu Uniwersytetu Miłkołaja Kopernika na mapie przyjaciel własnoręcznie napisał dedykację:

„Michałowi na długie deszczowe dni – 25.02.2015 r.”

I połykam to jakże społecznie i naukowo potrzebne dzieło, połykam i wracam. I czytam je jak najciekawszą beletrystykę, choć ilość przypisów każe przed autorem zdjąć „czapki z głów”.

Gdy na obwołucie książki czytam notkę o autorze: współautor podręcznika akademickiego *Historia powszechna – wiek XVI–XVIII* – Warszawa 2012, dyrektor Instytutu Historii i Archiwistyki UMK, członek Komitetu Nauk Historycznych PAN, Polskiego Towarzystwa Heraldycznego, przewodniczący Komitetu Nauk Historycznych przy PAN, członek Towarzystwa Naukowego w Toruniu, wieloletni Prezes Polskiego Towarzystwa Historycznego, Prezes Towarzystwa Miłośników Torunia, członek rady Prezydenckiej przy Prezydencie Torunia. – Ciśnie mi się do głowy pytanie – Krzysztofie – kiedy miałaś tyle energii, siły i czasu, aby sprostać tylu społecznym obowiązkom? A jeszcze dokonania naukowe, badawcze i wydawnicze?

## Pan od Inflant

*Czytałem kiedyś takie zdanie: „Kiedy myślę i nic nie wymyślę, to sobie myślę, po co ja tyle myślałem, żeby nic nie wymyślić. Przecież mogłem nic nie myśleć i tyle samo bym wymyślił”.*

Ks. Jan Twardowski

Rok 1989 rozpocząłem spotkaniem w Towarzystwie Naukowym (marzec) na zaproszenie pana Grzegorza Górskiego dotyczącym reaktywowania w Toruniu Chrześcijańsko-Demokratycznego Stronnictwa Pracy – partii mecenasa Władysława Siły-Nowickiego. Ten legendarny działacz opozycji antykomunistycznej w PRL, żołnierz Armii Krajowej, uczestnik powstania warszawskiego, współpracownik KOR-u, wieloletni więzień PRL (kara śmierci zamieniona na karę dożywotniego więzienia), prezes reaktywowanego Chrześcijańsko-Demokratycznego Stronnictwa Pracy – wystarczy tych wiadomości, aby uzmysłwić sobie jak ważnym dla

mnie było to spotkanie. W spotkaniu uczestniczyło ok. 70 osób, które podobnie jak ja, szukały miejsca w nowopowstałej sytuacji politycznej, bo wszelkie znaki wskazywały na to, że dojdzie do dużych zmian. Nie wiadomo było tylko w którym kierunku. Po wstępnym zagajeniu i zreferowaniu głównych założeń Stronnictwa pan G. Górski zaproponował, aby wszyscy obecni się przedstawili, publicznie każdy z obecnych ujawniał swoją przeszłość, swoje poglądy i swoją osobowość. Gdy doszło do typowania kandydatów do zarządu, o dziwo, ktoś podał także moją kandydaturę. W drodze tajnego głosowania znalazłem się, z zaskakującej mnie ilości głosów, w zarządzie. Kolejne spotkanie zarządu na mój wniosek odbyło się w MDK "Centrum" przy ul. Kopernika ( w moim gabinecie kierownika artystycznego tej instytucji). Ukonstytuował się 8 osobowy Zarząd na którego czele stanął G. Górski. I wówczas poznałem się z Janem. Okazało się, że jesteśmy sąsiadami (ul. Mickiewicza i Konopnickiej) .Po zakończeniu tego spotkania długo rozmawialiśmy na ulicy pod moim domem. Okazało się, że Jan to elokwentny, czytany, towarzyski naukowiec, pracownik PAN z tytułem doktora historii. Jego zwierzchnikiem był prof. Marian Biskup znakomity historyk i, jak zapewniał Mistrz Zakonu Krzyżackiego, obecny w Toruniu na sesji naukowej- najwybitniejszy „Krzyżak” w Polsce. Osobiście to słyszałem.

Już podczas naszego pierwszego spotkania przypadliśmy sobie do gustu. Zgadzały się nasze poglądy polityczne, stosunek do PRL, kościoła i życia. Okazało się także, że nasze córki (dwie Anie) chodziły do tego samego przedszkola, a teraz są w jednej klasie w Szkole Muzycznej. Kolejne spotkanie Zarządu Stronnictwa, na którym przedstawiano założenia programowe na przyszłość, wydały mi się zbyt naiwne i u siebie w swoim gabinecie poprosiłem o wykreślenie mnie ze składu zarządu. Po tym incydentalnym wydarzeniu zostałem zaproszony do Jana i wyłożyłem mu swoje racje. Podzielił moje poglądy i także na kolejnym posiedzeniu wycofał się z zarządu. Podobnie uczynili prof. Kazimierz Wajda i dr Krzysztof Mikulski. Od tego momentu moje kontakty z Janem były prawie codzienne.

Bardzo dużo nas łączyło, nasze poglądy i oczekiwania w sferze politycznej pokrywały się zwłaszcza, że nastąpiły czasy „Okrągłego stołu” i ogromnej ekspresji społecznej. Charakterystyczny zapal Jana, jego rozgrzewanie się w dyskusji, jego stanowczość w udowadnianiu swoich racji mi imponowały. Kiedy opowiadał mi, że doktorat napisał o Inflantach

– parsknąłem śmiechem. I wówczas zrobił mi trzydniową pogadankę na temat Inflant.

„Inflanty – kraina historyczna nad Dźwiną i Zatoką Ryską powstała w średniowieczu w obrębie posiadłości zakonu kawalerów mieczowych ok. 1202 r., a zamieszkałej przez plemiona bałtyckie Łotyszów i Estończyków. W historii późniejszej wyraźnie znaczącą rolę odgrywały w XVI wieku wojny inflanckie z Rosją, a w XVII wieku wojny szwedzkie, które zakończył Pokój Oliwski w 1660 roku.

To z Inflant pochodzą słynne rody Rejtanów, Romerów, Korffów, Platerów Manteuffłów i inne znakomite, wspaniale zapisane w naszej historii”.

Słuchałem tych prelekcji, byłem wdzięcznym słuchaczem i nie chciałem mu przeszkadzać, a on bardzo często nadużywał metody kształcenia mojej świadomości historycznej. Nie po raz pierwszy i nie ostatni.

Szczególne podkreślenia są towarzyskie spotkania w szerszym gronie u Jana w mieszkaniu na ul. Konopnickiej. Po staropolsku ( a może po inflandzku?) gościnność jego przechodziła wszelkie normy przyjęte w tym skomercjalizowanym świecie. Najważniejsze jednak były rozmowy towarzyskie, wymiana poglądów i polityka. Oczywiście, nie muszę tłumaczyć, że w naszym gronie przeważali sympatycy podobni do nas jeśli chodzi o upodobania polityczne, choć zdarzali się, tak u Jana, jak i u mnie, uczestnicy kolacji, którzy mieli zupełnie inne poglądy. Ale byli biedni...

Dotyczy to np. kolacji z trzema dowódcami wojsk sowieckich w Toruniu, z którymi opijaliśmy możliwość wyemitowania audycji na ich przekazniku telewizyjnym, który miał mały zasięg, jednak nam chodziło o Toruń. Kolacja, która trwała ponad 7 godzin doprowadziła do tego, że w 1990 roku, poprzedzając wybory samorządowe, wyemitowałem 6 audycji z nadajnika należącego do wojska radzieckiego. Firmowane były owe audycje przez Komitet Obywatelski „Solidarność” w Toruniu (patrz: „Telewizyjna dywersja”).

3 maja 1990 roku wraz z Janem i księdzem Józefem Nowakowskim po raz pierwszy od 1947 roku zorganizowaliśmy z okazji Święta 3 Maja na Rynku Staromiejskim Mszę Świętą z udziałem ówczesnego ks. bp. Przykuckiego.

Rok 1990 był rokiem ogromnej aktywności społecznej. Byliśmy obaj bardzo czynni, tak w wyborach samorządowych, jak również w tworzeniu nowej rzeczywistości politycznej. W wyniku temperatury politycznej w tym czasie spotykaliśmy się codziennie. Dyskusje wcielane były w życie,

Spotkania Obywatelskie z udziałem najwybitniejszych polityków Polski, gromadziły tłumy Torunian. Jan był jednym z głównych moderatorów tak publicznych spotkań, jak również dialogów indywidualnych. Niezapomniane obrazki dotyczące jego aktywności sprowadzały się do dyskusji na narożniku ulic Konopnickiej i Mickiewicza ze spotkanymi znajomymi. A znał cały Toruń. I jego znali. Obserwowałem często takie obrazki z mojego okna w mieszkaniu, kiedy, gestykulując rękami z kimś, udawał swoje racje. Był wielkim patriotą i zapalonym dyskutantem. Miał wiedzę historyczną i głęboką wiarę w Boga.

Należy, z perspektywy lat stwierdzić, że dużo palił. Zawsze i wszędzie papieros był jego nieodłącznym rekwizytem. SZKODA.

Po wizycie w Warszawie w nielicznej delegacji Torunia na założycielski zjazd ROAD-u (Ruch Obywatelski Akcja Demokratyczna), rozgrzani, dalej uprawialiśmy domową i nie tylko politykę. Chcieliśmy reformować, mieliśmy recepty na wszystko, byliśmy jak pies spuszczonego z łańcucha, po długim okresie nieistnienia. To była nasza WOLNOŚĆ.

Już na pierwszej sesji nowo powołanej w wolnych wyborach Rady Miasta Torunia otrzymaliśmy za naszą aktywność brawa nowo wybranych radnych (w liczbie 50) pod przewodnictwem naszego kolegi Jana Adamiaka. Za chwilę wybrano Prezydenta Miasta. Został nim nasz kolejny kolega z wieszania transparentu na Dworze Artusa – dr Jerzy Wieczorek, dzisiaj Honorowy Obywatel Torunia. A potem, prawdopodobnie wskutek namowy Jana, zostałem w wyniku konkursu urzędnikiem. I tak przez 10 lat...

A Jan w 1991 roku został I sekretarzem Ambasady RP w Rydze (Łotwa–Inflanty). I na kolejne pięć lat nasze kontakty zostały zatrzymane, nie, mam w kalendarzu do Jana telefonu, także do Tallina (Estonia–Inflanty), gdzie był Charge d'affaires RP (1992–1994), jak również gdy był Konsulem Generalnym RP w Kaliningradzie (1994–1996). Gdy przyjeżdżał na urlop, opowieściom nie było końca. Jego spotkania z Ojcem Świętym Janem Paweł II, prezydentem Lechem Wałęsą i innymi dostojnikami państwowymi, także miejscowymi, były relacjonowane mi na bieżąco. „Masz przyjechać do mnie!” – powtarzał przez cały ten okres.

Aż doszło do odwiedzin u Jana w Kaliningradzie. Wymusił na mnie ten wyjazd mój zwierzchnik. Wyjazd był atrakcyjny z powodu uczestniczenie w 500-leciu Rosyjskiej Floty Bałtyckiej. Dzisiaj brzmi to jak bajka, kiedy patrzę na swoje zdjęcie na statku dowódcy całego morskiego pokazu w czapce lotnika jednego z wyższych oficerów. A to wszystko dlatego, że

Jana lubili wszędzie. Nawet Rosjanie, i to bardzo. Kiedy nocą oprowadzał mnie po Kaliningradzie pokazywał wszystko, co mogło mnie interesować, łącznie z budkami sprzedającymi „maskowską” na kieliszki. Długo musiałbym opisywać te rosyjskie jubileuszowe manewry, byliśmy z naszą 3 osobową delegacją, dzięki Janowi traktowani jako przedstawiciele Polski. Pozostały mi z tamtego wyjazdu zdjęcia. Kiedy wracaliśmy do kraju Jan obdarował nas „woluminami”, które wylądowały w moim mieszkaniu. Kiedy w 1996 roku wrócił – woluminy zostały zwrócone nadawcy. Byłem więc pocztą, która przysłużyła się do umacniania przyjaźni z Rosją! (Jak to dzisiaj, w 2014 roku brzmi?).

Po powrocie ze służby dyplomatycznej wrócił do pracy w PAN, planując habilitację. I wróciła nasza przerwana przyjaźń. Któregoś września 1996 roku wychodząc na pierwsze spotkanie do kościoła Św. Michała Archaniola, dotyczące powstania Koła Akcji Katolickiej, napotkanego Jana namówiłem, aby poszedł ze mną. Na zebraniu, w wyniku dokonywanych wyborów, przedstawiłem Jana i jego dokonania. Został w wyniku tajnego głosowania wybrany na przewodniczącego Koła. Po dwóch tygodniach był już przewodniczącym Zarządu Diecezjalnego Akcji Katolickiej. Kipiał od pomysłów, jego doświadczenie z pracy w dyplomacji stały się jego habilitacją. Był szanowany i ceniony.

Szereg inicjatyw, w których mu także pomagałem, jak np. w pierwszych Wieczorach Dialogu Społecznego, które odbywały się w Dworze Artusa. Nasza przyjaźń kwitła. „Skodą Felicją” obwoził mnie po Inowrocławiu, gdzie odwiedzał swoją mamę, po Kujawach, po ziemi chełmińskiej i samej Chełmży. Wszędzie obowiązkowo odwiedzaliśmy świątynie. I te historyczne i te nowe. W 1998 roku został mianowany Dyrektorem Urzędu Celnego w Toruniu. Zrezygnował z funkcji prezesa w Akcji Katolickiej. Oddał się z wielkim zapałem tworzeniu od podstaw oddziału Urzędu Celnego, jego organizacji, doborowi personelu i budowaniu atmosfery. Odwiedzałem go w tym Urzędzie. Zawsze zajęty, zabiegany, zdenerwowany różnymi wydarzeniami, które mu się nie podobały. Znam szczegóły różnych brzydkich wydarzeń. Ale był dumny z generalskiego munduru. Ciągle mi go pokazywał.

I marzył o swoim własnym domu. Miał obsesję utraty wynajmowanego mieszkania.

Wielokrotnie jeździłem z nim na ul. Lisią, przyglądając się, jak powstawał Jego DOM.



Tu będzie pokój Ani, tutaj Andrzeja, tutaj mój gabinet i biblioteka, tu będzie salon, a tu kuchnia. Będzie także pokój dla teściowej... W środku będzie podwórzec, na grilla, kwiaty itp. Jednym z ważniejszych spotkań, w których z inicjatywy Jana uczestniczyłem, były spotkania w „Leśniczance” w Górsku (typowej knajpce przy drodze do Bydgoszczy).

W gronie profesorów i dyplomatów przez kilka godzin prowadziliśmy dysputy dotyczące sytuacji politycznej w Polsce i polityki zagranicznej, ze szczególnym uwzględnieniem Polaków mieszkających na Wschodzie. Tych spotkań odbyło się ok. dziesięć.

Jednym z ważniejszych naszych wyjazdów, już w momencie, kiedy Jan poczuł się źle (miał kłopoty z wrzodami żołądka) pojechaliliśmy do Niepokalanowa z wizytą do Ojca Józefa, o którym mówiono, że pomaga w sposób znaczący chorym. Pobyt tam był ogromnym przeżyciem duchowym. Niestety, jak się okazało po roku, nie miał on wpływu na kondycję zdrowotną Jana.

Byłem w przeddzień jego śmierci u Jana z Jurkiem Wiczorkiem. Już miał ograniczony kontakt ze światem. Zmarł 29 kwietnia 2004 r. w wieku 58 lat. Straciłem Przyjaciela...

## Zjawisko – Ksiądz?

Kariera o. T. Rydzyka zbiegła się z moją w latach 1991–2000. I byłem świadkiem, mieszkając w Toruniu, jak powstawał „kościół toruński”. Jakie odczucia towarzyszyły narodzinom tego poważnego zjawiska w mieście, które założyli Krzyżacy przed blisko 800-laty. Toruński kościół i klasztor ojców Redemptorystów przy ul. św. Józefa stał się miejscem pielgrzymek radiosłuchaczy radia Maryja i Telewizji TRWAM. A zaczynało się tak zwyczajnie – 8 grudnia 1991 roku płynie z „Betlejemki” pierwsza audycja – słyszalna tylko w Toruniu i Bydgoszczy, gdzie stoi drugi maszt. „Betlejemka” – stary budynek położony w sadzie przy ul. Żwirki i Wigury, w niedogrzonej, prowizorycznie wyremontowanych pomieszczeniach rodzi się Radio Maryja. Do wysłuchania inauguracyjnego programu zakonnicy i wolontariusze zapraszają mieszkańców Torunia i Bydgoszczy za pomocą odręcznie wypisanych plakatów, które rozwieszali po kościołach. Sam widziałem taki afisz przed kościołem NMP. O. T. Rydzyk jest księdzem tradycyjnym, ale nie tradycjonalistą. On jest melanzem

piłsudczykowski-endecko-chadeckim w sosie społecznej nauki Kościoła, ale bez przesady z tą kościelnością.

Dla mnie największym fenomenem radia jest zaufanie, jakie potrafi wzbudzać w ludziach. Nikt nie jest w stanie znaleźć szczeliny na milimetr w tym specyficznym związku między nim a Rodziną Radia Maryja. Nie wystarczy mieć najlepszy sprzęt, trzeba mieć pomysł. I on ten pomysł znalazł i wcielił w życie. I za ten pomysł i przedsiębiorczość w poszukiwaniu sponsorów i umiejętności przekonywania słuchaczy do dobrowolnych datków można i trzeba ks. T. Rydzika podziwiać. Zwłaszcza w tych trudnych latach 90 w Polsce

Przyglądałem się działalności Redemptorysty z dużym zainteresowaniem. Ba, to nawet mi imponowało, mimo odmiennej mojej oceny na rzeczywistość. Kilkakrotnie słuchałem jego „rozmów niedokończonych” i dostawałem szału z powodu destrukcji tamtej rzeczywistości. Przez cały dzień akceptowałem potrzebę istnienia takiego radia dla chorych, starszych i niesprawnych słuchaczy. Spełniało te role Radio Maryja doskonale. Jednak wieczorem, uprawiało „politykę” dostawałem szału. Nacjonalizm przekraczał bariery dźwięku. A zapraszani goście, to dla mnie ekstrema pojęcia polskiego patriotyzmu, ukrywającego się pod płaszczykiem pozyskiwania słuchaczy dla jedynie słusznych idei. Wszelkie chwytły były dozwolone. Choć, trzeba przyznać, sympatie Redemptorysty ulegały zmianom i to dość często.

Dopatrzyłem się w tym postępowaniu koniunkturalizmu. I co dalej? A dalej to wybuch wulkanu, zwłaszcza inwestycyjnego. Rozbudowa „Betlejemki”, rewelacyjne urządzenia nadawcze, studio, stworzenie telewizji TRWAM, budowa siedziby Wyższej Szkoły Medialnej i ostatnio Kościoła pw. Maryi Gwiazdy Nowej Ewangelizacji i Świętego Jana Pawła II, konsekrowanego 18 maja 2016 roku, w rocznicę urodzin papieża Polaka Karola Wojtyły. Projektantem tego kościoła, o imponującej architekturze, jest dobry mój znajomy inż. Andrzej Ryczek, mieszkający w USA, a przez kilka lat naczelnik Wydziału Architektury UM w Toruniu. Standardowy dzień na antenie RM przedstawia się następująco:

– modlitwa na Anioł Pański – godz.6, następnie jutrznia i różaniec. Poranna msza transmitowana z kościoła św. Józefa w Toruniu, śpiewanie godzinek, poranna katecheza. W południe Anioł Pański, a o 13 „Aktualności dnia”. W godzinach popołudniowych modlitwy i aktualności radia watykańskiego. Wieczorem „Rozmowy niedokończone”, czyli kontakt

telefoniczny z radiosłuchaczami. O 21 Apel Jasnogórski a później program dla USA oraz powtórki.

Jak każdy menadżer wielkiej instytucji, do jakiej kwalifikuje się siedziba Radia, telewizja TRWAM, Dom Pielgrzyma, księgarnia, Wyższa Szkoła Kultury Społecznej i Medialnej i zbudowany Kościół ojciec Tadeusz musi używać wobec podwładnych – i wobec ludzi różnych narzędzi. Robi to zgodnie z intuicją prawdziwego dyrektora biznesmena. On wie, że jego głównym kapitałem jest zaufanie, jakie ma u ludzi. Ojciec dyrektor doskonale orientuje się w ilości i hojności darczyńców, ponieważ radio ma komputerową bazę danych setek tysięcy osób, które wpłaciły datki. Porządek musi być. I co dalej?...

„Noc z poniedziałku na wtorek. Na antenie Radia Maryja przez 1,5 godziny obrzucano zniewagami Bronisława Komorowskiego. Był nazywany „rosyjskim agentem pochodzenia ukraińskiego” i porównywany do Hitlera. Oliwy do ognia dolewał o. Tadeusz Rydzyk i prowadzący audycję ksiądz. Na koniec odmówiono prezydentowi prawa do przyjęcia komunii świętej...” Dla Jana Pawła II ważne było świadectwo i troska religijna o człowieka nasyconego miłosierdziem. To mieliśmy wnieść do stechnicyzowanej i racjonalnej Europy.

## Refleksja o toruńskiej kulturze ostatniej dekady XX w.

Jesteśmy w XXI wieku. I co? I nic. Wybacz, drogi czytelniku, ale niezupełnie nic. A może to nic jest symbolem tego, co nadchodzi. Z jednej strony to superkino: w TVN – „Big Brother”, w Polsacie – „Dwa światy”. Podglądamy, zachwycamy się, współczujemy, oburzamy i dzwoniemy... dzwoniemy...dzwoniemy, a złotówki wylatują nam z kieszeni. To tak, jak w tuwimowskiej strzelnicy mechanicznej. Co żywo, te kicz popkultury początku XXI wieku dobrze się sprzedają, ludzie kupują, głosują, namiętności wyzwalają. Muzyka techno i show w central Parku – Viva Club Rotation Party z udziałem największych sław muzyki techno. Rozrywka? Jest jak jest. A ja myślę, że gdybym wiedział wcześniej o wysokości nagród przyznanych sobie przez 6 członków zarządu miasta, tj. ok. 200 tys. złotych, to bym w połowie lat dziewięćdziesiątych nie kwestionował wysokości dotacji np. na rzecz festiwalu Camerimage. A ja, naiwny, myślałem wówczas,

że nie może być równo, że „PAL” ważniejszy od publikacji wierszyków poety amatora, a prawdziwa sztuka wybroni się sama.

Wertując tegoroczny (2001 r.) budżet miasta doszukałem się, że np. na wszystkie zadania w dziale turystyka przeznaczono kwotę 194 tys. zł. Podobnie wygląda sprawa finansowania zadań zleconych wszystkim toruńskim stowarzyszeniom kulturalnym, zbliżoną kwotę przeznaczono na dofinansowanie imprez artystycznych w mieście, organizowanych przez cały rok. Na organizację Festiwalu Książki przeznaczono mniej, niż wynosi jedna nagroda członka zarządu!

Czy to nie jest techno? A wszystko to w mieście, które znajduje się na światowej liście dziedzictwa kulturowego UNESCO. Może wyżej podane przykłady świadczą o niekompetencji i braku dobrej woli władz miasta? Oj, szerzy nam się amatorska twórczość.

Toruń urzekł mnie już w latach sześćdziesiątych. Ilekroć jechałem przez toruński most im. J. Piłsudskiego i zatrzymywałem wzrok na najpiękniejszej panoramie miasta w Polsce – twierdziłem, że będę tu mieszkał. I słyszałem za plecami rechot mojej rodziny.

Przecież to perła, bombonierka, oko ciesząca strzelistością gotyku, blaskiem w słońcu odbitym od czerwonych dachówek, no i ten skarb – Mikołaj Kopernik. To on dał temu miastu legitymacje wejścia do Europy, stał się komercyjnym hitem, z którego korzyści od wielu dziesięcioleci miasto czerpie, a będzie miało jeszcze większe profity. Sami nie wiecie, co posiadacie – to do mieszkańców naszego grodu i zespołu przygotowującego strategię rozwoju miasta. Co niektórym śni się ostatnio muzeum socjalizmu i komunizmu. A przecież Toruń, to nie Nowa Huta, czy Tychy.

Miałem zaszczyt i szczęście w ostatniej dekadzie XX wieku zarządzać toruńską kulturą (w magistracie). Cóż to była za dekada!

Początek trzeciej Rzeczypospolitej zbiegł się w Toruniu z bardzo pozytywnym stosunkiem do kultury i sztuki prezydenta Miasta dr. Jerzego Wieczorka i Zarządu (4–6 % na kulturę w corocznych budżetach w latach 1992–1996, obecnie ok. 2%), życzliwością i ogromnym zainteresowaniem mieszkańców. Także działaniami twórczymi i organizatorskimi takich postaci jak: Krystyna Meissner, Henryk Giza, Michał Wodniak, Zofia Karpińska, Elżbieta Szczypińska, Czesław Sieńko czy wreszcie Marek Żydowicz.

To oni nadali tej dekadzie charakter, mieli i mają swój udział w pozytywnym budowaniu *image* miasta.

To właśnie staraniem toruńskich naukowców wpisano Toruń na listę UNESCO. To wówczas nasze miasto stało się obok Krakowa, Warszawy czy Poznania jednym z głównych centrów sztuki w Polsce. Od lat bowiem Toruń hołubił teatr, był bogaty w zabytki i miał literackie tradycje. Teraz doszły nowe dziedziny sztuki, takie jak muzyka, która przeżywa swój znakomity okres, film z wyszukany, specyficznym festiwalem obrazu filmowego czy też w wyniku działań środowiska prawdziwy boom przeżywały sztuki plastyczne (powstały nowe prywatne galerie), konserwatorskie czy witrażownictwo.

Osiągnięcia w dziedzinie literatury to bezsprzecznie wysoki poziom „Przeglądu Artystyczno-Literackiego” (redaktor naczelny prof. Lech Witkowski), coroczny *Festiwal Książki* czy cykliczne imprezy *Toruńskiej Akademii Kultury* w Dworze Artusa, są dobitnym przykładem, że wraz z wolnością nie zapomnieliśmy o książce czy literaturze. Przypomnę, że w pierwszych latach dziewięćdziesiątych obawiano się, że nie będzie księgarni, bibliotek, domów kultury czy też amatorskiego ruchu artystycznego. Transformacja polityczna, odejście od sztabowego mecenatu państwa i „jedynie słusznej” polityki kulturalnej partii i ówczesnego rządu, nie stworzyły, co daje się zauważyć po latach, pustyni kulturalnej. To dzięki pasjonatom, ludziom oddanym kulturze i sztuce. A takich w Toruniu nigdy nie brakowało.

Dzięki inicjatywie i aktywności środowiska Toruń w połowie lat dziewięćdziesiątych stał się prawdziwym miastem festiwali, co wielokrotnie podkreślano nie tylko w Ministerstwie Kultury i Sztuki, lecz także w centralnych mediach. Liczne w mieście kontrowersje i dyskusje powodowały twórczy klimat zmian. Wypracowano nowe systemy organizacyjne, wspierania czy też tworzenia rzeczy nowych, które stawały się w krótkim czasie wydarzeniami. Kiedy mówiono o kryzysie klubów studenckich, toruński klub *Od Nowa* inicjował coraz to inne formy przeznaczone dla studentów i nie tylko. Od lat Toruń słynął ze znakomitych zespołów pop muzyki na wysokim poziomie. „Republika”, „Nocna Zmiana Bluesa”, „Kobranocka”. „Tortilla Flat” i wiele innych, w których poza takimi postaciami jak Ciechowski, czy Wierzcholski okrzepły talenty na miarę Mariusza Lubomskiego czy Bogdana Hołowni.

A obok nurtu muzyki jazzowej i piosenki autorskiej – pełna gama wybitnych polskich i (nie tylko) solistów instrumentalistów muzyki klasycznej w ofercie Dworu Artusa czy Toruńskiej Orkiestry Kameralnej.. A i sama TOK pod dyrekcją Marka Wakarecego stała się zupełnie inną niż

ta przed 10 laty. O odrestaurowanych wnętrzach i fasadzie Dworu Artusa nie muszą pisać, gdyż właśnie w latach dziewięćdziesiątych mieszkańcy osobiście mogli się o tym przekonać. Imponujące wnętrza – to określenie z ust goszczących luminarzy polskiej kultury padają bardzo często. Rodzime talenty muzyczne jak np. Julia Stetkiewicz, Dominika Eska czy Anna Maria Staśkiewicz są znakomitymi wizytówkami pedagogów Szkoły Muzycznej. Ciekawe festiwale muzyczne: „Probaltica”, „Muzyka i architektura”, „Festiwal Muzyki Organowej”, czy „Blues Meeting” uzupełniają kalendarz wydarzeń w skali ogólnopolskiej i nie tylko. Nazwiska W. Wiłkomirskiej, J. Olejniczka, V. Brodskiego stały się dla toruńskich melomanów codziennością, a wizyty „Sinfonii Varsovii”, „Amadeusa” czy Maestro Krzysztofa Pendereckiego z batutą w katedrze św. św. Janów, były bezsprzecznie wielkim świętem miasta.

A teatr? W ostatniej dekadzie XX wieku właśnie Toruń stał się najciekawszym międzynarodowym centrum Melpomeny w Polsce. Za sprawą Krystyny Meisner i „Kontakt” był to festiwal największy i najciekawszy w Europie Wschodniej. Lansowane wówczas w mediach hasło „Toruń polskim Awinion” nie było określeniem na wyrost. Był jeszcze Festiwal Teatru Jednego Aktora, w Od Nowie rodziła się „Klamra”, „Pobocza teatru” dla ciekawych przedstawień nieprofesjonalnych, Międzynarodowe Spotkania Teatrów Lalkowych, Festiwal Teatrów Ulicznych, czy istniejące od lat i odnoszące sukcesy międzynarodowe „Studio P” Lucyny Sowińskiej. Jak na 200 tys. miasto, ilość festiwali pozwala śledzić w Toruniu to, co dzieje się w Polsce i Europie.

O powodzeniu i kontrowersji z okazji kolejnych edycji „Camerimage” napisano tak dużo, że teraz wypada czekać, kiedy po Łodzi i Bydgoszczy ten nasz festiwal wróci do... Torunia.

Chyba tylko Kraków mógłby konkurować z Toruniem, jeśli chodzi o imprezy i spotkania popularyzujące literaturę. Nie tylko coroczna Nagroda Literacka Miast Partnerskich im. S.B. Lindego, nie tylko Konkurs Poetycki im. Zb. Herberta, nie tylko „PAL”, Festiwal Książki, lecz także goszczący w naszym mieście znakomici poeci i prozaicy, jak np. Cz. Miłośz, T. Różewicz, W. Myśliwski. H. Krall i inni.

Należy także wspomnieć o szerokiej aktywności Towarzystwa Miłośników Torunia, wydającym od lat Roczniki Toruńskie i Toruński Słownik Biograficzny pod red. Prof. K. Mikulskiego.



Odnowiony Teatr „Baj Pomorski” w Toruniu

Działalność Muzeum Okręgowego to jedna najciekawszych instytucji tego typu w Polsce. Świadczą o tym liczne nagrody w ogólnopolskich konkursach.

Jest w Toruniu ogromna rzesza ludzi bezpośrednio zainteresowanych tym, aby nasze miasto szczyliło się mianem ważnego ośrodka kultury i sztuki. Mam nadzieję, że dla Torunia nadchodzi czas dalszego rozwoju legitymizującego jego rolę kulturotwórczą.

## Legenda skrzypiec



Już w latach pięćdziesiątych XX wieku usłyszałem pierwszy raz to nazwisko. Nazwisko zapierało dech w piersi – Wiłkomirska. Po kilku latach wiedziałem, że ma na imię Wanda i odnosi sukcesy na świecie. Z Orkiestrą Symfoniczną Filharmonii Narodowej koncertowała na wszystkich kontynentach. Zasłużony aplauz publiczności w USA, Brazylii, Australii, Pekinie, Tokio czy Londynie stał się wówczas dumą dla polskich melomanów. Nie wiedziałem wówczas, czyją była żoną? Na którejś z Kronik Filmowych pokazano ją – damę polskiej wiolinistyki z ogromnym naręczem kwiatów, na scenie w Nowym Jorku. Ja też byłem z jej sukcesów dumny. Wspaniała Polka! Potem nastąpiła o Niej cisza. Nie wiedziałem, że rozpad jej małżeństwa z wtedy już z premierem M. F. Rakowskim stał się powodem tej ciszy. W radiu „Wolna Europa” usłyszałem, że koncertuje dalej w świecie. I odnosi sukcesy.

I nagle... Po 1989 roku – zmianie politycznej w Polsce i nie tylko, okazało się, że mam zdolną córkę Anię. Tak się złożyło, że właśnie rok 1989 był pierwszym rokiem kontaktu Ani ze skrzypcami. Już w pierwszej klasie ówczesny jej nauczyciel pan Tomek Kamiński oświadczył, że Ania ma talent i należy tego nie zaprzepaścić. Kontynuowała zatem naukę w szkole



muzycznej. W drugiej klasie nauczycielką Ani została Ukrainka prof. Gusięwa. W trzeciej i czwartej klasie – Ukrainka Natalia Jaroszenko. Od piątej klasy edukacją muzyczną Ani zajął się Ukrainiec Jefim Stinerman, który uczył Anię przez kolejne trzy lata. I właśnie prof. J. Stinerman namówił nas do pojechania z Anią na kurs mistrzowski prof. W. Wiłkomirskiej do Zakopanego.

Ania wówczas miała 13 lat. I tak się zaczęła przygoda Ani z panią profesorem. Po kilku kursach wakacyjnych w Zakopanem, kolejne odbywały się w Radziejowicach i Jadwisinie pod Warszawą. Do dzisiaj, tj do roku 2008, już po skończeniu studiów w Akademii Muzycznej w Poznaniu, trwa proces kształcenia Ani przez panią profesor.

Jej opinii o Ani, z okazji 75 rocznicy Urodzin wspólne granie koncertu w warszawskim kościele na Ochocie, gdzie pani profesor była chrzczona, są trwałym elementem obustronnych sympatii. I temat pracy magisterskiej Ani: „Wanda Wiłkomirska – Artysta i Pedagog” oceniona na b.d. To tylko fragmenty kontaktu Wielkiej Gwiazdy Światowej wiolinistyki z moją córką.

Przy okazji edukacji Ani tak ja, jak również moja żona, mieliśmy bardzo często okazję przebywania w towarzystwie pani Wiłkomirskiej. Na kolejnych kursach w godzinach wieczorowych spotykaliśmy się, a to na lampce wina w zakopiańskiej karczmie pod Krokwią, a to w bufecie rządowego ośrodka wypoczynkowego w Jadwisinie. Mogliśmy też zaprosić dwukrotnie panią Wandę na koncerty (recitale) do toruńskiego Dworu Artusa. Pozostały ślady w postaci fotografii, autografu złożonego na specjalnej tablicy, czy opinii wpisanej do Kroniki Dworu: „Tu naprawdę chce się grać!” – 13.09.1997 r. Nie mogę pominąć pewnego wydarzenia, które miałem szczęście przeżyć w bezpośrednim kontakcie z panią profesorem. Otóż w roku 2003 pojechałem do Jadwisina na zakończenie kursu po córkę. Tradycją był wieczorowy koncert, ale też tradycyjnie przywoziliśmy z żoną toruńskie pierniki. Oczywiście, był to prezent dla pani Wandy, którym się dzieliła z uczestnikami kursu. Kiedy stałem w hollu ośrodka z torbą reklamowa wypełnioną piernikami, nagle z sali prób wyszła Mistrzyni. Padłem przed Wielką Skrzypaczką na kolana, chcąc wręczyć jej toruńskie słodkości i wyrazić do niej szacunek, a tu nagle...Pani Wanda klęczy przede mną trzymając w prawej ręce skrzypce i smyczek. Oniemiałem z wrażenia. Nie będę opisywał zdumienia mojej żony, córki i kilku jeszcze osób. Tak, to prawda, Wielka Dama Polskiej i Światowej Wiolinistyki klęczała przede mną. Chyba mi się to jednak śniło. Ale świadkowie twierdzą, że to prawda. Taka to już jest ta Legenda Skrzypiec.

„Życie Warszawy” z 12.01.2009 r. doniosło:

### STO LAT NA STO SKRZYPIEC – KONCERT

Były listy gratulacyjne i życzenia dla obchodzącej wczoraj 80 urodziny Wandy Wiłkomirskiej, a gospodarz wieczoru w Filharmonii Narodowej – dyrektor Antoni Wit – dodał parę anegdot. Jubilatka prosiła, by uroczystość nie miała wyłącznie podniosłego charakteru.

– Jestem szczęśliwa, że dziś, po tylu wzruszeniach, nie muszę grać – powiedziała jubilatka.

Muzyki jednak nie zabrakło. Jubilatka poprosiła o nią swoich przyjaciół i estradowych partnerów. Wielu widzów, którzy tłumnie wypełnili salę Filharmonii Narodowej, pamięta występy znakomitej skrzypaczki. Zapewne nieprędko pojawi się ktoś, kto oczaruje grą, jak ona. Najciekawiej zaprezentowało się młode pokolenie. Skrzypaczka Anna Maria Staśkiewicz, wiolonczelista Rafał Kwiatkowski i pianista Oskar Jezior wykonali koncert potrójny Beethovena z pasją i wyczuciem stylu, a bez rutyny, która cechowała występy – także uczestniczących w jubileuszu – przedstawicieli starszego pokolenia.

Na koniec kilkudziesięciu uczniów Wandy Wiłkomirskiej wraz z orkiestra Filharmonii Narodowej zagrało swej profesorce „Sto lat”. To była największa niespodzianka dla jubilatki.

Jacek Marczyński

## Wyścig z czasem

*Rozmowa z Michałem E. Staśkiewiczem – pomysłodawcą i dyrektorem Międzynarodowego Festiwalu Gwiazd „FORTE piano” organizowanego w m-cu października i listopadzie 2008 i 2009 r. w Centrum Kultury Dwór Artusa w Toruniu.*

*Proszę powiedzieć – skąd pomysł na ten Festiwal, który od dwóch lat cieszy się dużym zainteresowaniem nie tylko mieszkańców naszego miasta?*

Ten pomysł dojrzywał już w latach 80 ub. wieku, kiedy zorganizowałem w Toruniu Festiwal „MULIMARET”. To wówczas, w dość smutnych latach, pracując jako kierownik artystyczny MDK „Centrum” w maju

(1986–1989) zorganizowałem interdyscyplinarną imprezę: na ulicach happeningi z clownami, meeting poetycki pod Pomnikiem Kopernika, konkurs dla piosenkarzy „Uwaga... Start!”, spektakle Kabaretu „Fo Pa” czy, trwający do dzisiaj, konkurs poetycki „O liść konwalii” z portretu Kopernika (dzisiaj nazwany im. Zb. Herberta). I kiedy zaistniała akcja przygotowująca Toruń do ubiegania się o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury chciałem mieć także swój udział. Najpierw Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy – Toruń 2007, a w następnym roku – właśnie Międzynarodowy Festiwal Gwiazd „FORTE piano” z myślą o wykorzystaniu wspaniałej Wielkiej Sali Dworu Artusa. Ta sala, to jedno z najciekawszych miejsc Torunia, daje swoisty klimat, mimo wystroju, jest „ciepła” dla wykonawców, absolutnie nadaje się do muzyki kameralnej i tego typu spotkań, jakie mają miejsce w „FORTE piano”. Zdaniem wielu artystów występujących w Dworze Artusa, to jedna z najciekawszych kameralnych sal koncertowych w Polsce.

*A co się wydarzyło później? Zmiany ustrojowe miały jakkolwiek wpływ na Pana działania?*

Ten okres wyzwolił we mnie nową energię. Pierwsza lokalna toruńska telewizja, to „Studio V” Komitetu Obywatelskiego. Aż trudno uwierzyć, że wyemitowaliśmy z zespołem 6 audycji godzinnych z... nadajnika wojsk sowieckich. To legenda, o której mówili i pisali tak w Radiu Wolna Europa, w Głosie Ameryki, jak również później na łamach „Nie”, organu doszukującego się powiązań Studia V z Moskwą. Dopiero interwencja gł. dowódcy wojsk radzieckich w Polsce gen. Dobrynina przerwała ten niecodzienny epizod. Mam nagrania tamtych audycji i są one dokumentem tamtych czasów. Ta historia liczy już 20 lat! Moja przygoda z toruńską telewizją trwała jeszcze przez rok i wyemitowaliśmy 50 audycji przekazywanych w nowopowstałych telewizjach kablowych, działających przy spółdzielniach mieszkaniowych.

*A potem został pan urzędnikiem, a właściwie naczelnikiem wydziału kultury, turystyki i sportu Urzędu Miasta Torunia. Pamiętam rzucone przez pana hasło: Toruń polskim Avinione.*

Urzędnikiem to ja nigdy nie byłem. W latach 1990–2000 miałem tylko bezpośredni wpływ na szereg dokonań, które w tych latach miały miejsce.

Dalej starałem się być *a n i m a t o r e m*, bo ten zawód uprawiam już od 50 lat! Miałem to szczęście, że moi zwierzchnicy mieli do mnie zaufanie. Kiedy się ono skończyło, po 10 latach, odszedłem na własną prośbę z powodu stanu zdrowia. W tym okresie byłem m.in. pomysłodawcą iluminacji panoramy i zabytków toruńskich, odrestaurowania budynku Dworu Artusa kosztem 50 mln zł w rekordowym czasie 2 lat. Od momentu otwarcia postulowałem powołanie centrum kultury, przygotowałem schemat organizacji, który funkcjonuje do dzisiaj, a także Statut. Uważam, że ta miejska instytucja kultury należy do jednej z najlepszych w Polsce, a jej zasady finansowania mogą być przykładem rozwiązań na chwilę obecną (zgodnie z logiką propozycji prof. Hausnera). A funkcjonuje już od 15 lat. Może nie każdemu to się podobać, ale Dwór Artusa jako miejska instytucja kultury jest też trochę „moim dzieckiem” I dlatego, mimo wielu okoliczności i niekorzystnych dla mnie przypadków – zwróciłem się do Dworu Artusa o organizację Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego w 2007 r. oraz dwóch edycji Festiwalu „FORTE piano”. Wróciłem po 6 latach pobytu na emeryturze. W znaczący sposób pomogło mi w powrocie zaufanie Prezydenta Miasta i osób odpowiedzialnych za toruńską kulturę. Bez Ich poparcia wspomniane imprezy nie mogłyby zaistnieć.

*Chciałabym zapytać, czy takie „powroty” w określonym wieku są możliwe? Jak się czuje senior w nowej rzeczywistości?*

Mój przypadek świadczy o tym, że seniorzy mogą się też przydać. Zwłaszcza, kiedy władze stawiają sobie za cel tytuł Europejskiej Stolicy Kultury. To wspaniale, jeśli można dołożyć cząsteczkę swojej inwencji do tak ambitnego zadania. A poza tym, co nie jest tajemnicą, ogromną rolę motywacyjną odegrała moja córka – Ania. To ona pokazała mi, że warto jeszcze popracować. To ona zaczynała od Bacha a dzisiaj w ciągu kilku tygodni grała koncert Czajkowskiego z Wielkim M. Vengerovem w Gdańsku, koncert Karłowicza w Tiranie, recital w Tbilisi czy koncert skrzypcowy Bacha z Orkiestrą PR „Amadeus” pod dyr. A. Duczmal. Wystarczy?... Ale jest młoda i potrafi pracować. To jest misja – Misja Artysty. I to ona mnie namówiła do owego „powrotu”. A sekundowała jej w tym moja żona i córka Julia, bo cała nasza rodzina jest obecna w kulturze. I to one, moje kobiety, pomagają mi w tych działaniach. Gdyby nie one, nie byłoby „powrotu”. To działanie pozwala mi na pewien komfort. Ja już nic nie muszę, ale mogę co nieco...

*Jest Pan Honorowym Obywatelem Czadcy – słowackiego miasta partnerskiego Torunia?*

Z miastami partnerskimi, takimi jak Getynga czy Czadca mam kontakty od wielu lat, mam tam swoich Przyjaciół. Dostałem zaszczytu otrzymania tytułu Honorowego Obywatela Czadcy z okazji X Rocznicy podpisania umowy partnerskiej. Jestem z tego tytułu bardzo dumny. Mam ogromnie dużo wspaniałych wrażeń związanych ze Słowacją i Czadką. Często mnie odwiedzają. Ale pragnę wspomnieć, że także z Getyngą łączą mnie bardzo emocjonalne wspomnienia i oczywiście Nagroda Literacka Miast Partnerskich im. S.B. Lindego, której jestem pomysłodawcą sprzed prawie 20 lat. Wspomniane „ślady” są dowodem mojej obecności, mimo upływu wielu lat. A jeśli dodam nazwiska R. Caspariego, N. Bensch, U. Borchard czy J. Sterra, to wymieniam przyjaciół Torunia w Getyndze, naszych ambasadorów a moich przyjaciół. I stąd chodzi mi po głowie METRO ART PART czyli Metropolitalny Festiwal Artystyczny Miast Partnerskich Bydgoszczy i Torunia. Może uda się ten festiwal zorganizować?...

*Mamy za sobą Międzynarodowy Festiwal Gwiazd „FORTE piano” Toruń 2009 – jak pan powiedział „Zaczęło się od Bacha, a skończyło na kwartecie Wilanów. A więc jednak klasyka?*

Tegoroczna edycja „FORTE piano” to worek z prezentami dla różnych odbiorców o wysublimowanym smaku. Dużo jazzu, wielcy aktorzy teatru i filmu, nietuzinkowe piosenki. GWIAZDY!!! Zaplanowany prezent dla wspaniałej toruńskiej publiczności! Dziękuję! Byliście Państwo WSPANIALI. Wypełniona po brzegi Wielka Sala to święto, święto SZTUKI. A goszczące w Dworze Artusa Gwiazdy były oczarowane taką publicznością. Nasza toruńska publiczność Festiwalu FORTE piano, to już Europejska Stolica Kultury. Sądzę, że Festiwal sprostał tej wysoko zawieszanej poprzeczce, a i w przyszłym roku sprawi widzom także dużo okazji do emocji w kontakcie z wybitnymi artystami sztuk wszelakich.

Zacytował pan we wstępie do Programu Festiwalowego C.G. Junga, że „Rola artysty jest przywracanie równowagi czasem, w jakich żyje”. A pan, kim pan jest?

Od 50 lat jestem animatorem kultury. Od czasu stworzenia przeze mnie zespołu BIG BEAT COMBO (V zespół Festiwalu Młodych Talentów w Szczecinie), poprzez Teatr Publicystyczny w moim rodzinnym Piotrkowie Trybunalskim, Teatr „Forum” na Śląsku, aż po wspaniałe, pełne ekspresji 25 lat w Toruniu. To miasto wybraliśmy z rodziną, jest ono miastem moich córek, jest stolicą naszych uczuć, przeszłości i przyszłości. Toruń – miasto jak z bajki.

Dziękuję panu za rozmowę. A może ma pan jakieś życzenie?

Chciałbym w imieniu swoim i rodziny podziękować lekarzom i pielęgniarkom z Kliniki Nefrologicznej WSZ w Toruniu za umożliwienie mi łączenia roli pacjenta z rolą animatora kultury i sztuki. Oby jak najdłużej...

# Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy – Toruń 2007

MIĘDZYNARODOWY KONKURS SKRZYPCOWY 11-19 LISTOPADA

Mizuho ARAI  
Japonia

Nathanael BARTLEY  
Kanada

Ksenia BELTIUKOVA  
Białoruś

Luis ESNAOLA  
Hiszpania

Magdalena FILIPCZAK  
Polska

Agnieszka GUZ  
Polska

Sandra HANISZEWSKA  
Polska

Viktorija KAUNZNER  
Niemcy

Erin KEEFE  
Stany Zjednoczone

Anastasia KOZLOVA DE HAAN  
Holandia

Joanna KONARZ  
Polska

Yoo-ji KIM  
Korea Południowa

Hongyuan LUO  
Chiny

Ostap MANKO  
Ukraina

Katarzyna MAZUR  
Polska

Kumiko NAGAI  
Japonia

Asa NAKAJIMA  
Japonia

Tomasz NEUGEBAUER  
Polska

Marta OYRZANOWSKA  
Polska

Marta PAWŁOWSKA  
Polska

Aylen PRITCHIN  
Rosja

Artiom SHISHKOV  
Białoruś

Maria SŁAWEK  
Polska

Malwina SOSNOWSKI  
Polska-Szwajcaria

Maciej STRZELECKI  
Polska

Aleksandra TOMASIŃSKA  
Polska

Karol Szymanowski in memoriam.

Centrum Kultury Dwór Artusa

## INTERNATIONAL VIOLIN COMPETITION 11-19 NOVEMBER

Toruń - Europejską Stolicą Kultury. Kandydat do tytułu w roku 2016.

Zrealizowano ze środków

Ministra  
Kultury  
i Dziedzictwa  
Narodowego

Prezydenta i Miasta Torunia

Marszałka Województwa  
Kujawsko-Pomorskiego

Współorganizator

Patronat medialny



Sponsorzy



Komisat Honorowy  
Republiki Litewskiej w Toruniu



Kiedy pojechałem z córką na kolejne spotkanie z Wielką Damą polskiej violinistki, wirtuozem skrzypiec, przeuroczą prof. Wandą Wilkomirską, czułem pewien niedosyt. Przeżyłem już 60 lat i uświadomiłem sobie, że muzyka była obecna w moim życiu, ale nie tak. Nie byłem w środku, byłem biernym odbiorcą. A przecież ile pracy, talentu i wyrzeczeń musi ponieść artysta muzyk. Zacząłem czuć potrzebę znalezienia się bliżej tej, jakże wspaniałej sztuki. O nauce czynnego uprawiania muzyki nie może być mowy. Wystarczy, że byłem świadkiem kolejnych etapów dojrzewania w muzyce mojej córki. Ta potrzeba wejścia w muzykę z czasem się pogłębiała. Ktoś zapyta: a po co ci, stary ramolu, nowe doświadczenie? Przecież miałeś w życiu wystarczającą ilość doznań artystycznych, kreatywnych – satysfakcjonujących innych i samego siebie. A jednak... Ilekroć bywałem na koncertach, konkursach czy festiwalach, tym bardziej przekonywałem się, że jeszcze mogę coś zrobić dla MUZYKI. Także dla siebie, aby zaspościć tę ochotę uczestniczenia w bezpośrednim obcowaniu z Wielką Damą Sztuki. Kiedy w Łodzi przyglądałem się międzynarodowemu konkursowi muzycznemu im. K. Szymanowskiego, którego laureatką została moja córka, podjąłem wezwanie. Podejmę próbę stworzenia konkursu na miarę łódzkiego. Kolejny Konkurs im. H. Wieniawskiego w 2001 r. obserwowałem z daleka, słuchałem radiowych relacji i transmisji telewizyjnych. Po tym konkursie wiedziałem, że mogę podjąć się takiego wyczynu. Poprzez internet poznałem szereg regulaminów różnych konkursów muzycznych. Poddawałem je wszystkie szczegółowej analizie. Wyszukiwałem w recenzjach i omówieniach różnych konkursów mocnych i słabych stron.

Ideę miałem ustaloną: ten konkurs na pewno będzie skrzypcowym i musi być obiektywny. Skrzypek, który przystępuje do ważnego konkursu musi pracować nad repertuarem określonym w regulaminie minimum rok. I ciężko pracować po 6–8 godzin dziennie. Jest to ogromny wysiłek, co obserwowałem codziennie. Ileż pracy, wysiłku trzeba włożyć, aby móc stanąć przed konkursowym jury! Ale zorganizowanie takiego konkursu wymaga nie tylko dobrej woli i sprawności organizacyjnej. Potrzeba dużo pieniędzy, właściwego klimatu społecznego i pomocy wielu instytucji i ludzi, którzy mają w swoich rękach decyzje. Jak ich przekonać, aby mi zaufali?

Już od 2002 roku myśli moje sprowadzały się do szukania okoliczności dla tego przedsięwzięcia. Miejsce miałem pod bokiem. W moim ukochanym Dworze Artusa w Toruniu. To miejsce wymarzone dla tego typu imprezy.



Podzieliłem się swoimi przemyśleniami z dyrektorem tej instytucji, tj. Centrum Kultury Panem Zbigniewem Derkowskim. Pozyskałem zwolennika do tej idei bardzo szybko. A więc było nas już dwóch. Dużo rozmawialiśmy na ten temat, który ciągle był w sferze wirtualnej.

I nagle w 2006 roku stało się coś, co można nazwać cudem. Hasło, aby moje miasto stało się w 2016 roku Stolicą Europejskiej Kultury otworzyło nie furtkę, a bramę do realizacji naszego przedsięwzięcia – międzynarodowego konkursu skrzypcowego. Nie mogłem spać po nocach. Moje przemyślenia zostały spotęgowane odbywającym się w Poznaniu Konkursem Wieniawskiego, w którym brała udział moja córka. Śledziłem ten konkurs szczegółowo, nie tylko z powodu Ani. Jej sukces spotęgował moją energię, poprawił klimat do urealnienia marzenia. Ja, ciężko chory, stały pacjent szpitala – nagle odzyskałem wigor i wiarę, że jest możliwa realizacja tego projektu.

W dużym stopniu jest to zasługa prezydenta Torunia, który pomysł "kupił".

Dotyczy to także Viceprezydenta resortowego Pana Zbigniewa Fiderewicza. Kości zostały rzucone! Ustaliliśmy termin – 11–19.XI.2007 r. Regulamin konkursu znalazł się w internecie w listopadzie 2006. Rozpoczęły się starania o pieniądze – ok.400 tysięcy złotych. Te środki finansowe, to minimum, a przecież bardzo duże. Nie ma potrzeby opisywania szczegółów dalszych działań. Do konkursu zgłosiło się 43 uczestników z całego świata. Nawet z Republiki Południowej Afryki. Ten konkurs nie był dla dobrze zapowiadających się skrzypków. W jego założeniu poprzeczka umiejętności została zawieszona wysoko. Obowiązkowy repertuar pozwalał na uczestnictwo tylko bardzo dobrym skrzypkom. Dużą rolę przy ustalaniu repertuaru odegrał prof. Marcin Baranowski, który został dyrektorem artystycznym. To on decydował, po przesłuchaniu nadesłanych płyt o tym, kto ostatecznie będzie uczestniczył w I etapie. Został też przewodniczącym jury. Ciągle mówiliśmy o tym, że ten konkurs ma być obiektywny, sprawiedliwy. Szukamy osobowości, która będzie po jego zakończeniu naszym ambasadorem, ambasadorem naszego miasta w świecie.

Wysokość nagród w konkursie odpowiadała przeciętnym różnych konkursów. Mieściliśmy się w środku konkursów europejskich. Przecież to PIERWSZY – nikt jeszcze w tej kategorii o Toruniu nie słyszał. Sen z powiek spędzała mi sprawa właściwego Jury. To nie jest łatwe zadanie dla debiutujących organizatorów. Pomoc prof. M. Baranowskiego i Ani – zdała egzamin.

Zespół jurorów składał się z wybitnych osobowości. Oni mieli gwarantować obiektywizm. Ostatnie trzy noce przed rozpoczęciem spędziłem z myślami: czy wszyscy przyjadą? Przecież wśród uczestników byli skrzypkowie z 12 państw, z Japonią, Kanadą i USA na czele. Przyjechali wszyscy, którzy potwierdzili swój udział.

Przesłuchania trwały 7 dni. Był bardzo wysoki poziom wykonawców – to zdanie nie tylko jurorów, krytyków ale i samych uczestników. Atmosfera była wspianała. Nie zdarzało się, wzorem innych konkursów, polemizować z jurorami, poza wyjątkami, o krzywdzie czy niesłusznym werdykcie kolejnych etapów. Dużą rolę w konkursie odgrywały nagrody pozaregulaminowe. Było ich, w postaci koncertów w najbliższym sezonie, 12. Filharmonie polskie, Towarzystwo Muzyczne H. Wieniawskiego, miasta parterskie Cadca i Getynga, zaprzyjaźniona Pampeluna – to atrakcyjne nagrody dla skrzypków.

Z dumą odbierała nagrodę Ministra Kultury RP oraz Astrolabium M.Kopernika w srebrze – laureatka I miejsca – Amerykanka Erin Keefe. Ta skrzypaczka ma bardzo duży dorobek, sukcesy na całym świecie, ale będąc wzruszoną, powiedziała po koncercie laureatów, że dla niej ten konkurs to wielkie osiągnięcie ze względu na wymogi regulaminowe, wspinała publiczność i mocnych rywali. Pozostały po konkursie ślady w postaci rejestracji poszczególnych etapów, zdjęć, wrażeń u ponad 6000 słuchaczy, recenzji krajowych i zagranicznych oraz płyty DVD z koncertu laureatów.

Były także pewne mankamenty. Zbyt mało miejsca w mediach krajowych, poza Programem I i II Polskiego Radia, TVP 3 i Kultura, TV Trwam, poświęcono naszej imprezie. Ale to wyłącznie sprawa budżetu. Koszty naszego konkursu, to 20% innych tego typu imprez, tak w Polsce, jak i zagranicą. Koniecznością jest zatem znalezienie sponsora strategicznego, który za trzy lata pomoże udźwignąć ten wydatek Toruniowi.

Na łamach „Twojej Muzy” ukazał się obszerny materiał dotyczący przebiegu Konkursu.

Redaktor Adam Rozlach m.in. napisał: „Konkurs odbywał się w samym sercu Torunia, w zachwycającym Dworze Artusa, który okazał się niezwykle przyjazny zarówno dla grających, jak i słuchaczy. Organizatorzy robili, co mogli, aby wszyscy czuli się dobrze. Szczególnie zadbano o uczestników. Plan prób, organizacja przebiegu konkursu i gościnność gospodarzy nie budziły zastrzeżeń, były przyjmowane z uznaniem (...). Od samego początku poza wszelką konkurencją była wspianała artystka ze Stanów Zjednoczonych, absolwentka Instytutu Curtisa oraz Juilliard

School, 27 letnia Erin Keefe. Nad wszystkimi górowała jakością artystycznego zamknięcia swoich wykonań, a także wielką dojrzałością. Artystka ta gra, koncertuje, jest laureatką wielu konkursów, głównie drugich nagród. Tu doczekała się pierwszej (...). Podczas recitalu Keefe pomyślałem, że gdyby ktoś taki pojawił się na konkursie Wieniawskiego – zwycięstwo miałby chyba murowane.

Już za chwilę ogłosimy kolejną edycję Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego – Toruń 2010. Odbędzie się on od 21 XI–1 XII 2010 roku.

Naszym celem jest, aby był ciekawszy, zgromadził równie wspaniałych skrzypków. I aby był o b i e k t y w n y. Zapraszamy do toruńskiego Dworu Artusa na popisy laureatów w sezonie 2008–2009 w ramach Festiwalu Gwiazd „FORTE-piano”.

#### Jury I Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego – Toruń 2007:

Profesor Marcin Baranowski – Przewodniczący Jury

Profesor Cihat Askin (Turcja)

Profesor Petru Munteanu (Rumunia)

Profesor Tomotada Soh (Japonia)

Dima Tkachenko (Ukraina)

#### Laureaci I Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego – Toruń 2007:

Grande Prix i I Nagroda – Erin KEEFE (USA)

II Nagroda – Artiom Shiskov (Białoruś)

III Nagroda – Malwina Sosnowski (Szwajcaria)

## 2. Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy – Toruń 2010

Cały ten Konkurs został zdominowany przez wielką skrzypaczkę Wandę Wilkomirską, która pełniła w tym Konkursie rolę Przewodniczącej Jury. Mimo zaprzestania już koncertowania, przyjęła zaproszenie mówiąc, że do Torunia ma szczególny sentyment jako, że przed wielu laty pamięta swój koncert (recital) w I LO, ostatnie koncerty w Dworze Artusa i... Anię, która jest jej ulubioną studentką. Panią Wandę można było spotkać wszędzie, a to rozmawiała ze skrzypaczką, która właśnie zeszła ze sceny, a to z akompaniatorem, który trochę się pogubił w Mozarcie, a to udzielała wywiadu dla Radia PiK, a to dyskutowała z pozostałymi członkami jury.

**Jury 2 Konkursu Skrzypcowego:**

Prof. Wanda Wiłkomirska – Przewodnicząca

Prof. Aleksander Andrejew (Rosja)

Prof. Christoph Mathias Mueller (Niemcy)

Prof. Tomotada Soh (Japonia)

Prof. Jan Stanienda (Polska)

Dima Tkachenko (Ukraina)

List otwarty Przewodniczącego Komitetu Honorowego, Zbigniewa Fiderewicza do prof. Wandy Wiłkomirskiej – Przewodniczącej Jury.

Wielce Szanowna Pani Profesor!

Kolejne spotkanie z Panią Profesor w Grodzie Kopernika, mieście z tradycją sięgającą 777 lat, to wielki zaszczyt i powód do dumy dla mnie i wszystkich mieszkańców Torunia. Przyczynkiem wizyty w naszym mieście Damy Polskiej Wiolinistyki jest druga edycja Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego – Toruń 2010 z pani udziałem jako Przewodniczącej Jury.

Życzyłbym sobie i naszemu miastu, aby toruński Konkurs mógł zawsze szczyć się Pani obecnością, a blask sławy najwybitniejszej polskiej skrzypaczki stał się nie tylko wizytówką Dworu Artusa, ale przede wszystkim inspiracją dla młodych adeptów sztuki wiolinistycznej.

Skrzypce to instrument z duszą. Kto ją pojął, posiadał władzę nad widownią. Kto ją zgłębił, przyćmił wszystkie myśli i dał się uwieść jej słodkim urokom.

Niech podczas tegorocznej edycji naszego Konkursu Toruń, miasto pod opieką Anioła, zabrmi tym anielskim tonem skrzypiec w wykonaniu młodych wirtuozów – wirtuozów całego świata!

Przewodniczący Komitetu Honorowego

Zbigniew Fiderewicz

Zastępca Prezydenta Miasta Torunia

**Laureaci 2 Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego – Toruń 2010**

Yoon Yang (Korea Południowa) – Grand Prix i I Nagroda

Maria Włoszczowska (Polska) – II Nagroda

Clemence de Forceville (Francja) – III Nagroda

W dotychczasowych dwóch edycjach uczestniczyło 55 skrzypków z 14 krajów.

## I. Międzynarodowy Festiwal Skrzypiec – Toruń 2013

Międzynarodowy Festiwal Skrzypiec – Toruń 2013 nie mógł nie być za-inaugurowany w dniu Święta Niepodległości 11 listopada. Nie mógł inaczej się rozpoczynać, jak od J. S. Bacha – Koncertem Skrzypcowym a-moll, BWV 1041. I nie mogło być inaczej, kiedy na scenę w Dworze Artusa weszła solistka Anna Maria Staśkiewicz i na tle Sinfonietty Cracovii pod dyktando Roberta Kabary rozpoczęła ten jedyny koncert mistrza baroku zachowany w oryginalnej wersji. Genialna sztuka kontrapunktyczna Bacha zespala w nich partie solowe i zespołowe. Wymagało to od solistki znakomitego warsztatu, muzykalności i umiejętności podporządkowania się jakże wspaniałej orkiestrze. Ten koncert, bardzo popularny wśród melomanów, wywołał zachwyt toruńskiej publiczności. Bardzo dobry początek Festiwalu i obiecująca perspektywa dalszej części koncertu. 13 lutego 1998 r. red. A. Churski w „Nowościach” napisał felieton pt. „Pech Anny Marii” a w nim m.in. „...A zwłaszcza ma niepowtarzalną okazję, by od młodości ćwiczyć odporność psychiczną, tak potrzebną w solowej karierze skrzypaczki”. Święta prawda. Jak to redaktorzy potrafią przewidywać?

I pomyśleć, że od kilkunastu lat ta wówczas 15 letnia, w kolejnych wieczorach muzyki klasycznej w toruńskim Dworze Artusa daje świadectwo prawdzie. Wracam jednak do Festiwalu”. „Ku pamięci” należy wymienić cały program. Po uroczystej Inauguracji w programie znalazły się filmy: „Purpurowe skrzypce” i „Lawendowe wzgórze”, a także płyta winylowa „GRAMOCLASIC” oraz z okazji Roku W. Lutosławskiego (100 Rocznica Urodzin) uroczysty koncert z udziałem wybitnego wiolonczelisty Tomasza Strahla i Toruńskiej Orkiestry Symfonicznej pod dyktando Marcina Nałęcza-Niesiołowskiego, a w repertuarze koncert na wiolonczelę i koncert na orkiestrę. Kulminacyjnym akcentem Festiwalu stał się III Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy, a zainaugurował ten Konkurs recital Bartłomieja Nizioła (skrzypce) wybitnego polskiego wiolinistę i jednocześnie przewodniczącego Jury. W programie, podziwiając wysoki kunszt skrzypka, wysłuchaliśmy utworów G. Bacewicz, J. Brahmsa i C. Debussyego. Owacje na stojąco były wyrazem satysfakcji ze strony kompletu melomanów zgromadzonych w Sali Wielkiej.

Jako pomysłodawca i dyrektor Festiwalu, powiedziałem na inauguracji:

Panie i Panowie!

Toruńska Orkiestra Symfoniczna inauguruje I Międzynarodowy festiwal Skrzypiec – Toruń 2013. Nie jest przypadkowy podtytuł „Witold Lutosławski in memoriam”, bo właśnie w tym roku mija 100. rocznica urodzin wielkiego polskiego kompozytora. Przez ponad 20 dni Toruń będzie rozbrzmiewał muzyką skrzypcową, a jej znakiem rozpoznawczym, jednym z jego symboli, jest stojąca na rynku fontanna Flisaka ze skrzypcami. Jak łatwo sobie wyobrazić, w oparciu o legendę średniowieczną związaną z plagą żab w mieście, powstała ona jako pomnik dźwięku skrzypiec. I jest zapewne jedynym takim pomnikiem dźwięku na świecie.

„Skrzypce osiągnęły swój szczyt dźwiękowy i estetyczny już kilkaset lat temu i nadal nieodmiennie budzą zachwyt swym wyglądem i dźwiękiem”. (cyt. prof. T. Wrońskiego).

Oddawany w tym roku nowy, wspaniały most na Wiśle i nasza pierwsza edycja Festiwalu Skrzypiec wpisują się w obchody 780 – lecia Torunia – ku chwale jego mieszkańców, aby uczestniczyć w codziennej praktyce bycia razem.

Chcemy pełniej wykorzystać potencjał miasta, wyjątkowość jego substancji historycznej.

Nasz festiwal spotyka młodych artystów Polski, Europy i świata oraz wspaniałą toruńską publiczność, dzięki której możliwe jest zderzenie starej tradycji i intensywnego „dzisiaj”. Myślę, że proponowany Festiwal re-witalizuje nasze miasto. Sensacją jest duża ilość zagranicznych wirtuozów – uczestników kolejnego 3. Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego.

Witam w mieście, gdzie „gotyk jest na dotyk” wszystkich Artystów, Gości, Melomanów, Sympatyków muzyki i zapraszam na poszczególne imprezy ujęte w Programie Festiwalu.

„Twoja muza” nr 1 z 2014 r. – mieściła wywiad z przewodniczącym Jury B. Niziołem, w którym m.in. czytamy:

„Cieszę się, że mimo bardzo wymagającego programu, szczególnie w I etapie, wszyscy byli znakomicie przygotowani. Poziom uczestników był bardzo wysoki...”.

Przytoczę też fragment listu prof. Krzysztofa Pendereckiego – Honorowego Prezydenta 3. Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego – Toruń 2013, skierowany do prezydenta:

Kraków, 10 marca 2013 r.

Szanowny Pan Michał Zaleski  
Prezydent Miasta Torunia

Szanowny Panie Prezydencie,

Serdecznie dziękuję, czuje się zaszczycony i naturalnie z wielką radością przyjmuję tytuł Honorowego Prezydenta III Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego. Gratuluje bardzo organizatorom konkursu i Panu Prezydentowi, że to międzynarodowe wydarzenie muzyczne dla młodych wirtuozów z całego świata, rozpoczęte w 2007 roku, jest kontynuowane w tym wspaniałym mieście nad Wisłą, i będzie mieć swoją kolejną edycję w tym roku, w dniach od 11 listopada do 2 grudnia [...]. Życzę, aby konkurs w 2013 roku był kolejnym wielkim sukcesem organizatorów, jak również tak wspaniale rozśławiał Miasto Toruń. Przesyłam wiele serdeczności.

Krzysztof Penderecki

### **Jury 3. Konkursu Skrzypcowego:**

Profesor Bartłomiej Nizioł – Przewodniczący Jury

Profesor Mirosław Jacek Błaszczyk (Polska)

Profesor Marcin Baranowski (Polska)

Profesor Gyula Stuller (Szwajcaria)

Dr hab. Robert Kabara (Polska)

Profesor Krzysztof Węgrzyn (Niemcy)

### **Laureaci 3. Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego – Toruń 13:**

Grande Prix i I Nagroda – Anna Malesza (Polska)

II Nagroda – Maja Syrnicka (Polska)

III Nagroda – Youn Eunsol (Korea Południowa)

## **Konkurs na recenzję**

Z ogłoszonego konkursu na recenzję, przytoczę fragment pracy Elżbiety Grabowskiej z Torunia, laureatki I Nagrody:

11 listopada 2013 r. Całe szczęście, że w Toruniu rozpoczyna się I Międzynarodowy Festiwal Skrzypiec i III Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy Witold Lutosławski in memoriam.

I to jest dla mnie największe święto: możliwość przeżycia takiej ucztę muzycznej jaką nam przygotowano w Dw. Artusa w Dniu Niepodległości: uroczysty koncert w wyk. Symfonietty Cracovia pod dyr. Roberta Kabary. Solistka Anna Maria Staśkiewicz, moja ukochana skrzypaczka, której

kariere śledzę od początku, wielka ambasadorka Torunia, swoją perfekcyjną grą w Koncercie Skrzypcowym J.S. Bacha, a potem razem z Robertem Kabarą w Symfonii Koncertującej Mozarta – wprowadza mnie w świat marzeń, fantazji, dobroci, milkną wszelkie spory, waśnie, nienawiść. Do mózgu docierają endorfiny – hormony szczęścia. Ciekawa muzycznie „rozmowa” dwóch wirtuozów najwyższej klasy, to rzadka gratka dla melomanów. Rejestrowałam każde wrażenie, kodowałam w sercu – jak w komputerze – te cudne klimaty, aby zostały we mnie jak najdłużej.

W II części Orkiestra Symfonieta Cracovia rewelacyjnie wykonała sekstet w opracowaniu na orkiestrę kameralną „Pamiętka z Florencji” P. Czajkowskiego. To mój ukochany kompozytor, bo w jego muzyce tak wiele emocji, radości, cierpienia, zachwytów, głębokiego dramatyizmu. W tym utworze słycać było wszystko, czym targana była wówczas jego dusza: ogromne cierpienie z powodu kłopotów osobistych ale też radość i ukojenie w obcowaniu z pięknymi klimatami włoskimi. Wykonanie wspaniałe, perfekcyjne, żywiołowe, o ogromnej palecie barw. Dziękuję Panie Robercie za to, że stworzył Pan tak doskonały zespół, że przelał Pan na członków zespołu swój młodzieńczy wigor, wirtuozerię, wrażliwość, profesjonalizm! Jakie piękne byłoby nasze życie muzyczne, gdyby każdy wirtuoz tej klasy miał swój własny zespół w którym szlify zdobywaliby młodzi adepci muzyki!

23 listopada 2013 r.

23 XI 2013. Inauguracja III Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego w Toruniu, który został stworzony i zorganizowany przez pana Michała Staśkiewicza, który po udziale jego córki w konkursie im. Wieniawskiego w Poznaniu, zainspirowany tamtymi przeżyciami pomyślał sobie, dlaczego taki konkurs nie mógłby powstać w Toruniu? Wykonał niewyobrażalnie wielką pracę i... dopiął swego. Panie Michale, wielkie dzięki za ten konkurs, za to, że możemy gościć światowej sławy artystów jako jurorów oraz uzdolnioną młodzież z całego świata.

To był fantastyczny pomysł aby na inauguracji tegorocznego konkursu zagrał przewodniczący jury Bartłomiej Nizioł, laureat Konkursu Wieniawskiego i wielu innych konkursów na całym świecie. Nie dość, że mamy okazję posłuchać brzmienia wspaniałego instrumentu Guarnerius del Gesu z roku 1727, to jeszcze dał nam i uczestnikom konkursu pokaz mistrzowskiej gry na najwyższym światowym poziomie. Było to istne misterium muzyczne! Skrzypkowi towarzyszył świetny pianista



i kameralista – Marcin Sikorski, potrafiący z niebywałą łatwością dostosować się do solisty, wręcz zespolić się z nim idealnie w jedną całość, by za chwilę zabłysnąć wirtuozowskim popisem, stając się równorzędnym solistą. To wielkie przeżycie słyszeć na scenie tak utytułowanych, słynnych na cały świat artystów, o których zabiegają sale koncertowe wszystkich kontynentów.

Na koncert złożyły się żywiołowe sonaty Grażyny Bacewicz i Johanna Brahmsa oraz na zakończenie sonata „ojca” muzyki XX wieku Cloda Debussy’ego.

Program ułożony tak aby w pierwszej części rozbudzić nas, poruszyć różnorodnością formy brzmienia, a w drugiej – wyciszyć cudownymi impresjonistycznymi klimatami, wysublimowanym pięknem brzmienia i naturalnością muzyki Debussy’ego.

Bartłomiej Nizioł – to artysta niezwykły, dla którego nie ma żadnych barier technicznych; oprócz perfekcyjnej gry przekazuje nam swoją wrażliwość, sympatię i miłość do skrzypiec.

Dzięki takim ludziom – świat staje się piękniejszy.

## Johanes Brahms

„Wielkie dzieła – wielcy wykonawcy” – ten koncert Toruńskiej Orkiestry Symfonicznej z 8 lutego 2013 r. miał dla mnie szczególne znaczenie. Przede wszystkim muzyka J. Brahmsa – Koncert skrzypcowy D-dur i I Symfonia c-moll. Wykonawcy, to poza orkiestrą poznany dzień wcześniej Bartłomiej Nizioł – wybitny wirtuoz skrzypiec i, oczywiście, mój przyjaciel, dyrygent – Mirosław Jacek Błaszczyk. To była gwarancja bardzo udanego koncertu. I tak się też stało. B. Nizioł, mieszkający na stałe w Szwajcarii, zaprezentował swój mistrzowski kunszt grając na skrzypcach Guarnerius del Gesu z 1727 roku. Koncert skrzypcowy Johanna Brahmsa (1833–1897) powstał w lecie 1878 roku podczas wakacji spędzanych przez kompozytora w Austrii. Głównym adresatem Koncertu był ówczesny wybitny skrzypek i przyjaciel kompozytora Joseph Joachim (1831–1907). Trzy części Koncertu: *Allegro non troppo*, *Adagio* i *Allegro giocoso*. Słuchając w wypełnionej po brzegi Sali Wielkiej muzyki Brahmsa odnosiłem wrażenie uczestniczenia jakby w szczególnej mszy muzycznej. Johannes Brahms, w swojej twórczości był przedstawicielem romantycznego klasycyzmu, co w polskich warunkach jest przyjmowane nader ciepło.

Koncert skrzypcowy D-dur w wykonaniu B. Nizioła, to w dużym stopniu muzyka wpleciona w różnobarwną, gęstą tkanę dźwiękową, nie posiada nigdzie czysto wirtuozowskiego charakteru. Dopiero kadencja daje możliwość błyskotliwego popisu. I tutaj Nizioł pokazał swój wykonawczy pazur, by po chwili wrócić do lirycznego tematu pierwszego, którego melodię gra solista ponownie w najwyższych pozycjach. W Adagio, po partii oboju skrzypce solo podejmują marzycielski temat. Zaś w Allegro giocoso żywił osiąga swoje szczyty, skrzypek pokazuje całe swoje umiejętności. To jakby Bartok – jego muzyka miała wpływ na ta część koncertu. Trudno się dziwić, że po skończonym Koncercie solista nie bisował. Ten Koncert stawiał przed znakomitym skrzypkiem ostre wymagania. Po koncercie dowiedziałem się o jego chwilowej niedyspozycji. I to rozumiem. Była to uczta z dwóch dań. Aplauz publiczności był dowodem klasy solisty. Po pierwszym daniu nastąpił popis (po przerwie) w I Symfonii c-moll op.68 Toruńskiej Orkiestry pod batutą Mirosława Jacka Błaszczyka. Było na co popatrzeć i czego posłuchać. Klimat części I (Allegro) oscyluje między niepokojem a pragnieniem ukojenia – wyraża się w tym kontrast między różnymi grupami tematycznymi. Uporczywy rytm głównego tematu części I i intensywność emocjonalna rodzą pulsujący nastrój. W części II (Andante sostenuto) solowo potraktowany obój prowadzi melodię na tle synkopowanego akompaniamentu smyczków. W instrumentalnych dialogach między obojem, rogiem i skrzypcami solo, dyrygent wycieniował orkiestrę, co stworzyło wyjątkowe piękno. Część III (Un poco allegretto e grazioso) to pogodne scherzo. Jesteśmy świadkami zabawy kompozytora z rytmem i metrum. Zaś w części IV, w finale najjaśniej zabrzmiał Allegro non troppo, ma con brio, oparte na dwóch grupach tematycznych. Burzliwe, pnące się w górę pasaży, tajemnicze pizzicata instrumentów smyczkowych i szorstkie rytmy, aż w końcu róg podejmuje nasyconą romantycznym uczuciem melodię. Podejmują tę melodię skrzypce, nawiązując i wariacyjnym opracowaniem nawiązuje do finału IX Symfonii Beethovena. Całość przedstawia jakby obraz dramatycznej walki uwieńczonej radosnym triumfem. To właśnie Brahms był w drugiej połowie XIX wieku największym mistrzem architektury symfonicznej.

Od lat uczestniczę w koncertach Toruńskiej Orkiestry Symfonicznej. Ostatni koncert, tak w części I z B. Niziołem, jak również I Symfonii, to jedno z większych wydarzeń muzycznych ostatnich lat. Wielki udział w tym bezsprzecznym sukcesie ma Mirosław Jacek Błaszczyk, którego batuta i przygotowanie orkiestry może imponować. Dotyczy to także obrazu

dyrygenta i jego ekspresji naturalnej idącej w parze z muzyką wielkiego Brahmsa. Ten wybitny dyrygent polski jest także gościnnym w tym sezonie kierownikiem artystycznym TOS za co należą się szczególne dzięki dyrektorowi Pawłowi Dudzikowi. Koncert miał tytuł: „Wielkie Dzieła – Wielcy Wykonawcy” i tak właśnie było 8 lutego 2013 roku w Sali Wielkiej Dworu Artusa w Toruniu.

## Szkło kontaktowe

Godzina 18.00

Proszę na salę!

Waga 84 kg. Do zbiccia 2 kg – zapisano w karcie pacjenta.

Mycie, podniesienie podglówka i hop na łóżko.

– Dzisiaj ma pan cieńsze igły, bo mi żal pana żył. Igły twardo wchodziły po tylu latach w to samo miejsce – powiedziała bardzo zgrabna pielęgniarka, która ma figurę Wenus i włosy, jak Neapolitanka. Jej obecność wnosi powiew pewnej egzotyki w tę, wypełnioną chemią, salę. Takie drobiazgi mnie cieszą. I tak już od lat.

Ciśnienie 130/80. Bardzo dobre.

Wyjmuje z torby „Politykę”. Te cztery godziny szybciej miną. Nie mogę czytać. Myśli kłębią się w zupełnie inne przestrzenie. Lewa ręka na pościeli, tak sztywno musi leżeć przez cały czas. Inaczej mogą być poważne kłopoty.

Zamykam oczy i pojawia się obejrzone wczoraj „Szkło kontaktowe”. Tylko jeden redaktor wzbudza pełną moją aprobatę, może dlatego, że jest w moim wieku, a wzorem Chińczyków, dojrzały mężczyźni mają rację. No, może nie zawsze, ale jednak...

Jerzy Iwaszkiewicz, którego czytałem od wielu lat, teraz objawia się w formie, której może mu pozazdrościć red. Grzegorz Miecugow i cała reszta. To zapewne zasługa jego umiłowanego żeglarstwa i wiatru, który sprzyjał jego myślom. Celność sądów, trafność dowcipu i ciepło oraz troska o Polskę, to główne elementy jego ripost i komentarzy. A propos Miecugow. Pamiętam, że we wczesnych latach 70. podczas Kabaretonu w Zakopanem wszyscy śpiewaliśmy tekst E. Stachury „Ruszaj się, Bruno...” na cześć zasiadającego w jury ojca redaktora Grzegorza. To był wspaniały facet. A piosenka stała się na lata hymnem Teatru i Kabaretu „Forum”.

Sentyment do ojca pozostał we mnie i przeniósł się na syna, znakomitego i mądrego Ale jednak Iwaszkiewicz...

Dlaczego oglądam „Szkló kontaktowe” a nie „Kawę na ławę”?

Bo jestem przerażony POLITYKĄ. I POLITYKAMI. Boże. Dlaczego nas tak skarałeś ich nieudolnością, zazdrością, chamstwem, głupotą. A może nie mamy takich, którzy mogliby nami rządzić? A może nie jest łatwo utrzymać się na powierzchni i być „zielona wyspą”? A może brednie dot. tzw. „religii smoleńskiej” na czele z ideologami typu Rydzyk, Kaczyński, Ziobro są potrzebne, gdy wiara zatracą się w wyścigu po złotówki?

Świat trzeba zmieniać, nie można tylko „zjeść, poczytać, pogwajdlić, pokierdasić i pójść spać” (Witkacy w „Szewcach”).

Leżąc na tym szpitalnym łóżku mam jeszcze wystarczająco dużo energii, abym tęsknił za normalnym życiem. Z ciepłą wodą w kranie. Dość mam kartek na mięso, cukier czy papierosy. Dość mam filmów produkcyjniaków, dość mam literatury „Jak hartowała się stal” czy „Timur i jego drużyna”. Dość mam kolejek po papier toaletowy. Chcę ciągłości i stabilności, także w nauce historii i w codziennym życiu. Niepodległość nie jest nam dana raz na zawsze. Znamy to już z przeszłości. Ja, pokolenie urodzone w wojnę, nie chcę tolerować prób nacjonalizmu i faszystowskich haseł. Nie chcę! I radzę młodym, aby także wybierali normalność. To moje pokolenie burzyło mur berliński, ale też wcześniej go budowało. To moje pokolenie maszerowało w 1-majowym pochodzie i wiwatowało na cześć „Pomożemy!”.

To moje pokolenie przeszło z Układu Warszawskiego do NATO, z RWPG do Unii. Należy teraz odpocząć i wziąć się do pracy. I spokój ma być synonimem dojrzałości.

Rewolucja narodowo-konserwatywna, która krzyczy gębą Kaczyńskich i Ziobrow o różnych głupotach, podległościach i agenturach dość mocno dobija się do naszych drzwi. Do naszego DOMU. Musimy zakładać nowe zamki, tracić niepotrzebnie energię na pustosłowia i fikcję. Zamiast budować wg nowych wzorów architektonicznych tracimy energię na stawianie tymczasowych namiotów.

Kiedy w latach „demokracji ludowej” uczono mnie historii, to już w V klasie szkoły podstawowej przedstawiano nam rozbiory i wcześniejsze „demokratyczne” liberum veto.

Wiek XVIII, to przestroga. Dzisiaj, po tylu latach bez wojny (całe szczęście), gdy nasze stosunki z sąsiadami układają się, jak nigdy przedtem, amatorom władzy śnią się „wyspy szczęśliwe”, że możemy być mocarstwem. My, leniwi, którym manna z nieba sama spadnie.

U schyłku swojego życia, doczekawszy prawdziwej niepodległości, buntuje się na głupotę.

Irracjonalne idee potrafią czynić z ludzi posłusznych baranów. Idą w kierunku zapaści i samounicestwienia. Skąd bierze się ileś tam 25% poparcia? Skąd, chwając różne klęski w typie powstań przegranych, wielomilionowych ofiar ludzkich, buduje się jakąś rzeczywistość? Na to pytanie brak mi odpowiedzi. I może zegarek noszony na ręce przez jednego z ministrów w rządzie a.d. 2013 roku stał się tą iskrą, która wznieca pożar?

Wielki poeta (choć nie noblista) Tadeusz Różewicz przed laty, w tamtych siermiężnych latach napisał: „Głupota przybiera rozmiary normalne, zakłada się nogę na nogę”.

Nie zakładajmy nogi na nogę, proszę.

Panie Michale. Co się dzieje, ma pan ciśnienie 180/100?

Stefan Bratkowski – wybitny dziennikarz – ostatnio podsumował sytuację w naszym kraju:

„Buduje się u nas drugie, równoległe państwo, odmawia się poszanowania legalnie i demokratycznie powołanym władzom. Mówi się, o nich źle. Zawsze. Tworzy się drugi naród, który nienawidzi większości. Buduje się jego poczucie odrębnej tożsamości i nie wiadomo, czy nas, resztę, ma on przekonać do siebie, czy pokonać”.

Dializa dobiegła końca. Waga 82 kg. Wzrost 173. W ciągu 8 lat ubyło mi już 6 cm. Taka moda – na małych.

Wracam do domu. Jest godzina 23.00 Właśnie skończyło się „Szkło kontaktowe”.

## Teatr Myśli i Słowa (odc. 16)

G o n g!

KURTYNA!

Stacja Dializ, wszyscy (8 pacjentów) leżą podpięci do maszyny elektronicznej, która czyści im krew. Są skazani na maszynę, od niej zależy długość ich życia. Zdają sobie z tego faktu sprawę, są milczący, zadumani, a ich myśli ciągle krążą w poszukiwaniu sensu życia. Młodzi i starzy, różnej płci, kalecy aż do śmierci. Wśród nich ludzie różnych zawodów: nauczycielka, sędzia, kierowca, dramaturg – pełna demokracja.

A między ich fotelami krążą Anioły, które pozwalają im przetrwać, służą pomocą, podłączają i odłączają po 4 godzinach stosunku z maszyną. I tak trzy razy w tygodniu. A i czas płynie tu wolno.

DRAMATURG (szepciem) – Dlaczego nie mam zdrowia mojej 90 – letniej cioci?

**KURTYNA!**

(Publiczność drzemie w stacji dializ wsłuchując się w szum przepływającej krwi. Mają w sobie nostalgię, gdyż już nic nie muszą).

## Moje serce

*Serce jest silne i nigdy, jak twierdzą fachowcy, nie musi odpoczywać. Waży zaledwie 250 gramów, a byłoby w stanie podnieść półtononowy ciężar. Wykonuje w organizmie tytaniczną pracę. Każdego dnia przepompowuje 9 tysięcy litrów krwi, kurczy się i rozkurcza 100 tysięcy razy, rozprowadzając krew po naczyniach o łącznej długości 100 tysięcy kilometrów, zaopatrując 75 bilionów naszych komórek w składniki odżywcze. Każdego dnia serce wykonuje taką samą pracę, jakiej wymagałoby przepchnięcie ciężarówki o 12,5 kilometra. W ciągu życia dopchałoby te ciężarówkę z Ziemi na Księżyc. Wystarczy?*

*Czy można żyć bez serca? Ten wypełniony krwią mięsień jest dziś na całym świecie uniwersalnym znakiem miłości. Dlaczego? Czy prawdą jest, że choroby serca są największym zabójcą XXI wieku?*

Pytania i odpowiedzi na nie są oczywiste. Dotyczą każdego z nas. A mnie szczególnie. Jestem ofiarą swojego życia, ofiarą składa moje serce walcząc z dolegliwością nadciśnienia tętniczego. Szukam odpowiedzi na pytania i dlaczego ja? Oczywiście, w moim wieku wyczerpały się zasoby energii, wypaliły się poprzez częste emocje i stresy wszystkie możliwe rezerwy, nastąpiło zmęczenie organizmu, który musi przewycięzać moje słabości i chwile zwątpienia. Od 20 lat zwalczam tabletkami swoje nadciśnienie, od ponad 7 lat leżę co drugi dzień w nefrologicznej stacji dializ, bo muszą mi czyścić nerki, które w wyniku tegoż nadciśnienia przestały funkcjonować. Ale żyję, działam, mimo 72 lat, dzięki pomocy żony, córek, pielęgniarek i lekarzy. Na szczęście zachowałem jeszcze fragmenty swojego potencjału intelektualnego i mogę np. organizować z rozmachem Międzynarodowy Festiwal Skrzypiec – Toruń 2013 – kolejną swoją

inicjatywę. Ale w podświadomości tkwi pytanie, które wraca co chwila – jak długo jeszcze moje serce wytrzyma te napięcia, stresi i wysilek?

Leżąc na szpitalnym łóżku przez 4 godziny mam wystarczająco dużo czasu na myślenie o najbliższej przyszłości, a przecież każde wejście po schodach na 2 piętro, każdy krótki spacer sprawia mi dużo kłopotów. Ile można czytać kolejny numer „Polityki” czy „Wprost”? To tylko dla zbiccia czasu, dla zapomnienia gdzie i po co jestem, a obok mnie krzątają się panie w białych kitlach. Stałem się, mimo wszystko pewnym obciążeniem dla Rodziny, ale też, tak sędzę, dzięki temu, że jestem, pomagam.

Godzina 8.00 – telefon – Tak, tak. Będę o 11.00

Godzina 9.15 – Przecież mówiłem, że trzeba poprawić na plakacie tekst dot. Torunia. Bo jest on w nazwie imprezy. A data ma być poniżej.

Godzina 10.05 – Już kończę układać Komitet Honorowy. Nie można nikogo przeoczyć.

Godzina 11.00 – Proszę kawę. Tak, pierwszą dzisiaj.

Godzina 12.50 – Oczywiście. Mam nadzieje, że na dzisiaj wystarczy. A resztę dopowiemy w środę. Nie, nie będzie za późno.

Godzina 13.20 – Ale bez zupy. Tylko drugie. Uwielbiam kopytka z żeberkami.

Godzina 14.0 – Tak, tak. Będę na pewno jutro o 11.00. Nie, jeszcze nie rozmawiałem.

Godzina 15.10 – Ale te noclegi są za drogie. Może w ramach sponsoringu spuści pan z ceny. Chodzi tylko o 20 zł. Za jedną dobę.

Godzina 16.45 – Tylko 35 obiadów i tyle kolacji. Za ile? Nie. To za drogo.

Godzina 17.20 – Cholera! Już dzwonią. Muszę iść. I znowu będą mnie kłuć.

Godzina 18.10 – Tak, ręce już umyłem. 83.400 Na maszynę 1.400.

Godzina 21.40 – Jeszcze tylko pół godziny tego leżenia i do domu.

Godzina 22.40 – Nareszcie przyjechała ta karetka. Zaraz będę w domu.

Godzina 23.10 – Nie kochanie. Nie mam apetytu. Wystarczą mi dwie kromki.

Godzina 02.00 – I dlaczego nie mogę spać?

Godzina 04.00 – Jeszcze 4 godziny do rana. Strasznie długo...

## Platforma

czyli nic pod stołem

Wierzę, że Platforma będzie funkcjonowała na normalnych, zdrowych, demokratycznych zasadach. Po dziesięciu latach tego, co jest, nam się to wszystkim należy. Chodzi o to, by zbudować przedsięwzięcie funkcjonujące etyczniej i takie elity, które będą realizować cele ważne nie tylko dla siebie, ale i dla ogółu. Polakom należy się normalne, zdrowe państwo.

Jest środa, 24 stycznia 2001 roku. Jadę w grupie kilkunastoosobowej do gdańskiej hali Oliwia. Jedno z głównych trójmiejskich skrzyżowań zostało niemal zablokowane przez dojeżdżające do Oliwii auta i autokary rejestracjami z całego kraju.. Zawsze szukałem jakiegoś wyjścia, ale bez polityki nic nie znaczysz, nikomu nie jesteś potrzebny. No, może tylko w dniu wyborów. Jestem wolnym człowiekiem, od niedawna na emeryturze. Mam dużo czasu i ogromną ochotę, aby jeszcze cokolwiek zrobić dla siebie, dla rodziny, dla Torunia, dla Polski. Jeszcze mi się chce działać. Może być nawet polityka. Nigdy mnie ona nie pasjonowała, ciągle jeszcze jestem naiwny, bo wydaje mi się, że już teraz będzie lepiej. Że unikniemy różnych mielizn, rozbojów ekonomicznych, przelewu krwi i stanu wojennego. To wszystko już przerabiałem. Może nadchodzi czas tak nam wszystkim potrzebny?

Jak pisał Leszek Kołakowski w swojej bajce filozofa o wojnie Lemurów:

Czterdzieści lat z okładem minęło, od kiedy trwa wojna u Lemurów. A oto jak się zaczęła.

Trzeba wiedzieć, że w Lemurii żyją małe Lemury i duże Lemury. Było pewnego razu zebranie Lemurów, na którym jeden mały Lemur powiedział:

– Ojczyzna Lemurów, czyli Lemura, jest wielkim i wspaniałym krajem. A dlaczego? Ponieważ mieszkają w niej Lemury. A Lemura dlatego nazywa się Lemurią, że w niej mieszkają Lemury.

Na to wstał duży Lemur, bardzo oburzony, i powiedział:

– To nieprawda, że Lemura tak się nazywa dlatego, że mieszkają w niej Lemury! Wręcz przeciwnie. Lemury tak się nazywają, bo mieszkają w Lemurii. A kto mówi inaczej, jest zdrajcą Lemurii!

Zaczął się wtedy spór okropny i walka między małymi i dużymi Lemurami”. Itd. itp...



Pisząc bajkę o wojnie Lemurów Leszek Kołakowski wyraźnie wskazywał w tej bajce, co znaczą konflikty wśród najbliższych, krewnych i rodaków.

Jadąc do Gdańska POSTANOWIŁEM, ŻE WCHODZĘ W TEN „INTERES”. Może właśnie to jest ta partia, która pozwoli mi uwierzyć w obywatelskość i demokrację? Bardzo mi się podoba inicjatywa trzech panów. Wreszcie przyszła pora, żeby po dziesięciu latach z mojej strony wznowić działalność polityczną właśnie pod hasłem racjonalnego myślenia.

Sportowa hala, w której odbywał się 20 lat temu pierwszy zjazd pierwszej Solidarności, ma trybuny wypełnione do ostatniego miejsca. Tłum wypełnia także płytę. Przeważają elegancko i dostatnio ubrani kobiety i mężczyźni, jest dużo młodzieży. Na korytarzu wypełniam deklarację członka – założyciela. To brzmi dumnie.

Nieco spóźnionych liderów platformy witają brawa i okrzyki aplauzu. Uścisną dziesiątki, a może setki rąk, zanim wejdą na pokryty błękitnym materiałem podest. Wszyscy trzej mają błękitne koszule, granatowe garnitury i krawaty. Ich wystąpienia co chwilę przerywają brawa i owacje. Płażyński, Olechowski i Tusk – główni bohaterowie wieczoru. A kogo nie ma?

Aleksandra Halla z SKL – jednego z głównych ideologów nowego ruchu, Janusza Lewandowskiego czy wielu działaczy skupionych dotychczas w Unii Wolności.

Sam do nich należałem. W „Gazecie Toruńskiej” swoją wypowiedź okraśliłem słowami „Czeka nas – tu, na poziomie miasta – ciężka praca prostowania szeregu krzywych rzeczy. Sami wiemy, co trzeba zmienić”.

Dzisiaj Platforma Obywatelska jest już 8 rok u władzy. Ja przestałem być w tej partii, kiedy zobaczyłem jak się ustawia wybory do władz. Kto kogo popiera i kto z kim trzyma we własnym interesie. W kolejnych wyborach głosowałem na kandydatów z PO, bo nie miałem żadnej alternatywy. Było i jest w tej partii szereg osób, które darzę swoim zaufaniem. Do nich m.in. należy aktualny Wicemarszałek Senatu Jan Wyrowiński. Rozpoczywałem swoje działania pod przewodnictwem Jana – wówczas, w 1989 r. Przewodniczącego Komitetu Obywatelskiego. Przez ten czas wykazywałem przed nim dużą dyscyplinę i szacunek. Dłubiąc na stronach internetowych nagle trafiłem na wywiad z J. Wyrowińskim zamieszczony w „Gazecie Pomorskiej” z dnia 24 stycznia 2014 r. Rozmawiał red. Adam Willma. Po przeczytaniu tego wywiadu poczułem się jak bohater. A więc nic się nie zmieniło. Można być wieloletnim posłem, a potem nawet

wicemarszałkiem senatu i przeżyć rozczarowanie sytuacją w kraju. To, co ja mam powiedzieć?

Oto cytaty z wspomnianego wywiadu:

„Zgoda, że każdy może się czuć w pełni wolny we współczesnej Polsce. Najważniejszym problemem, który nas nęka, jest brak zaufania. Przez to nie tylko kapitał społeczny jest w dużej mierze marnowany, ale również rozwój gospodarczy nie jest taki, jaki mógłby być...

(...) Dawniej miałem poczucie, że politykowi wolno mniej, że musi być człowiekiem nieskazitelnym, nie wolno mu dawać powodów do podejrzeń o działania interesowne. Gdyby tak było, poziom zaufania byłby w Polsce inny niż obecnie. Cóż, tak być powinno, ale niestety, jest tak, jak pokazują codzienne serwisy informacyjne.

(...) Jestem bardzo zniechęcony do wszelkich działań politycznych. Myślę o tym, żeby zakończyć swoją karierę polityczną, bo napięcia między oczekiwaniem a możliwościami jest nieznośne.(...) W Polsce jest dużo do zrobienia!”

Ponieważ dużo wcześniej zauważyłem to, o czym pisze pan Marszałek i wycofałem się z działalności politycznej, mam propozycję dla Jana Wyrowińskiego nie do odrzucenia. W ramach działalności społecznej, jako wytrawny torunianin, proszę o włączenie się w pomoc przy organizacji II Międzynarodowego Festiwalu Skrzypiec. Pański autorytet pomoże w tym, co nazywa się PR. I nie chodzi o pozyskiwanie środków finansowych, a raczej o prestiż, aby zapobiegać tendencjom panoszącym się w naszym mieście, gdzie coraz więcej tzw. pop kultury.

Bardzo niebezpieczna jest głupia starość. Bronię się przed nią na każdym kroku. Lekarstwem na nią jest moja dotychczasowa aktywność. Może jest to właściwa recepta.

Jak napisał ks. Józef Tischner: ”Jakiej władzy potrzebujemy? Pokornej. Pokora polega na tym, żeby być takim, jakim się jest. Jeśli nie ma się słuchu, nie udaje muzykalnego, jeśli nie ma oczu, nie udaje malarza”.

## Kucharze i kelnerzy

14. rok XXI wieku. Otwieram oczy ze zdziwienia, co się dzieje?

Starożytny historyk Liwiusz zauważył bardzo dawno temu, że moment, w którym Rzymianie zaczęli czcić swoich kucharzy, zbiegł się z początkiem upadku potęgi imperium, świtem dekadencji rzymskiej kultury.

A co się dzieje w początkach XXI wieku n.e.?

Kucharze są już wszędzie: w telewizji, w supermarketach, w księgarniach, bibliotekach, nawet w blokach telewizyjnych poświęconych kulturze i sztuce. Celebryci różnych maści wcielają się w rolę kucharzy obrazowo przedstawiając nam – konsumentom jakże atrakcyjne formy obżarstwa. Czy to jest norma, że „Pytanie na śniadanie” jest hitem jednej z poważniejszych państwowych stacji telewizyjnych?



Toruński Flisak na Rynku Staromiejskim

To kucharze stali się obecnie artystami i guru, ponieważ politycy i księża wskutek licznych skandali utracili publiczne zaufanie. Kucharze zastąpili duchownych i polityków w rolach tych, którzy czynią świat

miejszem lepszym do życia. Mierzi mnie ten cały obsceniczny kult obżarstwa, te opowieści o jedzeniu, jak to robić, te jakże nabożne celebacje konsumowania.

Gdy byłem młody i oglądałem film „Wielkie żarcie” traktowałem to jako doskonałą komedię. A dzisiaj mam taką komedię na co dzień, na wyciągnięcie pilota. Gdybym teraz mógł, ale niestety już za późno, to wykażalbym refleksyjne uzależnienie jedzenia, które stało się mechanizmem, za którego pośrednictwem jesteśmy zapraszani do zdobywania nie tylko erotycznych dreszczy, ale także „strawy duchowej”. Byłby to doskonały spektakl teatralny.

I gdzie tu miejsce dla poezji? Bo przecież w historii literatury światowej możemy znaleźć teksty krytyczne obżarstwa w różnych literackich formach od poezji do dramatu.

Nie przypadkowo „Wesele” Wyspiańskiego odnoszące się do zniewolenia, braku niepodległości przez pryzmat delikatnie mówiąc – pijaństwa elit intelektualnych. To nie tylko folklor, jak uważają niektórzy, to protest song tamtej rzeczywistości kompleksów społecznych i politycznych. Czy tylko tamtej?

Patrzmy na świat przez pryzmat jedzenia, przypominając w tym dzieci, które poznają świat poprzez to, co włożą do ust. To wszystko kręci się wokół banału pożerania i wynoszenia na piedestał samego aktu jedzenia. Mamy zatem do czynienia z nową formą spędzania wolnego czasu, nowym stylem życia – dla jedzenia i z powodu jedzenia. Taka jest ta naga prawda.

Czemu w tytule znalazł się KELNER?

Bo właśnie w naszej polskiej nowej rzeczywistości stał się on powodem „tąpięcia” elit władzy. Jak to – tąpięcia?

Naturą wszelkich politycznych skandali jest to, że dzięki nim obywatele wcale nie dowiadują się czegoś, czego by wcześniej nie wiedzieli, ale potwierdzają swoje przekonania o naturze polityki. A wszystko stało się, mleko się rozlało, dzięki aferze podsłuchowej. A kto za tą aferą stoi? KELNERZY.

Już przed 50 laty polubiłem dawać napiwki. Komu? Kelnerom. Pamiętam, że pierwsze napiwki otrzymywał mój kolega z podstawówki, który będąc kelnerem w piotrkowskiej „Europie”, był lekko zdziwiony, że ja mu te napiwki zostawiam. Tak też było w krakowskim „mierzynku” – ale tam było normą (jak nie miałem na napiwek, to szedłem do baru mlecznego na pierogi), w katowickiej „Polonii”, warszawskim „Forum”

czy w Starym Ratuszu w Getyndze. Uważałem, że jestem klientem, którego było stać, aby ulżyć tej trudnej i służalczej profesji społecznej. Bo za moich czasów większość kelnerów, to byli funkcjonariusze służb specjalnych. Lepiej było mieć ich po swojej stronie. Może to nie było demokratyczne, ale te napiwki stawiały mnie w roli ważnego gościa, którego było na to stać.

Sprawiało mi to nieklamana przyjemność, bawiło mnie zwłaszcza w obecności pięknej damy.

A teraz?

Nagrywanie polityków stało się w Polsce powszechną praktyką. I to za sprawą... kelnerów.

Godność to tajemnica. Im bardziej kogoś widzimy, tym bardziej teraz w XXI wieku zrównujemy go ze światem przedmiotów i zwierząt. Prostack nie śmiał kiedyś w historii podnieść oczu na majestat. Dzisiaj każdy może w każdej chwili oglądać lub słuchać każdego i być przez każdego słuchanym lub oglądanym, wystarczy do tego pilot. Jako gatunek ludzki zrównujemy się z rzeczami i ze zwierzętami. A co na to kelnerzy?

To oni wywołali największy kryzys rządowy ostatnich 7 lat. „Zamach stanu”, „zorganizowane siły przestępcze” czy uciekanie się do powiązań w skali międzynarodowej. Kelner może dużo, bardzo dużo. Jak to jest możliwe? Prosta sprawa – zabawa kelnerów w jakimś bliżej nieokreślonym celu.

Już nigdy nie dam kelnerowi napiwku. Straciłem do nich zaufanie.

## Słowo do nienarodzonej wnuczki

Moja Droga! Kochana Olu!

Jeszcze nie ma Ciebie na tym skomplikowanym świecie. Ale już wiem, że będziesz, bo moja córka Julia jest w ciąży. Postanowiłem do Ciebie napisać, gdyż nie znam ani dnia, ani godziny. I czy jeszcze będę mógł opowiadać Tobie ze zrozumieniem (przez Ciebie), a więc za 7-8 lat, nie?; tak to dużo, ale i nie mało. Współczesny pisarz amerykański Paul Auster w jednym z wywiadów powiedział: „Kiedy mówiłem o zimie, miałem na myśli to, że jeżeli ludzie żyją teraz mniej więcej 80 lat, a życie podzielone jest na cztery pory roku, każde o długości 20 lat, to kiedy masz 60 lat, jesteś w ostatniej porze roku. Ale to nie znaczy, że nie będzie ona bardzo ciepła, słoneczna i długa”.

I święta racja! Mam 73 lata i jeszcze mnóstwo planów do realizacji. Ale teraz moją głowę zaprzęta myśl o mojej najmłodszej Wnusi. Jaka Ona będzie, czy ten tekst do Niej adresowany przeczyta ze zrozumieniem? Bo nie mam najmniejszych wątpliwości, że już Ciebie Kocham.

Kocham tak, jak dziadek może kochać swoją kochaną Wnuczkę. Po dziadowsku, ale z fantazją! Moja wyobraźnia, która pozwoliła mi przeżyć moje wspaniałe życie, dostarczyła mi tyle rozkoszy i przyjemności, że chętnie odstępuję ją Tobie. Masz kontynuować serial szczęścia, miłości i rozkoszy. One są najważniejsze. Mnie się to udało w 100 %. A zawdzięczam to szczęście Twojej Babci Zofii, Twojej Mamusi Julii i Cioci Ani. One stworzyły nasz wspaniały DOM, obyś też mogła taki DOM stworzyć w przyszłości. Ale to samo nie przychodzi. Czeka Ciebie wiele wyrzeczeń, poświęceń, a przede wszystkim wykorzystanie czasu. Mój czas już się kończy. Sam nie wiem, ile będę jeszcze żył. Ale musisz przyznać, że mój pomysł napisania do Ciebie, jeszcze nie narodzonej, jest nietypowy. Od mojego urodzenia w moim życiu było 7. Papieży. Od Piusa XII do Franciszka. A dlaczego pisze o tym? Bo dzisiaj był wielki dzień. Przez 27 lat Papieżem był Polak Jan Paweł II, a wcześniej kardynał Wojtyła. I miałem to szczęście, że oglądałem z bliskiej odległości naszego Papieża i nie musiałem jechać do Rzymu. Wyobraź sobie, że to On przyjeżdżał do mnie. Najpierw w Katowicach na Muchowcu, a 7 czerwca 1999 r. o godz. 18.30 wylądował na lotnisku w Toruniu, gdzie oczekiwało na Gościa 300 tysięcy widzów. Dzisiaj został Świętym!!! I mogę śmiało powiedzieć, że stało się to na moich oczach. I jeszcze, podczas uroczystości w Watykanie obecnych było po raz pierwszy w historii dwóch Papieży – aktualny Franciszek i abdykowany przed rokiem na własną prośbę Benedykt XVI. Czyż to mogłem pominąć milczeniem? Zapewne właśnie TERAŻ RODZIŁA SIĘ NOWA HISTORIA KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO. Muszę jeszcze nie zapomnieć o innej dacie i fakcie: otóż 4 czerwca 1989 roku upadł w Polsce komunizm.

Jak łatwo obliczyć – 48 lat żyłem najpierw w państwie faszystowskim (4 lata), a potem w totalitaryzmie sowieckim, który nazywał się ZSRR. Dzisiaj, od 1989 roku, żyję w wolnej i niepodległej Polsce i nawet nie narzekam. W życiu przyświecała mi jedna zasada, rób tak, aby było tobie i twojej rodzinie dobrze. I to była cała moja filozofia.

Właśnie zmarł wielki polski pisarz, dramaturg i przede wszystkim poeta – Tadeusz Różewicz. Przeżył 93 lata, ale Jego twórczość, mam nadzieję, dotknie także Ciebie. Był ostatnim wielkim modernistą, poetą na drabinie Jakubowej, ale zamiast rzucać gromy, odczyniać uroki, sztydził

i gryzł. Miałem przyjemność znać go osobiście, zdjęcia z nim znajdziesz w moim archiwum zdjęć wszelakich. Mam także jego lekcje polskiego prowadzoną toruńskim Dworze Artusa. To była także moja inicjatywa. Bo on nie lubił spotkań. Oniemiał, kiedy go wprowadziłem do Wielkiej Sali i zdał sobie sprawę, że przepelniona 400 osobowa sala czeka na poetę. Była chwila milczenia, gdy stanął przed publicznością na scenie. Widać było, że on, wielki poeta, jest stremowany.

ściерpły mi nogi  
obudziłem się  
z długiego  
niewygodnego snu  
w świecie czystym(...)

trzymałem za ręce  
tate i mamę  
czyli Pana Boga

i było mi tak dobrze  
jakby  
mnie nie było

(T. Różewicz fragment „Bajki”)

Jak napisała po jego śmierci Julia Hartwig: „Dołączył do Herberta, Miłosza i Szymborskiej, wspaniałej poetyckiej trójcy, która opuściła nas w ostatnich latach”.

Miałem zaszczyt i przyjemność nie tylko czytać ich wiersze, ale znać ich osobiście.

Moja poezja

niczego nie tłumaczy  
niczego nie wyjaśnia  
niczego się nie wyrzeka  
nie ogarnia sobą całości  
nie spełnia nadziei

nie stwarza nowych reguł gry  
nie bierze udziału w zabawie  
ma miejsce zakreślone  
które musi wypełnić

jeśli nie jest mową ezoteryczną  
jeśli nie mówi oryginalnie  
jeśli nie zadziwia  
widocznie tak trzeba

jest posłuszna własnej konieczności  
własnym możliwościom  
i ograniczeniom  
przegrywa sama ze sobą  
nie wchodzi na miejsce innej  
i nie może być przez inną zastąpiona  
otwarta dla wszystkich  
pozbawiona tajemnicy  
ma wiele zadań  
którym nigdy nie podola

I tym tekstem Tadeusza Różewicza kończę mój list do Wnuczki. Oddaje On w całości moje myśli, tęsknoty i moją miłość do Ciebie.

Twój dziadek Michał – 30 kwietnia 2014 roku

I OTO JEEEEEST! Ola! Brawo. – 30 października 2014 r.

## BIEG ŻYCIA I NAGLE...

Urodziłem się po dwóch latach  
Od napaści Hitlera i Stalina na moją Ojczyznę

Jeszcze okupant nie wiedział co może  
Jeszcze nie strzelał do bezbronnych  
Jeszcze nie wymyślił Oświęcimia i innych  
Każni wielu narodów

Jeszcze Zachód milczał i tolerował  
Amerykanie przyjmowali uchodźców  
Także Szwedzi i...

Jeszcze moja Matka  
Była piękna i młoda  
A Miniu był jej oczkiem w głowie



Ojciec szwendał się po lasach  
Bawiąc się w chowanego ze szopkami  
W Tarasce

Jeszcze żył wujek Staszek

Nie pamiętam łapanek  
Kartek na żywność  
Jeszcze żyli w moim mieście Żydzi  
W getcie, bo było to pierwsze  
W okupowanej Polsce

A potem – zapamiętałem rewizje w domu  
Żandarmi grzebali w moim łóżeczku  
Czego szukali

Widziałem konwój wozów zaprzężonych w konie  
A na jednym z nich Tata i wuj Staszek  
Leży teraz w Alei AK – owców na cmentarzu

A potem pamiętam już rowerek dziecinny  
Przywieziony przez Ojca z Görlitz  
Byłem dumny, bo nikt nie miał takiego  
I pas wojskowy 25. Pp.  
Wiszący przy drzwiach w dużym pokoju  
A bawiliście się w „wojnę”  
Graliście w cymbergaja  
Wybijaliście szyby piłką  
U pastora

Trzydzieści razy dziennie  
Odmawialiście Introibo ad altare dei  
Na Jasnej Górze  
To był wspniany czas

A dalej pamiętam kasztanowce w Alejach  
Gdzie pierwszy raz całowałem się z dziewczyną  
Wówczas kasztany kwitły tak, jak teraz

A potem Piwnica  
I Ewa Demarczyk na schodach  
I Dalida w Spodku  
I Ordonówna na starej  
Płyce „Na tej miedzy  
Michałowej”

A potem córki córki  
Sylwester w kinie  
Kijów w Krakowie  
A potem córki córki  
A potem wnuczki wnuczki wnuczki  
Same dziewczynki  
Ty masz szczęście  
Do kobiet  
Mówili różni ludzie  
I mi zazdrościli

Kocham ten czas  
W trakcie którego rozmawiałem z  
Hanną Krall  
Stanisławem Grochowiakiem  
Marianem Grześczakiem  
Czesławem Miłoszem  
Tadeuszem Różewiczem  
Wiesławem Myśliwskim  
Ryszardem Kapuścińskim  
Uczyłem się na ich przykładzie życia

Kocham ten czas gdy podziwiałem  
Jerzego Grotowskiego  
Tadeusza Kantora  
Kazimierza Dejmka  
Adama Hanuszkiewicza  
Tadeusza Łomnickiego  
Andrzeja Łapickiego  
Jerzego Grudę  
Jerzego Nowaka

Zapamiętałem piękno i światło w obrazach

Rembrandta Wyspiańskiego Picassa

Zbiory Louvru Ermitażu Kassel

Dźwięk i barwę głosu

Czesława Niemena

Elvisa Presleya

Beatlesów

Sławy Przybylskiej

„Pamiętasz była jesień”

To był wspaniały czas

„Romeo i Julia” w Teatrze

W Moskwie z Plisiecką

„Iwan Suzanin” Glinki

I polonez po rosyjsku

„Na Tagance” i Wysocki

W roli Hamleta

Czerwone wino

W Budapeszcie

Piwo w Pradze

Góra Arrarat

I arka Noego

Mokra woda

W Adriatyku

Zmęczone nogi w Wenecji

Amfiteatr w Weronie

Święty Antoni w Padwie

Brązowy medal

W Cortina d’Amppezzo

Skrzynki piwa i coli

Lato Deyna Lubański

Józef Schmidt i Szewińska

Złota Ela Krzesińska

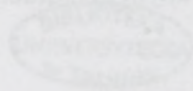
Sidło Piątkowski

Badeński Krzyszkowiak

Zimny Chromik

To był wspaniały czas

Koniec



To radio prasa telewizja  
 Podziw kolegów sąsiadów widzów  
 Byłem Hamletem Janczarem i twórcą  
 Reporterem felietonistą i urzędnikiem  
 Teatr „FORUM”  
 Sindbad i Ali Baba  
 „My som ludzie”  
 Kabaret na życie

Koncert Ani we Frankfurcie  
 W Filharmonii Narodowej  
 W Tokio  
 W Rio de Janeiro  
 W Pekinie  
 W Gdańsku  
 W Berlinie  
 W Frankfurcie n/Menem  
 W Łodzi  
 W Toruniu  
 To był wspaniały czas

Muzyka Bacha Mozarta Beethovena  
 Polonezy Chopina Małcużyński  
 Koncert fortepianowy Krystiana Zimmermana  
 To był wspaniały czas  
 I koncert skrzypcowy Czajkowskiego  
 W wykonaniu Ani w Getyndze  
 To był wspaniały czas

Umieranie i zmartwychwstanie  
 Po sukcesie Radwańskiej  
 To już nie był wspaniały czas

I te cztery godziny trzy razy  
 W tygodniu przez 10 lat  
 To było patrzenie  
 Z tęsknotą na zegar

I nagle...jestem starym  
 Schorowanym dziadkiem

Do utraconego raju  
Nie powinno się wracać  
Zwłaszcza jeżeli nie ma się pewności  
Że był on naprawdę rajem

29.09.2015 r.

**Koniec.**



22,00

305

WYDAWCA

Biblioteka Główna UMK



300050450575

Teatr „FORUM”

Ślub i All Baba

„My są ludzie”

Kabaret na życie

Koncert Ani w Frankfurcie

W Filharmonii Narodowej

W Tokio

W Rio de Janeiro

W Pekinie

W Gdańsku

W Berlinie

W Frankfurcie n/Mainem

W Łodzi

W Toruniu

To był wspaniały czas

Muzyka Bacha Mozarta Beethovena

Polonezy Chopina Makczyński

Koncert fortepianowy Krystiana Zimmana

To był wspaniały czas

1 koncert skrzypcowy Czajkowskiego

W wykonaniu Ani w Getyndze

To był wspaniały czas

Omiernie i martwy świat

Podziemie Radziwiłłowej

To już nie był wspaniały czas

I w ciemnościach jest świat

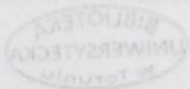
W wykonaniu Ani w Getyndze

To była piękna

Znana wszystkim

Uśmiech i...

Wspaniały świat



Koniec



Biblioteka Główna UMK



300050450575

Biblioteka  
Główna  
UMK Toruń

1326079

Michał Eustachiusz Staśkiewicz urodził się w 1941 roku w Piotrkowie Trybunalskim. Tam rozpoczął swoją działalność na polu kultury tworząc Teatr Publicystyczny. Swoje kompetencje zawodowe doskonalił w Krakowie i Warszawie. W latach 1968–1985 pracował jako organizator kultury na Górnym Śląsku – w Katowicach, Zabrze, Bytomiu, Siemianowicach Śląskich, Dąbrowie Górniczej i Będzinie. Gdy w samo południe 17 lipca 1985 roku urzekła go panorama Torunia, został tu na następne 30 lat z całą swoją rodziną – żoną Zosią, oraz córkami Julią i Anią. Swoje losy opisał w książce, którą trzymacie Państwo w rękach. Zachęcam do lektury.

*Prezes Towarzystwa Miłośników Torunia  
Krzysztof Mikulski*